

ALEKSANDER HERTZ

AMERYKAŃSKIE  
STRONNICTWA  
POLITYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

|| 177.555 (A)

|| 177.556

**AMERYKAŃSKIE  
STRONNICTWA  
POLITYCZNE**

**BIBLIOTEKA „KULTURY”**

**Tom XXIV**

*Imprimé en France*

---

**Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.  
Copyright by «Kultura», 1957.**

ALEKSANDER HERTZ

**AMERYKAŃSKIE  
STRONNICTWA  
POLITYCZNE**

*(Mechanizm demokracji)*

**INSTYTUT**  

---

**PARYŻ**



**LITERACKI**  

---

**1957**

*Mojej Żonie*

## WSTĘP

Lord James Bryce, przystępując w drugim tomie swego dzieła *THE AMERICAN COMMONWEALTH* do rozważania amerykańskiego systemu partyjnego, zaraz na początku ostrzegł swych angielskich czytelników przed utożsamianiem właściwości tego systemu z właściwościami brytyjskich urzędzeń partyjnych. „Tu i ówdzie” — pisał Bryce — „dadzą się odnaleźć punkty, mówiące raczej o analogiach niż o podobieństwach, lecz z chwilą, gdy próbujemy iść za tymi analogiami, niezwłocznie kończą się one — tak bowiem różne są zagadnienie, z których wyrosły angielskie i amerykańskie sposoby politykowania”.

W czasach, gdy Bryce pisał swe znakomite dzieło, Anglia była klasycznym krajem systemu dwupartyjnego. I trudno było oprzeć się chęci porównywania partyjnych instytucji Anglii z partyjnymi instytucjami Stanów Zjednoczonych — drugiego kraju, w którym również wytworzył się system dwupartyjny. Dowodem niezwyklej wnikliwości Bryce'a było to, że nie dał się zwieść tymi pozornymi podobieństwami, że, przeprowadzając głęboką analizę funkcji amerykańskich stronnictw politycznych na tle całokształtu życia narodowego Stanów Zjednoczonych, potrafił wykazać swoistość i odrębność tych organizacji politycznych, jakie powstały i rozwinęły się w republice Washingtona, Jeffersona, Jacksona i Lincolna.

Od czasów Bryce'a upłynęło wiele dziesięcioleci. Dużo zmieniło się w angielskim systemie partyjnym. Bez po-

równania większe jeszcze zmiany zaszły w stosunkach partyjnych narodów Europy kontynentalnej. A lata i dziesięciolecia miały również swój wpływ na amerykańskie życie partyjne. Lecz zmiany, jakie zachodziły na obu brzegach wielkiego oceanu, nie wpływały na zacieranie się różnic, o których mówił znakomity obserwator angielski. Przeciwnie — w naszej epoce różnice te stały się jeszcze bardziej ostre i głębokie.

Oczywiście amerykańskie stronnictwo polityczne jest stronnictwem politycznym. Jest wielkim zespołem ludzi, którzy zorganizowali się w celu zdobycia władzy państwowej i utrzymania jej, skoro ją zdobyli. Ale taka definicja nie posuwa nas naprzód w kierunku poznania właściwości danego stronnictwa, zrozumienia jego rzeczywistych funkcji w obrębie określonej cywilizacji narodowej. Nie mówi ona więcej o charakterze i działalności partii w konkretnym kraju, niż np. opisanie stołu jako przedmiotu użytku powszechnego, złożonego z blatu i nóg, mówi nam o różnorodnych stołach, z którymi mamy do czynienia w naszym życiu. W kategorii zjawisk i grup społecznych, które sprowadzamy do definicji partii politycznej, stronnictwa amerykańskie są czymś specyficznym i nieporównywalnym.

Zrozumienie ich właściwości nasuwa obserwatorowi nie-amerykańskiemu kolosalne trudności. Przyzwyczajony do faktów, właściwych jego ojczyźnie i krajom z nią spokrewnionym, staje on wobec form i treści amerykańskiego życia politycznego jak wobec czegoś dziwnego, nawet — groteskowego. Chcąc się w tym wszystkim jakoś zorientować, szuka analogii ze zjawiskami mu znanymi, próbuje w instytucjach amerykańskich odszukać odpowiedniki urzędzeń europejskich. Jest to źródłem wielu nieporozumień, często — bardzo niebezpiecznych.

Zwłaszcza dziś — gdy na Stany Zjednoczone zwrócone są oczy całego świata! Ileż wniosków fałszywych wyciągnęli obserwatorzy europejscy czy azjatyccy z wypadków amerykańskich! Ileż prognoz fałszywych postawili! Trudno ich zresztą za to winić: rzeczywistość amerykańska jest tak specyficzna, tak różna od europejskiej, że arcy ciężko jest się połapać w tym, co w niej zachodzi. Zwłaszcza gdy o Ameryce wie się tak mało!

Książka niniejsza jest próbą wyjaśnienia czytelniko-



*wi nie-amerykańskiemu właściwości amerykańskiego systemu partyjnego. A że system ten wyrósł z całej cywilizacji amerykańskiej, że wraz z nią tworzył się i dojrzewał, przeto w rozważaniach tych nieuniknione będą liczne ekskursje w szersze regiony życia narodu Stanów Zjednoczonych.*

*Zacniemy od zwięzłego omówienia historii amerykańskich stronnictw politycznych.*



## R o z d z i a ł I

### NIECO HISTORII

#### 1. Partyjnictwo zwyciężyło

Ludzie, którzy mieli decydujący wpływ na powstanie i treść Konstytucji Stanów Zjednoczonych, nie byli entuzjastami partii politycznych. Wręcz przeciwnie! Czytając to, co na temat partii mówili, odbiera się wrażenie, że pod ich argumentami podpisałiby się ci Polacy, którzy w latach poprzedzających drugą wojnę światową tak źle się wyrażali o „partyjnictwie”.

Kończąc swoją drugą kadencję i żegnając się z ludem, Washington nie krył swej niechęci wobec partii politycznych i ostrzegał przed nimi. Owszem — przyznawał pierwszy Prezydent w swym FAREWELL ADDRESS — partie w pewnych granicach mogą być pożyteczne. Odnosi się to jednak tylko do ustrojów monarchistycznych, despotycznych, gdzie partie dają życie duchowi wolności (*to keep alive the spirit of liberty*). Ale w ustrojach ludowych gdzie władze państwowe są wybieralne, partie, jako reprezentujące partykularyzm, jako wyrażające interesy specjalne a nie ogólne, są czymś groźnym dla wolności. Duch partii, „partyjnictwo” (*the spirit of party*) jest najgorszym wrogiem rządów przedstawicielskich i winien być zwalczany.

Washington nie był odosobniony w tych poglądach. Jeden ze współautorów słynnego THE FEDERALIST —

James Madison (z czasem czwarty Prezydent Stanów Zjednoczonych — 1809-1817) — z niemiejszym niepokojem mówił o partiach i waśniach partyjnych. W dzieśiatym numerze „Federalisty” daje on definicję partii (zgodnie z językiem swych czasów nazywa ją *the faction*) jako zespołu obywateli, działających pod wpływem namiętności czy interesów, które są niezgodne z prawami innych obywateli lub z interesami całego społeczeństwa. Źródła partii znajdują się w samej naturze człowieka, w emocjach, które rozwinęły się na podłożu różnic obiektywnych, istniejących wśród ludzi. Najważniejsze z tych różnic to różnice ekonomiczne. Ludzie, którzy mają własność i ludzie, którzy własności nie mają, wierzyciele i dłużnicy, przedstawiciele interesów rolnych, przemysłowych, handlowych, finansowych — wszyscy oni wnoszą w życie zbiorowe elementy podziału klasowego, który, zaostrzony przez emocje, staje się przyczyną podziału na partie.

Madison wierzył, że rząd federalny, oparty na zaufaniu obywateli, potrafi stworzyć stan trwałej równowagi między tymi sprzecznymi interesami, co więcej — uczyni zbędnym istnienie partij jako narzędzi obrony interesów specjalnych. Silna władza centralna, spoczywająca w organach ogólnozwiązkowych, miała być lekarstwem na partyjność, miała usunąć niebezpieczeństwo waśni i walk frakcyjnych.

Jak Madison i jego przyjaciele wyobrażali sobie w praktyce działanie ciał przedstawicielskich bez udziału w nich czynnika partyjnego? — Niewątpliwie nie odrzucali oni możliwości chwilowego łączenia się ustawodawców i obywateli dla osiągnięcia jakichś doraźnych celów. Takie łączenie się automatycznie musiało następować w momencie każdego głosowania. Nie chcieli jednak, by przybierało ono postać *instytucji trwałej*, by prowadziło do powstawania grup politycznie zorganizowanych obywateli. Wśród twórców Konstytucji przeważali ludzie o poglądach konserwatywnych. Jak powiada jeden ze znawców amerykańskiego systemu partyjnego, szukali oni sposobów zabezpieczenia porządku gospodarczego i społecznego, który reprezentowali. Chcieli zachowania status quo. Bałi się grup masowych, zorganizowanych, które, stając się większością, mogłyby opanować aparat państwowy.

i dokonać w nim zasadniczych zmian. I dlatego byli wrogami partyjnictwa <sup>1</sup>.

Ale partii nie dało się usunąć. Życie okazało się mocniejsze od doktryny. Jerzy Washington mógł się przekonać, że partie zaczynają się formować w najbliższym jego otoczeniu, a James Madison sam stał się członkiem partii i to członkiem bardzo wybitnym.

Dzieje amerykańskich partii politycznych są nierozłącznie związane z dwoma mężami, którym Washington powierzył stanowiska w swoim gabinecie. Początki amerykańskiego zróżnicowania partyjnego wywodzone są z różnic w poglądach, które dzieliły Tomasza Jeffersona od Alexandra Hamiltona. Pierwszy z nich był Sekretarzem Stanu w rządzie Washingtona, drugi — Sekretarzem Skarbu.

Były to postacie niezwykle, na bardzo wielką skalę. Młoda republika amerykańska mogła się uważać za szczęśliwą, że ludzie tej miary miała wśród swych budowniczych. Jefferson — humanitarysta, „przyjaciel ludzkości”, wspinały przedstawiciel filozofii Wieku Oświeconego, i Hamilton — wielki realista, genialny prekursor mającego się dopiero zrodzić kapitalizmu amerykańskiego. Obaj ci mężowie radykalnie różnili się w poglądach na kompetencje i funkcje władz centralnych republiki.

Hamilton był zwolennikiem silnego rządu federalnego. Przez stworzenie Banku Narodowego dążył on do scentralizowania aparatu kredytowego. Ze swej strony Jefferson zmierzał do zapewnienia poszczególnym stanom maksimum niezależności od rządu centralnego i odnosił się nieufnie do planów centralizowania kredytów <sup>2</sup>. Były też zasadnicze rozbieżności w poglądach tych mężów stanu na politykę międzynarodową. Jefferson odnosił się entuzjastycznie do Rewolucji Francuskiej, sympatyzował z Jako-

---

1. Pendleton Herring, THE POLITICS OF DEMOCRACY, American Parties in Action. New York, 1940. Str. 71-72. Dokładną analizę zagadnienia daje Charles Beard w AN ECONOMIC INTERPRETATION OF THE CONSTITUTION OF THE UNITED STATES. New York, 1913.

2. Literatura, poświęcona tej kontrowersji, jest olbrzymia. Zwięzłe omówienie dają Charles A. Beard i Mary R. Beard w THE RISE OF AMERICAN CIVILIZATION. New York, 1941. Str. 341-390. Również James Bryce, THE AMERICAN COMMONWEALTH. Londyn i New York, 1891. Tom II, str. 6-7.

binami, nie ukrywał swej niechęci dla polityki Wielkiej Brytanii. Hamilton natomiast i tu był konserwatystą : popierał terror Jakobinów i sprzyjał Anglikom.

W tym, że Washington uważał za rzecz właściwą ludzi o tak krańcowo sprzecznych poglądach powołać do swego gabinetu, można widzieć zastosowanie tak drogiej polityce amerykańskiej *zasady równowagi* (check and balance). Sekretarz Stanu był przeciwwagą dla Sekretarza Skarbu i odwrotnie — Sekretarz Skarbu był przeciwwagą dla Sekretarza Stanu. Ich przekonania niejako równoważyły się, tworząc stan przeciętnej, w którym głos decydujący i tak należał do Prezydenta. W wiele dziesięcioleci później Franklin Delano Roosevelt w swej polityce personalnej do perfekcji doprowadził tę metodę, jaką w końcu wieku XVIII posługiwał się pierwszy Prezydent Unii.

Ale ani Hamilton ani Jefferson nie byli wyrazicielami tylko swych własnych, indywidualnych stanowisk politycznych. Każdy z nich miał w Kongresie i w społeczeństwie liczne grupy zwolenników. Co więcej — każdy z nich stał się ośrodkiem, dokoła którego zwolennicy ci zaczęli się skupiać, organizować. Wkrótce też Washington mógł się przekonać, że różnice wewnątrz jego gabinetu są tylko wyrazem różnic, ogarniających cały naród. I choć w samym gabinecie zasada równowagi była utrzymana, to — w przekonaniu Prezydenta — została ona podważona przez fakt powstania tak niesympatycznych mu stronnictw politycznych. Gorycz, z jaką w swym Pożegnalnym Przemówieniu mówił o partiach, miała swe psychologiczne uzasadnienie : Washington, opuszczając swe wysokie stanowisko, miał przed sobą naród amerykański podzielony na partie polityczne, które nawzajem się zwalczały.

## 2. Pierwsze stronnictwa : *Federaliści* i *Jeffersonowscy Demokraci*

W roku 1787 w Filadelfii została ułożona i uchwalona Konstytucja Stanów Zjednoczonych. Nie popełni się błędu, jeżeli rok ten uzna się za datę powstania amerykańskiego systemu partyjnego. Albowiem na tle dyskusji nad Konstytucją młodej republiki zarysowały się podstawowe rozbieżności, których wyrazem stała się kontrowersja Ha-

milton - Jefferson. Obóz polityczny, który w Hamiltonie znalazł swego wodza i filozofa, przybrał nazwę *Federalistów*. Obóz, który poszedł za Jeffersonem, otrzymał nazwę Republikanów albo — nazwa ta jest częściej używana — *Demokratycznych Republikanów*. Oba te obozy stały się punktami wyjściowymi dla następnych partyjnych różnicowań się narodu Stanów Zjednoczonych. Dzisiejsi Republikanie do osoby Hamiltona odnoszą początki swej historii, dzisiejsi Demokraci z dumą powołują się na tradycje Jeffersona. To że i jedni i drudzy w wielu podstawowych poglądach odeszli od idei swych duchowych praojców, bardziej interesuje historyków niż szeroki ogół.

Byłoby jednak wielkim uproszczeniem, gdybyśmy genezę amerykańskiego systemu partyjnego wyprowadzali ze sporów ideologicznych, toczonych przez dwóch ludzi, choćby tak znakomitych jak Hamilton i Jefferson. W rzeczywistości spór ich był tylko zewnętrznym wyrazem pewnych procesów, jakie zachodziły w ówczesnej Ameryce, i pewnych sił społecznych, jakie o oblicze tej Ameryki prowadziły ze sobą walkę. Madison, wiążąc źródła tworzenia się partii politycznych z różnicami klasowo-ekonomicznymi, wykazał zdumiewającą przenikliwość. Federaliści i Jeffersonowscy Demokraci muszą być przeniesieni na szersze tło życia ówczesnej Ameryki i jej struktury społecznej.

Młoda republika rodziła się w ogniu zaciętych walk wewnętrznych. Pomińmy tu fakt, że duża część (mówiono o jednej trzeciej) mieszkańców trzynastu kolonii była przeciwna oderwania się od Anglii i że przelewała swą krew w obronie praw króla Jerzego. Dla przyszłości Ameryki znacznie ważniejsze były konflikty, jakie zachodziły wśród wiernych republice obywateli. Były to konflikty sprzecznych interesów klasowych i klasowo-regionalnych. Wyznaczyły one linie kierunkowe, wzdłuż których aż do naszych czasów rozwija się życie polityczne Stanów Zjednoczonych.

Oto najważniejsze z tych konfliktów :

1. konflikt między interesami rolniczego Południa a interesami handlowych, zaczynających się uprzemysławiać, ośrodków nadmorskich Nowej Anglii (włączając w to New York);
2. konflikt między tymi samymi ośrodkami a szybko

posuwającym się w głąb kontynentu pionierskim „pograniczem”;

3. konflikt między wielką burżuazją tych ośrodków a ludnością rzemieślniczą, robotniczą, najogólniej — niezamożną.

Hamilton występował jako eksponent wielkiej burżuazji miast nadmorskich, która też stała się fundamentem dla Partii Federalistów, Jefferson — dobrze urodzony gentleman z Virginii — stał się postacią sztandarową dla agrarnego Południa oraz symbolem nadziei dla niezamożnych elementów pionierskiego „pogranicza” i mas ludowych miast nadmorskich. Ten osobliwy sojusz konserwatywnego, plantatorskiego Południa i mas robotniczych wielkich ośrodków przemysłowych, jaki aż dotąd określa strukturę Partii Demokratycznej, początkami swymi sięga Demokratycznych Republikanów Jeffersona.

Nie możemy tu omawiać szczegółów tych konfliktów<sup>3</sup>. Możemy sobie pozwolić tylko na ich bardzo ogólnikową charakterystykę.

„Jefferson urodził się na pograniczu Virginii, Hamilton spędził całe swe życie wśród finansjery nowojorskiej, która wyróżniała się wyjątkowo skorumpowanymi metodami politycznymi i nie wierzyła, aby prości ludzie byli w jakimkolwiek stopniu zdolni do rządzenia sobą i innymi”<sup>4</sup>. Te dwa zdania z książki historyka amerykańskiego mogą być przez nas użyte za wstęp do naszej zwięzłej charakterystyki. W wieku XVIII New York, Boston, Filadelfia i inne centra wybrzeża atlantyckiego posiadały liczną burżuazję, która swe majątki i swą pozycję socjalną zawdzięczała — po pierwsze — stosunkom handlowym z Anglią i — po drugie — spekulacjom gruntowym i bankierskim we „wnętrzu” samej Ameryki. Wielka Brytania była w owym czasie w wojnie z rewolucyjną Francją. Dla armatorów i kupców wybrzeża wschodniego stwarzało to wyjątkową koniunkturę. Historycy amerykańscy sytuację ówczesną porównywiają z tą, jaka dla kapitałów amerykań-

3. Literatura na ten temat jest kolosalna. Sprawy te przejrzyscie są ujęte w dziele Samuel Eliot Morison i Henry Steele Commager, THE GROWTH OF THE AMERICAN REPUBLIC. Oxford University Press, 1942. Tom I, str. 341-342 oraz 351 i nast.

4. James Truslow Adams, THE EPIC OF AMERICA. New York, 1941. Str. 111.



skich powstała w okresie 1914-1917<sup>5</sup>. Oczywiście na znacznie mniejszą skalę. W każdym razie statki pod gwiazdzystą flagą były doskonałym uzupełnieniem dla brytyjskiej floty handlowej. Armatorzy amerykańscy czerpali z tego potężne zyski. Kredyty brytyjskie stały się podstawą tworzenia się kapitałów amerykańskich. Finansjera New Yorku, Filadelfii, Baltimore czy Charlestonu z największą życzliwością spoglądała w stronę Londynu. Niewątpliwie finansjści ci i armatorzy byli wtedy tylko ubogimi krewnymi londyńskich potentatów. Ale byli już na początku drogi, która z czasem miała doprowadzić do odwrócenia tego stosunku. Pełni sympatii dla Anglii, nie czuli jej dla Francuzów, których okręty złośliwie atakowały „neutralne” statki amerykańskie.

Drugim momentem były spekulacje, jakie finansjera wybrzeża przeprowadzała w regionach rolniczych, zwłaszcza na Południu. Ludzie ci bardzo wcześniej ocenili, jakie możliwości stwarza dla pieniądza kolonizowanie kolosalnych, słabo zaludnionych — nieraz bezludnych — obszarów wciąż rozszerzającego się „pogranicza”. Koła te w okresie, gdy pisana była Konstytucja i gdy przedmiotem dyskusji była sprawa tworzenia nowych stanów, broniły koncepcji „kolonialnej”, polegającej na włączaniu kolonizowanych terenów w obszary państwowe stanów już istniejących. Brak płynnej gotówki w okręgach rolniczych, taniać ziemi — oto co było umiejętnie wykorzystywane przez spekulantów z miast wschodnich. Inflacja rewolucyjnej waluty amerykańskiej, porewolucyjne konwersje i deflacja — były dalszym źródłem wzbogacenia się energicznej burżuazji wybrzeża atlantyckiego.

Rolnicze Południe i pionierskie „pogranicze” nie były zainteresowane w proangielskiej polityce armatorów, bankierów i kupców miast nadmorskich. Oczywiście Manchester był ogromnie ważnym rynkiem zbytu dla południowej bawelny. Ale takim rynkiem była również Francja oraz kraje, leżące w jej orbicie. Z drugiej zaś strony okręgi rolnicze coraz dotkliwiej odczuwały swą zależność finansową od bankierów i spekulantów wschodnich.

Przechodzący przez całe dzieje Stanów Zjednoczonych antagonizm — kapitał agrarny versus kapitał finan-

---

5. Morison i Commager, op. cit. T. I, str. 352.

sowo-przemysłowy — już w końcu wieku XVIII był bardzo ostry i pełen dramatycznych momentów.

Również dramatyczne były konflikty społeczne w miastach nadmorskich <sup>6</sup>. Już w roku 1790 w Filadelfii stolarze i szewcy stworzyli swą pierwszą organizację zawodową. W ślad za nimi poszli drukarze w New Yorku i krawcy w Baltimore. Wybuchały strajki, przy czym robotnicy i rzemieślnicy wyraźnie zaznaczali swą wrogość wobec pieniężnej oligarchii, rządzącej w ich miastach.

Na takim tle kontrowersja Federaliści — Jeffersonowscy Demokraci zaczyna być bardziej zrozumiała. Oligarchia finansowa chciała silnej władzy centralnej, chciała konstytucji, która by stała na straży praw własności i gwarantowała rządy ludzi wielkich interesów. Rząd federalny, wsparty przez Centralny Bank Narodowy, miał stać się narzędziem kontroli nad całym krajem przez finansjerę miast nadmorskich. I dlatego też finansjera ta była przeciwna zbyt daleko posuniętej autonomii władz stanowych. Tu bowiem siłą rzeczy do głosu musiałyby dojść interesy agrarne, „pionierskie”, przeciwstawiające się oligarchii pieniężnej.

To jednak właśnie mając na widoku, Jefferson i jego stronnictwo byli przeciwni centralizacji i stali w obronie praw stanowych. W tym zgodni byli ze sobą i wielcy plantatorzy niewolniczych stanów południowych i koloniści „pogranicza” i niezamożne warstwy miast wschodnich. Co te różnorodne elementy połączyło, to był wspólnie odczuwany antagonizm wobec oligarchii finansowej New Yorku, Bostonu, Filadelfii, Baltimore i innych miast Wybrzeża Wschodniego. Antagonizm ten zrodził jedną z najosobliwszych — z punktu widzenia społecznego — koalicji politycznych. Koalicja ta wykazała jednak tyle żywotności, że — choć nie bez zmian — utrzymała się aż po dzień dzisiejszy.

Pod znakiem tych walk toczyły się w Filadelfii rozprawy nad Konstytucją Stanów Zjednoczonych. Sama Konstytucja była tzw. kompromisem. Zgodnie z zasadą równowagi miała ona połączyć pierwiastki obu sprzecznych sta-

---

6. Florence Peterson, AMERICAN LABOR UNIONS. New York, 1945. Roz. I, oraz Philip S. Foner, HISTORY OF THE LABOR MOVEMENTS IN THE UNITED STATES. New York, 1947. Str. 82 i nast.

nowisk. Federalistom nie udało się stworzyć rządu centralnego tak silnego, jak o tym marzyli. Autonomia stanów została zapewniona. Nowokolonizowane terytoria miały być przyjmowane do Unii jako samodzielne stany. Stworzono system równowagi między bardziej arystokratycznym Senatem a bardziej demokratyczną Izbą Reprezentantów. Niemniej jednak w najbardziej zasadniczych punktach zwycięstwo było po stronie Federalistów.

Polegało ono na tym, że Konstytucja w swej treści stała się prawnym narzędziem zabezpieczenia własności tych, którzy własność posiadają, przed tymi, którzy jej nie posiadają. Nie tu miejsce na analizowanie tego dokumentu <sup>7</sup>. W swej formie początkowej nie zawierał on gwarancji wolnościowych i praw obywatelskich <sup>8</sup>. W całym szeregu podstawowych punktów dawał on wyraźną przewagę elementom zamożnym, stwarzał potężne przeszkody dla dalej posuniętych reform społecznych czy gospodarczych. Na szczęście dla przyszłości Ameryki Konstytucja dawała możliwość czynienia w niej uzupełnień w postaci tzw. Poprawek.

Młoda republika rozpoczynała swą historię pod znakiem przewagi Federalistów. A i sam Washington, choć wróg „partyjnictwa”, przekonaniowo był znacznie bliższy swemu Sekretarzowi Skarbu niż swemu Sekretarzowi Stanu. Następca Washingtona — John Adams (1797-1801) — był również zwolennikiem poglądów federalistycznych. W gabinecie tego Prezydenta nie było już miejsca dla Jeffersona <sup>9</sup>. Ale wkrótce miało przyjść zwycięstwo wielkiego Virgińczyka.

### 3. Druga rewolucja amerykańska

Albowiem Partia Federalistów popełniła szereg zasadniczych błędów. „Jej przywódcy — pisze historyk dzie-

---

7. Zostało to gruntownie dokonane przez Bearda i jego szkołę. Patr: AN ECONOMIC INTERPRETATION OF THE CONSTITUTION OF THE UNITED STATES.

8. Tak zwany Bill of Rights uchwalono dopiero w roku 1791 pod wpływem zwolenników Jeffersona.

9. W rzeczywistości przestał on być członkiem gabinetu Washingtona w roku 1794.

jów partii amerykańskich<sup>10</sup> — nie zdobili dostrzec pewnych dynamicznych czynników, tkwiących w społeczeństwie amerykańskim, i w rezultacie je zaniedbali". Przeoczyli rolę coraz bardziej rozwijającego się i coraz więcej znaczącego „wnętrza”, byli zaślepieni w swym anglofilstwie i antyjakobinizmie, zlekceważyli znaczenie organizacji.

Byli partią plutokracji miast portowych. Ośrodek ich głównych zainteresowań był poza oceanem. A tymczasem Ameryka rozwijała się w głąb. Już w końcu wieku XVIII było rzeczą widoczną, że „pogranicze” posuwa się ku zachodowi i że tam będą rozstrzygnięte losy młodego narodu. „Wnętrze” mało było zainteresowane w handlu morskim, było natomiast zainteresowane w swej autonomii, w swej ekonomicznej niezależności od potentatów wschodnich. Ci „pionierzy” byli usposobieni radykalnie. Nie mieli szacunku dla kupców i armatorów, ostro nieraz krytykowali rządy oligarchii pieniężnej. Ta zaś była przerażona terrorem we Francji. Plutokracja Nowej Anglii i New Yorku widziała wszędzie agentów jakobinizmu, widziała ich przede wszystkim wśród swych bardziej radykalnych rodaków. Uchwalony w roku 1798 Akt Buntowniczy (*Sedition Act*) oraz Akt Logana (*Logan Act*) miały na celu zdławienie amerykańskiego „jakobinizmu” czyli wszelkich form radykalnej opozycji. Były tam też surowe przepisy wymierzone przeciw „niełojalnym” cudzoziemcom. Akta te były prekursorami podobnych ustaw, które w późniejszych epokach były w Stanach Zjednoczonych kilkakrotnie przyjmowane.

Ale masy były niezadowolone. Ich niezadowolenie zostało umiejętnie wyzyskane przez Jeffersona i jego partię. Podstawą tej partii poza plantatorskim Południem stało się radykalne „pogranicze” oraz ubogie warstwy miejskie na Wybrzeżu. Te środowiska społeczne nie były przerażone frankofilstwem Jeffersona, a w jego filozofii decentralizacji i praw stanowych, w jego ideologii praw człowieka znajdowały wykładnię swych uczuć i przekonań. Do tego Jefferson doskonale ocenił znaczenie czynnika organizacji.

Demokratyczni Republikanie — niewątpliwie wzoru-

---

10. Wilfred E. Binkley, *AMERICAN POLITICAL PARTIES*. New York, 1945. Str. 50.

jąc się na klubach jakobińskich — gęstą siecią swych kół i stowarzyszeń pokryli cały kraj. Byli czynni, sprężyści, mieli zdolnych i oddanych w sprawie agitatorów. W roku 1800, gdy zbliżały się wybory prezydenckie, przeprowadzili energiczną kampanię na rzecz swego kandydata Tomasza Jeffersona. Specjalną uwagę zwrócili na mniej zamożnych farmerów, na osadników „pogranicza” i rzemieślników miast przemysłowych. Nie zaniedbali też świeżych emigrantów z Europy — Irlandczyków i Niemców. Odtąd Amerykanie świeżej daty będą stale bardzo ważnym czynnikiem Partii Demokratycznej.

Zwycięstwo wyborcze było zupełne. Mówiono o nim jako o drugiej rewolucji amerykańskiej. W roku 1801 Tomasz Jefferson rozpoczął swe urządowanie jako trzeci Prezydent Stanów Zjednoczonych. Pełnił je przez dwie kadencje, aż do roku 1809<sup>11</sup>. Z początku miał on w Kongresie silną opozycję federalistyczną. Opozycja ta jednak z każdym następnym Kongresem była coraz słabsza. Było rzeczą wyraźną, że Partia Federalistów jest w stanie upadku

Nie interesuje nas tu całokształt działalności Jeffersona jako Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na jeden jednak w niej moment wypadnie nam zwrócić uwagę. Nabywając w roku 1803 od Francji kolosalne terytoria w dolinie rzeki Mississippi, znane pod nazwą Luizjany (dzisiejszy stan Luizjana jest tylko małą ich częścią), Jefferson otworzył wewnątrz olbrzymiego kontynentu dla kolonizacji amerykańskiej i wyznaczył zachodni kierunek rozwoju republiki. Owo „kupno Luizjany” (*Louisiana Purchase*) było faktem przełomowym w dziejach Stanów Zjednoczonych. Miało też ono jak najdalej sięgające konsekwencje dla rozwoju amerykańskiego systemu partyjnego. Odtąd nie Południe, ale ziemie nad Mississippi i jej potężnymi dopływami staną się, obok Nowej Anglii i New Yorku, głównymi centrami amerykańskiego życia politycznego.

Rządami jednopartyjnymi nazywają historycy amerykańscy ten okres dziejów Stanów Zjednoczonych, który trwał przez lat dwadzieścia od ustąpienia Jeffersona aż do roku 1829. Albowiem Jeffersonowsy Demokraci nie mieli

---

<sup>11</sup>. O rządach Jeffersona patrz Beardowie, *THE RISE OF AMERICAN CIVILIZATION*, str. 384 i nast. oraz Morison i Commager, op. cit. T. 1, str. 382-407.

wtedy w ogóle przeciwników. Partia Federalistów była w stanie kompletnego rozkładu. Szczątki jej w Nowej Anglii i w New Yorku były zbyt słabe, by mogły myśleć o poważniejszej akcji. Po śmierci Hamiltona (zginął on w pojedynku w roku 1804) Federalistom zabrakło przywódcy na wielką skalę. I pominiawszy różne małe partie lokalne, które w tym okresie zaczynały się tworzyć, o Demokratycznych Republikanach trzeba powiedzieć, że byli jedyną prawdziwie ogólnonarodową partią ówczesnej Ameryki.

Następcy Jeffersona — James Madison (1809-1817), James Monroe (1817-1825) i John Quincy Adams (1825-1829) — byli ludźmi bliskimi mu w poglądach i pozostającymi pod dużym jego wpływem. Głos tego wielkiego męża stanu (umarł on w roku 1826) znaczył bardzo dużo, gdy chodziło o rady i wskazówki, jakich szukali ówczesni kierownicy polityki amerykańskiej.

Ale system jeffersonowski nie mógł być długotrwały. Podobnie jak to było z systemem hamiltonowskim, tak i on został rozsadzony przez następstwa tych przemian społecznych i gospodarczych, jakie w tym czasie zachodziły w Ameryce. Na horyzoncie pokazały się nowe siły, których symbolem stał się generał Andrew Jackson.

#### 4. *Generał — wielki Prezydent*

Jeffersonowscy Demokraci byli kombinacją plantatorskiego Południa z pionierskim „pograniczem” i z radykalnymi elementami miejskimi. Ale przywództwo należało tu do Południowców. Jefferson, Madison i Monroe pochodzili z Virginii. Wyszli oni ze świata agrarnej arystokracji, której bazą ekonomiczną były plantacje bawełny i setki czarnych niewolników. Przy całym swym frankofilstwie i jakobinizmie byli to dżentelmeni w pełnym tego słowa znaczeniu. Byli humanitarystami, mieli współczucie dla niedoli tych, którym materialnie źle się działo (*underdog*), byli wrogami pieniężnej pro-brytyjskiej oligarchii miast nadmorskich. W wielu jednak punktach nie byli zbyt odlegli od swych federalistycznych przeciwników. Przymomnijmy sobie to, co młody Madison pisał o partiach politycznych. Bądź co bądź był on przyjacielem i bliskim współpracownikiem Hamiltona. Jako grupa rządząca Demokratyczni Re-

publikanie zdecydowanie forytowali agrarne interesy Południa i dbali o swych arystokratycznych przyjaciół.

A tymczasem Stany Zjednoczone stale rozwijały się w głąb kontynentu. „Kupno Luizjany” stworzyło fantastyczne możliwości dla szybko posuwającego się „pogranicza”. Do Ameryki coraz liczniej zaczęli napływać emigranci europejscy: Szkoci, Irlandczycy, Walijczycy, Niemcy, Skandynawowie. Razem z uchodźcami ze stanów nadatlantyckich tworzyli oni zastępy nowych „pionierów”, którzy, posuwając się do wnętrza kontynentu, zakładali nowe osiedla i nowe stany. Do roku 1829 następujące nowe stany zostały przyjęte do Unii: Kentucky (1792), Tennessee (1796), Ohio (1803), Luizjana (1812), Indiana (1816), Mississippi (1817), Illinois (1818), Alabama (1819), Maine (1820) i Missouri (1821). Z wyjątkiem Luizjany były to stany typowo pionierskie, zaludnione przez śmiałych osadników, średnich farmerów, ludzi prostych, zuchwałych, często brutalnych, ale w swych filozofiach i postawach życiowych reprezentujących swoisty demokratyzm i radykalizm „pogranicza”. Ludziom tym obcą była zarówno finansowa oligarchia federalistyczna jak i plantatorska arystokracja południowa. W ludziach tych wypowiedała się nowa siła — ludowa, plebejska Ameryka<sup>12</sup>.

Generał Andrew Jackson to jedna z najbardziej barwnych postaci amerykańskiej sceny dziejowej. „W historii europejskiej na próżno szukałoby się odpowiednika dla Andrew Jacksona. Był on typowym Amerykaninem, ale z gatunku, który już dawno przestał być typowym”. — Tak o Jacksonie mówi jeden z historyków amerykańskich<sup>13</sup>. Urodzony na „pograniczu” Południowej Karoliny, syn emigrantów z Północnej Irlandii, Jackson był uosobieniem tych cnót, jakie tradycja amerykańska przypisuje bohaterom „pogranicza”. Był lojalny, wojowniczy, uczciwy, ale też łatwowierny, nietolerancyjny, niewykształcony. Jego

12. Literatura, poświęcona Jacksonowi i jego erze, jest bardzo duża. Na uwagę zasługują: Arthur Schlesinger, Jr. THE AGE OF JACKSON. New York, 1946 oraz Marquis James, THE LIFE OF ANDREW JACKSON. New York, 1938. Piękne ujęcie epoki daje Louis M. Hacker, THE SHAPING OF THE AMERICAN TRADITION. Columbia University Press, 1947. Tom I, str. 331-347. Ze względu na rolę Jacksona w historii amerykańskich partii politycznych ważny jest Binkley, op. cit., str. 120-151.

13. Morison i Commager, op. cit. T. I, str. 471.

manierę nie miały w sobie nic z arystokratycznej wytworności Jeffersona. Były to maniere plebejskie. Polityczna filozofia Jacksona była bardzo prosta. Sprowadzała się do następującego zdania, które niejednokrotnie powtarzał: „Trzeba być posłusznym Konstytucji federalnej, trzeba, żeby prawa stanowe były zachowane, trzeba płacić nasze długie państwowe, trzeba, unikać bezpośrednich podatków i pożyczek oraz trzeba, żeby Unia była utrzymana”. (*The Federal Constitution must be obeyed, State rights preserved, our national debt must be paid, direct taxes and loans avoided, and the Federal Union preserved*).

Swą sławę wojenną zawdzięczał Jackson udziałowi w wojnie lat 1812 — 1815 przeciw Anglikom. On to właśnie był bohaterem słynnej bitwy o Nowy Orlean (6 stycznia roku 1815), bitwy, która usunęła resztki wpływów angielskich z tej części kontynentu. Ta bitwa o Nowy Orlean miała wielkie znaczenie dla późniejszego rozwoju ruchu jacksonowskiego. „Demokracja jacksonowska nie znała mocniejszej więzi, niż wszechorgarniająca ją nienawiść do wszystkiego, co brytyjskie” — powiada Binkley<sup>14</sup>.

Albowiem wśród ludzi, którzy skupili się przy Jacksonie, ogromną rolę odgrywały elementy świeżo przybyłe z Europy — szczególnie Szkoci i Irlandczycy. One to — przede wszystkim Irlandczycy — do nowej ojczyzny przyniosły pamięć krzywd, wyrządzonych im przez Anglików. W Ameryce uczucia te natrafiły na grunt znakomicie dla nich przygotowany. Z wyjątkiem burżuazji nadmorskiej, cała Ameryka nienawidziła Anglików. Żywa była pamięć Wojny o Niepodległość, spotęgowana przez niedawną wojnę lat 1812 — 1815, kiedy to Anglicy zajęli Waszyngton i spalili Kapitol. W każdym razie do historii amerykańskiego systemu partyjnego wejdzie dzięki Jacksonowi nowy czynnik o wielkim znaczeniu — Irlandczycy i ich nienawiść do Anglii.

Na „pograniczu”, wśród drobnych farmerów, wśród wszelkiego rodzaju osadników był materiał na powstanie szerokiego ruchu, domagającego się praw dla „zwykłego człowieka”. Te same nastroje istniały wśród robotników i rzemieślników miejskich, gdzie — szczególnie w New Yorku — zaczęły się formować grupy polityczne o wcale wyraźnie klasowym obliczu. Taką grupą była Partia Ro-

14. Binkley, op. cit. str. 121.



botnicza (*The Workingmen's Party*) oraz Partia Równych Praw (*The Equal Rights Party*), lepiej znana pod dziwaczną nazwą *Locofoco Party*<sup>15</sup>. „Zwykli ludzie” poczuli się siłą polityczną. A gdy Jackson stanął jako kandydat do godności Prezydenta, zwarcie za nim poszli i dwukrotnie zapewnili mu zwycięstwo.

Jeżeli rządy Jeffersona określa się mianem „rewolucji”, to nazwa ta w nie mniejszym stopniu powinna przysługiwać i erze Prezydenta Andrew Jacksona (1829-1837). Było bowiem coś rewolucyjnego w tych rządach rubasznego, intelektualnie i towarzysko zgoła niewyrafinowanego, generała. Nie znaczy to, aby rządy te były głęboko reformatorskie, aby wprowadzały zasadnicze zmiany w ustroju amerykańskim. Ich rewolucyjność polegała na tym, że do głosu doszły nowe siły społeczne — „pogranicze”. Od Jacksona zaczęła się plebeizacja Ameryki, zaczął się zmierzch znaczenia tych elementów społecznych, które — jak arystokracja południowa czy plutokracja wschodnia — tradycjami, pochodzeniem, wychowaniem czy interesami związane były z wyższymi warstwami starej Europy. Nowe siły, których wodzem i wyrazicielem był Andrew Jackson całkowicie wyrastały z podłoża amerykańskiego, kształtowały się na „pograniczu” i w atmosferze „pogranicza”. Odtąd rozwój amerykańskiego życia zbiorowego będzie płynął korytem amerykańskim, będzie swe istnienie zawdzięczał wyłącznie tym specyficznym warunkom, jakie możliwe były tylko na ziemi amerykańskiej.

Odbiło się to przede wszystkim na Jeffersonowskiej partii Demokratycznych Republikanów. Odeszły od niej bardziej konserwatywne elementy, doszły nowe — w dużej części niedawno przybyłe z Europy. Były to elementy ludowe, plebejskie, które bardzo szybko umiały przystosować się do ówczesnych warunków amerykańskiego „pogranicza”. Zniknęła też nazwa Demokratycznych Republikanów. Od Jacksona partia nosi nazwę po prostu Partii Demokratycznej. A jednocześnie nastąpiło bardzo silne związanie się mas partyjnych z partią i jej kierownictwem.

To ostatnie znalazło dla siebie wyraz w ustawie o służbie państwowej (*civil service*). Na mocy tej ustawy

---

15. Szczegółowo omawia to Foner, op. cit. str. 121-166. Również Schlesinger, op. cit. str. 204-205 i 266.

do minimum sprowadzone zostały te wymagania odnośnie wykształcenia i doświadczenia, jakie normalnie są stawiane aspirantom do stanowisk w aparacie biurokratycznym. Z innych przepisów ważny był ten, który pozwalał na zajmowanie stanowiska urzędniczego tylko w ciągu określonej ilości lat. Konsekwencje tych reform były ogromne. W praktyce bowiem oznaczało to, że każdy zwycięski Prezydent i każda zwycięska partia mogli zmienić cały skład aparatu urzędniczego, obsadzając stanowiska swymi zwolennikami. Oznaczało to również, że zasługi dla partii przynosiły wynagrodzenie w postaci płatnego urzędu. Daleszą konsekwencją było to, że zmiana na stanowisku Prezydenta automatycznie pociągała za sobą bezrobocie dla dotychczasowych urzędników i posady dla tysięcy zwolenników zwycięskiej partii. W tym zawierał się sens owego „systemu łupów” (*spoils system*), który w takiej formie trwał przeszło lat 50, a w postaci znacznie zmienionej zachował się aż do naszych czasów.

Jest rzeczą oczywistą, że przy takim systemie nie mógł się w Stanach Zjednoczonych wytworzyć aparat biurokratyczny jako instytucja stała i oparta na mocnych podstawach. I jest rzeczą równie oczywistą, że w praktyce urzędnik amerykański stawał się funkcjonariuszem partyjnym, całkowicie uzależnionym od zmiennych fluktuacji wypadków politycznych. Ten stan rzeczy trwał bardzo długo i dopiero ostatnie dziesięciolecie zaczęły przynosić tu zasadnicze zmiany.

Ale i „jacksonowska rewolucja” nie była długotrwała. Jej ludowość, jej apelowanie do „zwykłego człowieka” nie mogły zastąpić konkretnego programu. „System łupów” wiązał z partią duże zastępy jej zwolenników, ale nie rozwiązywał żadnego z istotnych zagadnień życia ówczesnej Ameryki. Jacksonowska Partia Demokratyczna, podobnie, jak jej Jeffersonowska poprzedniczka, była zlepkiem różnych sił, w których dominowały interesy regionalne. Zastrzały się tarcia między „pograniczem”, zwłaszcza tworzącego się wtedy Środkowego Zachodu, a Południem, które tradycyjnie uważało się za kolebkę ideologii jeffersonowskiej. Za następcy Jacksona Demokratę Martina Van Burena (1837-1841) pozycja partii słabła. Na scenie zaczęły się pokazywać nowe siły polityczne.

## 5. Od Jacksona do Lincolna

Jeżeli Partia Demokratyczna była zlepkiem społecznym i regionalnym, to w nie mniejszym stopniu dałoby się to samo powiedzieć o nowym jej antagoniście — partii, która nazwała się stronnictwem Whigów<sup>16</sup>. Powstało ono w roku 1832 jako opozycja przeciw ponownej kandydaturze Jacksona i jako swego kandydata wystawiło Henry Clay'a. Innym wybitnym jego przywódcą był Daniel Webster, znakomity mówca, pisarz i działacz polityczny. Stronnictwo to skupiało w swych szeregach bardzo różnorodne elementy, które łączyły dwie rzeczy: niechęć do jacksonowskiej demokracji i wiara we własność prywatną. Przy całej swej różnorodności było to stronnictwo konserwatywne, burżuazyjne, bliższe tradycjom Hamiltona niż Jeffersona<sup>17</sup>.

Zebrawali się tam przemysłowcy, którzy wołali o całą ochronę, bankierzy i kupcy, którzy byli niezadowoleni z finansowej polityki Jacksona, północni przeciwnicy niewolnictwa na Południu, którzy mieli Demokratów za złe, że twierdzą, iż jest niewolnicze Południe. Zebrawali się tam dalej południowi plantatorzy, posiadacze tysięcy niewolników, producenci cukru z Luizjany, którzy domagali się ceł ochronnych przed napływem taniego cukru z Kuby, zebrawali się przedstawiciele wszelkich regionów i grup interesów. Słowem, była to bardzo typowa partia amerykańska, w imię jakiegoś ogólnego hasła łącząca dalekie sobie regiony i sprzeczne interesy.

Duże też wpływy mieli Whigowie w świecie ówczesnej elity intelektualnej. Profesorowie wyższych uczelni, wybitni duchowni (zwłaszcza konserwatywni Unitarianie) w olbrzymiej większości należeli do tego stronnictwa. W Nowej Anglii udało się Whigom zdobyć poważne wpływy wśród robotników przemysłowych. Tu Whigowie umiejętnie wyzyskiwali animozję w stosunku do niedawno przybyłych emigrantów irlandzkich. Irlandczycy ci, życzliwie przyjmowani przez Demokratów, byli solą w oku „urodzonych” robotników, zagrożonych konkurencją taniej emi-

16. W żadnym wypadku nie wolno ich mieszać z angielskimi Whigami. Ameryka miała tradycję własnego whigizmu. Tak w czasie Rewolucji niekiedy nazywano zwolenników oderwania się od Anglii.

17. Morison i Commager, op. cit. T. I, str. 551-567; Binkley, op. cit. rozdział VII; Beardowie, *The Rise*. T. I, str. 575 i nast.

gracyjnej siły roboczej. Whigom udało się skierować wrogość robotników do przemysłowców w bardziej dla warstw posiadających bezpieczne koryto nienawiści do „obcych”<sup>18</sup>.

Jak dalece Whigowie byli zlepkiem wszelkich grup i tendencji, o tym może świadczyć fakt, że gorącym Whigiem był wielki dziennikarz tych czasów Horace Greeley, bojowy liberał i obrońca klasy robotniczej. Greeley odważnie atakował stosunki, jakie panowały w nowojorskich fabrykach, określając je jako niewolnictwo. Jego organ — New York Tribune — w żadnym razie nie mógł być uważany za wyraz wstecznictwa czy reakcji.

Rozkwit Whigów przypada na piąte dziesięciolecie ubiegłego wieku. Trzykrotnie potrafili oni wprowadzić swych kandydatów do Białego Domu (William Henry Harrison — 1841. Zachary Taylor — 1849-1850, Millard Fillmore — 1850-1853). Jednakże z Prezydentów tych dwaj umarli zaraz na początku swego urzędowania, co spowodowało znaczny zamęt i osłabiło partię. Poza tym Whigowie nie dawali sobie rady z godzeniem tak sprzecznych regionów, jak przemysłowy Wschód, farmerski Środkowy Zachód i plantatorskie Południe. A właśnie trzy te regiony były podstawą ich wpływów. Koalicja rozłaziła się, brakło więzi na tyle mocnej, by całość partii została utrzymana. Na początku szóstego dziesięciolecia Partia Whigów była w stanie rozkładu.

Ale Partia Demokratyczna i Whigowie nie byli jedynymi stronnictwami, jakie w tym okresie działały w Stanach Zjednoczonych. Przeciwnie, były to czasy bardzo bujnego życia partyjnego. Młode społeczeństwo, wciąż jeszcze bardzo płynne, stale posuwające się w głąb kontynentu, otrzymujące coraz silniejsze nowe zastrzyki sił emigranckich z Europy, społeczeństwo pełne kontrastów klasowych i regionalnych było podatnym terenem dla powstawania nowych ugrupowań politycznych. Zagadnienie praw stanowych, sprawy monetarne, problemy osadnicze, coraz wyraźniej zarysowujący się konflikt między szybko uprzemysławiającą się Północą i plantatorsko-niewolniczym Południem — wszystko to dostarczało materiału dla kontrowersji programowych i partyjno-politycznych.

18. Binkley, op. cit. Str. 163.

Szczególnie na Północy coraz agresywniej zaczynała występować opozycja wobec instytucji niewolnictwa w stanach południowych. Trzeba pamiętać, że zarówno wśród jacksonowskich Demokratów jak i wśród Whigów południowi plantatorzy zajmowali bardzo wybitne i kierownicze stanowiska. Opozycja przeciw niewolnictwu musiała siłą rzeczy prowadzić do opozycji przeciw obu wielkim stronnictwom politycznym i łatwo pociągnęła za sobą tworzenie się mniejszych grup partyjnych.

Człowiekiem, który bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do powstania obozu anty-niewolniczego, był William Lloyd Garrison. Była to postać bardzo niezwykła, postać prawdziwego bojownika, który swej sprawie poświęcił wszystko — szczęście osobiste, zdrowie, spokój.<sup>19</sup> Dziennikarz, mówca, agitator, organizator — Garrison, nie zważając na przeszkody i prześladowania, piętnował niewolnictwo, domagał się jego zniesienia, tworzył grupy protestu i oporu. Już w roku 1845 Garrison nie cofnął się przed rzuceniem hasła, że należy zerwać unię z Południem, jeżeli Południe nie zlikwiduje niewolnictwa. „Nie ma jedności z posiadaczami niewolników!” — było wypisane w nagłówku jego pisma „*The Liberator*”.

Agitacja Garrisona miała ogromny wpływ na powstanie szeregu grup politycznych, które, jak Partia Abolicjonistów, Partia Wolności i Partia Wolnych Gruntów (*Abolitionists, the Liberty Party, the Free-Soil Party*), na czele swych programów umieściły postulat zniesienia niewolnictwa. Cały ten ruch jest zresztą lepiej znany pod nazwą „abolicjonizmu” (od *to abolish* — znieść, usunąć).

Niewątpliwie w akcji propagandowej tego ruchu akcenty moralno-religijne górowały nad innymi. Również jednak niewątpliwie poza akcentami tymi kryły się momenty natury gospodarczej. Partia Wolności wyraźnie mówiła, że „niewolnictwo musi być zniesione, w przeciwnym bowiem razie zguba grozi interesom rolniczym, przemysłowym i handlowym kraju”<sup>20</sup>. Sprzeczności pomiędzy rozwijającym się przemysłowym kapitalizmem Pół-

19. Piękną charakterystykę Garrisona daje Charles A. Madison, *CRITICS AND CRUSADERS, A Century of American Protest*. New York, 1947. Str. 14-38.

20. Binkley, op. cit. Str. 183.

nocy a plantatorskim feudalizmem Południa zaczynały zjadować dla siebie odbicie w ruchu abolicjonistycznym.

Ale obok niewolnictwa jeszcze inne zagadnienie miało wielkie znaczenie dla formowania się w latach czterdziestych nowych ugrupowań partyjnych. Było to zagadnienie wyrosłe z faktu coraz liczniejszego napływania do Ameryki emigrantów europejskich.

W Irlandii nadeszły lata „głodu ziemniaczanego”. Z każdym rokiem coraz potężniejsze gromady wychodźców z Zielonej Wyspy szukały szczęścia za oceanem. Obok nich pokazywali się uchodźcy i z innych krajów Starego Świata — głównie z Niemiec i Skandynawii. Oznaczało to całą rewolucję na amerykańskim rynku pracy: emigrant chwycił się wszelkiej pracy i za wszelką płacę. Oznaczało to również wielki wstrząs polityczny.

Przypomnijmy sobie, że Whigowie bardzo zżęcznie umieli wyzyskać wrogość „urodzonych” robotników do przybyszów zza morza. Dodajmy, że Partia Demokratyczna od pierwszej chwili oceniła polityczne znaczenie tych przybyszów jako potencjalnych wyborców (obywatelstwo w zasadzie otrzymywało się po pięcioletnim pobycie, w praktyce — szybciej) i że zaczęła ich organizować. W roku 1844 zwycięstwo, jakie demokratyczny kandydat na Prezydenta James Knox Polk (1845-1849) odniósł nad swym whigowskim przeciwnikiem (był nim Henry Clay), było powszechnie przypisywane głosom nowojorskim Irlandczyków. Ci, masowo głosując w mieście New York za Demokratami, dali im przewagę w stanie New York, a to zadecydowało o wyniku głosowania w kolegium elektorskim.

Obok momentów gospodarczych i politycznych duże znaczenie miały religijne. Emigracja Irlandczyków oznaczała pojawienie się w Stanach Zjednoczonych poważnej ilości katolików. Kościół katolicki zaczął się organizować na terenie Unii. A nastroje anty-katolickie były w owych czasach bardzo silne w protestanckiej Ameryce. Zaczęto mówić o „spisku papistów”, o tym, że katolicy zamierzają Stany Zjednoczone oddać w niewolę rzymskiemu papieżowi. Jak grzyby po deszczu zaczynały wyrastać stowarzyszenia obrońców rodzimego charakteru protestanckiej Ameryki. Bandy napastowały księży, wobec katolików stosowano bojkot ekonomiczny i towarzyski.

Te „rodzime”, anty-irlandzkie i anty-katolickie organizacje miały przeważnie postać stowarzyszeń zakonspirowanych, jawnie nie występujących. Członkowie ich programowo publicznie stwierdzali swą niewiedzę w sprawach owych organizacji. Stąd też znakomity dziennikarz Horace Greeley dał im ironiczną nazwę partii „Nic nie wiem” (*Know-Nothing Party*). Nazwa ta przeszła do historii. Ruch szowinistyczny, który w połowie stulecia zdobył sobie ogromne wpływy w Nowej Anglii i na Środkowym Zachodzie, stał się poważną siłą polityczną. W roku 1856 przypuszczano, że *Know-Nothing Party* potrafi przeprowadzić swego Prezydenta.

Tak się jednak nie stało. Albowiem zgodnie z tradycjami amerykańskiej historii politycznej, i tej partii zabrakło wewnętrznej spójności. I ją zresztą rozbiły spory między zwolennikami i przeciwnikami niewolnictwa. W okresie bezpośrednio poprzedzającym Wojnę Domową była ona w stanie zupełnego upadku.

W tym okresie dziejów Stanów Zjednoczonych istniały jeszcze i inne partie polityczne. Możemy je jednak pominąć — były one zjawiskami regionalnymi o małym znaczeniu dla życia narodowego. To samo da się powiedzieć pod adresem robotniczych grup politycznych, które — jak np. poprzednio wzmiankowana partia *Locofoco* — tworzyły się w różnych ośrodkach przemysłowych.

Tak więc okres, którego słupami granicznymi były prezydentury Jacksona i Lincolna, aż nadto obfitował w próby tworzenia partii politycznych. Z wyjątkiem jacksonowskiej Partii Demokratycznej, żadna z tych prób nie była udana. Partie szybko powstawały i szybko rozpadały się. Ale jakieś szczątki po nich się zostawały. Szczątki te stały się bardzo ważną częścią materiału, z którego została zbudowana nowa wielka partia polityczna. Ta nowa budowla okazała się bardzo trwałą.

## 6. Powstaje Świetna Stara Partia

„Partia Republikańska — pisze Binkley — jest wyjątkowym zjawiskiem w amerykańskiej historii politycznej, albowiem powstała żywiołowo, bez udziału takiego wybitnego przywódcy, jakim dla Federalistów był Washing-

ton, dla pierwszych Republikanów — Jefferson, dla Demokratów — Jackson, dla Whigów — Clay”<sup>21</sup>. I bez wątpienia o Partii Republikańskiej można powiedzieć, że czasy dojrzały do jej powstania, że w dziejach narodu amerykańskiego musiała przyjść sytuacja, w której nieuniknione było zrodzenie się takiej partii.

Na początku szóstego dziesięciolecia wieku ubiegłego scena polityczna w Stanach Zjednoczonych przedstawiała się w sposób mniej więcej następujący:

1. jacksonowska Partia Demokratyczna, coraz bardziej oddalająca się od swej rewolucyjnej przeszłości, stała się kombinacją plantatorskich interesów stanów południowych i zawodowych polityków miast północnych, przy pomocy „maszyn” operujących masami obywateli najświeższej daty. W partii tej głos decydujący należał do proniewolniczych Południowców;

2. upadająca Partia Whigów, stanowiąca kombinację wszelkich (nieraz sprzecznych) interesów warstw posiadających różnych regionów kraju;

3. szereg partii regionalnych, przeważnie bardzo dynamicznych, wyrosłych na podłożu radykalizmu i nacjonalizmu farmerów Nowej Anglii i Środkowego Zachodu. Żadna z tych partii nie potrafiła stworzyć zwartej i sprężystej działającej całości organizacyjnej, zdolnej do odegrania roli w polityce ogólnonarodowej.

A równocześnie rozwój wypadków szedł w kierunku, który wręcz zmuszał do powstania wielkich partii narodowych, głoszących jakieś bardziej określone koncepcje czy programy. Z każdym bowiem rokiem stawało się rzeczą coraz widoczniejszą, że Ameryka nie potrafi uniknąć wielkiego kryzysu politycznego. Dojrzał konflikt między Południem a Północą.

Sprawa niewolnictwa była tylko jednym i to nie zasadniczym aspektem tego konfliktu. Była w znacznie większym stopniu jego symptomem niż przyczyną. Istota konfliktu zawierała się gdzie indziej.

Oglądany od strony politycznej, konflikt był rozwinięciem historycznego sporu na temat stosunku stanów do federacji. Dyskusja między Hamiltonem i Jeffersonem była tu wstępem i zapowiedzią. Ale spór ten nabierał no-

---

21. Binkley, op. cit. Str. 207.



wych treści w miarę jak przeobrażało się gospodarcze oblicze Ameryki. Istotą zagadnienia było nie tyle, czy może istnieć państwo, którego połowa jest wolna a połowa — niewolnicza, ile, czy może istnieć państwo, którego połowa jest kapitalistyczna a połowa — feudalno-plantatorska.

„Nikt nie może zaprzeczyć, że Wojna Domowa, kończąc długi spór na temat władzy stanowej i federalnej, miała doniosłe następstwa polityczne. O wiele jednak ważniejsze były jej rezultaty ekonomiczne... Niezmiernie przyspieszyła ona rozwój kapitalizmu amerykańskiego... Koncentrowanie się kapitałów i konsolidowanie się interesów poszły teraz ręką w rękę. Przed wojną na palcach jednej ręki można było policzyć wszystkich milionerów. Gdy wojna się skończyła, były ich tuziny”<sup>22</sup>. — Te uwagi historyka amerykańskiego odnoszą się również i do sytuacji, która wojnę poprzedziła.

Przemiany gospodarcze, przez które przeszła Ameryka w ciągu pierwszych siedemdziesięciu lat istnienia Unii, były zaiste zdumiewające. W roku 1790 Stany Zjednoczone liczyły 3,929,214 mieszkańców. W roku 1820 liczba mieszkańców urasta do 9,638,453, w roku 1850 — do 23,191,876, w roku 1860 — do 31,443,321<sup>23</sup>. W roku 1790 ludność miejska (biorąc za podstawę miasta powyżej 2,500 mieszkańców) stanowiła 5,1 procent ogółu mieszkańców Unii. W roku 1820 odsetek ten urósł do 7,2, w roku 1850 — do 15,3, w roku 1860 — do 19,8<sup>24</sup>.

Jeszcze bardziej uderza rozwój poszczególnych miast. Boston w roku 1790 miał 18,038 mieszkańców, w roku 1850 — 136,881. W tym samym czasie ludność New Yorku z 33,131 urosła do 515,547, Filadelfii — z 42,520 do 340,045, Baltimore — z 13,503 do 169,054. Ludność tych czterech miast, która w roku 1820 wynosiła łącznie 343,000, w roku 1850 doszła do pokaźnej liczby 1,162,000 mieszkańców<sup>25</sup>.

Ten wzrost zaludnienia szedł w parze ze wzrostem produkcji przemysłowej.

22. Harold Underwood Faulkner, AMERICAN POLITICAL AND SOCIAL HISTORY. New York, 1941. Str. 361.

23. Morison i Commager, op. cit. T. I, str. 734-735.

24. Morison i Commager, op. cit. T. I, str. 749.

25. Morison i Commager, op. cit. T. I, str. 502.

W roku 1810 Stany Zjednoczone wyprodukowały 55,000 ton surówki, w roku 1830 — 180,000, w roku 1860 — 988,000. Wydobyte węgla kamiennego w Stanach Zjednoczonych wyniosło w roku 1820 niecałe 50.000 ton. W roku 1860 podniosło się ono do 14,334,000 ton. W roku 1840 wartość całej amerykańskiej produkcji przemysłowej była oceniana na 483,278,000 dolarów, w roku 1860 — na 1,885,861,000 dolarów. W tym samym czasie liczba robotników, zatrudnionych w przemyśle Stanów Zjednoczonych, z 791,000 podniosła się do 1,311,000 <sup>26</sup>.

Kilka tych liczb, wziętych przykładowo, ilustruje nam rozmiary i tempo rozwijania się młodego kapitalizmu amerykańskiego. Ale dla rozwoju tego najważniejsze bodaj były przemiany przestrzenne. Kapitalizm amerykański opanowywał i przetwarzał coraz większe obszary kontynentu.

Wielokrotnie już była mowa o posuwaniu się „w głąb” kolonizacji amerykańskiej. Pod znakiem „kierunek na zachód” kształtowała się cała historia narodu Stanów Zjednoczonych. „Kupno Luizjany” otworzyło dla kolonizacji wnętrza kontynentu. W roku 1844 Texas, w roku 1846 Kalifornia — poprzednio pozostające pod dość teoretyczną władzą Meksyku — weszły w skład Stanów Zjednoczonych. W roku 1848 w Kalifornii odkryte zostało złoto. W roku następnym rozpoczęła się słynna kalifornijska „gorączka złota”. „Pogranicze” dotarło do wybrzeży Pacyfiku i do Zatoki Meksykańskiej.

To posuwanie się „pogranicza” w kierunku zachodnim wyznaczało zarazem drogi ekspansji kapitalizmu amerykańskiego. Zrodzony nad Atlantykiem, kapitalizm ten brał w swe posiadanie kolosalne obszary „od wybrzeża do wybrzeża”. Nowe ziemie wymagały eksploatacji, z drugiej strony bez tej eksploatacji kolonizacja nie odbyłaby się na taką skalę i nie dałaby takich wyników.

Saga kolonizacji wnętrza kontynentu amerykańskiego jest równocześnie sagą kolei amerykańskich. Pierwsze — bardzo nieśmiałe i nieudolne — próby budowania kolei żelaznych w Ameryce odnoszą się do lat dwudziestych wieku ubiegłego. Ale w roku 1839 długość amerykańskich linii kolejowych wynosiła już około 8,000 kilometrów. W

---

26. Bardziej kompletne zestawienie tych liczb daje Foner, op. cit. Str. 55-57 i 191.

latach czterdziestych zaczyna się „gorączka kolejowa”. Rok 1846 jest datą otwierającą historię Kolei Pensylwańskiej, rok 1853 jest taką samą datą dla Nowojorskiej Kolei Centralnej. W roku 1853 długość amerykańskich linii kolejowych wynosiła około 15.000 kilometrów <sup>27</sup>.

Budowanie kolei poprzedziło kolonizację, a nie było jej następstwem. Przeprowadzano koleje przez pustynie, aby te pustynie zaludnić, uproduktywnić, aby w ten sposób zapewnić kolejom rację istnienia. W jaki sposób to się odbywało, o tym najlepiej powiedzą te słowa historyka amerykańskiego kolejnictwa: „Przemysłowa Ameryka była dżunglą, stworzoną dla praw dżungli” <sup>28</sup>. Ci pionierzy kolejnictwa amerykańskiego, ci Vanderbiltowie, Gouldowie, ci budowniczości tysiące kilometrów dróg żelaznych — wszyscy oni byli straszliwymi rekinami, dla których nie istniały żadne zapory prawne czy moralne. Dzieje kolejnictwa amerykańskiego to dzieje fantastycznych spekulacji, fantastycznych nadużyć, nieubłaganego brania łupów, nieubłaganego niszczenia przeciwników. Ale jednocześnie są to dzieje triumfów, jakie praca i przedsiębiorczość człowieka odnosiły nad dziką przyrodą. Bez kolejnictwa rozwój Ameryki byłby nie do pomyslenia.

Tak więc w latach, które bezpośrednio poprzedziły wybuch Wojny Domowej, młody kapitalizm amerykański był w stanie pełnej ekspansji. Ale na Południu natrafiał na przeszkodę. Był nią niewolniczy system plantatorski i cała cywilizacja, jaka na podłożu tego systemu wyrosła. I choć ekspansja kapitalizmu amerykańskiego szła w kierunku zachodnim, to przecież nie mogła ona ominąć i Południa. Zwłaszcza że to ostatnie również pewną — choć niedołączną — ekspansję wykazywało.

Nie ulegało wątpliwości, że istniejący na Południu system niewolniczo-plantatorski w połowie wieku XIX był już zupełnym przeżytkiem. Gospodarczo dawno przestał się opłacać. Niewolnik był drogi, praca jego była mało wydajna. Sam system uniemożliwiał wprowadzenie innowacji do metod produkowania, uniemożliwiał racjonalizację

---

27. Kopalnią informacji o dziejach kolejnictwa amerykańskiego jest Stewart H. Holbroock, *THE STORY OF AMERICAN RAILROADS*. New York, 1947.

28. Holbroock, op. cit. Str. 10.

i postęp techniczny. Jeszcze na wiele lat przed wojną nawet na Południu rozlegały się trzeźwe głosy, udowadniające przy pomocy liczb, że system przestał się kalkulować. Faktycznie też Południe biedniało. Zadłużenie plantatorów i mniejszych farmerów rosło. Linie kolejowe nie były budowane. Wszystko to jaskrawo odbijało od zawrotnych postępów Północy i Środkowego Zachodu<sup>29</sup>.

Ale dla Południa niewolnictwo było nie tylko zagadnieniem gospodarczym, dającym się ująć w jakieś formy racjonalnego myślenia. Było to przede wszystkim zagadnienie *emocjonalne*, zagadnienie całej filozofii życia. Plantatorskie Południe było jedyną częścią Stanów Zjednoczonych, w której rozwijały się instytucje, w znacznym stopniu odpowiadające europejskiemu feudalizmowi. Niewątpliwie był to specyficzny feudalizm, przetworzony przez warunki amerykańskie. Ale stosunki, panujące w świecie plantatorów, żywo w swych zasadniczych treściach i formach przypominają nam zjawiska, znane z końcowego okresu dziejów feudalizmu europejskiego. Coś z polskiej szlachetczyzny było w tej atmosferze dworów plantatorskich.

Południe, broniąc niewolnictwa, broniło swej cywilizacji, swej kulturalnej odrębności. Momenty materialne nie miały tu istotnego znaczenia. Jak zubożeli hiszpanowie, jak zbankrutowani szlachcice polscy (by nie mówić o szlachetkach), tak i Południowcy bronili racji swego istnienia jako odrębnej cywilizacji, cywilizacji o swoistym stylu życia, swoistych ideałach i tradycjach. Czuli się dżentelmenami i chcieli nimi pozostać. A warunkiem tego było utrzymanie niewolnictwa.

Mimo zgiełku robionego przez Abolicjonistów, poważniejsze koła Północy godziły się z południowym niewolnictwem jako ze złem koniecznym. Koła te wierzyły, że niewolnictwo zniknie samo przez się, na drodze ewolucyjnej. Takie też faktycznie było stanowisko i Lincol-

---

29. Literatura, poświęcona gospodarczym aspektom niewolniczego Południa, jest fantastycznie bogata. Zwięzłe ujęcie zagadnienia: Morrison i Commager, op. cit. T. I, str. 535-550. O konsekwencjach niewolnictwa dla Południa — Gunnar Myrdal, AN AMERICAN DILEMMA The Negro Problem and Modern Democracy. New York, 1944. Str. 230-250.

na. Spór powstał, gdy Południe system swój zaczęło przenosić na terytoria świeżo kolonizowane.

Kolonizacja „wnętrza” posuwała się na zachód wzdłuż całego kontynentu. I stany południowe miały swoje „pogranicza”. Południowcy, tworząc nowe osiedla, przynosili ze sobą swe rodzime instytucje gospodarcze i społeczne — system plantatorski i niewolnictwo. Rozszerzała się więc nie tylko kapitalistyczna połowa Stanów Zjednoczonych. Rozszerzała się również i ich część feudalna.

Zagadnienie stawało się coraz bardziej poważne w miarę jak dojrzewała sprawa przyjmowania skolonizowanych terytoriów do Unii jako nowych stanów. Północ niechętnie widziała wzrost liczby stanów niewolniczych. Oznaczało to bowiem wzrost politycznych wpływów stanów południowych. Każdy taki nowy stan oznaczał w Waszyngtonie nowych Senatorów i Kongresmanów, reprezentujących ideologię plantatorską. A Północ czuła się tak silną, że nie mogła się godzić na rolę polityczną nie pierwszorzędną.

Przez długi czas szukano rozwiązań kompromisowych. Próbowano wprowadzić zasadę, że do Unii nie przyjmie się nowego stanu niewolniczego bez równoczesnego przyjęcia stanu wolnego. Próbowano odgraniczyć te obszary, których kolonizacja mogła być połączona z zaprowadzeniem niewolnictwa, od tych, z których niewolnictwo miało być wygnane. Wszystkie te kompromisy zawiodły. Ekspansywny, dynamiczny kapitalizm i kostniejący, wyrodniejący feudalizm plantatorski nie mogły współistnieć w obrębie jednego systemu państwowego. Musiało dojść do dramatycznego konfliktu. Przeszedł on do historii pod nazwą amerykańskiej Wojny Domowej (1861-1865).

Musieliśmy nieco więcej miejsca poświęcić omówieniu tych wydarzeń i procesów. Miały one bowiem kolosalne znaczenie dla ewolucji amerykańskich partii politycznych. Z nowej sytuacji historycznej musiał się zrodzić nowy system partyjny i nowe partie.

Zapowiedzi były już w Whigach i w tych mniejszych grupach, które, jak Abolicjoniści i partia „Nic nie wiem”, były bądź radykalnie anty-niewolnicze bądź radykalnie nacjonalistyczne. Żadna z tych partii nie urosła do znaczenia ogólnonarodowego. Ale we wszystkich tych partiach

zawierały się elementy, które stanowiły materiał dla wielkiej partii ogólnonarodowej.

Koło roku 1856 partia taka powstaje. Jest ona znana pod nazwą *Partii Republikańskiej* albo *Świetnej Starej Partii* (*Grand Old Party* — w skrócie GOP). Partia ta stała się współzawodniczką jeffersonowsko-jacksonowskiej Partii Demokratycznej i obok niej drugim składnikiem amerykańskiego systemu dwupartyjnego.

Jak wszystkie amerykańskie stronnictwa polityczne, tak i Partia Republikańska była kombinacją różnych regionów, różnych interesów i filozofii. Terenowo była to przede wszystkim partia kapitalistycznej połowy Stanów Zjednoczonych — wpływy jej były największe na Północy i na Środkowym Zachodzie. Objęła ona elementy rozmaite, przemysłowe i bankierskie, dawniej skupione w Partii Whigów; objęła Abolicjonistów, przekonanych, że niewolnictwo jest sprzeczne z Pismem Świętym; objęła radykalnych nacjonalistów z partii „Nic nie wiem”, nienawidzących katolików i Irlandczyków; objęła najrozmaitsze inne grupy i grupki. W koalicji tej ludzie wielkich interesów — przemysłowcy z Nowej Anglii, bankierzy i spekulanci z New Yorku — spotkali się z radykalnymi farmerami Środkowego Zachodu i z niemniej radykalnymi głosicielami ideałów równości i braterstwa z rozmaitych okolic kraju.

Obecność tych ostatnich zaznaczała się bardzo wyraźnie — hasła radykalne głośno rozbrzmiewały w szeregach tworzącej się dopiero Partii Republikańskiej. Woodrow Wilson zauważył kiedyś nie bez dozy złośliwości, że Partia Republikańska „zawdzięcza swego ducha radykalnego i agresywnego Abolicjonistom, których przyjęła bez życzliwości”<sup>30</sup>. Bez większego też entuzjazmu patrzyli kierownicy GOP na liczny napływ radykalnych grup robotniczych i rzemieślniczych, jakie pociągnął za sobą wielki dziennikarz Horace Greeley. Rola tego ostatniego we wczesnym okresie działalności Partii Republikańskiej była bardzo duża. Jego pismo „Tribune” było powszechnie uważane za wyraz poglądów nowego stronnictwa. A „Tribune” było bezspornie pismem bardzo postępowym. Jego europejskim korespondentem był Karol Marks. Na szpal-

30. Woodrow Wilson, *DIVISION AND REUNION*. New York, 1893. Str. 188.

tach „Tribune” ukazywały się artykuły „utopijnych” socjalistów — Alberta Brisbane’a i amerykańskich wyznawców Fourier’a. Było też rzeczą znaną, że Republikanie tych czasów stale nawiązywali do tradycji jeffersonowskiej. Wśród ówczesnych Demokratów nazwisko Jeffersona nie było wymieniane.

Ale „bez względu na to jak „czerwonymi” wyglądali Republikanie w oczach konserwatywnych Whigów..., nowa kombinacja republikańska była w swej treści ruchem klas średnich, była partią drobnych przedsiębiorców”<sup>31</sup>. Była to partia ludzi, którzy marzyli o wielkich szansach, jakie przed każdym z nich stają w razie pełnego gospodarczego i technologicznego wyzyskania wnętrza kontynentu. Była to przede wszystkim partia małych kapitalistów, którzy chcieli stać się wielkimi kapitalistami. Separatyzm niewolniczych stanów południowych redukował te szanse. Republikanie w znacznie większym stopniu niż partia anty-niewolniczą — byli partią zachowania jedności Unii.

Ta partia szybko w Abrahamie Lincolnie znalazła swego wielkiego przywódcę. Lincoln był człowiekiem „pogranicza” i Środkowego Zachodu. Ten wyjątkowo utalentowany adwokat i mówca swą działalność polityczną rozpoczął w stanie Illinois, gdzie już w wieku lat dwudziestu siedmiu był uważany za wodza miejscowych Whigów. Daleki od wszelkiego radykalizmu, ostrożny w swych sądach, Lincoln cieszył się pełnym zaufaniem miejscowego świata finansowego i przemysłowego. Nikt też nie miał wątpliwości, że był to człowiek wyjątkowej prawości i uczciwości.

Stopniowo Lincoln wchodzi na szerszą arenę amerykańskiego życia politycznego. W połowie stulecia przez dwa lata zasiada w Kongresie. W latach następnych zdobywa sobie rozgłos ogólnonarodowy swą słynną debatą z demokratycznym Senatorem Douglas'em. W roku 1858 jest już uznanym wodzem Republikanów, którzy w roku 1860 wysuwają go jako kandydata na stanowisko Prezydenta Stanów Zjednoczonych<sup>32</sup>.

31. Binkley, op. cit. Str. 214.

32. Najnowszą biografią Lincolną jest J. G. Randall, MR. LINCOLN. New York, 1957. Najkompletniejszą jest A. J. Beveridge, ABRAHAM LINCOLN, 1809-1858. 4 tomy. Boston, 1928.

Lincoln bezspornie był człowiekiem nieprzeciętnych zdolności. Wspaniały mówca, umysł wybitnie logiczny i przenikliwy, świetny organizator, Lincoln był ponadto człowiekiem wyjątkowego czaru osobistego. Doskonały takt, umiał dokoła swej postaci skupić najróżnorodniejsze elementy od skrajnych konserwatystów do skrajnych radykałów. Nie wysuwając na czoło haseł anty-niewolniczych (trzeźwy realista, rozumiał doskonale, że dla Południa niewolnictwo nie jest tylko sprawą własności i że wojna nie przyniesie tu istotnego rozwiązania), Lincoln z jedności Unii uczynił program, który zespolił nową partię. Republikanie stali się partią tej jedności, stali się obrońcami utrzymania całości federacji.

## 7. Era triumfu Republikanów

W historii wieku XIX amerykańska Wojna Domo- wa jest jedną z najbardziej długotrwałych, zaciętych i krwawych. Wojna ta wykazała, że strona uprzemysłowiona, reprezentująca wyższy poziom rozwoju technicznego, musi mieć przewagę nad stroną rolniczą i zacofaną. Wojna kompletnie zniszczyła Południe, w dalszych konsekwencjach czyniąc z niego gospodarczą kolonię przemysłowej Północy. Następtwem wojny był jeszcze potężniejszy wzrost kapitalizmu amerykańskiego. Odtąd cały kontynent stał otworem dla ekspansji tego kapitalizmu. Możliwości, jakie dla spekulantów zawsze idą w parze z wojną, teraz były wręcz nieograniczone. W latach, jakie po wojnie bezpośrednio nastąpiły, powstaje cały szereg największych gigantów amerykańskiego przemysłu, bankowości i kolejnictwa.

Wojna Domo- wa była równocześnie wielką rozgrywką międzypartyjną. W okresie powstawania Partii Republikańskiej południowi pro-niewolniczy Whigowie powrócili do Partii Demokratycznej. Oznaczało to jeszcze większe wzmocnienie elementów pro-niewolniczych wśród Demokratów. Zasadniczo partia ta, choć powoływanie się na Jeffersona przestało być jej zwyczajem, wciąż mocno stała na gruncie jeffersonowskiej koncepcji praw stanowych. W imię tej koncepcji południowi Demokraci przyjęli decyzję oderwania się od Unii.



Ale secesja Południa była czymś wysoce ciężkostrawnym dla Demokratów północnych. Zresztą sympatyzowanie z secesją w latach wojny równało się zdradzie stanu. Demokraci północni tak daleko iść nie chcieli i nie mogli. Poza tym wśród nich nie było podstaw dla tworzenia się sympatii pro-niewolniczych. Dominowały tu elementy niezamożne, przeważnie niedawno przybyłe z Europy. Zorganizowane przez demokratyczne „maszyny”, elementy te były partii wierne, ale nie czuły zainteresowania dla spraw plantatorów na dalekim Południu.

W każdym razie w latach wojny Partia Demokratyczna była w stanie kompletnego rozbicia. Jej południowe skrzydło było partią zbuntowanych stanów. Jej skrzydło północne było w sytuacji wyjątkowo trudnej: potępiwszy rebelię i niewolnictwo, stało się apostołem idei „kompromisu”. W miarę jak wojna przeciągała się i stawała się coraz krwawszą, idea ta zaczęła zdobywać licznych zwolenników. Wraz z tym dawał się zauważyć pewien wzrost wpływów północnych Demokratów. Jednakże aż do roku 1885 (data wybrania na Prezydenta Demokracji Clevelanda) byli oni partią kłeski.

Partia Republikańska w tym okresie staje się synonimem sił postępowych. Lincoln, z temperamentu i przekonań raczej konserwatysta, w latach swej prezydentury przechyla się na stronę kierunków postępowo-liberalnych. Dużą część swego sukcesu w wyborach roku 1860 zawdzięczał on głosom robotników dawniejszego pochodzenia amerykańskiego. O tym Lincoln pamiętał i uznawał za właściwe popierać interesy warstw pracujących. Jego orędzie do Kongresu po pierwszym roku urzędowania zawierało słynny ustęp: „Praca ma pierwszeństwo przed kapitałem i jest od niego niezależna. Kapitał jest tylko owocem pracy i nie mógłby istnieć, gdyby praca przed nim nie istniała. Praca jest też wyższa od kapitału i o wiele bardziej niż on zasługuje na poważanie”. Trzeba pamiętać, że Pierwsza Międzynarodówka wysłała do Lincolna w roku 1862 rezolucję, wyrażającą życzliwość robotników europejskich dla sprawy Unii. Inicjatorem tej rezolucji był korespondent „New York Tribune” — Karol Marks. Amerykańscy robotnicy — z wyjątkiem emigrantów świeżo przybyłych — zgodnie szli z Republikanami.

Po śmierci Lincolna i po zakończeniu Wojny Domo-  
wej Republikanie przez lat dwadzieścia są partią rządzą-  
cą w Stanach Zjednoczonych. W ciągu tego czasu przejdą  
jednak przez szereg zasadniczych przeobrażeń.

Bezpośrednio po wojnie w partii dominują wpływy  
skrzydła radykalnego. Pod jego auspicjami przeprowadza-  
na jest w pokonanych stanach południowych tak zwa-  
na Rekonstrukcja. Dawni niewolnicy otrzymują wolność  
i prawa obywatelskie, elementy odpowiedzialne za secesję  
są całkowicie odsunięte od wpływów politycznych. Wszy-  
stko to odbywa się przy udziale wojskowej okupacji sta-  
nów buntowniczych przez Północ.

Wyzwolenie niewolników odbyło się w sposób fan-  
tastycznie bezplanowy<sup>33</sup>. Czarni otrzymali wolność, ale  
nie otrzymali ekonomicznych środków dla nadania tej wol-  
ności jakiegoś sensu. W całej pełni dało się do nich za-  
stosować słynne powiedzenie, że zdjęto im z nóg kajdany  
razem z butami. W praktyce zostali oni wykorzystani jako  
narzędzie politycznego panowania Republikanów nad Po-  
łudniem. W wielu stanach południowych władza politycz-  
na formalnie znalazła się w rękach czarnych. Dzisiejsi  
badacze tej epoki są na ogół zgodni w tym, że rządy te  
nie były tak złe, jak je przedstawiła tradycja południowa.  
Wśród byłych niewolników znalazło się nieoczekiwanie  
dużo ludzi bardzo uzdolnionych. Zupełny jednak brak  
przygotowania politycznego, brak wykształcenia, brak swo-  
body w rozwiązywaniu podstawowych zagadnień ekono-  
micznych i — przede wszystkim — zupełna zależność od  
przybyłych z Północy ludzi zwycięskiej strony — oto źró-  
dła szeregu błędów i niepowodzeń. Pamięć lat rządów  
czarnych w dobie Rekonstrukcji to jeden z najważniej-  
szych elementów tego stosunku do Murzynów, jaki ce-  
chuje Południe.

Zresztą za błędy Rekonstrukcji Południe przede wszy-  
stkim winiło Północ. I nie bez głębokiego uzasadnienia.  
Z Północy do stanów południowych napłynęły tysiące  
zuchwałych awanturników, spekulantów, małych polity-  
ków, którzy, korzystając z praw zwycięzców, w sposób

---

33. Frank Tannenbaum, SLAVE AND CITIZEN, The Negro  
in the Americas. New York, 1947. Str. 111-112; Myrdal, op. cit.  
Str. 224 i nast. Całość zagadnienia — Burghardt W. E. Du Bois,  
BLACK RECONSTRUCTION. New York, 1935.

legalny czy mniej legalny zbierali łupy. Okupacja wojskowa wybitnie ułatwiała „działalność” tych — jak ich nazywano — „carpetbaggers”. Oczywiście wszyscy oni występowali pod firmą Partii Republikańskiej.

Tragedią Murzynów — a i całych Stanów Zjednoczonych — było to, że zniesienie niewolnictwa i obalenie całego południowego systemu właśnie w takich warunkach się odbyło. Dla Południa cała wielka przemiana była wynikiem klęski wojennej, najazdu, brutalnej okupacji. Nic też dziwnego, że Wojna Domowa, a jeszcze bardziej Rekonstrukcja, stworzyły na Południu złoza nienawiści do Północy. Dużo lat upłynęło od tych czasów, ale złoza te wciąż są dalekie od wyczerpania. Zarazem Południe skonsolidowało się politycznie. W tej części Stanów Zjednoczonych Partia Demokratyczna stała się czymś więcej niż stronnictwem politycznym. Stała się widomym znakiem odrębności Południa, stała się również wyrazem jego nienawiści do Północy i jej Republikanów. I dopiero czasy zupełnie ostatnie zdają się tu przynosić bardziej istotne zmiany.

Tymczasem na Północy Partia Demokratyczna zaczęła stopniowo podnosić głowę. Decydujące znaczenie miał tu wielki kryzys ekonomiczny, jaki w roku 1873 spotkał Stany Zjednoczone. Spekulacje, jakie po Wojnie Domowej były na fantastyczną skalę uprawiane na polu rolnictwa, górnictwa, przemysłu i głównie kolejnictwa, załamały się z głośnym hukiem. Kryzys zaczął się od bankructwa wielkiej firmy Jay Cooke i Spółka, której właściciele należeli do najbliższych przyjaciół Prezydenta Granta. Ofiarami były setki tysięcy małych ludzi, którzy swe drobne kapitały zawierzyli możnym potentatom. Jak zwykle w takich wypadkach, szukano sprawców katastrofy. Związki, jakie Jay Cooke'a łączyły z republikańskim Prezydentem, skierowały niechęć pokrzywdzonych na partię Prezydenta. W wyborach roku 1874 Demokraci po długiej przerwie zdobyli większość Izby Reprezentantów.

Nie po raz pierwszy w historii amerykańskiej kryzys gospodarczy pociągał za sobą reorientację polityczną obywateli. I nie po raz ostatni. Kryzysy gospodarcze poprzedziły zwycięstwa Jeffersona i Jacksona. Później wielka katastrofa gospodarcza miała poprzedzić zwycięstwo Franklina D. Roosevelta. Z reguły niezadowolone ofiary

kryzysu kieruje się przeciw partii rządzącej i szuka pomocy w partii opozycyjnej. Najczęściej też partia opozycyjna umie wyzyskać swą szansę i, uderzając w tony radykalizmu, idzie na spotkanie niezadowolonym obywatelom. Liberalizm amerykański stale wzmacnia się po kryzysach. O tych sprawach wypadnie nam jeszcze pomówić szerzej.

Kryzys roku 1873 był szczególnie interesujący z tego względu, że bardzo wyraźnie zaznaczył jedną z ważnych funkcji, jakie w systemie amerykańskim spełnia partia opozycyjna: *jest ona politycznym ujściem dla niezadowolonych drobnych posiadaczy, boleśnie dotkniętych przez katastrofę gospodarczą.*

Nie trzeba przypuszczać, że Demokraci roku 1873 byli partią szczerego radykalizmu społecznego. Ich przywódca Samuel J. Tilden był multimilionerem i wielkim spekulantem kolejowym. Nie przeszkadzało to jednak Demokratom pomstować na nadużycia republikańskich spekulantów. Demokratycznym spekulantom to nie szkodziło, a partia zdobywała głosy. To samo zresztą dzieje się we wszystkich krajach i systemach politycznych.

Jeżeli chodzi o Północ, to z głosów, padających na Demokratów, coraz więcej pochodziło od świeżych emigrantów. Zaczęły się lata masowego napływu wychodźców do amerykańskiej ziemi obiecanej. Rozkwit gospodarczy, jaki w Stanach Zjednoczonych nastąpił po Wojnie Domowej, był potężnym bodźcem w tych ruchach migracyjnych. Przemysł amerykański szukał mas ludzkich. Masy te były jednym z najważniejszych warunków jego rozwoju. Przemysł, towarzystwa kolejowe i okrętowe, spekulanci gruntowi i banki — wszyscy starali się przyciągać do Ameryki jak najliczniejszą rzeszę europejskiej biedoty. Obok Irlandczyków, Niemców i Skandynawów zaczęli się pokazywać pierwsi Włosi, Polacy i Litwini.

Zasługą Partii Demokratycznej jest to, że pierwsza ona oceniła znaczenie politycznego organizowania tych przybyszów. Demokraci nie byli szowinistami, nie mieli uprzedzeń wobec kościoła katolickiego. Przeciwnie, wśród ich przywódców było wielu dobrych katolików. Te rzeczy pociągały emigrantów. Tym wystraszoną, zahukaną masom imponowało, że wielka partia amerykańska zwraca się do nich, że ich nie odtrąca, że wydaje pisma w ich

językach. Pociągały też te skromne zdobycze, jakie w dużych miastach demokratyczni „bossowie” zapewniali nawet poślednim członkom partii. Krótko można powiedzieć, że siły Demokratów wzmaczały się w miarę jak potężniała fala emigracji z Europy do Ameryki <sup>34</sup>.

W roku 1885 wpływy Demokratów były już tak znaczne, że kandydat ich Grover Cleveland zasiadł w Białym Domu (1885-1889 i druga kadencja — 1893-1897). Były to rządy bardzo konserwatywne. Liczne więzy łączyły Prezydenta z nowojorską Wall Street. Do najbliższych jego przyjaciół należał sam Morgan. Swą drugą kadencję kończył Cleveland w atmosferze nowego kryzysu gospodarczego <sup>35</sup>.

Jak wyglądała sytuacja w Partii Republikańskiej? Jej podstawę masową stanowili byli żołnierze armii federalnej, która odniosła tak świetne zwycięstwo nad Południem. Wódz tej armii — generał Ulysses Grant — był przez dwie kolejne kadencje Prezydentem Stanów Zjednoczonych (1869-1877). Regionalną podstawą Republikańców był przede wszystkim Środkowy Zachód, a w nim „pas kukurydzany”. Trzy ważne stany — Ohio, Indiana i Illinois — były twierdzami sił republikańskich. Farmerzy tego regionu mieli kolosalne wpływy na politykę republikańską. A tym samym i na politykę ogólnopaństwową. Popularna w owych czasach piosenka mówiła: „Król Bawelna umarł i został pogrzebany. Zaczął panować Król Kukurydza”. Stwierdzało to zarazem kierunek zmian, jakie w wyniku wojny nastąpiły w amerykańskiej produkcji rolnej.

Agrarne okręgi Środkowego Zachodu przeżywały wtedy okres wyjątkowego rozkwitu. Anglia stała się doskonałym rynkiem zbytu dla amerykańskiego zboża, mięsa i konserw. Rzeźnie Chicago zdobyły sobie wtedy swą sławę międzynarodową. Stronnictwo polityczne, które umocniło się w tym regionie, mogło ufnie oceniać swe szanse w polityce ogólnonarodowej <sup>36</sup>.

34. Znaczenie tych faktów ocenił już Bryce, op. cit., T. II, str. 33-35.

35. Doskonale ujęcie tej epoki daje William Allen White w swej autobiografii, THE AUTOBIOGRAPHY OF WILLIAM ALLEN WHITE. New York, 1946. Str. 155 i nast., 230-231, 362-363.

36. A. N. Holcombe, THE POLITICAL PARTIES OF TODAY. New York, 1924. Str. 204.

Przemiany, jakie następowały w rolnictwie Środkowego Zachodu, stały się zachętą dla kapitałów z miast wschodnich. Ekspansja tych kapitałów w tym właśnie kierunku wzmogła się jeszcze bardziej. Chicago, które na początku stulecia było nędzną wioską, koło roku 1890 liczyło milion mieszkańców. Jak grzyby po deszczu rodziły się tu fortuny w rodzaju Cyrusa McCormicka, Armoura czy Marshalla Fielda. Wszystkie one wyrosły na glebie tej wielkiej rewolucji, jaką po wojnie przeżyło rolnictwo Środkowego Zachodu.

Ludzie, którzy te fortuny zdobyli, tworzyli drugą podstawę Partii Republikańskiej. Było to nawet coś więcej niż podstawa. Szczególnie za prezydentury Granta związek między Republikanami a światem amerykańskiego „big businessu” staje się wybitnie bliski, zażyły i wszechstronny. Ten „big business” był głównym profitantem Wojny Domowej. Był w niej zaangażowany i jej zawdzięczał swój rozkwit. Zrozumiałą jest też rzeczą, że w Partii Republikańskiej znalazł wyjątkowo odpowiednie ujście dla swych zainteresowań politycznych. I jakkolwiek w partii tej stale istniało skrzydło radykalne o wyraźnym nastawieniu anty-kapitalistycznym, to przecież Świetna Stara Partia jako całość stała się rzeczniczką nowojorskiego Wall Street, fabryk stalowych Pittsburgha, kopalń Pensylwanii i rzeźni Chicago.

#### 8. *Trzecie partie powstają i znikają*

Ku schyłkowi wieku XIX amerykańska scena polityczna była zajęta przez dwóch protagonistów: Demokratów i Republikanów. Fizjognomie tych stronnictw w owym okresie mogą być scharakteryzowane w sposób następujący:

1. Partia Demokratyczna była koalicją czy kombinacją dwóch sił — rozgorzonego, konserwatywnego Południa, w partii znajdującego polityczne ujście dla swej goryczy, oraz wielkowiejskich „bossów” i ich „maszyn”, w masach emigrantów mających swą podstawę;

2. Partia Republikańska była również koalicją czy kombinacją dwóch sił — farmerów (z wyjątkiem oczywiście Południa) oraz wielkich kapitałów przemysłowych, bankowych i kolejowych.

Były to więc z jednej strony kombinacje różnych regionów, z drugiej — różnych interesów gospodarczych i sił społecznych. Na różnicowanie się obu partii miały ponadto znaczny wpływ tradycje i momenty emocjonalne. Pamięć Wojny Domowej była wciąż bardzo żywa, zwłaszcza na Południu. O wiele trudniejsze do uchwycenia były różnice w konkretnych programach politycznych. Dawny spór, wywodzący się z kontrowersji Hamilton-Jefferson, na temat praw stanów istniał ciągle, ale po Wojnie Domowej zeszedł na plan dalszy. W rzeczywistości Demokraci w stopniu nie mniejszym niż ich przeciwnicy stwierdzali swe przywiązanie do Unii. Zbliżały się zresztą czasy, kiedy właśnie Republikanie mieli pod tym względem okazać się bliższymi Jeffersonowi niż Hamiltonowi.

Obie partie szukały głosów robotniczych. I dlatego też obie w swych programach umieszczały zapewnienia swej życzliwości dla potrzeb świata pracy. Republikanie, czerpiąc z zapasu swych radykalnych tradycji, czynili to skuteczniej niż Demokraci. Z wyjątkiem mas świeżych emigrantów, amerykańscy robotnicy — szczególnie zorganizowani i wykwalifikowani robotnicy przemysłowych ośrodków Środkowego Zachodu i Nowej Anglii — chętniej popierali Republikanów niż Demokratów.

Poważniejsze różnice zaznaczały się w stosunku do zagadnienia ceł ochronnych. Rozwijający się przemysł amerykański szukał zabezpieczenia przed napływem wyrobów europejskich. Takim zabezpieczeniem mogły być wysokie cła na towary importowane z Europy. To był program kół przemysłowych, mających decydujący głos w Świetnej Starej Partii. Cła ochronne stały się oficjalnym wyznaniem wiary Republikanów. Ale nie — Demokratów. Południowi producenci bawełny nie chcieli barier taryfowych. Ich najważniejsze rynki zbytu były poza Ameryką. Przede wszystkim — w Anglii. Południe było jak najżywiej zainteresowane w swobodnym obrocie towarów między Ameryką i Europą. Słabo uprzemysłowione, nie lękało się konkurencji produktów fabryk europejskich.

Różnicom tym jednak nie należało przypisywać zbyt wielkiego znaczenia. Wśród republikańskich farmerów nie brakło sympatyków tanich europejskich produktów przemysłowych. Wśród robotniczych Demokratów nie brakło obaw, że konkurencja europejska jest groźna dla amery-

kańskiego rynku pracy. Jak to zawsze bywa w Ameryce, kombinacje regionów i interesów, zwane partiami, musiały być bardzo ostrożne w formułowaniu konkretnych programów. Co było dobre dla jednej części koalicji, było niestrawne dla drugiej. Spora część Republikanów była stale za wolnym handlem, spora część Demokratów — za cłami ochronnymi.

Najpoważniejszym zadaniem kierowników każdej z dwóch partii było czuwanie nad tym, aby kombinacja się nie rozpadała. Było to zadanie bardzo trudne. Wymagało ono kunsztu w układaniu programów, które by przemówiły do wszystkich, i wymagało ogromnych uzdolnień taktycznych, które by zastąpiły nieuniknioną pustkę takich programów. Kierownik partii musiał być oportunistą i musiał być mechanikiem. Ale oportunizm nie zawsze wystarczał, a i mechanika nieraz zawodziła.

Każda z partii miała swoją prawicę i swoją lewicę. W Ameryce używa się na to określeń „reakcjonści” i „liberałowie”. W końcu wieku XIX skrzydło liberalne było wśród Republikanów silniejsze niż wśród Demokratów. W obu partiach stale toczyła się walka wewnętrzna o to, które ze skrzydeł ma być górą. Najtrudniej jednak było pogodzić interesy elementów przemysłowych z interesami elementów agrarnych. Tu — zwłaszcza gdy przychodziły kryzysy gospodarcze — różnice były zbyt wielkie, aby dały się mechanicznie wyrównać.

We wspomniałem rozkwicie amerykańskiej produkcji rolnej, jaki nastąpił po Wojnie Domowej, kryły się jednak niebezpieczeństwa. Nadmierna i bezplanowa ekspansja musiała doprowadzić do kryzysu. Bezpośrednio po Wojnie Domowej cena za buszel pszenicy wynosiła jeden dolar i 50 centów. W roku 1868 spadła ona do 67 centów. Później przechodziła przez różne wahania, by w roku 1887 osiągnąć 68 centów, a w roku 1891 tylko 49 centów<sup>37</sup>. Niemniej katastrofalnie wyglądały ceny innych artykułów żywnościowych.

Dla farmerów południowych i zachodnich oznaczało to ruinę. W latach pomyślności farmerzy ci zaciągali pożyczki w bankach miast wschodnich. O kredyty było wtedy łatwo: bankierzy chętnie inwestowali pieniądze w pro-

37. Binkley, op. cit. Str. 315.



dukcji rolnej, hodowlanej czy nabiałowej. Ale bankierzy byli nieubłagani, gdy ceny spadały. Farmer musiał płacić.

W masach farmerskich zaczęły się rodzić burzliwe nastroje. Były to nastroje wyraźnie anty-kapitalistyczne. Wrogiem było Wall Street, wrogiem był kapitał finansowy. Farmer był świadom, że rząd Partii Republikańskiej w formie jawnej czy ukrytej subwencjonował koleje, że barierami celnymi i poparciem dla napływu taniej emigracyjnej siły roboczej pomagał przemysłowi, że swą polityką monetarną gwarantował zyski dla banków i że wszystko to odbywało się kosztem rolnictwa. Dziwnie na tym tle wyglądała oficjalnie głoszona zasada nieinterwencji państwowej w sprawach gospodarczych! Farmerzy zaczęli wołać, że czas najwyższy, aby rząd federalny i im przyszedł z pomocą.

Wśród takich to okoliczności powstała Partia Ludowa (*People's Party*), powszechnie znana pod nazwą Populistów<sup>38</sup>. W roku 1892 odbyła ona swój zjazd organizacyjny i przyjęła swój program. Był to program radykalny. Domagał się on między innymi postępowego podatku dochodowego oraz inflacji pieniądza. Wysunął również hasło kontroli państwowej nad kolejami, telegrafem i telefonami.

Populizm szczególnie silnie rozwinął się na Południu. Tu był on wyraźnie ruchem najuboższych farmerów, buntujących się zarówno przeciw bankom jak i przeciw rządowi reakcyjnych Demokratów. Partia Demokratyczna, zagrożona przez rewoltę od dołu, nie szczędziła wysiłków, by zdławić Populizm. Nadużycia wyborcze, pozbawianie prawa głosu najwybitniejszych Populistów, przekupstwa i terror — oto co należało do metod, stosowanych przez rządzących Demokratów. Ustanawianie „podatku od urny” (*poll tax*) było dalszą metodą odbierania praw wyborczych najuboższemu obywatelom, sympatyzującym z Populistami. Słynny ten podatek był więc wymierzony nie tylko przeciw Murzynom, ale — i to przede wszystkim — przeciw ubogim białym<sup>39</sup>.

Populizm nie był zjawiskiem długotrwałym. W roku 1896 połączył się on z Partią Demokratyczną. Było to

38. Najpełniejsze ujęcie dziejów tej partii daje J. D. Hicks, *THE POPULIST REVOLT*. Minneapolis, 1931.

39. Hicks, op. cit. Str. 253-254.

wydarzeniem o poważnych następstwach. Populiści dali Demokratom potężny zastrzyk radykalizmu. Dzięki temu zastrzykowi William Jennings Bryan mógł przez dwa dziesięciolecia być czołową postacią Partii Demokratycznej.

Była to postać bardzo ciekawa i bardzo amerykańska. Znakomity mówca, wspaniały agitator i propagandysta, Bryan wiedział, jak przemówić do wyobraźni mas<sup>40</sup>. Jego radykalizm nie był zbyt głęboki, ani jego program zbyt daleko sięgający<sup>41</sup>. Dominowały w nim w każdym razie mocne akcenty anty-kapitalistyczne. Bryan głosił krucjatę przeciw rządowi pieniądza. Rządy te chciał złamać przez nieograniczone bicie monety srebrnej (Stany Zjednoczone są jednym z największych na świecie producentów srebra), co miałoby doprowadzić do zdetronizowania złota i powalenia tych, którzy złotem dysponowali, to jest wielkich banków z Wall Street. Ta dziwaczna teoria umiała jednak trafić do mas farmerskich. Partia Demokratyczna po raz pierwszy w swej długiej historii zdobyła sobie poważne wpływy wśród rolników Środkowego Zachodu.

Populizm był „trzecią” partią, powstałą niejako na marginesie Partii Demokratycznej. W dwadzieścia lat później inna „trzecia” partia zrodziła się z rozłamu w Partii Republikańskiej. Była nią Partia Postępowa Teodora Roosevelta.

I w Partii Republikańskiej koalicja interesów agrarnych i przemysłowych nie była łatwa do utrzymania. Było to nawet trudniejsze niż w Partii Demokratycznej. Albowiem przemysłowe skrzydło Republikanów było reprezentowane przez Wall Street, przez największych gigantów kapitalizmu amerykańskiego. Republikańscy farmerzy coraz dotkliwiej na własnej skórze odczuwali politykę sfer kierowniczych własnej partii.

Związek świata wielkich interesów i Partii Republikańskiej osiągnął swój punkt szczytowy w ostatnich latach wieku XIX, gdy Prezydentem został William McKinley (1897-1901). O tym to Prezydencie mówiono, że za jego rządów drut telefoniczny bezpośrednio łączył Białą

---

40. Barwna charakterystyka Bryana w autobiografii White'a, str. 327-329.

41. C. E. Merriam, FOUR AMERICAN PARTY LEADERS. New York, 1926. Str. 63 i nast.

Dom z Wall Street. Inspiratorem McKinley'a i człowiekiem mu najbliższym był Senator Marcus A. Hanna, multimilioner, wróg związków zawodowych i wielka osobistość na Wall Street <sup>42</sup>.

Rządy McKinley'a miały dla Republikanów dwa bezpośrednie skutki: po pierwsze — oddaliły od GOP związki zawodowe, które teraz zaczęły zbliżać się do Demokratów; po drugie — wywołały silną opozycję wśród farmerów Środkowego Zachodu, gdzie i tak Populizm poczynił duże wyłomy w szeregach republikańskich. W partii było wrzenie, jej skrzydło liberalne krytykowało Prezydenta i jego przyjaciół.

Jednakże w roku 1900 McKinley został ponownie wybrany. Ale po sześciu miesiącach rządów zginął, zamordowany przez anarchistę. Zgodnie z Konstytucją godność Prezydenta przeszła na Wice-Prezydenta. Był nim czterdziestodwuletni były Gubernator stanu New York Teodor Roosevelt.

Jedna to z najbarwniejszych postaci w historii amerykańskiej, która przecież nie może się skarżyć na brak osobistości barwnych i nietuzinkowych. Było coś zawadiackiego a nawet awanturniczego w tym człowieku, który był pułkownikiem i dowódcą pułku jazdy na Kubie, i myślimym w Afryce, i mówcą, i politykiem, i pisarzem. Był to przede wszystkim człowiek niezwykłego uroku osobistego, co zdaje się być cechą rodzinną Rooseveltów. Często kapryśny, zmienny w swych poglądach i sympatiach. Teodor Roosevelt umiał zdobywać sobie przyjaciół oddanych mu na śmierć i życie <sup>43</sup>.

W roku 1900 kandydował razem z McKinley'em. Popularny, mający opinię postępowego kandydat na Wice-Prezydenta jest w Ameryce wielką pomocą dla kandydata na Prezydenta. Zdobywa dla niego głosy, które by w innych warunkach nie padły na konserwatystę. O tym dobrze wiedzieli kierownicy Republikanów. A poza tym któż z nich mógł przewidzieć, że McKinley tak szybko zejdzie ze sceny tego świata?

---

42. Thomas Beer, HANNA. New York, 1929. O stosunku H. do robotników — Binkley, op. cit. Str. 331 i nast.

43. Bogaty materiał anegdotyczny o R. znaleźć można w autobiografiach dwóch wielkich dziennikarzy — White'a i Lincolna Stefensa. Również — Hacker, op. cit. T. II, str. 893-895.

Obie kadencje rządów Teodora Roosevelta stały pod znakiem nawrotu do tradycji postępowych. Walcząc z trus-tami, Prezydent dążył do ograniczenia monopolów wielkokapitalistycznych i tym zdobywał sobie uznanie liberałów. Niemniej życzliwie odnieśli się oni do jego programu zabezpieczenia szybko topniejących amerykańskich bogactw naturalnych. Zdawało się, że Partia Republikańska powraca do liberalnych tradycji początków swych dziejów.

Autorytet Roosevelta był tak wielki, że poparcie, jakie od niego otrzymał Senator William Howard Taft (1909-1913), wystarczyło, by ten ostatni znalazł się w Białym Domu. Popierając Tafta, Roosevelt liczył, że znajdzie w nim kontynuatora własnej polityki. Była to jednak pomyłka. Nowy Prezydent był bliższy filozofii McKinley'a niż Roosevelta. Za rządów Tafta do głosu wróciło konserwatywne skrzydło Partii Republikańskiej.

Roosevelt czuł się tym osobiście dotknięty. Jeszcze mocniej rozgoryczone były postępowe grupy republikańskie. Burzyli się farmerzy Środkowego Zachodu, zawsze najżywiej reagujący element amerykańskiej polityki wewnętrznej. Sytuacja zaogniła się tak dalece, że rozłam stał się nieunikniony <sup>44</sup>.

W roku 1912 rozłam w Partii Republikańskiej był faktem. Nowa „trzecia” partia, która przyjęła nazwę Postępowej, wysunęła Teodora Roosevelta jako kandydata na Prezydenta.

Historia nowej partii była krótka. Wybory roku 1912 nie dały zwycięstwa Rooseveltowi. Prawda że kandydat postępowców zabrał Taftowi (ubiegał się on o drugą kadencję jako kandydat Republikanów) ogromną ilość głosów, ale korzyść z tego mieli Demokraci. Z wyborów zwycięzcą wyszedł Woodrow Wilson. Partia Postępowa nie przetrzymała kłęski. Zresztą od samego początku były w niej walki i tarcia wewnętrzne. Po kłęsce roku 1912 wzmo-gły się one jeszcze bardziej. Coraz więcej Postępowców wracało do Republikanów, jednostki przechodziły do De-

---

44. Wszechstronne i sumienne opracowanie tych wypadków — George E. Mowry, THEODORE ROOSEVELT AND THE PROGRESSIVE MOVEMENT. Madison, 1946. Poza tym kopalniami faktów są autobiografie White'a i Steffensa.

mokratów. W roku 1916 Partia Postępowa była już w stanie kompletnego upadku i wkrótce zupełnie zniknęła.

## 9. Socjalistyczne intermezzo

Nieco miejsca musimy poświęcić amerykańskiemu ruchowi socjalistycznemu. Żadnej z licznych amerykańskich partii socjalistycznych nie można sprowadzać do kategorii „trzeciej” partii. Żadna z nich ani nie była następstwem rozłamu w którejś z „większych” partii, ani — nawet w okresie Debsa — nie była próbą stworzenia jakiegoś ich odpowiednika. Nigdy też ruch socjalistyczny nie osiągał mocy, która by mogła zaważyć na całokształcie życia politycznego Stanów Zjednoczonych.

A jednak byłoby błędem lekceważyć sobie znaczenie amerykańskiego socjalizmu. Prawda że wpływy jego wśród robotników nigdy nie były wielkie. Najsilniej przemawiał on do świeżych emigrantów, do robotników przybyłych z Europy, którzy w swych dawnych ojczyznach byli związani z socjalizmem. Ci robotnicy — Niemcy, Włosi, Żydzi, Polacy, Czesi — szukali w Ameryce tych samych hasel i tych samych więzi organizacyjnych, jakie im znane były w Europie. Nic też dziwnego, że z czasem, gdy ustał masowy ruch migracyjny z Europy do Ameryki, i socjalizm amerykański utracił resztki swej podstawy masowej. Ale nie w tym leży znaczenie socjalizmu amerykańskiego. Najważniejszy był wpływ, jaki on wywarł na amerykańską elitę intelektualną, na pisarzy i myślicieli. Dzięki nim socjalizm w Stanach Zjednoczonych stał się nie tylko bardzo ważną formą protestu społecznego, ale i wywarł wpływ zapładniający na amerykański liberalizm i to obu zabarwień — demokratycznego i republikańskiego. Wpływ idei socjalistycznych na „New Deal” zdaje się nie ulegać wątpliwości <sup>45</sup>.

Próby stworzenia samodzielnej robotniczej partii zaczynają się w Stanach Zjednoczonych bardzo wcześnie, już w pierwszej połowie wieku XIX. Taką próbą była Partia Locofoco, o której poprzednio wspominaliśmy. Od

45. Dobre ujęcie roli socjalizmu amerykańskiego daje Madison, op. cit. Str. 445 i nast. Tam też życiorysy głównych przywódców.

tego też czasu datują się liczne próby „utopijnych” socjalistów zorganizowania w różnych okolicach Stanów Zjednoczonych społeczności socjalistycznych. Koło roku 1850 pojawił się w Ameryce marksistowski socjalizm, przyniesiony tu przez emigrantów niemieckich, którzy opuścili Rzeszę po przegranej roku 1848. Wśród tych emigrantów byli ludzie, którzy osobiście znali Marksa.

Różne te grupy weszły następnie do szerszej organizacji, noszącej nazwę Narodowej Unii Pracy (*National Labor Union*). W roku 1869 Unia przystąpiła do Pierwszej Międzynarodówki. Liczyła ona wtedy 640.000 członków — ilość kolosalną jak na owe czasy. Jednakże po śmierci swego utalentowanego przywódcy Williama S. Sylvis'a Narodowa Unia Pracy uległa rozkładowi i wkrótce zniknęła z widowni.

W roku 1877 powstaje Socjalistyczna Partia Pracy (*Socialist Labor Party*) — ściśle marksistowska w swym programie i działaniu. Ale wpływy jej ograniczyły się prawie wyłącznie do robotników niemieckich, którzy jeszcze w Europie należeli do Niemieckiej Socjalnej Demokracji. Zmieniło się to, gdy w roku 1889 na czele Socjalistycznej Partii Pracy stanął wybitny działacz — Daniel De Leon. Dzięki niemu do partii zaczęli napływać robotnicy innych narodowości, zwłaszcza nowojorscy Żydzi, masowo zatrudnieni w przemyśle konfekcyjnym i włókienniczym. W wyborach partia wykazywała wcale znaczne przyrosty głosów.

Wkrótce jednak zaczęły się niepowodzenia. De Leon — natura bardzo agresywna i bezwzględna — zrażał sobie ludzi, którzy od partii odsuwali się. Następstwem był szereg rozłamów (grupa niemiecka *Volkszeitung*, grupa żydowska *Forward*), które doprowadziły partię do sytuacji katastrofalnej. W roku 1908 szczątki jej dostały się w ręce syndykalistów. Socjalistyczna Partia Pracy istnieje dotąd formalnie, ale znaczenie jej w życiu amerykańskim równa się zeru.

Jeden z największych ciosów, jaki spotkał partię De Leona, przypadł na rok 1902, gdy duża grupa jej członków przeszła do utworzonej na dwa lata przedtem Amerykańskiej Partii Socjalistycznej. Wodzem nowej partii był Eugene Victor Debs.

Stopniowy rozkład Socjalistycznej Partii Pracy sprawił, że poza obrębem tej partii znalazły się liczne grupy socjalistyczne, idące luzem, które jednak skupiały wcale pokaźną liczbę robotników i radykalnych intelektualistów. W ostatnich latach wieku XIX wśród działaczy tych grup wysunął się Debs. Była to postać wyjątkowo interesująca i pełna uroku. Syn ubogiego emigranta alzackiego, Debs urodził się w sercu Środkowego Zachodu — w mieście Terre Haute, stanu Indiana (ur. 1855, zm. 1926). Był robotnikiem, działaczem związków zawodowych (wśród kolejarzy), organizatorem strajków. Jednocześnie był pięknym przykładem samouka, który usilną pracą nad sobą zdobył imponujący zasób wiedzy. Jako organizator wielkich strajków kolejarzy, Debs nie uniknął prześladowań i więzień. Zdobył sobie za to niezwykłą wręcz popularność w amerykańskich masach robotniczych. Upton Sinclair tak o tym mówi: „Wiece Debsa były czymś wyjątkowym. Wynajmowało się największe sale, wprowadzało się opłatę wejściową. A przecież — deszcz czy pogoda — sale zawsze były przepełnione”.

Debs długi czas popierał Demokratów. Jednakże w roku 1898 z nimi zerwał, zakładając Partię Socjalno-Demokratyczną (*Social Democratic Party*). O partii tej tak mówił: „Partia Socjalno-Demokratyczna nie jest partią reform, jest partią rewolucyjną. Jej celem jest nie zmodyfikowanie systemu wolnej konkurencji, ale całkowite jego zniesienie”.

W roku 1900 różne inne grupy socjalistyczne odbyły zjazd w Rochester (stan New York) i postanowiły połączyć się z partią Debsa. Doprowadziło to do powstania Amerykańskiej Partii Socjalistycznej. Podobnie jak napływ do Ameryki po roku 1848 emigrantów niemieckich stał się fundamentem dla pierwszych partii socjalistycznych, tak napływ do Ameryki po roku 1905 wielu socjalistów rosyjskich i żydowskich stał się potężnym wkładem w rozwój Amerykańskiej Partii Socjalistycznej. Dwie przegrane rewolucje europejskie — niemiecka roku 1848 i rosyjska roku 1905 — były ważnymi etapami w dziejach socjalizmu amerykańskiego.

Rozpoczęły się teraz lata intensywnej działalności Debsa. Przez wiele lat był on przez swą partię wystawiany jako kandydat na Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W każdym też wyborach socjaliści zdobywali nowe głosy. W roku 1916 ilość głosów oddanych na Debsa nie była daleka od miliona. Socjaliści zdobyli też szereg stanowisk we władzach municypalnych, stanowych i nawet jedno miejsce w Kongresie.

Upadek zaczął się w czasie pierwszej wojny światowej. Większość partii zajęła stanowisko anty-wojenne. Ale poważna mniejszość była usposobiona pro-wojennie. Doszło do rozłamu, który partię bardzo osłabił. Jednocześnie w Stanach Zjednoczonych rozpoczęły się prześladowania pacyfistów, radykalnych socjalistów i w ogóle wszystkich tych, którzy mogli być podejrzani o „nieprawomyślność”. Wśród ofiar znalazł się i Debs. Został on skazany na dziesięć lat więzienia.

Dalszy rozłam przyszedł na tle stosunku do rewolucji rosyjskiej. Lewica partyjna domagała się współpracy z Trzecią Międzynarodówką. Następstwem tych walk było powstanie Komunistycznej Partii Pracy, na której czele stanął John Reed.

Partia Socjalistyczna była w stanie rozkładu. Prawda, że w wyborach roku 1920 jej kandydat, przebywający w więzieniu Debs, otrzymał 915,000 głosów, ale były to głosy protestu, oddane za prześladowanym Debsem, nie zaś za jego partią. W latach następnych, gdy na czele partii stanął wybitny intelektualista Norman Thomas, wpływy jej spadły zupełnie. Dochodziło do dalszych rozłamów i dziś Amerykańska Partia Socjalistyczna jest słabą grupą, głównie skupiającą inteligentów.

To ostatnie zresztą da się powiedzieć i o Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Ani amerykańscy socjaliści ani amerykańscy komuniści nie potrafili sięgnąć do szerokich mas robotników Stanów Zjednoczonych. W przeszłości wpływy socjalistyczne opierały się głównie na świeżych emigrantach. Nowe ustawodawstwo emigracyjne, zamykając epokę masowego wychodźstwa z Europy, faktycznie przesądziło losy amerykańskiego socjalizmu i komunizmu. Stara generacja robotnicza wymiera, a młoda już całkowicie weszła na drogi, po których idzie amerykański ruch robotniczy. Są to drogi akcji zawodowej, nie zaś — samodzielnej, klasowo-politycznej.

Amerykański socjalizm i komunizm bez porównania też silniej oddziaływują na inteligentów niż na robotni-



ków. Są one przede wszystkim ideologiami, w których, jak i w wielu innych, wypowiedziada się wielki nurt narodowego życia amerykańskiego — nurt protestu. Na tym właśnie polega pozytywna i twórcza rola amerykańskiego radykalizmu społecznego. Jest to też rola zapładniająca, albowiem ideały socjalistyczne nieraz już znalazły dla siebie odbicie w różnych reformach, przeprowadzanych przez inne siły polityczne. Wiele z socjalistycznego krytycyzmu i z socjalistycznych haseł znalazło dla siebie wyraz praktyczny w ustawodawstwie „New Deal’u”.

#### 10. Kilka uwag o czasach ostatnich

Zbliżamy się ku końcowi naszego omówienia dziejów amerykańskich partii politycznych. Do wielu ich momentów wypadnie nam jeszcze powrócić w innych rozdziałach tej książki. Tam też zajmiemy się szczegółową analizą amerykańskich stronnictw politycznych naszych czasów. Na tym miejscu w formie tylko konspektowej przytoczymy pewne najważniejsze fakty.

Rozłam roku 1912 w Partii Republikańskiej umożliwił zwycięstwo Demokratom. Prezydentem został Woodrow Wilson. Było to jednak zwycięstwo koniunkturalne. Kraj w swej większości nie był pozyskany dla Partii Demokratycznej. I choć w roku 1916 Wilson był wybrany ponownie, to jednak miał przeciw sobie republikańską większość Kongresu. Po wojnie, gdy Amerykę ogarnęła fala reakcji, Republikanie łatwo odzyskali Biały Dom.

Byli to skrajnie reakcyjni Republikanie. Prezydenci Harding (1921-1923), Coolidge (1923-1929) i Hoover (1929-1933) oznaczali raczej nawrót do McKinley’a i Tafta niż do Teodora Roosevelta. Prowadziło to do buntów wewnątrz partii. W roku 1924 radykalni farmerzy Środkowego Zachodu wystawili jako swego kandydata na Prezydenta bojowego liberała Roberta La Follette’a. Zebrał on wtedy prawie pięć milionów głosów (największa ilość głosów, jaką „trzecia” partia kiedykolwiek zdobyła), ale nie potrafił zaszkodzić Coolidge’owi.

Katastrofa gospodarcza roku 1929 była równocześnie polityczną katastrofą Republikanów. Wyborcy zwrócili się w stronę partii opozycyjnej i, jak to z reguły bywa

w Ameryce, niezadowolenie swe wyrazili w postaci zwrotu do liberalizmu i radykalizmu. Wybory roku 1932 dały kolosalne zwycięstwo Franklinowi D. Rooseveltowi. Rozpoczęła się era „New Deal'u”. W Partii Demokratycznej do głosu doszły żywioły liberalne. Osiągnięty też został mocny sojusz między tą partią a masami zorganizowanych robotników. Wielu też liberalnych Republikanów zaciągnęło się pod sztandary Roosevelta. Byli wśród nich tacy ludzie, jak Henry Wallace, George Norris, Harry Ickes, Fiorello H. LaGuardia i inni.

Śmierć Roosevelta, prezydentura Trumana i czasy Eisenhowera dokonały zasadniczych przemian na amerykańskiej scenie politycznej. O przemianach tych jednak szerzej pomówimy później.

## R o z d z i a ł II

### AMERYKAŃSKIE FILOZOFIE POLITYCZNE

#### 1. Wprowadzające wyjaśnienie

Gdyby książka ta była pisana dla czytelników amerykańskich, rozdział ten zapewne by się w niej nie ukazał. Albowiem Amerykanin uważa za rzecz oczywistą, że ideologie i stronnictwa polityczne to dwie sprawy zupełnie różne i mogące istnieć niezależnie od siebie. Działalność grupy ludzi, tworzących partię polityczną, wcale nie musi być podporządkowana jakiejś koncepcji ogólnej, filozofii czy ideologii, nie musi z tej koncepcji wypływać, ani dążyć do celów, zawartych w takiej koncepcji lub we wnioskach, które z niej wynikają. Pomijając nieliczne, działające niejako na marginesie życia politycznego Stanów Zjednoczonych, stronnictwa socjalistyczne i komunistyczne, żadna z wielkich partii amerykańskich (w rzeczywistości to samo odnosi się i do partii „trzecich”) nie reprezentuje jakiejś określonej filozofii i pod tym względem — jak pod wieloma innymi względami — nie przypomina nam europejskich ruchów politycznych.

Oczywiście każde amerykańskie stronnictwo polityczne ma jakiś program, jakiś zespół celów, które chce urzeczywistnić. Programy te są zazwyczaj opracowywane co cztery lata, gdy odbywają się wybory Prezydenta. Ale — jak o tym szczegółowo będziemy mówili dalej — programów tych w żadnym wypadku nie można porównywać z tymi wyznaczeniami wiary, jakie są właściwe stronnictwom innych narodów. Nie ma też w programach amerykańskich

cienia tych racjonalnych analiz wypadków i tendencji rozwojowych, jakie stanowią treść programów wielu stronnictw europejskich, zwłaszcza — marksistowskich. Poza kilkoma banalnymi ogólnikami programy amerykańskie są całkowicie wyprane z tego wszystkiego, co w Starym Świecie zalicza się do domeny filozofii politycznych.

Byłoby jednak wielkim błędem twierdzić, że momenty ideologiczne nie odgrywają żadnej roli w praktycznej działalności stronnictw amerykańskich. Przeciwnie, odgrywają one rolę bardzo poważną, w pewnych wypadkach — wręcz ogromną. Amerykańskie partie polityczne nieraz już bywały a i wciąż bywają sceną zaciętych walk ideologicznych. Żadna z wielkich partii amerykańskich nie jest czymś w swych poglądach jednolitym. *Nie jest, nie chce i nie może nim być.* W każdej z nich działają sprzeczne prądy, antagonistyczne grupy, reprezentujące różne stanowiska i filozofie. Liberalowie i reakcjoniści, izolacjoniści i uniwersaliści czy interwencjoniści — pod tymi nazwami kryje się cała mnogość koncepcji i filozofii, cała gama stanowisk i wierzeń. W Stanach Zjednoczonych walki ideologiczne toczą się nie na płaszczyźnie stosunków międzypartyjnych, ale na płaszczyźnie stosunków wewnątrzpartyjnych. W tym znów ogromnie ważna różnica między stronnictwem amerykańskim a jego odpowiednikami w Starym Świecie. Jak się przekonamy, różnica ta wypływa z różnicy w funkcjach, wykonywanych przez partie na obu brzegach oceanu.

Inaczej niż w Europie czy w Azji, w Ameryce stronnictwo polityczne nie jest środowiskiem ideotwórczym. Jest jednak terenem, na którym idee, powstałe w innym środowiskach, ścierają się ze sobą. Ścierają się zaś ze sobą po to, by znaleźć dla siebie jakieś praktyczne zastosowanie w realnym działaniu zbiorowym.

Miejscem, gdzie idee się rodzą, są różnorodne organizacje niepartyjne — stowarzyszenia, kluby, komitety, zespoły dyskusyjne; są książki, kościoły i uniwersytety, jest prasa. Jest to olbrzymi system ośrodków swobodnego formowania się poglądów i ideałów. Idee, tak zrodzone, docierają do partii, aby za ich pośrednictwem znaleźć drogę do praktycznego wejścia w życie.

Sprawy te wypadnie nam omówić dokładniej. Albowiem w książce, pisanej nie dla Amerykanów, nie można

pominać rozdziału, który by w formie choćby najbardziej zwięzłej zreferował zasadnicze amerykańskie filozofie polityczne, ograniczając się oczywiście do tych, jakie dominują w kontrowersjach wewnątrz obu wielkich partii.

Z gruba rzecz biorąc, kontrowersje te sprowadzą się do dwóch głównych tematów :

1. *liberalizm contra konserwatyzm* oraz
2. *izolacjonizm contra wszystko to, co nie jest izolacjonizmem*.

Poza tymi ogólnikowymi nazwami kryje się szeroka różnorodność pojęć, tradycji i filozofii. Przejdźmy do ich rozważania <sup>1</sup>.

## 2. *Amerykańskie wyznanie wiary*

Jest rzeczą wysoce wątpliwą, żeby znalazł się Amerykanin, który by na pytanie „czy jest Pan liberałem?” dał odpowiedź przeczącą. Albowiem odpowiedź taka byłaby odrzuceniem tego systemu podstawowych wierzeń, który w oczach obywateli Stanów Zjednoczonych jest ich największą świętością. *Amerykańskie wyznanie wiary*, zawarte głównie w Deklaracji Niepodległości i w Poprawkach do Konstytucji, to szereg przekonań, które w swej treści i klimacie moralnym są tym, co w Ameryce jest określane jako liberalizm.

„Jako samo przez się oczywiste — powiada Deklaracja Niepodległości — przyjmujemy te oto prawdy, że wszyscy ludzie są stworzeni równymi, że przez swego Stwórcę są obdarzeni pewnymi nieodbieralnymi prawami, że wśród tych ostatnich znajduje się prawo do życia, do wolności i do osiągnięcia szczęścia” <sup>2</sup>.

1. Literatura, poświęcona dziejom amerykańskiej myśli politycznej, jest kolosalna. Za szczególnie pomocne można przyjąć następujące dzieła: V. L. Parrington, *MAIN CURRENTS OF AMERICAN THOUGHT*. New York, 1927-1930; Edward L. Lewis, *HISTORY OF AMERICAN POLITICAL THOUGHT*; Charles E. Merriam, *AMERICAN POLITICAL IDEAS* oraz R. G. Gettell, *HISTORY OF AMERICAN POLITICAL THOUGHT*. New York, 1928.

2. „We hold these truths to be self-evident, that all men are created equal, that they are endowed by their Creator with certain unalienable Rights, that among these are Life, Liberty and the pursuit of Happiness”.

Ludzie rodzą się równymi, są przez Stwórcę obdarzeni prawem do wolności i do szczęścia — te maksymy towarzyszą Amerykaninowi przez całą drogę jego życia, od kolebki do grobu. Uczy się ich w szkole, słyszy je w kościele, na posiedzeniu łoży masońskiej, na zebraniu politycznym, czyta je w gazetach i książkach. Cały system wychowania sprawia, że obywatel Stanów Zjednoczonych przyjmuje te maksymy jako prawdy, w które wątpić nie wolno. Amerykanin obok religii, jaką daje mu kościół, do którego należy, ma jeszcze *religię drugą* — tę zawartą w Deklaracji Niepodległości i w Konstytucji, szczególnie w tej części Konstytucji, która nosi nazwę Bill of Rights. Ta druga religia znaczy dla Amerykanina nie mniej — często nawet więcej — niż pierwsza. Jest to religia laicka — niemniej jest to religia, posiadająca swe symbole, swój rytuał i swe instytucje. Jest to religia na wskroś emocjonalna i irracjonalna. W żadnym chyba kraju na świecie nie wytworzył się taki, jak w Stanach Zjednoczonych, kult dokumentów, stanowiących prawną i moralną podstawę egzystencji narodowej. W roku 1947 całe Stany Zjednoczone objeżdżał pociąg-muzeum, zawierający wszystkie najważniejsze dokumenty, odnoszące się do historii narodowej. Miliony ludzi w niemej rewerencji przesuwają się przez wagony owego Pociągu Wolności, składając hołd wielkim aktom historii narodowej.

„...Ameryka” — pisze Gunnar Myrdal — „posiada w porównaniu z innymi — małymi czy wielkimi — krajami cywilizacji zachodniej najbardziej wyraźnie wypowiedziany system ideałów ogólnych, odnoszących się do stosunków międzyludzkich. Rozumienie tego zespołu ideałów i szacunek dla niego jest w Ameryce czymś znacznie powszechniejszym, niż to ma miejsce gdziekolwiek indziej w odniesieniu do podobnych ideałów... Niewątpliwie to amerykańskie credo polityczne nie znajduje dla siebie zbyt udanego odbicia w realnym życiu społeczeństwa. Ale jako zasady, które rządzić *powinny*, credo zostało przyswojone przez każdą jednostkę w obrębie zbiorowości amerykańskiej”<sup>3</sup>.

To amerykańskie wyznanie wiary przyjmuje i czci reakcyjny Demokrat z Południa, dodając od siebie to za-

---

3. Myrdal, *op. cit.* Str. 3.

strzeżenie, że z równości, wolności i prawa do szczęścia Murzyni powinni korzystać w doskonałym odseparowaniu od białych. Przyjmuje je i czci członek Narodowego Stowarzyszenia Przemysłowców (*National Association of Manufacturers*), wyjaśniając zarazem, że dla pełnej wolności jest konieczne, by prawa własności nie były naruszane, by przedsiębiorca był panem u siebie, w swej fabryce, by — słowem — żadne związki zawodowe czy organy rządowe nie podważały Ładu, ustanowionego przez Stwórcę i sformułowanego w Konstytucji oraz w Deklaracji Niepodległości.

Nikt więc nie powie o sobie, że nie jest liberałem. A nawet ci, którzy swemu liberalizmowi dają takie interpretacje, jak powyższe, czynią to z pewnym zaambarasowaniem. Bo przecież Deklaracja Niepodległości była dziełem wielkiego ucznia angielskich i francuskich filozofów Wieku Oświecenia — Tomasza Jeffersona i duch jeffersonowski panuje w tym wspaniałym dokumencie. Deklaracja Niepodległości to Magna Charta wszelkich dążeń wolnościowych, nie tylko amerykańskich. Zrodził ją rewolucyjny zryw młodego, o wolność i sprawiedliwość walczącego narodu, zrodziła ją atmosfera śmiałej myśli wieku XVIII. Wpływ wychowawczy tego dokumentu był olbrzymi. Nie było rzeczą przypadku, że w rządzie postaci, które Ameryka umieściła w swym Panteonie narodowym, przeważają ludzie, którzy naród swój wychowywali w duchu ideałów Deklaracji Niepodległości. Najwięksi prezydenci amerykańscy — Tomasz Jefferson, Andrew Jackson, Abraham Lincoln, Teodor Roosevelt, Woodrow Wilson, Franklin Delano Roosevelt — byli to ci, których określano jako liberałów. Filozofia, której w Ameryce daje się nazwę liberalizmu, ma więc tu potężne podstawy w tradycjach historycznych, w systemach wychowawczych, w całej przeszłości narodu.

### 3. Konflikt: *liberalizm contra konserwatyzm*

W cytowanym poprzednio ustępie Gunnar Myrdal zauważa, że amerykańskie wyznanie wiary nie znajduje dla siebie zbyt udanego odbicia w realnym życiu społeczeństwa. I bez wątpienia zachodzi głęboka rozbieżność

między tym, w co Amerykanin wierzy, a tym, co z tej wiary wprowadza w życie. Arcyludzka to zresztą właściwość, z którą spotykamy się nie tylko w Ameryce. Ale — jak Myrdal to z naciskiem podkreśla — Amerykanin najczęściej ma świadomość takiej rozbieżności i świadomość ta niejednokrotnie prowadzi do licznych konfliktów moralnych w życiu amerykańskim. Amerykanin chce być liberałem, ale nie często mu się to udaje. I nad tym, że mu się to nie udaje, zazwyczaj głęboko boleje. Zagadnienie liberalizmu jest w Ameryce przede wszystkim poważną sprawą moralną<sup>4</sup>.

Bliższa znajomość z Ameryką utwierdza obserwatora stosunków amerykańskich w przekonaniu o słuszności wywodów Myrdala. Amerykanin nie wątpi, że *powinien* wierzyć w liberalizm. Ale *praktykowanie* liberalizmu jest rzeczą bardzo trudną. Na przeszkodzie stoją interesy grupowe, klasowe, najrozmaitsze przesady, różnorodne tradycje i w ogóle — setki rzeczy, które zawsze wykopują przepaść między wiarą a praktyką. Stąd w olbrzymiej ilości wypadków liberalizm staje się deklaracją, pięknym ornamentem, albo sprowadza się — przy pomocy odpowiednich interpretacji — do oportunistycznego paktowania z „wymaganiami realnego życia”.

Stale jednak istnieje tu jakiś konflikt moralny, zaostrzony przez purytańskie tradycje znacznej części społeczeństwa amerykańskiego. Te tradycje i ten konflikt sprawiają, że — bardziej niż w innym kraju — musiał w Ameryce wytworzyć się prąd, który liberalizm wyznania wiary chce traktować poważnie — nie jako deklarację, ale jako system działań praktycznych. Tu mamy *podstawę psychologiczną* dla powstania w Ameryce dwóch wielkich prądów — *konserwatywnego* i *liberalnego*. W praktyce życia Stanów Zjednoczonych nazwa „liberałowie” odnośzona jest tylko do tych, którzy swój liberalizm konsekwentnie starali się wprowadzić w czyn.

To jest pierwsza — najbardziej ogólna — cecha liberalizmu amerykańskiego, pojmowanego nie jako szeroka zasada moralna, ale jako kierunek praktycznego myślenia

---

4. Pierwszy rozdział wielkiego dzieła Myrdala, poświęcony „amerykańskim ideałom i amerykańskiemu sumieniu”, zawiera szereg niezmiernie cennych rozważań na temat moralnego oblicza Ameryki. Również — Bryce, op. cit. T. II, str. 285 i nast.



i działania. Drugą jego cechą jest to, że utożsamiał się on z dążeniami tych sił, które od początku historii narodu amerykańskiego walczył z przywilejami majątkowymi, z „prawami nabytymi”, z tym wszystkim, co w Stanach Zjednoczonych określane jest jako konserwatyzm. Liberalizm contra konserwatyzm to jeden z najważniejszych konfliktów, jakie wyznaczyły bieg dziejów amerykańskich.

Mówiąc o amerykańskim wyznaniu wiary, stwierdziliśmy, że jest ono oparte głównie na dwóch dokumentach — na Deklaracji Niepodległości i na pewnych ustępach Konstytucji. Nie ulega wątpliwości, że w świadomości ogółu amerykańskiego oba te dokumenty stopiły się w jedną, jednakowo czczoną i sprowadzaną do wspólnego mianownika liberalnego wyznania wiary. Jednakże — jak to w swym kapitalnym dziele „An Economic Interpretation of the Constitution of the United States” wykazał wielki historyk amerykański Charles Beard — każdy z tych dokumentów reprezentuje zgoła inny klimat ideologiczny. Albowiem każdy z nich wyraża odmienne społeczne tendencje Rewolucji Amerykańskiej.

W rozdziale poprzednim, mówiąc o początkach Stanów Zjednoczonych, stwierdziliśmy, że młoda republika rodziła się w ogniu zaciętych walk wewnętrznych. Wstępowały tu zdecydowane różnice klasowe i regionalne, które między innymi odbicie swe znalazły w sporze Hamiltona z Jeffersonem. Przez cały okres Wojny o Niepodległość (a i po jej zakończeniu) te ścierające się ze sobą prądy pchały falę rewolucyjną, kierując ją bądź to w koryto radykalizmu, bądź — konserwatyizmu. Deklaracja Niepodległości, powstała w atmosferze pierwszego zrywu rewolucyjnego, była owiana duchem tego zrywu. Ale Konstytucję układano później, gdy owa fala początkowego radykalizmu opadła, gdy do głosu doszły żywioły konserwatywne, ustabilizowane, dbałe o bezpieczeństwo swych majątków. Ten dokument był symbolem zwycięstwa idącego za Hamiltonem Wybrzeża Wschodniego nad farmerskim „pograniczem”.

Wśród amerykańskich historyków powszechny jest pogląd, że Konstytucję zrodziła nieufność warstw posiadających wobec „ludu”, który by mógł zakwestionować prawa własności, że intencje tego dokumentu były na

wskroś konserwatywne <sup>5</sup>. Stąd też nie znajdujemy w Konstytucji śladów życzliwości dla idei demokracji. Lincolnowska koncepcja rządów ludu, wykonywanych przez lud i dla ludu, byłaby bez wątpienia obca i niesympatyczna mężom, którzy w roku 1787 ułożyli w Filadelfii ten wiekopomny dokument. Nigdzie też nie występuje w nim słowo „demokracja”. W ówczesnej Ameryce było to słowo groźne dla porządku publicznego. Konstytucja Stanów Zjednoczonych w intencji jej twórców bynajmniej nie miała być fundamentem demokracji, przeciwnie — miała stać się tamą przed naporem demokracji.

Jednakże w niewiele lat po tym, jak Konstytucja została uchwalona, w Ameryce znów górze wzięła fala radykalizmu. Symbolem jej stał się Tomasz Jefferson. Zwycięstwo demokracji znalazło dla siebie wyraz w pierwszych dziesięciu Poprawkach (*Amendments*), stanowiących tak zwany Bill of Rights, czyli kartę swobód i praw obywatelskich. Te Poprawki sprawiły, że Konstytucja przestała być symbolem konserwatyzmu, i one to w niemałym stopniu przyczyniły się do zatarcia w świadomości ogółu różnic pomiędzy tym dokumentem a Deklaracją Niepodległości.

A jednak różnice te istnieją i są wyrazami dwóch podstawowych tendencji, jakie ścierają się ze sobą na przestrzeni całych dziejów narodu amerykańskiego. Każda z tych tendencji czci zarówno Deklarację jak i Konstytucję. Ale też każda z nich inne momenty tych dokumentów otacza swą szczególną weneracją. A jeżeli czci te same momenty, to rozbieżnie je interpretuje.

Odnosi się to w szczególności do Deklaracji Niepodległości. Badacze cywilizacji amerykańskiej <sup>6</sup> często podkreślają, że do tradycji konserwatyzmu amerykańskiego należy sprowadzanie istoty Deklaracji do postulatu *wolności*. Natomiast w oczach liberałów postulat *równości*

5. Morison i Commager, op. cit. T. II, str. 277-278 mówią o amerykańskim Thermidorze, z którego powstała Konstytucja. Również — Beardowie, *The Rise...*, T. I, str. 297 i nast.

stytucji śladów życzliwości dla idei demokracji. Lincoln-

6. Myrdal, op. cit. Str. 8-9. Gruntowniej zagadnienie rozważył Charles E. Merriam w artykule „The Meaning of Democracy”, *Journal of Negro Education*, lipiec, 1941. Również Ernest S. Bates, *AMERICAN FAITH, Its Religious, Political, and Economic Foundations*. New York, 1940.

stanowi najcenniejsze i najistotniejsze hasło Deklaracji. „Wolność contra równość” czy „równość contra wolność” stały się filozoficznym uzasadnieniem konfliktu, którego mniej filozoficznie podłoże społeczne bez trudu daje się odnaleźć.

Oczywiście kontrowersja ta nie oznacza, by konserwatyści odrzucali równość, a liberałowie — wolność. Pierwsi mówią jedynie, że bez wolności nie może być mowy o równości. Na co drudzy odpowiadają, że tylko wtedy, gdy istnieje rzeczywista równość, są warunki dla osiągnięcia prawdziwej wolności. Spór, który na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie werbalnego, nabiera treści, gdy zaczynamy badać, co każda ze stron rozumie przez „wolność” i „równość”<sup>7</sup>.

Mimo wszystkie zmiany, jakie w definicjach tych zachodziły, da się tu odnaleźć pewien trzon zasadniczy, który przez wszystkie okresy historii Stanów Zjednoczonych umożliwiał — przynajmniej z gruba — przeprowadzenie jakiejś linii granicznej między liberalizmem a konserwatyzmem. Dla konserwatystów kategorie „wolność” i „równość” są całkowicie wyznaczone przez ten system stosunków międzyludzkich, jaki od przeszło stulecia składa się na treść gospodarki amerykańskiej. To jest „amerykański sposób życia” — *the American way of life*, stanowiący kwintesencję „prawdziwego” amerykańizmu, autentyczną filozofię narodową, od której odejście oznaczałoby dla Ameryki katastrofę. „Wolność” jest tu rozumiana jako wolność silnych, pionierskich jednostek, które, nieskrępowane ingerencją ze strony państwa, budują wspinały gmach gospodarki amerykańskiej. Jest to równocześnie — podobnie jak to miało miejsce w przypadku europejskiego liberalizmu ekonomicznego — „wolność gospodarcza”, „wolna gra sił produkcyjnych”, niewtrącanie się państwa w stosunki między kapitałem a pracą. Tylko przez taką „wolność może być osiągnięta „równość”. Oznacza ona teoretyczną równość startu życiowego. Powinien on być doskonale równy, to znaczy, że każda jednostka winna być pozostawiona samej sobie. W zasadę „rów-

7. Poza wymienionymi w tym rozdziale opracowaniami naukowymi podstawą dla tych uwag jest bezpośrednie obcowanie autora ze społeczeństwem amerykańskim. Literatura autobiograficzna i powieściowa służy tu jako materiał szczególnie bogaty.

ności" godzą wszelkie formy wyrównywania szans życiowych w rodzaju np. systemu państwowej opieki społecznej. Akcja, jaką przeciwko przymusowym ubezpieczeniom chorobowym („zsocjalizowana medycyna"!) prowadzi Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne (*American Medical Association*), ma w arsenale swych argumentów obronę „wolności" i „równości".

W praktyce filozofia taka coraz bardziej staje się anachronizmem. Ameryka najwyraźniej od niej odchodzi. Zarówno Ameryka demokratyczna, jak i republikańska. Jeżeli po-wilsonowskie republikańskie administracje starały się zachowywać wierność takiej filozofii, to dla administracji Eisenhowera jest ona bardziej uroczystą deklaracją, ogólnikowym a małowiążącym hasłem, niż systemem praktycznego działania. Deklarując swą wierność dla przykazań tradycyjnej filozofii, Ameryka w rzeczywistości idzie po drodze, utworowanej przez liberałów.

Dla amerykańskiego liberała droga do wolności prowadzi przez równość. Ważne jest, że w rozumieniu tej ostatniej stopniowo coraz bardziej zaczęły przeważać momenty *ekonomiczne*. W liberalizmie czasów dzisiejszych „równość" skojarzyła się definitywnie z prawem do „osiągania szczęścia" przez każdą jednostkę ludzką i nakłada obowiązek zapewnienia każdej jednostce środków materialnych, umożliwiających osiągnięcie szczęścia. To znów sprawiło, że liberalizm stał się w Ameryce synonimem ruchu, dążącego do *postępu społecznego*, ruchu, mającego na względzie interesy i potrzeby mas niezamożnych, upośledzonych (*underdog*), ludzi pracy. Jest to rozumiane ogromnie szeroko, w sposób, otwierający rozległe pole dla wszelkich interpretacji i stanowisk. Tradycyjnie amerykański optymistyczny *perfekcjonizm* stwarza tu podstawę, umożliwiającą sprowadzenie do wspólnego mianownika liberalizmu wszelkich poglądów — od „oświeconego" kapitalizmu grup gospodarczych, stojących za Eisenhowerem, aż do skrajnego socjalizmu<sup>8</sup>.

Położenie nacisku na równość materialną i na konieczność wyzwolenia się od niedostatku idzie w parze z

---

8. Mowy Roosevelta (szczególnie przemówienie inauguracyjne z roku 1933), książki *New Dealerów* (David E. Lilienthal, Rexford G. Tugwell i inni), artykuły w „*The Nation*" i w „*New Republic*" — to istna kopalnia materiałów, wyjaśniających tę filozofię.

ideologią „prostego człowieka” — tak niezmiernie ważną dla wszystkich epok liberalizmu amerykańskiego, poczynając od Jeffersona a kończąc na Henry Wallace’ie. Niewątpliwie i amerykańskiemu liberałowi bliska jest tradycyjna filozofia indywidualnego sukcesu. Jest ona przecież jednym z najbardziej podstawowych składników amerykańskiej demokracji plebejskiej. Ale o ile konserwatyzm amerykański, heroizując człowieka sukcesu, podporządkowuje mu resztę (purytańska to tradycja „wybranych jednostek”), o tyle liberalizm staje w obronie tej reszty, co więcej — czyni z niej wartość centralną. Jak to nieraz w historii bywa, liberałowie amerykańscy — ludzie świata intelektualnego — są bardziej egalitarni niż konserwatyści, z których znaczna część mocno tkwi w plebejskich tradycjach Stanów Zjednoczonych.

Najogólniej rzecz biorąc, kontrowersja między konserwatyżmem a liberalizmem w Stanach Zjednoczonych od wielu dziesięcioleci sprowadza się do zagadnienia *stosunku do pracy najemnej*. Zagadnienie to wyraża się w pytaniu: *czym w cywilizacji amerykańskiej ma być praca najemna?* Czy — jak chcą tego konserwatyści — jest ona po prostu *towarem (commodity)*, którego cena jest ustalana przez rynkowe prawa popytu i podaży; czy też — jak to twierdzą liberałowie — jest ona *specjalną wartością*, dla której miarą winne być zawarte w Deklaracji Niepodległości postulaty równości, wolności i dążenia do szczęścia?

Dokoła tego centralnego zagadnienia kontrowersji liberalno-konserwatywnej skupiło się jeszcze kilka innych, również doniosłych dla całości obrazu. Podobnie jak zagadnienie centralne, tak i one mogą być zrozumiane tylko na tle historii narodu amerykańskiego.

#### 4. Od Jeffersona do F.D. Roosevelta

Współczesna nam kontrowersja liberalno-konserwatywna jest organicznie związana z pewnymi nurtami historycznymi, z których każdy ma swój symbol w pewnych postaciach amerykańskiego Panteonu narodowego. Młody naród amerykański stale sięga do tych postaci, szukając w nich inspiracji i widząc w nich wielkie wzory wycho-

wawcze. To sięganie do przeszłości nie koniecznie ma charakter trzeźwej, racjonalnej analizy. Najczęściej jest czymś bardzo emocjonalnym, jest składnikiem tej laickiej religii, która jest tak znamienna dla całej cywilizacji Stanów Zjednoczonych. Kult wielkich postaci przeszłości jest organicznie związany z tą religią i siłą rzeczy przenosi się do wszelkich sporów o charakterze ideologicznym.

Rzecz jasna, pierwszą z takich postaci jest autor projektu Deklaracji Niepodległości i trzeci Prezydent — Tomasz Jefferson. Tu szczególnie ważny jest jego spór z Hamiltonem i Federalistami. Ogólnoludzki humanitaryzm Jeffersona, jego wiara w człowieka, jego sympatie dla rewolucyjnej Francji — oto momenty żywo przemawiające do wyobraźni liberałów, zarówno dziś jak i ongiś. Jest to szczególnie interesujące, gdy chodzi o Południe. W stanach południowych, gdzie imię Lincolna jest wciąż wyklęte, humanitaryzm Jeffersona, tego Południowca, który, choć sam był właścicielem niewolników, ostrzegał przed niebezpieczeństwem niewolnictwa, jest argumentem stale używanym przez tamtejszych liberałów w ich walce o prawa Murzynów<sup>9</sup>.

Andrew Jackson jest drugą postacią, niezmiernie ważną dla sporu liberalizmu z konserwatyzmem. Jako symbol ruchu mas ludowych, jako heros plebejskiej Ameryki „pogranicza”, Jackson stał się patronem radykalizmu farmerckiego, stanowiącego ważne skrzydło liberalizmu amerykańskiego. Pochodząca od Jeffersona idea „prostego, zwykłego człowieka” nabrała dzięki Jacksonowi bardziej konkretnych treści społecznych, stała się bardziej dynamiczną i rewolucyjną. Tylko na tle tradycji jacksonowskiej można w całej pełni zrozumieć radykalizm Henry Wallace’a, tak, jak tylko na tle tradycji jeffersonowskiej można zrozumieć jego poglądy na sprawy międzynarodowe. Trzeba pamiętać, że Wallace wyszedł ze środowiska farmerów

---

9. „Zaiste drzę z trwogi o mój kraj, myśląc, że Bóg jest sprawiedliwy, że sprawiedliwość Jego nie może być uspią na zawsze” — tak, zastanawiając się nad sprawą niewolnictwa, pisał Jefferson w swych „Notes on Virginia: 1781-1782”. Oczywiście wśród Murzynów amerykańskich stale dominuje tradycja lincolnowska. Patrz — St. Clair Drake i Horace R. Cayton, *BLACK METROPOLIS, A Study of Negro Life in a Northern City*. New York, 1945. Str. 68, 343, 372.

stanu Iowa, że ojciec jego (Sekretarz Rolnictwa w gabinecie Hoovera) i dziad byli wybitnymi przywódcami farmerów Środkowego Zachodu i wyrazicielami ich specyficznego radykalizmu.

Trzecią postacią, która wywarła duży wpływ na liberalizm amerykański, jest Abraham Lincoln. Wpływ jego wyraża się w dwóch kierunkach. Przede wszystkim Lincoln w swym znakomitym przemówieniu, znanym jako „Gettysburg Address”, dał klasyczne sformułowanie demokracji (*government of the people, by the people, for the people*), dał definicję drogą i bliską liberalizmowi amerykańskiemu. Oczywiście można było dyskutować na temat znaczenia słowa *the people*. Ale liberalizm włożył w nie treści, pochodzące od Jeffersona i Jacksona. W tym ujęciu Lincoln stał się symbolem demokracji ludowej, głoszącej prawa „zwykłych ludzi” do rządów i wolę tych ludzi do rządzenia. Od tej strony widziana, postać Lincolnna znacznie przekracza granice Ameryki i wychodzi z ram tradycji amerykańskich. Jak Jefferson, tak i Lincoln wszedł do Panteonu ogólnoludzkiego.

Drugi kierunek wpływu lincolnowskiego jest związany z faktem, że do historii amerykańskiej Prezydent ten przeszedł jako Oswobodziciel. Do Lincolnna nawiązują wszyscy ci, którzy walcząc z przesądami rasowymi, domagają się rzeczywistego równouprawnienia Murzynów. A wśród samych Murzynów wiecznie żywy mit Lincolnna jest potężną siłą, która popycha ich po drodze dążeń emancypacyjnych. Obojętne jest tu, czy mit ten w realnej działalności Lincolnna mógłby znaleźć dla siebie historyczne uzasadnienie. Mity nie muszą się pytać o prawdę historyczną swych rodowodów.

Jefferson, Jackson i Lincoln — to trzy wielkie tradycje, w których liberalizm amerykański szuka swych źródeł czy rodowodu. W latach późniejszych doszła do tego jeszcze tradycja Populizmu i tradycja Bryana — szczególnie wśród liberalnych Demokratów, oraz tradycje Teodora Roosevelta i Roberta La Follette'a — wśród liberalnych Republikanów. Nie można też pominąć tradycji Woodrowa Wilsona, którego program „New Freedom”, głoszący konieczność interwencji państwowej w sprawy socjalne i gospodarcze, może być uważany za zapowiedź rooseveltońskiego „New Deal'u”.

Konserwatyzm amerykański jest znacznie uboższy, jeżeli chodzi o powoływanie się na wielkie postacie historyczne, symbolizujące jego filozofię. Jedyne Hamilton i — w pewnym stopniu — Washington nadają się do tego celu i mogą służyć za materiał dla wychowawczego oddziaływania. Przeważnie też konserwatyizm amerykański ogranicza się do argumentów od przeszło stu lat powtarzanych przez podręczniki ekonomii politycznej oraz do tej popularnej filozofii, która w bliżej nie sprecyzowanym „amerykańskim sposobie życia” (*American way of life*) widzi kwintesencję praktycznej mądrości. Filozofia taka jest łatwostrawna, prawdziwie ludowa i przemawiająca do „zwykłego człowieka”. Jak wszędzie na świecie, tak i w Stanach Zjednoczonych konserwatyizm najlepiej odpowiada postawom i nawykom myślowym „prostych” ludzi, gdy liberalne nowatorstwo najdogodniejszy teren dla siebie znajduje w środowiskach intelektualnych elit. I tylko wtedy, gdy nieoczekiwane wypadki wytrącają „prostego” człowieka z utartych kolej jego życia, szuka on ratunku w ideałach, hasłach i filozofiach nowatorów.

Punktem szczytowym sporu liberalizmu z konserwatyzmem stały się rządy Franklina Delano Roosevelta. I niewątpliwie działalność tego Prezydenta napisała nowy rozdział w dziejach nie tylko amerykańskiego liberalizmu, ale i amerykańskiej myśli społeczno-politycznej. Do trzech wielkich wątków tradycyjnych — jeffersonowskiego, jacksonowskiego i lincolnowskiego — dołączył się i czwarty — rooseveltowski.

## 5. *Franklin D. Roosevelt i „New Deal”*

Franklin Delano Roosevelt był nie tylko spadkobiercą przeszłości. Bezspornie zawdzięczał jej bardzo dużo. Ale też dużo wniósł od siebie. Umiał on skoncentrować w swym programie różne nurty liberalizmu dawnych czasów, stworzyć ich syntezę i wprowadzić w nią treści współczesne. „New Deal” stał się wyznaniem wiary całego amerykańskiego obozu liberalnego. Odtąd w Ameryce nazwy „liberał” i „New Dealer” (zwolennik „New Deal’u”) stały się jednoznacznymi. Wszystkie późniejsze programy reform — czy to Trumana czy Eisenhowera —



w ten albo inny sposób wychodziły z rooseveltowskiego „New Deal’u”, choć niezawsze się do tego przyznawały<sup>10</sup>.

Roosevelt doszedł do władzy w czasie zupełnej katastrofy gospodarczej. System kapitalistyczny załamywał się na każdym odcinku. W najbogatszym kraju świata okazało się, że — jak to powiedział Roosevelt — „trzecia część obywateli źle się odżywia, źle mieszka i źle jest odziana”. Amerykanin był niezadowolony. I burza powszechnego niezadowolenia zmiotła Herberta Hoovera, dając wspaniałe zwycięstwo Rooseveltowi. Ten zaś poszedł do walki pod sztandarem liberalizmu.

Nie tu miejsce na szczegółowe omówienie tego wielkiego programu reform, jaki wszedł do historii amerykańskiej pod mianem „New Deal’u”. Widziany oczyma Europejczyków, nie był to program rewolucyjny czy radykalny. W Ameryce jednak był on rewolucją.

Roosevelt nie myślał o wielkich wstrząsach społecznych. Ten potomek starej, w sensie amerykańskim bardzo arystokratycznej rodziny ani przez chwilę nie dążył do burzenia tego porządku gospodarczego, jaki w oczach jego stanowił rdzeń cywilizacji amerykańskiej. Ale Roosevelt rozumiał, że porządek ten zginie, jeżeli nie wprowadzi się do niego nowych treści, zgodnych z wymaganiami czasów współczesnych. Kapitalizm amerykański wymagał wszechstronnej modernizacji<sup>11</sup>.

Roosevelt był praktycznym politykiem. Jego doświadczenie polityczne zrodziło się w ogniu amerykańskich walk partyjnych. Wchodził do rządu Wilsona, później był Gubernatorem jednego z najważniejszych stanów Unii — stanu New York. Historia amerykańskiej gry politycznej nauczyła go sztuki manewrowania między sprzecznymi interesami i ścierającymi się siłami, nauczyła

10. Już dziś istnieje olbrzymia literatura o Rooseveltzie i New Deal’u. Za najlepsze sformułowanie filozofii New Deal’u należy uznać — David E. Lilienthal, T. V. A., Democracy on the March. New York, 1943. Całokształt epoki: Charles A. Beard i Mary R. Beard, AMERICA IN MIDPASSAGE, New York, 1939.

11. W swoich wspomnieniach Frances Perkins przytacza odpowiedź Roosevelta, gdy ktoś mówił, że związki zawodowe mogą stać się zbyt potężnymi. „Dla kogo zbyt potężnymi? — rzekł Prezydent — Mogą właśnie stać się dobrym demokratycznym antidotum dla potęgi big businessu, który często stara się dominować”. THE ROOSEVELT I KNEW. New York, 1946. Str. 308.

go kunsztu zawierania kompromisów, stwarzania równowagi. Roosevelt był mistrzem tego, co stanowi kwintesencję amerykańskiej sztuki politykowania i nosi trudną do przetłumaczenia nazwę zasady *check and balance*. Tę zasadę stosował przez cały czas swych długotrwałych rządów — w polityce zarówno wewnętrznej jak i międzynarodowej. I na tej zasadzie oparł swój „New Deal”<sup>12</sup>.

W roku 1933 trudno było wątpić, że kapitalizm amerykański nie jest systemem równowagi, harmonijnego współdziałania uczestniczących w nim klas i sił społecznych. W momencie katastrofy szala w sposób oczywisty przechylała się na stronę małej grupy monopolistycznych magnatów. Ofiarą był „zwykły człowiek” — farmer, robotnik, drobny kupiec i przemysłowiec — ci wszyscy, których w Ameryce określa się jako „klasę średnią”<sup>13</sup>. Ale Roosevelt wierzył, że stan równowagi może być przywrócony i że trzeba go przywrócić. Aby to osiągnąć, musi wystąpić jakiś czynnik działający, równocześnie wobec każdej ze stron bezstronny i każdą z nich reprezentujący, czynnik zaopatrzony w odpowiednio potężne środki wpływania na wypadki. Takim czynnikiem może być tylko rząd federalny. Liberalizm rooseveltocki był filozofią silnej władzy centralnej. Zgodnie z doktryną lincolnowską, był to rząd ludu, sprawowany przez lud i dla ludu.

Jak wiemy, ojciec liberalizmu amerykańskiego — wielki Jefferson — był przeciwnikiem silnej władzy centralnej. W jego epoce równała się ona antydemokratycznym rządów oligarchii miast nadmorskich. Ale już w drugiej połowie wieku XIX coraz więcej było dowodów, że liberalizm amerykański oddala się w tej dziedzinie od stanowiska Jeffersona. Stawało się rzeczą coraz bardziej oczywistą, że wielkie reformy społeczne mogą być przeprowadzane tylko w skali ogólnonarodowej i przez władze federalne. Ujednocające tendencje rozwoju gospodarczego przekreślały sens reform lokalnych, w skali stanowej. Zresztą stany były przeważnie twierdzami sił antyreformistycznych. Już za Teodora Roosevelta i Woodrowa Wilsona postulat rozszerzenia zakresu działania

---

12. Interesujące uwagi na ten temat robi Rexford Guy Tugwell, *THE STRICKEN LAND*. New York, 1947. Str. 442.

13. Beardowie, *AMERICA IN MIDPASSAGE*. Str. 151 i nast.

władzy centralnej był uważany za logiczną konsekwencję wszelkich planów reformistycznych. „New Deal” poszedł tu znacznie dalej. Można by rzec, że w filozofii „New Deal’u” liberalizm amerykański przeszedł na polityczną platformę Hamiltona. Ale jeżeli u Hamiltona silna władza centralna miała być tamą przed naporem demokratycznego reformizmu, to dla nowoczesnego liberalizmu amerykańskiego ma ona być drogą osiągnięcia zasadniczych przemian społecznych. To przetasowanie w tradycjach wiele mówi o drogach rozwojowych społeczeństwa Stanów Zjednoczonych w ciągu 170 lat jego dziejów. Jest też jasne, że to położenie nacisku na rolę władzy federalnej w żadnej mierze nie oznacza odejścia od zasadniczych wskazań Konstytucji.

Zakres reform „New Deal’u” był bardzo szeroki. Były tam zarządzenia doraźne, mające na celu opanowanie kryzysu i przeciwdziałanie bezpośrednim jego następstwom. Ale były tam i reformy, obliczone na dłuższą metę, i w tych to reformach najpełniej wypowiedziała się filozofia liberalizmu amerykańskiego <sup>14</sup>.

Ich głównym celem było osiągnięcie *stanu równowagi* między wielkimi kapitałami a interesami „zwykłych ludzi”. Wśród tych ostatnich coraz większą rolę odgrywali robotnicy. To były bezpośrednie ofiary kryzysu — armia bezrobotnych rosła z dnia na dzień. Roosevelt rozumiał, że w armii tej kryją się wielkie niebezpieczeństwa dla całego gospodarczego systemu Ameryki. Obok robotników byli farmerzy — niszczeni przez kryzys, niezadowoleni, rozgoryczeni. I w nich było wielkie niebezpieczeństwo. Trzeba było, aby szala systemu gospodarczego zaczęła się przechylać na stronę tych upośledzonych. I trzeba było, by ci ostatni nabrali wiary we własne siły, by zarazem poczuli się osobiście zainteresowanymi w istnieniu i sprawnym działaniu systemu.

---

14. Z masy opracowań historycznych, poświęconych epoce New Deal’u, poza wymienionymi poprzednio, najbardziej systematyczne przedstawienie reform zawiera: D. I. Dumond, AMERICA IN OUR TIME, 1896-1946. New York, 1946. Str. 469-572. O ustawodawstwie robotniczym — Florence Peterson, AMERICAN LABOR UNIONS. New York, 1945. Str. 23-27. O pomocy dla farmerów — Lee Fryer, THE AMERICAN FARMER. New York, 1947.

Roosevelt rozpoczął swe reformy pod hasłem, że „nie należy lękać się niczego z wyjątkiem samego lęku”. Roosevelt znał swój naród do szpiku kości. Wiedział, że optymizm jest zasadniczą cechą filozofii Amerykanina. I sam był optymistą.

Droga reform nie była łatwa. „New Deal” rzucił wyzwanie całemu konserwatyzmowi amerykańskiemu, wszystkim gospodarczym tradycjom, jakimi Ameryka żyła od przeszło stulecia. Obrońcą tych tradycji był Sąd Najwyższy. Ciało to, przez Konstytucję obdarzone niezwykle potężnymi uprawnieniami, jest swoiście amerykańskim połączeniem wiedzy prawniczej i politykierstwa. Na ławie Sądu Najwyższego nieraz zasiadali wielcy prawnicy, równocześnie reprezentujący najwspanialsze tradycje liberalne. Wśród Sędziów Sądu Najwyższego był wielki John Marshall, i niemniej wielki Oliver Wendell Holmes, i tacy prawnicy, jak Benjamin Candozo czy Louis D. Brandeis. W większości jednak wypadków wysoka ta godność przypadała zasłużonym dla partii politykom, byłym Senatorom i Gubernatorom (były Prezydent Taft również znalazł się w Sądzie Najwyższym), ludziom ściśle związanym ze światem „big businessu” i dbałym o interesy tego świata. Sąd Najwyższy był tradycyjnie ciałem wybitnie konserwatywnym, obrońcą praw własności i przywilejów możliwych tego świata<sup>15</sup>.

Pod znakiem walki z Sądem Najwyższym stała pierwsza kadencja Roosevelta. Jedna po drugiej reformy „New Deal'u” były uznawane przez Sąd Najwyższy za sprzeczne z Konstytucją. Ale Roosevelt podjął walkę. W rezultacie najbardziej reakcyjni Sędziowie złożyli swe rezygnacje (zresztą przeważnie byli to starszkwowie), a na

---

15. O Sądzie Najwyższym: Charles Beard, THE SUPREME COURT AND THE CONSTITUTION. New York, 1931; Charles E. Hughes, THE SUPREME COURT OF THE UNITED STATES. New York, 1928; Alpheus T. Mason, BRANDEIS, Lawyer and Judge in the Modern State, Princeton, 1933; Charles E. Merriam, THE WRITTEN CONSTITUTION AND THE UNWRITTEN ATTITUDE. New York, 1931; Charles Warren, THE SUPREME COURT IN UNITED STATES HISTORY. Boston, 1932. Dla epoki rooseveltońskiej cenny jest: Erik McK. Ericksson, THE SUPREME COURT AND THE NEW DEAL. New York, 1940.

ich miejsce zostali mianowani ludzie o liberalnych poglądach<sup>16</sup>.

Największa przeszkoda była więc pokonana. Rząd federalny otrzymał od Kongresu szerokie pełnomocnictwa, które umożliwiły mu przeprowadzenie wielu reform. Cały szereg zarządzeń niósł pomoc farmerom. Państwo zapewniło im tanie i łatwosiągalne kredyty, umożliwiło utrzymanie na wyższym poziomie cen produktów rolnych, zorganizowało zbyt, dbało o podniesienie rentowności gospodarstw. Temu ostatniemu służyły takie środki jak: elektryfikacja gospodarstw rolnych, zalesianie nieużytków, tworzenie farm wzorowych, wysyłanie w teren armii instruktorów rolnych.

Jeszcze bodaj większe znaczenie miał „New Deal” dla robotników. Roosevelt celowo dążył do posiadania w zorganizowanej, silnej klasie robotniczej elementu równowagi wobec wielkich monopolów kapitalistycznych. Za rządów Roosevelta dochodzi też do mocnego sojuszu między robotnikami, zorganizowanymi w związkach zawodowych, a Partią Demokratyczną. W roku 1938 powstaje Kongres Organizacji Przemysłowych (*Congress of Industrial Organizations — CIO*), którego politycznym mózgiem staje się wysoce utalentowany Sidney Hillman. Amerykański związki zawodowe (wszelkich ugrupowań), które w roku 1933 miały niecałe 3 miliony członków, w roku 1940 urosły do 8,5 miliona członków. Akt Wagnera stał się Wielką Kartą Swobód amerykańskiego świata pracy i potężnym bodźcem dla organizowania się robotników. Obok Aktu Wagnera dużymi zdobyczami były: *Social Security Act* (między innymi pomoc federalna dla bezrobotnych), Akt Byrnes'a (uniemożliwiający przedsiębiorcom posługiwanie się środkami gwałtu w stosunku do strajkujących), *Wage-Hour Act* (ograniczenie pracy małoletnich, 40-godzinny tydzień roboczy w pewnych kategoriach przedsiębiorstw itp) oraz szereg innych reform.

Po raz pierwszy rząd federalny zaczął na własną rękę organizować pewne działy produkcji. I to na olbrzymią skalę. Jednym z największych osiągnięć stał się Zarząd Doliny Rzeki Tennessee (*TVA — Tennessee Valley Authority*) — kolosalny system poczynił technicznych

16. Dumond, op. cit. Str. 548-557 oraz 568-572.

i gospodarczo-administracyjnych, mających na celu pełne wyzyskanie możliwości wielkiej rzeki Tennessee i maksymalne rozwinięcie jej dorzecza. W osobie Davida E. Lilienthala<sup>17</sup> znalazł Roosevelt człowieka o wyjątkowych kwalifikacjach dla takiej pracy. Pod kierunkiem Lilienthala Zarząd Doliny Tennessee wyzyskał energię rzeki dla wszelkich możliwych celów — elektryfikacyjnych, walki z erozją, opanowania powodzi, irygacji okolicznych terenów itd. — i z jednego z najbardziej uwstecz-nionych zakątków Stanów Zjednoczonych stworzył krainę dobrobytu i kultury. Metody gospodarki planowej, opartej na rzetelnych zasadach demokratycznych, święciły tu swój wielki triumf. Liberalizm amerykański, który dotąd bardzo nieśmiało mówił o możliwościach takiej gospodarki, teraz, zachęcony przykładem TVA, z planowania gospodarczego uczynił jeden ze swych najważniejszych postulatów.

„New Deal” oznaczał wielką epokę w dziejach liberalizmu amerykańskiego. Nigdy do tego czasu liberalizm ten nie miał takich możliwości i nie osiągał równie wielkich rzeczy. Roosevelt dał liberałom amerykańskim program, wizję, wskazał drogę, po której iść mają. Przy Prezydencie skupili się liberałowie wszelkich odcieni i demoninacji politycznych. Wielu liberałów, którzy dotąd trwali w Partii Republikańskiej, teraz bądź przeszło do Demokratów bądź, formalnie zachowując dawną więź partyjną, stanęło przy Rooseveltcie. Wystarczy tu wymienić nazwiska takich dawnych Republikanów jak: George Norris (długoletni Senator z Nebraski, „wielki starzec” amerykańskiego ruchu liberalnego), Fiorenzo H. LaGuardia, Henry Wallace, Harold Ickes (Sekretarz do Spraw Wnętrza Kraju w rządzie Roosevelta, świetne uosobienie bezkompromisowego liberalizmu). Roosevelt stał się wodzem amerykańskich sił postępowych.

Stał się też przedmiotem namiętnej nienawiści amerykańskiego obozu konserwatywnego. Nazywano go „zdrajcą własnej klasy”, „dyktatorem”, „nieszczęściem dla Ameryki”. W rzeczywistości konserwatyzm amerykański nie potrafił w tym okresie przeciwstawić „New Deal’owi” ani jednej pozytywnej, konstruktywnej idei. Ograniczał

---

17. Książka Lilienthala o TVA daje wyczerpujący opis całej organizacji, przedstawia jej metody, cele i wyniki.

się do wulgarnej propagandy, w której dominowały niewybredne ataki na waszyngtońską biurokrację, na rozrzutność rządu, na krępowanie swobód obywatelskich, na arbitralność Prezydenta. Naród amerykański czterokrotnie wykazał, że w swej większości idzie za polityką, której symbolem był Franklin Delano Roosevelt i jego „New Deal”.

Spór między liberalizmem a konserwatyzmem to jeden z dwóch wielkich nurtów w dziejach amerykańskich ideologii politycznych. Wypadnie nam teraz przejść do omówienia nurtu drugiego.

## 6. Testament Washingtona

Gdy Stany Zjednoczone przystępowały do drugiej wojny światowej, Roosevelt w oczach świata pozaamerykańskiego był jednym z wielkich wodzów ludzkości, był symbolem pokoju, wolności, demokracji i sprawiedliwości. Później miało przyjść rozczarowanie. Ale w roku 1941 żaden Amerykanin przed Rooseveltem nie zajmował takiej pozycji w życiu międzynarodowym i żaden nie był taką wartością dla całego świata. Jednakże w samej Ameryce to ogólnoludzkie znaczenie osoby i roli Roosevelta nie przemawiało do wyobraźni najszerzych mas narodu. Nie stanowisko Roosevelta w sprawach międzynarodowych, ale jego stanowisko w sprawach wewnątrz-amerykańskich było stawką we wszystkich kampaniach wyborczych, nawet w ostatniej — roku 1944 — gdy Roosevelt poszedł do wyborów jako wódz naczelny sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i jeden z wodzów wielkiej koalicji światowej. W amerykańskim życiu politycznym dominantą, przedmiotem szczególnego zainteresowania, źródłem prawdziwych pasji są zagadnienia krajowe, nie zaś światowe. Mówiąc o polityce, Amerykanin ma najczęściej na myśli politykę wewnętrzną, znacznie rzadziej — zagraniczną.

Gdy się rozważa stosunek Ameryki do spraw międzynarodowych, można mówić o trzech zasadniczych stadiach rozwoju historycznego Stanów Zjednoczonych. Pierwsze z tych stadiów, które zakończyło się koło roku 1890, było pod znakiem konsolidowania się Stanów Zjednoczonych jako samodzielnej jednostki państwowej.

Wojna o Niepodległość, „Kupno Luizjany”, przyłączenie Kalifornii, Texasu i Alaski — to były zasadnicze etapy tego stadium. Uwaga Ameryki tego okresu była skierowana przede wszystkim na Zachodnią Półkulę i jej sprawy. Zagadnienia europejskie interesowały Stany Zjednoczone o tyle, o ile dotyczyły się rzeczy najważniejszej — konsolidacji państwowej.

Drugie stadium objęło okres lat 1890-1945. Stany Zjednoczone stopniowo, początkowo raczej nieśmiało, zaczynają wtedy odgrywać rolę mocarstwa światowego. Myśl Ameryki powoli, nie bez wahań, zaczyna wtedy obejmować szersze zagadnienia światowe i widzieć je w odwołaniu od spraw czysto lokalnych. I w rzeczywistości dopiero udział w drugiej wojnie światowej sprawił, że proces ten szybko posunął się naprzód i doprowadził do początków nowego stadium, w którym Stany Zjednoczone zaczęły działać jako kolosalne mocarstwo światowe, decydujące o całej budowlu współczesnych stosunków międzynarodowych<sup>18</sup>. Można też przypuścić, że w tym nowym, rozpoczynającym się dopiero stadium historii Stanów Zjednoczonych wpływ wydarzeń międzynarodowych na amerykańską politykę wewnętrzną będzie coraz wyraźniejszy i wszechstronniejszy.

Byłoby jednak błędem zakładać, że w okresach poprzednich zagadnienia, związane ze stosunkami między Stanami Zjednoczonymi a innymi narodami świata, nie miały wpływu na amerykańskie życie polityczne i na amerykańskie stronnictwa polityczne. W pewnych okresach wpływ ten bywał znaczny. Tak było w czasie Wojny o Niepodległość, tak było w czasie powstawania Konstytucji, gdy ważnym punktem w sporze między Federalistami a jeffersonowskimi Demokratami była sprawa stosunku do Francji i Anglii. W innych okresach wpływ ten był znacznie mniejszy. Tak było np. w latach rządów repu-

---

18. Wyczerpujące omówienie amerykańskiej polityki zagranicznej ostatnich czasów dają: William Reitzel, Morton A. Kaplan i Constance G. Coblenz, *UNITED STATES FOREIGN POLICY, 1945-1955*. Washington, 1956. O reakcjach opinii amerykańskiej na politykę zagraniczną: Gabriel Almond, *THE AMERICAN PEOPLE AND FOREIGN POLICY*. New York, 1950 oraz Louis J. Halle, *CIVILIZATION AND FOREIGN POLICY, An Inquiry for Americans*. New York, 1955.



blikańskich po Wojnie Domowej. Zawsze jednak zagadnienie stosunku Stanów Zjednoczonych do reszty świata jakoś przenikało do amerykańskiego myślenia politycznego i zawsze miało jakieś odgłosy w działalności partii politycznych.

Z tego też względu nie możemy tego zagadnienia pominąć w rozdziale, poświęconym amerykańskim filozofiom politycznym. Oczywiście nie będziemy tu się wdawać w rozpatrywanie całokształtu amerykańskiej polityki zagranicznej w jej rozwoju dziejowym. Ograniczymy się wyłącznie do pewnych zasadniczych koncepcji, odnoszących się do tematu *izolacjonizm contra wszystko to, co nim nie jest*.

„Rdzeniem oporu wobec kształtowania (amerykańskiej) polityki zagranicznej była rozpowszechniona niechęć do sojuszków. Przez stulecie z górami Amerykanie uważali, że sojusze są rzeczą niepożądaną i że jest to zbyt oczywiste, aby mogło podlegać jakiegokolwiek dyskusji”. — Tymi słowy Walter Lippmann charakteryzuje ideologiczne źródła amerykańskiego izolacjonizmu<sup>19</sup>. Uzasadnienia dla takiego przekonania powszechnie szukano w naukach założycieli republiki.

Przede wszystkim powoływano się na następujące miejsce Pożegnального Przemówienia (*Farewell Address*) Washingtona:

„Europa ma system podstawowych interesów, których związek z nami jest żaden albo bardzo daleki. — Stąd musi być ona wciągana w częste kontrowersje, których przyczyny w swej istocie zupełnie nas nie dotyczą. — Stąd też byłoby dla nas rzeczą nierozsądną, gdybyśmy się dali przywiązać sztucznymi więzami do zwykłych dla niej przeciwności jej polityki albo do zwykłych kombinacji i starć jej stosunków przyjacielskich i wrogich”<sup>20</sup>.

Następnie argumentu dostarczyło Inauguracyjne Przemówienie Jeffersona z 4 marca 1801 roku. Jako wytyczną amerykańskiej polityki zagranicznej Jefferson wysunął „uczciwą przyjaźń ze wszystkimi narodami, angażujące sojusze — z żadnym”.

19. Walter Lippmann, *U. S. FOREIGN POLICY, Shield of the Republic*. New York, 1943. Str. 43.

20. Morison i Commager, op. cit. T. I, str. 368.

Wreszcie trzecim źródłem argumentów na rzecz polityki nieangażowania się w sprawy europejskie były ustępy, zawarte w orędziu, jakie Prezydent James Monroe w dniu 2 grudnia roku 1823 przedłożył Kongresowi. W ustępach tych Monroe, przeanalizowawszy ówczesną sytuację światową, doszedł do następujących wniosków:

1. „Kontynenty amerykańskie... odtąd nie mogą być uważane za obiekty przyszłej kolonizacji przez którekolwiek państwo europejskie”.

2. „System polityczny państw sojusznicych (tj. Świętego Przymierza) jest zasadniczo różny... od systemu amerykańskiego... Wszelką ze strony tych państw próbę rozszerzenia ich systemu na jakąkolwiek część naszej półkuli musimy uważać za groźbę dla naszego pokoju i bezpieczeństwa”.

3. „Nigdy nie weźmiemy udziału w wojnach, które mocarstwa europejskie prowadzą w sprawach, tylko ich dotyczących...”<sup>21</sup>.

Na te oświadczenia przez przeszło sto lat powoływali się — a nawet i dziś jeszcze się powołują — ci wszyscy, którzy głoszą filozofię izolowania się Ameryki od reszty świata. W społeczeństwie, w którym kult wielkich postaci historii narodowej jest tak potężnie rozwinięty, autorytet Washingtona, Jeffersona i Monroe miał silną wymowę emocjonalną i dawał odpowiedź na wahania wątpiących. Szeroki ogół nie wchodził też w logiczną interpretację tych wypowiedzi, ani nie badał warunków, wśród których one powstawały. Świadectwem dużych przemian, jakie w Ameryce nastąpiły w latach ostatniej wojny, był fakt, że nie wywołała opozycji — przeciwnie, że spotkała się z uznaniem — krytyka tych tradycyjnych poglądów, pochodząca od wielu historyków i pisarzy politycznych, w pierwszym rzędzie od Lippmanna.

W swej znanej książce o amerykańskiej polityce zagranicznej Walter Lippmann wykazał, że założyciele republiki byli bardzo dalecy od tego, co później było znane jako izolacjonizm i było wiązane z ich nazwiskami<sup>22</sup>. W czasie Wojny o Niepodległość Washington nie wahał się szukać sojuszu z Francją i życzliwie przyjmował poparcie

21. Ibid. T. I. str. 462.

22. Lippmann, op. cit. Rozdział 5, szczególnie str. 43-52.

Rosji oraz Holandii. Jefferson w czasie przeprowadzania wielkiej transakcji, znanej jako Kupno Luizjany, zabiegał o życzliwość Wielkiej Brytanii. Tak zwana Doktryna Monroe była rezultatem ścisłego porozumienia amerykańsko-angielskiego i w rzeczywistości stała się fundamentem sojuszu między Stanami Zjednoczonymi, a Wielką Brytanią.

W innym rozdziale swej książki Lippmann, dając historyczny przegląd amerykańskiej polityki zagranicznej, wykazuje, że Stany Zjednoczone we wszystkich decydujących momentach swych dziejów starały się nawiązywać kontakty z mocarstwami europejskimi, że przyjmowały wobec nich zobowiązania, że szukały z ich strony poparcia. Lippmann uważa — i to jest myślą przewodnią filozofii politycznej tego autora — że błędy amerykańskiej polityki zagranicznej płynęły nie z przyjmowania zobowiązań zagranicznych, ale z przyjmowania takich zobowiązań, których wykonanie przekraczało możliwości i siły republiki. Zdaniem jego, to właśnie mieli na myśli Założyciele, ostrzegając przed wiążącymi sojuszami i traktatami.

Rozprawiając się z izolacjonizmem, Lippmann walczył z pewną koncepcją amerykańskiej polityki zagranicznej i z praktycznymi następstwami tej koncepcji, wypowiedzianymi się w posunięciach Prezydentów i ich Sekretarzy Stanu. Przede wszystkim jednak koncepcja ta wypowiedzała się w uchwałach Kongresu — w rodzaju słynnej uchwały, odrzucającej udział Stanów Zjednoczonych w Lidze Narodów. I nie ulega wątpliwości, że — bez względu na to, jak interpretować myśli Washingtona, Jeffersona i Monroe, bez względu na takie czy inne posunięcia Prezydentów — w amerykańskiej polityce zagranicznej wieku XIX i dużej części wieku XX dominowała chęć trzymania się z dala od spraw europejskich i światowych. Faktem jest przecież, że w ciągu tego czasu Stany Zjednoczone nie stworzyły godnego wielkiego mocarstwa aparatu dyplomatycznego (aparat ten nawet dziś przedstawia się rażąco skromnie) ani nie posiadały rozwiniętej, przemyślanej, pozytywnej koncepcji polityki międzynarodowej.

To zaś było następstwem tych nastrojów i sentymentów, jakie dominowały w społeczeństwie amerykańskim i z natury rzeczy znajdowały dla siebie odbicie w ciałach, społeczeństwo to reprezentujących. Amerykański izolacjo-

nizm jest czymś więcej niż koncepcją polityczną. Jest postawą społeczną, jest filozofią czy wyznaniem wiary dużej części narodu amerykańskiego. I dopiero lata ostatnie przyniosły tu prawdziwą rewolucję.

## 7. Insularność i izolacjonizm

Filozofia ta nie występuje z jednakową mocą na całym przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Jak wiele zjawisk życia amerykańskiego, tak i izolacjonizm jest czymś wybitnie zregionalizowanym. Jest on słabszy w wielkich przemysłowych i portowych ośrodkach wybrzeża atlantyckiego, gdzie zawsze istniały silne więzi handlowe z Europą. Nigdy też nie był on zbyt mocny na Południu — bawełna jest produktem wybitnie eksportowym i południowi producenci bawełny stale byli wpatrzeni w notowania rynków światowych. I nie był on nigdy mocny na Wybrzeżu Zachodnim, które, choć nie zainteresowane w sprawach europejskich, z reguły mocno reaguje na wypadki na Pacyfiku i w Azji.

Izolacjonizm to przede wszystkim Środkowy Zachód. Graham Hutton — wnikliwy obserwator tej wielkiej połaci Stanów Zjednoczonych — widzi w jej „insularności” czy „wyspowości” główną przyczynę izolacjonizmu. Gospodarczo, społecznie, kulturalnie, politycznie Środkowy Zachód był zawsze światem samym dla siebie. Przez długie dziesięciolecia jego związki gospodarcze z resztą Ameryki były słabe i dorywcze, związki gospodarcze z resztą świata — praktycznie rzecz biorąc, żadne. Leżał tak daleko od obu oceanów, że mógł się czuć doskonale bezpieczny od wszelkich niebezpieczeństw z zagranicy. Europa nigdy nie budziła tu zainteresowania, przeciwnie — pod wieloma względami odstręczała.

Hutton uważa — a w poglądzie tym nie jest odosobniony — że obecność na Środkowym Zachodzie bardzo licznych grup emigranckich miała silny wpływ na rozwinięcie się tu postaw nieżyczliwych dla Europy. „Jeżeli Irlandczycy i Bułgarzy, Polacy i Włosi, Szkoci i Niemcy emigrowali do Środkowego Zachodu, to chyba dlatego, że wszystkie ich ojczyzny i ich urządzenia muszą być jednakowe: niepokojące, znacznie gorsze dla ich mieszkań-

ców niż Środkowy Zachód. W przeciwnym razie po co by tyłu Europejczyków chciało przebyć przestrzeń czterech czy pięciu tysięcy mil, aby tu zaczynać nowe życie?"<sup>23</sup>

Fakt więc emigracji budził w starych mieszkańcach Środkowego Zachodu podejrzenia pod adresem Europy i przekonanie, że lepiej od niej trzymać się jak najdalej. Przeświadczenia o niższości Europy w porównaniu ze Środkowym Zachodem umacniał sam widok emigrantów, którzy z pewnością nie reprezentowali najkulturalniejszych środowisk swych dawnych ojczyzn. Nie ulega wątpliwości — wychodźcy ci byli złymi ambasadorami krajów, które opuścili. W oczach amerykańskich byli prymitywni, zacofani, niekulturalni. I cechy te były ryczałem przypisywane całej Europie. Do tego sami emigranci swe dawne ojczyzny przedstawiali w nie najlepszym świetle. Nie było im tam dobrze, porzucili je po to, by w Ameryce zacząć nowe i lepsze życie. „Stąd” — mówi jeden z obserwatorów — „ich żywy opór wobec wszystkiego, co im przypominało Europę”<sup>24</sup>. Zwłaszcza młode pokolenie było pełne krytyki dla Europy i jej ciągłych konfliktów. W Ameryce spotykało się ono z faktami pokojowego współżycia wielu różnych grup etnicznych. Tego w Europie nie było. Europa jest niepoprawna. Lepiej o niej jak najprędzej zapomnieć i trzymać się od niej z dala.

Nie wynika stąd, by starsze generacje przybyszów europejskich nie były zainteresowane tym, co dzieje się w ich dawnych ojczyznach. Istnieją tu silne więzi emocjonalne, istnieje nawet chęć patronowania dawnym krajom rodzinnym. Co więcej — to zainteresowanie dla dawnych ojczyzn ma nieraz wpływ na miejscową politykę: prowadzi do lokalnych konfliktów międzygrupowych, nakazuje miejscowym politykom umieszczać w deklaracjach i programach wyborczych zdawkowe oświadczenia na temat krajów z których wywodzą się wyborcy. Nie trzeba jednak przypisywać temu zbyt wielkiego znaczenia. Czysto emocjonalny stosunek danej grupy emigracyjnej do starego kraju nie równa się bynajmniej zainteresowaniu tej grupy dla

---

23. Graham Hutton, MIDWEST AT NOON. Chicago, 1946. Str. 309.

24. John Gunther, INSIDE U. S. A. New York i Londyn, 1947. Str. 288.

Europy i dla spraw międzynarodowych. A i zainteresowanie dla danego kraju ogranicza się głównie do niesienia pomocy materialnej oraz do udzielania pewnych uwag, zarówno moralizatorskich jak i krytycznych. To ostatnie jest prawie zawsze następstwem przekonania, że byli wychodźcy jako *obecni Amerykanie* są specjalnie kwalifikowani do udzielania takich napomnień. Jednak w konkretnych wypadkach grupy emigracyjne łączą się z całym Środkowym Zachodem w uczuciach izolacjonistycznych, co więcej — są właśnie bardzo ważnym czynnikiem owej zasady trzymania się jak najdalej od „kłótni” europejskich.

John Gunther wymienia aż dwanaście czynników, które w czasie ostatniej wojny spowodowały wzrost izolacjonizmu na Środkowym Zachodzie. W długiej tej liście — jest tu również „insularność” i wpływ emigrantów — na podkreślenie zasługuje rola tradycyjnej niechęci do Anglii <sup>25</sup>.

Przez długie lata Anglia była dla Amerykanina symbolem Europy i europejskiej polityki. Dwie wojny młoda Ameryka stoczyła z Anglią. W czasie Wojny Domowej Anglia niedwuznacznie sprzyjała Południowi. Aż do pierwszej wojny światowej gospodarka amerykańska była ściśle uzależniona od banków londyńskich. Rozwijający się kapitalizm amerykański dotkliwie odczuwał tę zależność od kredytów i inwestorów angielskich. Szczególnie też na Środkowym Zachodzie Anglia stała się synonimem wyzysku, imperializmu, zaborczości. Antykapitalistyczny radykalizm farmerski, tradycyjnie tak mocno związany ze Środkowym Zachodem, widział w kapitalizmie angielskim prawdziwą siłę, ukrytą poza działaniami zniechędzonych banków Wschodniego Wybrzeża.

Wiązanie się z Europą oznaczałoby więc wiązanie się z Anglią. I to było ważną przyczyną faktu, że w czasie drugiej wojny światowej Środkowy Zachód był twierdzą opozycji wobec zagranicznej polityki Franklina Roosevelta.

W Europie widzą często w Niemcach amerykańskich motor izolacjonizmu. Do pewnego (ale tylko do pewnego) stopnia było to słuszne w czasie pierwszej wojny światowej. Przestało to być słuszne w czasie wojny ostatniej. Proces amerykanizacji Niemców amerykańskich posunął się już

---

25. Gunther, op. cit. Str. 308-321.

tak daleko, że w swych nastawieniach politycznych przestali się oni różnić od otoczenia, w którym przebywają. Potomkowie wychodźców niemieckich na Wschodzie stali w swej ogromnej większości za Rooseveltem. Senator Robert Wagner (urodzony w Niemczech) był jedną z czołowych postaci „New Deal’u”. W czasie wojny był jednym z najbardziej bezkompromisowych zwolenników idei zupełnego zniszczenia hitleryzmu. Natomiast na Środkowym Zachodzie potomkowie wychodźców niemieckich razem z ogromną większością obywateli tego rejonu stali na gruncie izolacjonizmu. Ubocznie dodajmy, że wśród najwybitniejszych izolacjonistów byli ludzie, którzy pochodzeniowo nic z Niemcami nie mieli wspólnego.

## 8. Ameryka zaczyna dojrzewać

Walter Lippmann ma bezspornie słuszność, zaprzeczając teorię, która w Jeffersonie chciała widzieć jednego z prekursorów izolacjonizmu. Ten wielki Prezydent był jednym z niewielu polityków amerykańskich, których myślenie ogarniało rozległe dziedziny spraw międzynarodowych i którzy Stany Zjednoczone widzieli na tle stosunków światowych. Po nim dopiero o Wilsonie i jeszcze bardziej o trzech ostatnich Prezydentach dałoby się to samo powiedzieć. Ale też Amerykanie epoki Jeffersona byli znacznie bliżsi starymu światu, niż Amerykanie czasów późniejszych. Mocne i wszechstronne więzi intelektualne łączyły Amerykę końca wieku XVIII i początku XIX nie tylko z Anglią, ale i z Francją i resztą kontynentu europejskiego. Europejskie nowości wydawnicze miały chętnych nabywców w Bostonie, Filadelfii, Charlestonie i New Yorku, prasa amerykańska skwapliwie notowała wiadomości o wypadkach francuskich <sup>26</sup>.

---

26. Robert W. Jones, JOURNALISM IN THE UNITED STATES. New York, 1947. Str. 201 i nast. Jest też rzeczą bardzo znamienną, że w roku 1831 opinia amerykańska bardzo interesowała się wypadkami w Polsce. Grupa żołnierzy polskich, która przybyła do Stanów Zjednoczonych po roku 1831, była przyjęta bardzo serdecznie. Z grupki tej wyszło kilku autorów prac o Powstaniu Listopadowym, napisanych po angielsku. Jedną z nich, pióra Józefa Hordyńskiego, doczekała się nawet kilku wydań.

W miarę jak generacja Washingtona i Jeffersona schodziła do grobu i w miarę jak Ameryka plebeizowała się, związki z Europą stawały się coraz słabsze. Niewątpliwie poszczególne jednostki — ludzie kalibru Emersona, Edgara Allana Poe czy Henry D. Thoreau — były żywo zainteresowane życiem duchowym Europy i starały się utrzymywać z nim kontakt. Ale naród amerykański jako całość coraz bardziej odsuwał się od Starego Świata. Odsuwał się nawet geograficznie — Ameryka maszerowała na zachód, opanowując, kolonizując i eksploatując obszary wnętrza kontynentu. Ten marsz na zachód był olbrzymim przedsięwzięciem. Tworzył epokę niezwykłych wydarzeń i niezwykłych ludzi. I mógł całkowicie pochłonąć uwagę młodego społeczeństwa. Wobec tego, co działo się w Ameryce, stara Europa stawała się czymś coraz bardziej odległym, niepociągającym, nie mogącym wzbudzać zainteresowania.

Faktycznie rzecz biorąc, aż do końca wieku XIX udział Stanów Zjednoczonych w polityce światowej był zgoła minimalny. Choć Stany Zjednoczone były zaliczane do grupy wielkich mocarstw, to przecież głos ich w polityce międzynarodowej rozlegał się bardzo słabo, przeważnie — nie rozlegał się wcale. Nie oznaczało to, by Stany Zjednoczone nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych z innymi narodami i nie prowadziły własnej polityki zagranicznej. Ale polityka ta obracała się wyłącznie w kręgu zagadnień bezpośrednio związanych ze sprawami amerykańskimi, przede wszystkim — w kręgu zagadnień, wynikających ze stałej ekspansji amerykańskiej w kierunku zachodnim. Nie ocean Atlantycki, ale ocean Spokojny leżał na drodze tej ekspansji. W roku 1867 Stany Zjednoczone nabywają od Rosji Alaskę, zbliżając się tym samym do Azji północno-wschodniej i do Japonii. W roku 1878 ustanowiono amerykańską stację węglową na Pago Pago na Samoa. W latach 1893-1898 Stany Zjednoczone zaanektowały wyspy Hawaje, głęboko wchodząc na Pacyfik.

Jeszcze dalej Stany Zjednoczone przeniknęły w głąb Pacyfiku w roku 1898, gdy w wyniku zwycięskiej wojny z Hiszpanią zajęły wyspy Filipińskie. Ale właśnie ta wojna oznaczała zwrot zarówno w amerykańskiej polityce zagranicznej jak i w nastrojach społeczeństwa. Tradycyjny izolacjonizm spotkał się tu z nowymi prądami.



Jak już zaznaczaliśmy, rok 1890 oznacza początek nowego stadium w dziejach amerykańskiej polityki zagranicznej. Przyczyny tego leżały w wypadkach wewnętrznych. Koło roku 1890 kończy się era wewnętrznej kolonizacji Stanów Zjednoczonych. Ostatnie „wolne” ziemie znalazły się w rękach osadników. „Pogranicze” dotarło do Pacyfiku i faktycznie przeszło do historii. Jednocześnie niezmiernemu przyspieszeniu uległ proces akumulowania się wielkich kapitałów. Kapitalizm amerykański, który wyrósł na podłożu nieskrępowanej eksploatacji bogactw krajowych, zaczął kierować swą uwagę na tereny poza Stanami Zjednoczonymi. „Pilnym zagadnieniem staje się ekspansja naszego handlu zagranicznego” — mówił w roku 1897 Prezydent McKinley.

Uwaga wielkich inwestorów amerykańskich była skierowana na Pacyfik oraz na Amerykę Południową. Jak zwykle w takich wypadkach, zaczęło się dorabianie ideologii, rozprowadzanych wśród publiczności przez propagandę prasową. „Ameryka musi zacząć patrzeć na zewnątrz” — pisał kapitan A.T. Mahan, piewca morskiej potęgi Stanów Zjednoczonych. Profesor John W. Burgess odkrył, że narody teutońskie i anglo-saskie są obdarzone specjalną zdolnością do budowania nowych państw i dlatego winny przewodzić w kierowaniu polityką światową. Senator Henry Cabot Lodge — ten sam, który za Wilsona był grabarzem idei Ligi Narodów — pisał, że „od Rio Grande aż do oceanu Atlantyckiego może być tylko jedna jedyna flaga i jeden jedyny kraj... W interesie naszego handlu... winniśmy zbudować kanał w Nikaragui i dla ochrony tego kanału oraz w interesie naszej handlowej przewagi na Pacyfiku musimy mieć kontrolę nad Hawajami i utrzymywać nasze wpływy na Samoa... Anglia usiała Indie Zachodnie swymi umocnieniami, które są stałą groźbą dla naszego wybrzeża atlantyckiego. Musimy mieć wśród tych wysp co najmniej jedną silną stację morską, a z chwilą, gdy kanał w Nikaragui zostanie zbudowany, posiadanie przez nas wyspy Kuby... stanie się koniecznością...”<sup>27</sup>.

W roku 1895 na Kubie wybuchło powstanie przeciw Hiszpanom. Niewątpliwie rządy hiszpańskie były złe i Kubańczycy mieli dużo powodów do niezadowolienia. Ale

---

27. Morison i Commager, op. cit. T. II, str. 322-323.

powody takie istniały od dawna i nieraz już wyrażały się w formie wrzenia. Nigdy też opinia amerykańska nie przemawiała się wypadkami na tej wyspie, łączącej w sobie ogromne możliwości strategiczne z kolosalnie rozwiniętą produkcją cukru. W cukrze tym oraz w kubańskim górnictwie kapitały amerykańskie były zaangażowane do wysokości 50 milionów dolarów, co jak na owe czasy było sumą poważną. Co więcej — roczne obroty handlowe między Stanami Zjednoczonymi a Kubą przewyższały sumę stu milionów dolarów. Możliwości strategiczne Kuby były też należycie ocenione przez tych Amerykanów, którzy wierzyli, że wyrokiem losu Ameryka powołana jest do wielkich zadań na morzach <sup>28</sup>.

Młody podówczas William Randolph Hearst — późniejszy tytan prasy amerykańskiej — ze sprawy kubańskiej zrobił arcydzieło kunsztu propagandy wojennej. Hearst dowiedział, że kampania prasowa, nie cofająca się przed żadnymi środkami i żerująca na niewiedzy czytelników, może osiągnąć fantastyczne wyniki. Nie ulega wątpliwości, że artykuły prasy Hearsta rozpętały nastroje wojenne i przygotowały atmosferę, w której jedynym wyjściem dla Stanów Zjednoczonych zdawało się być wypowiedzenie wojny Hiszpanii <sup>29</sup>.

Wojna, niedołącznie prowadzona przez obie strony, zakończyła się przegraną Hiszpanii. Pokój Paryski dał Stanom Zjednoczonym zdobycze na Pacyfiku (Filipiny) oraz na morzu Karaibskim (Puerto Rico, protektorat nad Kubą). Hiszpania zeszła ze sceny jako mocarstwo światowe. Stany Zjednoczone weszły na tę scenę jako nowa potęga imperialna.

W przygotowaniach do wojny i w samej wojnie poważną rolę odegrał pułkownik Teodor Roosevelt. Ten utalentowany człowiek wierzył w światową misję swej ojczyzny. A gdy został Prezydentem, wyraźnie starał się odejść

---

28. Morison i Commager, op. cit. T. II, str. 326-327 oraz Louis M. Hacker, THE SHAPING OF AMERICAN TRADITION, T. II, str. 877-882.

29. Jones, op. cit. Str. 431-432. O metodach dziennikarstwa amerykańskiego w czasie wojny — John Tebbel, AN AMERICAN DYNASTY, New York, 1947. Str. 69-70. Doskonałą charakterystykę nastrojów zawiera Autobiografia Lincolna Steffensa. Str. 338-343.

od tradycyjnego izolacjonizmu amerykańskiej polityki zagranicznej. „Po raz pierwszy Stany Zjednoczone miały Prezydenta, w którym władcy Europy widzieli równego im, i który umiał prowadzić grę ich sposobami”<sup>30</sup>. Roosevelt czynił wszystko, aby zaznaczyć obecność Stanów Zjednoczonych w polityce światowej. Był mediatorem w wojnie rosyjsko-japońskiej i pod jego auspicjami powstał traktat Portsmouthski. Interweniował w zatargu marokańskim i wysłał swego przedstawiciela na konferencję w Algeciras.

Jednakże Teodor Roosevelt był raczej epizodem — jego następca Taft znów wrócił do polityki trzymania się z dala od Europy. W tym zresztą kierunku szły sentymenty ogromnej większości społeczeństwa amerykańskiego. Ale jeżeli Teodor Roosevelt był epizodem, to był to epizod doniosły. Świadczył on, że w Ameryce kształtują się siły, które z czasem będą mogły wpłynąć na zmianę linii amerykańskiej polityki zagranicznej. Dojrzał bowiem wielki dylemat życia narodowego: skoro zarysowują się granice dla ekspansji wewnątrz kraju, czy nie nasunie się konieczność skierowania ekspansji na zewnątrz i czy w związku z tym nie zajdzie potrzeba kompletnego zrewidowania polityki zagranicznej? Dylemat ten dojrzał całkowicie w wiele lat po erze pierwszego Roosevelta.

W każdym razie era ta wskazywała na możliwość jakiejś alternatywy dla koncepcji trzymania się z dala od spraw światowych. Zagadnienie tej alternatywy wystąpiło z całą mocą w latach drugiej kadencji Woodrow Wilsona.

„Gdy od dawna oczekiwana wojna wybuchła w Europie w roku 1914, Stany Zjednoczone nie miały polityki zagranicznej, która by narodowi (amerykańskiemu) dała możliwość określenia własnych interesów w tym konflikcie. Prezydent Wilson nie posiadał polityki zagranicznej, która by była uznana przez naród i która by dawała mu środki oceniania — czy, dla czego, kiedy, gdzie, jak i do jakich granic Stany Zjednoczone muszą określić swe stanowisko w tej wojnie”<sup>31</sup>. W świetle tej oceny, wypowiedzianej przez Waltera Lippmanna, wilsonowska Ameryka była politycznie zupełnie nieprzygotowana do wypadków, których areną stała się Europa. W społeczeństwie panowały

30. Morison i Commager, op. cit. T. II, str. 407.

31. Lippmann, op. cit. Str. 23.

nastroje, które znajdowały dla siebie wyraz w popularnym powiedzeniu „ta wojna nas się nie tyczy”. Nawet Teodor Roosevelt, który niezadługo miał stać się szermierzem idei udziału Stanów Zjednoczonych w wojnie, po najeździe niemieckim na Belgię, wyrażając swe sympatie dla tego kraju, pisał, że „w najmniejszym stopniu nie możemy odpowiadać za to, co Belgię spotkało”<sup>32</sup>.

Aż do końca roku 1916 stanowisko Wilsona wobec wypadków europejskich było pełne wahań i sprzeczności. Zasadniczy program Prezydenta był programem neutralności. Pod hasłem nieangażowania się w wojnę Wilson przeprowadził w roku 1916 swą drugą kampanię wyborczą. Jak pisze Lippmann, Wilson był między trwogą, że Niemcy wojnę wygrają, i trwogą, że Ameryka wejdzie do wojny, aby Niemcom uniemożliwić zwycięstwo. Blokada, jaką przeprowadzali Anglicy, szkodziła interesom amerykańskim. Ale interesom tym szkodziła również niemiecka wojna podwodna. W tej sytuacji trudno było zachować neutralność, która by pozwalała na wygodę handlowania z obu stronami.

Dobrze znane są okoliczności, wśród których Stany Zjednoczone przystąpiły do pierwszej wojny światowej. Niemniej dobrze znane są ekonomiczne następstwa wojny dla Ameryki i dla reszty świata. Dla nas tu istotne jest to, że po raz pierwszy w swych dziejach Stany Zjednoczone wkroczyły na arenę międzynarodową jako czynnik o wielkim znaczeniu światowym. Żołnierze amerykańscy pojechali do Francji, by wziąć udział w wojnie, która miała położyć kres wszystkim wojnom. Prezydent Stanów Zjednoczonych stał się postacią kierowniczą przy układaniu traktatów pokojowych, co więcej — stał się inicjatorem nowej koncepcji współżycia międzynarodowego — inicjatorem Ligi Narodów.

Ale Wilson miał przeciw sobie we własnym kraju potężną opozycję. Była to opozycja złożona z różnorodnych elementów i kierująca się różnymi motywami. Te różnorodne elementy i motywy znalazły dla siebie wspólne ujście w izolacjonizmie. Spotkali się tu ze sobą skrajni reakcyjniści i skrajni postępowcy, wszyscy przekonani, że Ameryka powinna wrócić do swej tradycyjnej postawy

---

32. Mowry, op. cit. Str. 311.

wobec świata. Na rękę poszły im taktyczne błędy Wilsona, który okazał się fatalnym politykiem. W dniu 19 listopada roku 1919 Senat Stanów Zjednoczonych nie znalazł wymaganej większości dwóch trzecich głosów dla ratyfikowania traktatu wersalskiego. W roku następnym Demokraci próbowali z Ligą Narodów uczynić swe podstawowe hasło wyborcze. Ponieśli całkowitą klęskę. Naród amerykański chciał powrotu do stosunków „normalnych” — zarówno w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej.

Przyszły znów lata rządów republikańskich. O polityce zagranicznej Republikanów powiedziano, że była dyktowana raczej przez fakty, niż teorie. Była to polityka pełna sprzeczności i pozbawiona logiki. Zasadniczo żeglowała ona na falach izolacjonizmu. Ale powrót do dawnego izolacjonizmu był już niemożliwością. Przeciw temu przemawiały wszystkie fakty. Wojna przeniosła ośrodek światowego życia gospodarczego z Europy zachodniej do Ameryki. Stary świat stał się dłużnikiem nowego. Kapitały amerykańskie były zaangażowane w Europie i Azji. Reparacje i długi europejskie, ekspansja japońska na Dalekim Wschodzie — oto były fakty, wobec których Ameryka stała i wobec których, chcąc nie chcąc, musiała się jakoś ustosunkować.

Walter Lippmann, pisząc o amerykańskiej polityce zagranicznej tych czasów, zauważa, że „trudno by było znaleźć drugi bardziej doskonały przykład tak zupełnej niekompetencji w kierowaniu stosunkami zagranicznymi jakiegoś narodu”<sup>33</sup>. Z jednej strony panował izolacjonizm ekonomiczny — Ameryka odgradzała się od reszty świata murami taryf celnych i zamykała się przed napływem emigrantów. Równocześnie szedł nacisk na dłużników europejskich. Ale równocześnie inwestorzy amerykańscy rozbudowywali gospodarkę niemiecką. Aż do roku 1953 Stany Zjednoczone nie uznawały zmian, jakie w roku 1917 nastąpiły w Rosji. To jednak nie przeszkodziło temu, że inżynierowie amerykańscy walnie przyczynili się do zbudowania Dnieprostroju. Na Pacyfiku wobec ekspansji japońskiej stosowano politykę słabości i ustępstw. Aby nie

---

33. Lippmann, op. cit. Str. 30. Dobra ocena tego okresu — James P. Warburg, FOREIGN POLICY BEGINS AT HOME. New York, 1944. Str. 85-102.

drażnić Japończyków, nie rozbudowano bazy morskiej na wyspie Guam. Drogo później Stany Zjednoczone za to zapłaciły. Osłabiano i zrażano Anglię. Podejmowano mediacje, z którymi nikt nie mógł się liczyć, albowiem nikt nie był pewny, czy Ameryka swe propozycje traktuje poważnie, czy naprawdę chce je poprzeć środkami swej potęgi.

Był to gorszący obraz ogromnego mocarstwa, niedołęznego wobec zadań, do których z racji swej potęgi było powołane. Dzisiejsze pokolenie dojrzewającej Ameryki jest w pełni świadome tych błędów i przewin. I nie boi się o nich mówić. Ale w Ameryce zawsze znajdują się ludzie, którzy nie boją się mówić rzeczy niepopularnych i przykrych dla ambicji narodowych. I, oceniając tę minioną epokę, stwierdzają, że ani kierownicy amerykańskiej nawy państwowej, ani — co ważniejsza — samo społeczeństwo, nie wykazali zrozumienia dla zadań, jakie historia na Stany Zjednoczone nałożyła.

Z takim spadkiem po zakończonej epoce objął swe rządy Franklin Delano Roosevelt. Jednym z naczelných jego celów było przystosować amerykańską politykę zagraniczną do tych obiektywných zadań, jakie stawały przed Stanami Zjednoczonymi. Roosevelt miał tu do pokonania wiele przeszkód. Jedną z najtrudniejszych były idee, jakimi żył naród amerykański.

Dwie pierwsze kadencje Roosevelta stały pod znakiem polityki wewnętrznej. To wtedy były sprawy najważniejsze, najbardziej palące. A w swych wystąpieniach na tematy zewnętrzne Roosevelt musiał stale się liczyć z nastrojami społeczeństwa, w którym wciąż przeważały obawy przed angażowaniem się w sprawy międzynarodowe. Jednakże w tym okresie Roosevelt wypracowuje swą koncepcję polityki „stosunków dobrosąsiedzkich” w odniesieniu do krajów Ameryki Łacińskiej i Kanady. Nowa ta polityka miała zająć miejsce dawnego patronackiego i imperialistycznego stosunku potężnej republiki północnej do jej słabych siostrzyc na Półkuli Zachodniej. Rzeczywista jednak rewolucja w amerykańskich koncepcjach polityki zagranicznej przypadła na dwie ostatnie kadencje Roosevelta oraz na czasy późniejsze.

Nie tu miejsce na dokładne omawianie amerykańskiej polityki zagranicznej tego okresu. Rok 1945 zakończył tu

stadium dojrzewiania, rozpoczęte koło roku 1890. Lata późniejsze zapoczątkowały stadium nowe — wejścia Stanów Zjednoczonych na arenę światową jako decydującego czynnika wydarzeń międzynarodowych. Sprawy te jednak mogą nas tu interesować tylko ze względu na swój związek z szerszymi prądami społecznymi, mającymi jakiś wpływ na grę polityczną wewnątrz Stanów Zjednoczonych.

Izolacjonizm niewątpliwie słabł, ale nie znikał. I nie jedno z niego wciąż się zachowuje. Środkowy Zachód jest nadal głównym jego ośrodkiem. Ale w izolacjonizmie coraz wyraźniej dają się zauważyć różnicowania.

Przede wszystkim istnieje tu prąd, który wyraża obawę, że mieszanie się Stanów Zjednoczonych do spraw światowych może mieć ujemne następstwa dla wewnętrznego rozwoju narodu amerykańskiego. Niektórzy skrajni konserwatyści — jak np. Senator Taft — lękali się, że udział Ameryki w wojnie światowej nie będzie mógł minąć bez wpływu na amerykańskie stosunki wewnętrzne i to w kierunku sprzecznym z „amerykańskim sposobem życia”. Innymi słowy — głównym motywem był tu lęk przed rewolucjonizującymi następstwami udziału w wojnie, lęk przed wzmocnieniem władzy centralnej, przed koniecznością dalej posuniętych reform społecznych i gospodarczych. W latach powojennych ta sama filozofia prowadzi do zwalczania Organizacji Narodów Zjednoczonych i do domagania się wyjścia z tej organizacji Stanów Zjednoczonych. Na tym to tle pewne grupy republikańskie ostro przeciwstawiają się polityce zagranicznej Prezydenta Eisenhowera.

W praktyce do podobnych wniosków dochodzili na początku wojny niektórzy liberalni pacyfiści. Tak np. socjalista Norman Thomas wyrażał obawę, że udział Stanów Zjednoczonych w wojnie wzmoże w kraju reakcję, że odda władzę w ręce klik wojskowych i związanych z nimi grup *big businessu*. Podobne poglądy głosił również wielki historyk Charles Beard<sup>34</sup>. Stanowiska takie zniknęły po wojnie i program poparcia dla Narodów Zjednoczo-

34. Zwięzłe przedstawienie poglądów Beardów zawiera A BASIC HISTORY OF THE UNITED STATES. New York, 1944. Rozdział XXVIII.

nych stał się wyznaniem wiary wszystkich kierunków i od-  
cieni amerykańskiego liberalizmu.

Inny typ izolacjonizmu był w czasie wojny reprezentowany przez wydawcę i redaktora „Chicago Tribune” pułkownika Roberta R. McCormicka i przez związane z nim grupy na Środkowym Zachodzie oraz w Kalifornii. Był to izolacjonizm, który można by nazwać jednostronnym. Według tego stanowiska właściwym wrogiem Ameryki była Japonia i przeciw Japonii cały wysiłek wojenny winien był być skierowany. W praktyce ta antyjapońska koncepcja oznaczała program jak najdalej posuniętej ekspansji w głąb Pacyfiku. Pułkownik McCormick nigdy — nawet w czasie wojny — nie krył się ze swą nienawiścią do Anglii i twierdził, że losy Wielkiej Brytanii i całej Europy nie powinny Ameryki obchodzić. Dziś te antyjapońskie nastroje należą do przeszłości. Przeciwnie — zastąpiła je jak najdalej posunięta życzliwość dla Japonii jako zasadniczej amerykańskiej forpocztą na Oceanie Spokojnym. W całej natomiast pełni utrzymało się przekonanie, że przyszłość Ameryki jest na Pacyfiku i że tam — a nie w Europie — leży teren istotnych zainteresowań Stanów Zjednoczonych. Z tych to względów koła, hołdujące takiej filozofii, są gorącymi zwolennikami polityki wrogiej komunistycznym Chinom i popierają Chiny nacjonalistyczne.

Rozwój wypadków wojennych coraz bardziej wzmacniał na siłach obóz antyizolacjonistyczny. Sprzyjała temu polityka samego Roosevelta, który, zręcznie lawirując, stwarzając fakty dokonane, oswajał swój naród z myślą o konieczności radykalnej zmiany w polityce zagranicznej. Dziś dużo się mówi o błędach popełnianych przez Roosevelta-dyplomatę. I niewątpliwie były wśród nich błędy bardzo poważne. Zapomina się jednak o roli *wychowawczej*, jaką Roosevelt - dyplomata i mąż stanu odegrał wobec własnego narodu. A była to rola bardzo duża. Roosevelt dał swemu narodowi wielką wizję, oswoił go z myślą, że w wyroku samej historii droga izolacjonizmu została przed Stanami Zjednoczonymi zamknięta.

Wypadki doby powojennej postawiły Stany Zjednoczone wobec konieczności podejmowania wielkich decyzji w skali międzynarodowej. Na czoło wysunęło się tu zagadnienie stosunku do Związku Sowieckiego — drugiego



wielkiego protagonisty na scenie światowej. Doktryna Trumana, plan Marshalla, wojna w Korei, zagadnienie chińskie — oto szczytowe wydarzenia, z których każde wymagało nowych dróg postępowania, zupełnie różnych od tradycyjnych wskazań. Obok tego pierwszorzędne znaczenie ma zagadnienie Narodów Zjednoczonych i rola, jaką Ameryka ma w nich odgrywać.

Nie trzeba się łudzić, że izolacjonizm został całkowicie przewyciężony. Ale trwa on bardziej jako postawa psychiczna niż jako wyraźna doktryna. I jako taka postawa nieraz znajduje odbicie w koncepcjach, które zdają się być dalekie od izolacjonizmu. I prawdopodobnie jako postawa psychiczna będzie on jeszcze trwać długo i nieraz się w różnych postaciach wypowiadać. Żadne społeczeństwo nie wyzbywa się łatwo i szybko swych zakorzenionych nawyków i odczuwań.

Odrzucanie izolacjonizmu nie oznacza, by społeczeństwo amerykańskie dochodziło do jakiejś jednolitej, skryształizowanej i wolnej od sprzeczności koncepcji narodowej polityki zagranicznej. Przeciwnie — wszystko jest tu wciąż płynne, pełno tu różnorodnych i ścierających się idei. Ale któreż to ze społeczeństw naszych czasów może powołać się na to, że koncepcję taką posiada? Ważne jest to, że zagadnienie roli światowej Stanów Zjednoczonych stało się w Ameryce przedmiotem ciągłej dyskusji, że w dyskusji tej biorą udział najrozmaitsze czynniki społeczne — nauka, prasa, literatura, grupy wyznaniowe i zawodowe. Jedności w tym nie ma. Ale czy może być? Ba, czy powinna być? Ameryka jest demokracją i ludzi się ten, kto przypuszcza, że jakieś idee mogą tu być narzucone.

To wszystko w jakiś sposób dociera do amerykańskich stronnictw politycznych. Nie są one środowiskami ideotwórczymi i nie pretendują do takiej roli. Są jednak terenem, na którym idee ścierają się ze sobą i przez który przechodzą, by dojść do praktycznego urzeczywistnienia się.

Czas teraz jest przejść do dokładniejszego zapoznania się z tym terenem. Zajmiemy się badaniem mechanizmu politycznego demokracji amerykańskiej — amerykańskiego systemu partyjnego.

## Rozdział III

### STANY ZJEDNOCZONE JAKO SCENA DZIAŁALNOŚCI PARTYJNEJ

#### 1. Nie było feudalizmu

„Europejskie stronnictwa polityczne były uwarunkowane (w swym rozwoju dziejowym) przez takie pozostałości po średniowieczu, jak: rodowa szlachta, dziedziczna monarchia, zawodowa armia i państwowy kościół... W społeczeństwie amerykańskim brak tych elementów spowodował uderzające wyniki. Bogactwa naturalne i inne czynniki gospodarcze, nie krępowane przez przeżytki feudalnej przeszłości, wywarły kolosalny i dynamiczny wpływ na rozwój społeczeństwa amerykańskiego, powodując powstawanie w nim instytucji kontrastowo różnych od istniejących w Europie”<sup>1</sup>. — Te słowa amerykańskiego historyka mogą nam posłużyć za punkt wyjściowy dla rozważenia warunków, wśród których powstał amerykański system partyjny, i dla wyjaśnienia sobie, dlaczego musiał się on różnić od partyjnych systemów Starego Świata.

Amykańskie stronnictwo polityczne jest tak różne od europejskiego, jak różny jest cały rozwój historyczny narodu Stanów Zjednoczonych od rozwoju narodów Europy. Geneza europejskich stronnictw politycznych jest bezpośrednio związana z *tą rewolucją, jaką kapitalizm uniósł w ustrój feudalny*. W swych dalszych etapach rozwojowych stronnictwa te przeobrażały się pod wpływem

---

1. Binkley, op. cit. Str. 4.

tych zasadniczych zmian, jakie zachodziły w kapitalizmie europejskim. To jednak, że rodowód ich leży w upadku monarchii dziedzicznej, opartej na instytucjach stanowo-feudalnych, miało decydujące znaczenie dla całej ich dotychczasowej historii.

Europejski system partyjny wyrósł — po pierwsze — z walki pomiędzy feudalną własnością agrarną, broniącą tradycyjnych praw dynastycznych, kościelnych, przywilejów szlacheckich, a burżuazją, domagającą się swobody dla gospodarki kapitalistycznej, oraz — po drugie — z walki pomiędzy zwyczajną burżuazją a klasą robotniczą (w wielu krajach była to walka między wielką własnością szlachecką a chłopami), przy czym robotnicy (czy chłopci) musieli również pokonywać zapory, jakie pozostały się po ustroju feudalnym.

Niewątpliwie jest to schemat wybitnie uproszczony, pomijający wiele najistotniejszych momentów. Schemat ten jednak wyjaśnia nam z gruba funkcje, jakie w pewnych okresach historycznych spełniały takie europejskie partie polityczne, jak: konserwatywni tradycjoniści, burżuazyjni liberałowie, socjaliści, komuniści, ludowcy i — w epoce przed wojną ostatnią — faszyci. Każda z tych partii określała pewne wyraźne siły społeczne, zajmujące wyraźne miejsce w układzie gospodarczym epoki, w strukturze społeczno-klasowej i politycznej danego społeczeństwa. Za każdą z tych partii stały określone klasy społeczne, określone interesy gospodarcze, określone ideologie. Każda z tych partii walczyła o swój wzór życia zbiorowego, o swoje pojmowanie cywilizacji. Walki między nimi były wysoce dramatyczne i wszechstronne. Bo też najwyższe stawki wchodziły tu w grę. Używane były wszelkie narzędzia — od myśli filozofów do brutalnej siły. I szczególnie w pewnych okresach, w okresach przełomowych dla całych systemów współżycia międzyludzkiego, napięcie walki dochodziło do szczytu, wyrażając się w rewolucjach, kontrrewolucjach i wielkich wojnach międzynarodowych.

Te okoliczności, tak istotne dla europejskich systemów partyjnych, Stanom Zjednoczonym były albo zupełnie albo prawie zupełnie nieznane. Tu inne zgoła czynniki decydowały o rozwoju instytucji partyjnych i dzięki tym czynnikom amerykańskie stronnictwa polityczne przyjęły

funkcje i zdobyły oblicze niepodobne do tego, co właściwe jest partiom europejskim.

Stany Zjednoczone jako całość nie przeszły przez okres feudalizmu. Gdy tworzyła się kolonialna Ameryka, w samej Anglii następował już zmierzch ustroju feudalnego. Kolonizacja nowych ziem była dziełem kompanii handlowych, zorganizowanych na zasadach kapitalistycznych, była dalej dziełem dysydenckich grup religijnych, przeciwstawiających się państwowym kościołom, była wreszcie dziełem „pionierów”, którym obce i wrogie były tradycje feudalne<sup>2</sup>. Nie znaczy to, aby czynnik szlachecko-arystokratyczny nie odgrywał żadnej roli we wczesnych okresach kolonizowania nowego kontynentu. Wśród osadników — szczególnie w Virginii — nie brakło utytułowanych osobników, korzystających z nadań królewskich. Ale akcja osadnicza, jaką przeprowadzali najwięksi beneficjanci — Pennowie w Pensylwanii, lordowie Baltimore i Delaware w Maryland i Delaware — nie była połączone z próbą przeniesienia do nowego świata urzędzeń feudalnych świata starego. Zresztą po Rewolucji spora część potomków starych angielskich rodów szlacheckich, nie pogodzona z nowym porządkiem, wolała opuścić Stany Zjednoczone. Inni — że wymienimy tu choćby Washingtona i Jeffersona — nie tylko porządek ten przyjęli, ale sami walnie przyczynili się do jego umocnienia.

Oczywiście było plantatorskie Południe, gdzie system niewolniczy spowodował powstanie swoistej formy feudalizmu. Ale arystokracja południowa była zjawiskiem lokalnym, raczej izolowanym od reszty kontynentu i nie mającym większego wpływu na tendencje rozwojowe całych Stanów Zjednoczonych. I właśnie Wojna Domowa najlepiej świadczyła o tym, jak bardzo ów feudalizm Południa nie był przystosowany do reszty olbrzymiego kraju.

Jeżeli w Stanach Zjednoczonych istniały centra arystokratyczno-feudalne, to wojna lat 1861-1865 zadała im cios śmiertelny. Jak Wielka Rewolucja obaliła we Francji *l'ancien régime*, tak Wojna Domowa zniszczyła w stanach południowych to, co w Ameryce było odpowiednikiem europejskiego feudalizmu. Ale jeżeli rewolucja fran-

---

2. Beardowie, *The Rise...* T. I, str. 17 i nast. oraz J. T. Adams, *op. cit.* Str. 39 i nast.

cuska była dziełem ludu francuskiego, to rewolucyjne przemiany, jakie po roku 1865 w Ameryce nastąpiły na Południu, nie były dziełem sił lokalnych, przyszły z zewnątrz, były Południowi narzucone przez zwycięską Północ. Tu, na plantatorskim Południu, politycznym instrumentem tej narzuconej rewolucji była, wywodząca się z Północy, Partia Republikańska. I dlatego to w oczach Południa Republikanie będą zarówno partią rewolucyjną, jak i partią obcą, czymś przybyłym z zewnątrz, z terenem niezwiązanym, siłą, która prawem zwycięzcy narzuciła Południowi reformy i urządzenia, przez owo Południe nie pożądane. To, że Partia Republikańska czasów Wojny Domowej występowała na Południu i wobec Południa jako siła rewolucyjna (choć narzucona z zewnątrz), tłumaczy nam również, dlaczego Republikanie tego czasu byli wyrazicielami jakiejś wyraźnej ideologii i dlaczego byli w historii amerykańskiej rzadkim przykładem stronnictwa, które mogło być porównane z wzorami europejskimi. Tak jak plantatorskie Południe było tą częścią Ameryki, która dawała się porównać z Europą.

Ale okres ten to tylko epizod w dziejach Partii Republikańskiej a i w całych dziejach Stanów Zjednoczonych. Jak bądź co bądź epizodem tylko był plantatorsko-niewolniczy feudalizm Południa. O całokształcie historii narodu amerykańskiego trzeba powiedzieć, że *obcy jej był okres feudalizmu i że dlatego — inaczej niż w Europie — feudalizm i następstwa jego rozkładu nie miały znaczenia dla rozwoju amerykańskiego systemu partyjnego.*

Właściwości swe system ten zawdzięcza zupełnie innym czynnikom, istotnym dla Stanów Zjednoczonych i całego ich rozwoju.

## 2. Demokracja plebejska

Naród amerykański powstał w wyniku kolonizowania i eksploataowania olbrzymiego, pełnego naturalnych bogactw kontynentu przez zastępy ludzi, którzy porzucali swe dawne ojczyzny, albowiem nie znajdowali w nich środków dla zaspokojenia swych potrzeb i dążeń. Formy, w jakich odbywała się ta emigracja, były dalekie od wzniosłości. Ludzie, którzy w niej brali udział, nie byli — poza

nielicznymi stosunkowo wyjątkami — apostołami wielkich ideałów, poszukiwaczami Królestwa Bożego na ziemi. Ale bez względu na to, czy przybywali stłoczeni na statkach „kompanii” wieku XVII czy w niemniej natłoczonych i cuchnących międzypokładziach statków drugiej połowy wieku XIX, wszyscy oni byli nieskończenie bliżsi Europie ludowej, niż Europie arystokratycznej. Ludzie ci uosabiali to, co można wyrazić słowem „ludowość”, albo — jeszcze lepiej — „plebejskość”. W warunkach nowej ziemi „plebejskość” ta stwarzała doskonałą podstawę dla rozwinięcia się demokratyzmu. I jakkolwiek na Południu istniał system niewolniczy, który z czasem przerodził się w dzisiejszy system kastowy, jakkolwiek istniały tendencje arystokratyczne wśród plutokracji miast nadatlantycznych, jakkolwiek istniały w XVII wieku próby zaprowadzenia purytańskiej teokracji w Massachusetts, to przecież w całości naród amerykański powstał i rozwijał się jako społeczność głęboko demokratyczna. Był to jednak specyficzny demokratyzm i ta jego specyficzność wycisnęła silne piętno na całym życiu Stanów Zjednoczonych i na ich systemie partyjnym.

Dla rozwoju tej społeczności i tego demokratyzmu decydujące znaczenie miało „pogranicze”. Warunki, jakie tu panowały, wytwarzały swoisty typ stosunków międzyludzkich i swoistą atmosferę moralną. Jedno i drugie miało ogromne znaczenie dla całego życia amerykańskiego, w pierwszym rzędzie — dla życia politycznego.

Każde z tych małych, izolowanych osiedli „pogranicza” żyło własnym życiem. Zainteresowania mieszkańców koncentrowały się dokoła spraw własnych, przede wszystkim — gospodarczych. Byli to zresztą ludzie bardzo prości, niewykształceni, zahartowani w ciężkiej walce z przyrodą i Indianami. Wszyscy znali się nawzajem, każdy był w jakimś stopniu zależny od drugiego. Cóż bowiem jednostka mogła tu działać bez pomocy sąsiadów? Niewątpliwie dość wcześnie zaczęły się tu zaznaczać różnicowania majątkowe. Nie pociągało to jednak za sobą poważniejszych różnicowań w szacowaniu bliźniego. Osiedlom „pogranicza” obca była ta sztywna hierarchizacja społeczna, jaka cechowała stosunki międzyludzkie w miastach i miasteczkach Starego Świata. Pewna hierarchizacja — podział na „lepszych” i „gorszych” — przyszła póź-

niej, zwłaszcza gdy do osiedli już zanikającego „pogranicza” zaczęli masowo napływać wychodźcy europejscy oraz Murzyni południowi. Ale i ta hierarchizacja była czymś płynnym i z wyjątkiem Murzynów nie przybierającym sztywnych form trwałej instytucji. Do tego zaś czasu sąsiad był sąsiadem. Mógł być bardziej szanowany od innego, mógł cieszyć się większym autorytetem, zwłaszcza jeżeli osiągał sukces materialny, nie przestawał jednak być sąsiadem, którego znało się od dziecka i którego zawsze nazywało się zdrobniałym imieniem czy przezwiskiem. Bardzo dużo z atmosfery wsi europejskich było w tych małych osiedlach amerykańskich. Ameryka, której obce jest chłopstwo i instytucje wsi chłopskiej, w swych stosunkach międzyludzkich wytworzyła postawy, żywo przypominające nam świat chłopów europejskich.

Była to *demokracja plebejska*, demokracja sąsiadów, kumotrów, demokracja, którą jeszcze i w naszych czasach można dostrzec i ocenić na tle miasteczek Środkowego Zachodu czy Nowej Anglii. Wiele dodatkowych okoliczności sprzyjało jej utrwaleniu się i rozpowszechnieniu w całej Ameryce.

Taką okolicznością była wyjątkowo wielka *ruchliwość przestrzenna i społeczna* narodu Stanów Zjednoczonych. Naród ten był w ciągłym marszu na zachód. „Pogranicze” nieustannie przesunęło się w tym kierunku. Ludzie wciąż zmieniali miejsce — z początku w krytych wozach, później — w wagonach kolejowych, samochodach i samolotach. Te ciągłe wędrówki nie sprzyjały usztywnianiu się form i instytucji społecznych, dawały jednostkom stosunkowo znaczną szansę zmieniania kondycji socjalnej i gospodarczej.

W parze z ruchliwością przestrzenną szła *ruchliwość społeczna* — łatwość przerzucania się z zawodu do zawodu, z pozycji socjalnej do pozycji socjalnej. Ameryka jest jednym z niewielu krajów na świecie, gdzie typowe dla starej Europy społeczne klasyfikowanie zajęć gospodarczych jako „lepszycy” i „gorszych” ma stosunkowo małe znaczenie. Oczywiście i tu zachodzi jakaś klasyfikacja, ale miernikiem jest przede wszystkim sukces, określany stopą dochodu. Gdy w czasie wojny — a i po wojnie — tysiące nauczycieli szło do pracy fizycznej w przemyśle, nikt nie widział w tym degradacji społecznej. Przeciwnie — oceniano to jako

awans — robotnik przemysłowy zarabia znacznie lepiej niż nauczyciel.

Ruchliwość przestrzenna i społeczna, utrwalając demokrację ludową, utrudniała wytworzenie się w Ameryce tej stratyfikacji społecznej, jaką kapitalistyczna Europa odziedziczyła po swej feudalno-stanowej poprzedniczce. Ale równocześnie zatamowała w Stanach Zjednoczonych rozwijanie się masowych postaw klasowych.

Ameryka jest wielkim społeczeństwem przemysłowym, którego gospodarka oparta jest na zasadach określanych jako kapitalistyczne. Zachodzą tu znaczne różnicowania majątkowe, skomplikowane przez zamknięcie w ramach kastowych takich grup, jak Murzyni, Meksykańczycy czy Portorykańczycy. Ale jednocześnie w niewielu chyba krajach świata te obiektywnie istniejące różnicowania znajdują dla siebie tak słabe odbicie w subiektywnych odczuwaniach mas ludzkich, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce i z zawodu do zawodu, nierozwinięta stratyfikacja społeczna, żywe tradycje egalitarne, tradycje równości startu życiowego (*opportunity for everybody*) — to ważne okoliczności, które umożliwiły rozwinięcie się takich postaw. Zostały one wzmocnione przez wysoki poziom życiowy, przez uniformizm w stylu życia, przez system sprzedaży, który wpłynął na zatarcie zewnętrznych różnic majątkowych, przez wiele innych momentów, do których jeszcze wypadnie nam wrócić.

Te wszystkie okoliczności sprawiły, że demokracja plebejska jest wciąż czymś żywym w stosunkach międzyludzkich w Stanach Zjednoczonych, czymś, co przejawia się we wszystkich dziedzinach życia amerykańskiego i wywiera na nie stały wpływ. Jest to tym ważniejsze, że punkt ciężkości amerykańskiego życia politycznego ciągle jeszcze spoczywa w małych miasteczkach, jakich tysiące są rozrzucone po całej przestrzeni kolosalnego kraju. W tych zaś miasteczkach, gdzie wszyscy się znają, gdzie „człowiek miejscowy” ma przewagę nad najbardziej uzdolnionym przybyszem, dominują zagadnienia lokalne i zainteresowanie dla nich przeważa w zbiorowym myśleniu i działaniu. Są to zagadnienia bardzo konkretne i na wskroś praktyczne. Odnoszą się one do potrzeb całej gromady, czy też — co często przeważa — do potrzeb pewnych grup interesów, dominujących w danej miejscowości. Bardzo często są to interesy



kontrastujące, będące wyrazami konfliktów międzygrupowych. O ile jednak konflikty te, przeniesione na płaszczyznę szerszą — stanu, regionu, całego kraju — przybierają niekiedy formy dramatyczne, o tyle w skali lokalnej są one najczęściej łagodzone przez dobroduszną atmosferę sąsiedzkiego współżycia plebejskiej społeczności. Oczywiście i tu niekiedy dochodzi do rewolt miejscowych, i tu stosunki ulegają zaostreniu, rzadko jednak — nawet w czasach dzisiejszych — prowadzi to do sytuacji naprawdę poważnych.

### 3. *Eksploatacja wielkiego kontynentu*

„Nasz system partyjny wyrósł z zadania przystosowania pisanej konstytucji do konieczności rządzenia wielkim kontynentem” — powiada jeden z najpoważniejszych badaczy amerykańskich stosunków partyjnych<sup>3</sup>. Tu dochodzimy do nowego momentu, który dla rozwoju amerykańskich stronnictw politycznych miał kolosalne znaczenie.

Z wyjątkiem jednej Rosji, narody starej Europy miały dla swego rozwoju bardzo ciasne granice terenowe. W porównaniu z Rosją i Stanami Zjednoczonymi narody europejskie zajmują miniaturowe przestrzenie. Sam tylko jeden stan Texas jest trzy i pół raza większy od terytorium państwa polskiego. Odnosząc słowo „kontynent” do Stanów Zjednoczonych, nie używa się przenośni.

Ten kolosalny kontynent jest bardzo słabo zaludniony. W chwili obecnej liczba mieszkańców Stanów Zjednoczonych zaledwie przekroczyła sto sześćdziesiąt milionów. Równocześnie jest to kontynent zaopatrzonej we wszelkie surowce i inne bogactwa naturalne. I jakkolwiek znaczna część tych zasobów jest dziś w stadium wyczerpywania się, to jednak są one wciąż ogromne i umożliwiają Stanom Zjednoczonym prawie całkowitą samowystarczalność gospodarczą.

Cały amerykański system gospodarczy wyrósł i rozwinął się na podłożu nieotamowanego eksploataowania wielkiego kontynentu przez niezbyt liczną społeczność tego kontynentu. Była to społeczność emigrantów, osadników, „pionierów”, którzy przybywali na nową ziemię, aby dla

3. Herring, op. cit. Str. 125.

swych celów gospodarczych wyzyskiwać coraz to większe jej obszary i ich bogactwa. Tu mieści się jedna z najważniejszych różnic między kapitalizmem amerykańskim a kapitalizmami europejskimi. Tym ostatnim było „ciasno” we własnych ojczyznach. Dla swojej ekspansji musiały przetrzącać się na obszary zamorskie, do kolonii. Tam stosowały metody bezwzględnej eksploatacji, przez długi czas mało dbając o gospodarcze i społeczne następstwa tych metod. Kapitalizm amerykański miał we własnym kraju dość obszarów do eksploatacji. W rzeczywistości — zwłaszcza we wczesnych okresach — we własnym kraju, na własnym terenie stosował on metody, które kapitalizm europejski wprowadził do kolonii. Wojna Domowa otworzyła dla tych metod cały obszar Stanów Zjednoczonych.

Niewątpliwie w tej eksploatacji kontynentu nie wszystkie grupy i środowiska narodu amerykańskiego były zaangażowane w stopniu jednakowym. Siłą motoryczną byli tu wielcy potentaci — najpierw miast wybrzeża atlantyckiego, później i innych terenów — i oni to byli głównymi profitantami. W jakiejś jednak mierze wszystkie grupy, środowiska i klasy narodu amerykańskiego były w tym zaangażowane. I wszystkie w jakimś stopniu były profitantami. Bochenek amerykański był bez porównania większy od bochenków europejskich, a liczba kandydatów, którzy nim mieli się dzielić, była nieproporcjonalnie mniejsza. Oczywiście największe kawałki z tego podziału przypadły bankierom z Wall Street, potentatom kolejowym i magnatom stalowym, ale okruchy, jakie dostawały się zwykłym ludziom, były wystarczająco obfite i pożywne, aby w milionowych masach amerykańskich utrwalić przekonanie o ich czynnym i korzystnym uczestniczeniu w tej gigantycznej operacji ekonomicznej. Oczywiście zdarzały się sytuacje, gdy — jak to bywało w latach wielkich kryzysów — okruchy znikwały. Ale kryzysy przemijały i pamięć o nich w latach pomyślności szybko zacierała się. A wszystko to znów pomaga nam zrozumieć, dlaczego w Stanach Zjednoczonych nie mogła się rozwinąć postawa, określana w Europie jako „świadomość klasowa”, i dlaczego tak nie miały powodzenia kierunki polityczne, wychodzące z założeń wyraźnie klasowych.

Eksploatacja wielkiego kontynentu przez nieliczny naród miała wszechstronny i głęboki wpływ na życie poli-

tyczne tego narodu i na jego instytucje partyjne. „Łączność między interesami gospodarczymi a politykowaniem czerwona nicią przechodzi przez całe nasze dzieje. Kapitalizm i system partyjny rosły razem. Wszystko szło dobrze tak długo, dopóki sfera życia gospodarczego spełniała nadzieje obywateli”<sup>4</sup>. Amerykański system partyjny to przede wszystkim polityczne narzędzie, jakim system gospodarczy posługiwał się w swej wielkiej operacji ekonomicznego rozwijania i eksploataowania ogromnego kontynentu.

„...koleje żelazne, towarzystwa ubezpieczeniowe i wielkie domy bankierskie... były władcami miejscowych „bosów” stanowych. Ci zaś, zbierając się na partyjnych konwencjach ogólnonarodowych, odbierali rozkazy z Wall Street, a niekiedy, w przystępie dumy, rozkazywali tejeż Wall Street, np. wystawiając kandydaturę wice-prezydenta lub umieszczając w programie wyborczym punkt o emeryturach”<sup>5</sup>. Tak o stosunkach końca wieku XIX pisał White, człowiek, który całe swe dojrzałe życie spędził na obserwowaniu amerykańskiej gry politycznej. W żadnym też chyba z krajów Europy związek między partią polityczną a kierownictwem systemu gospodarczego nie osiągał stopnia takiej bliskości i wszechstronności, jak to miało miejsce w Stanach Zjednoczonych. Na najwyższych szczeblach hierarchii polityczno-gospodarczej zależność ta wyrażała się przez koncesje, jakie dzięki partiom otrzymywały towarzystwa kolejowe, przez taryfy, przez ustawy bankowe, przez setki uchwał, które potentatom gospodarczym dawały prawną sankcję dla ich działalności. Na szczeblach niższych wyrażała się to w małych koncesjach dla miejscowych osiedli i ich organizacji gospodarczych, w posiadach i doraźnych zarobkach, jakie przypadały osobom, biorącym udział w politykowaniu.

Już Bryce zwrócił uwagę na fakt, że w Ameryce kariera polityczna na ogół mało pociąga ludzi utalentowanych, o dużych ambicjach w dziedzinie odgrywania roli w życiu publicznym. Ludzi takich bardziej pociągają dziedziny bezpośredniego uczestniczenia w życiu gospodarczym<sup>6</sup>. Istnieją tu bowiem znacznie większe możliwości

4. Herring, op. cit. Str. 125.

5. William Allen White, MASKS IN A PAGEANT. New York, 1928. Str. 292.

6. Bryce, op. cit. T. II, str. 65 i nast.

awansu osobistego i zachodzi bez porównania większe prawdopodobieństwo osiągnięcia sukcesu materialnego, tego w cywilizacji amerykańskiej podstawowego miernika wyróżnienia społecznego. Ale i ludzie o postawach i zainteresowaniach zdecydowanie ideologicznych nie często w działalności partyjnej szukają drogi wyżycia się i środka walki o swe ideały. Znacznie więcej możliwości daje tu działalność pisarska, wychowawcza, czy też działalność w obrębie grup wyznaniowych, zawodowych, społecznych, ideologicznych. Im bardziej ludzie ci są bezinteresowni w swych dążeniach, tym słabiej odczuwają pociąg do uczestniczenia w życiu partyjnym. Albowiem Amerykanin rzadko kiedy patrzy na politykowanie jako na postać działalności bezinteresownej. Politykowanie jest po prostu jednym z działań *businessu*. Jest to jednak ten dział, który w olbrzymiej większości wypadków jest materialnie niezbyt atrakcyjny ani też nie cieszy się zbyt wielkim uznaniem ogółu. Obfitość w historii amerykańskiej skandalów (może zresztą nie było ich więcej niż w wielu innych krajach, tylko że opinia silnie na nie reagowała i nie dopuszczała do ich zatuszowania!), których treścią była korupcja polityczna, sprawia, że do materialnej nieatrakcyjności politykowania dołącza się jeszcze jego nieatrakcyjność moralna. W mowie amerykańskiej wyraz „*politician*” jest znacznie bliższy „*politykierowi*” niż „*politykowi*” i nie jest pozbawiony odcienia nagany.

Ten gospodarczy charakter amerykańskiego politykowania i — co w praktyce wychodzi na jedno — amerykańskiej działalności partyjnej wyraża się w sposób dwojaki. Po pierwsze — *jest to system działań politycznych, którym z konieczności muszą się posługiwać różne grupy — zarówno lokalne jak i ogólnonarodowe — przy osiągnięciu określonych celów gospodarczych, i — po drugie — jest to sposób zarabkowania, środek, który wielu ludziom daje jakies podstawy egzystencji* <sup>7</sup>. Słynny system łupów (*spoils*

---

7. Autor pozwoli sobie zacytować tu słowa, które usłyszał od jednego ze swych znajomych — średnio-zamożnego starszego farmera z górskiej części stanu New York: „Wtedy zaczęło mi się źle powodzić, więc zabrałem się do politykowania (I went into politics) i zrobiono mnie nadzorcą drogowym”. Rozmówca mój, czyniąc to wyznanie, był wyraźnie zażenowany. Zapewniał mnie, że porzucił „*politykę*”, skoro tylko sytuacja jego uległa poprawie.

system), o którym później pomówimy szerzej, zajmuje w tym bardzo ważne miejsce.

Tego gospodarczego oblicza amerykańskiego politykowania nie można sprowadzać do wspólnego mianownika z tymi wzorami, jakie wytworzyły się w historii narodów europejskich. Nie jest to tylko korupcja — choć przykładów jej nigdy nie brakło w dziejach życia partyjnego w Stanach Zjednoczonych — ani też nie jest to tylko spełnianie przez partię polityczną funkcji politycznego instrumentu określonych klas czy grup ekonomicznych — choć partie amerykańskie i tę funkcję spełniają. W Stanach Zjednoczonych stronnictwa polityczne wyrosły na podłożu podstawowego faktu, faktu, który dominował w całej amerykańskiej historii narodowej. Tym faktem było opanowywanie wielkiego kontynentu, jego gospodarcze wyzyskiwanie czy eksploatawanie. Partie polityczne powstawały i rozwijały się jako jedne — nie jedyne, lecz ogromnie ważne — ze środków tego eksploatawania. Dla tego celu zdołały one w sobie łączyć różne środowiska społeczne, które — choć w tej eksploatacji niejednakowo czynne i w niejednakowym stopniu korzystające z jej dobrodziejstw — były w każdym razie mocno i wszechstronnie w niej zaangażowane i zainteresowane.

#### 4. *Demokracja przedstawicielska*

Stany Zjednoczone są jedną z wielu demokracji przedstawicielskich, jakie powstały w naszej cywilizacji. Nigdzie jednak metoda obsadzania stanowisk publicznych drogą głosowania obywateli nie jest stosowana w tak szerokim zakresie, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Bryce obliczył, że za jego czasów przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych, udając się do lokalu wyborczego, głosował równocześnie na ośmiu do dziesięciu kandydatów na różne urzędy i że w pewnych wypadkach ilość urzędów, które miały być obsadzone, rosła do dwudziestu a nawet trzydziestu<sup>8</sup>. Od czasów Bryce'a liczby te bynajmniej się nie zmniejszyły — raczej urosły.

Amerikanin wybiera: Prezydenta, Wice-Prezydenta,

---

8. Bryce, op. cit. T. II, str. 136.

Senatora, Kongresmana, Gubernatora, Senatora stanowego, członka Zgromadzenia stanowego, Mayora (Prezydenta) miasta, kontrolera finansów miejskich, przewodniczącego Rady Miejskiej, radnego lub radnych, sędziów różnych instancji, oskarżycieli publicznych, szeryfa (lokalny urzędnik policyjno-sądowy), różnych lokalnych urzędników. W zależności od stanu i od przepisów, jakie obowiązują w danym powiecie lub mieście, liczba stanowisk obieralnych może być nieco większa lub nieco mniejsza. Wszędzie jednak istnieje pewna stała liczba stanowisk ogólnopaństwowych, stanowych i samorządowych, które są obsadzane drogą wyborów, i liczba ta jest bardzo znaczna. W całych Stanach Zjednoczonych liczba osób, które są wybierane, sięga setek tysięcy, liczba ubiegających się kandydatów — paru milionów. Ponadto wybory w Stanach Zjednoczonych zachodzą częściej niż w większości innych demokracji przedstawicielskich. Co cztery lata wybierany jest Prezydent. Co dwa lata wybierana jest Izba Reprezentantów i zmieniana jest jedna trzecia składu Senatu. Na różne okresy wybierani są Gubernatorzy, stanowe legislatury, różnorodne organy samorządowe. W praktyce wyjątkiem jest rok, w którym obywatel Stanów Zjednoczonych nie jest wzywany do aktu wyborczego.

Ta częstość wyborów ma oczywiście swój wpływ na stopień frekwencji wyborczej. W Stanach Zjednoczonych jest ona zawsze bardzo niska i to nawet w latach zaciętych kampanii wyborczych, gdy stawką są rzeczy bardzo poważne. W roku 1956, w roku wielkiego triumfu Eisenhowera, 40 procent obywateli zignorowało wybory. A był to rok bardzo wysokiej frekwencji. W innych latach bywało znacznie gorzej. W roku 1940 w wyborach prezydenckich tylko 38 procent ogółu uprawnionych do głosowania oddało swe głosy. W roku 1942 w mieście New York mniej niż 29 procent obywateli zapisało się na listy wyborców<sup>9</sup>. W stanach południowych, gdzie Murzyny do-

9. William Beard, GOVERNMENT AND LIBERTY, The American System. New York, 1947. Str. 36-37. Z drugiej strony są liczne dowody, które świadczą, że Amerykanie bardzo wysoko cenią swe prawa wyborcze. W roku 1948 Elmo Roper starał się ustalić, którą z pięciu swobód (wolne wybory, wolne słowo, wolność wyboru zawodu, prawo do własności, ochrona przed prześladowaniami ze strony policji) Amerykanie cenią najwyżej. Pierwsze miejsce zajęły tu wolne wybory (68.5 procent).

piero teraz i to nieśmiało zaczynają korzystać ze swych praw wyborczych, odsetek głosujących jest jeszcze niższy.

Te różnorodne i częste głosowania nakładają na wyborcę obowiązek dokonania wyboru spośród wielu ubiegających się o stanowiska publiczne kandydatów. Chodzi tu o stanowiska, których znaczenie dla ogółu i ciężar gatunkowy są bardzo niejednakowe. Doniosłość stanowiska Prezydenta Stanów Zjednoczonych jest inna, niż doniosłość stanowiska np. szeryfa lub zarządcy zakładów dobroczynnych w małym miasteczku. Z pierwszym stanowiskiem związane są rozległe dziedziny polityki ogólnonarodowej, drugie ma znaczenie czysto lokalne. W praktyce wyborca amerykański — zwłaszcza w wielkim mieście — głosując na długą listę kandydatów na różnorodne stanowiska, tylko w stosunku do bardzo drobnej części tej listy wykonywuje akt o istotnym znaczeniu dla życia narodowego.

Ale w demokracji plebejskiej, w demokracji sąsiadów nawet stanowiska, które ze względu na swój lokalny i podrzędny charakter zdają się obiektywnie być pozbawionymi znaczenia, mogą być w oczach obywateli bardzo doniosłymi. Im mniejsze jest dane osiedle, im bardziej jest dany teren izolowany od życia ogólnonarodowego, tym w przekonaniu jego mieszkańców większa jest waga tych lokalnych stanowisk i ubiegających się o nie kandydatów. Z punktu widzenia interesów grup miejscowych urządnadzorcy parków czy szeryfa może mieć znaczenie bardzo duże. W praktyce też nawet przy absencji dużej ilości uprawnionych do głosowania obywateli lokalne kampanie wyborcze mogą wzbudzać wielkie zainteresowanie i odbywać się w atmosferze dramatycznego napięcia. Oczywiście w wielkich miastach zainteresowanie dla takich stanowisk i dla kandydatów na nie jest bez porównania mniejsze.

We wszystkich jednak kampaniach decydujące znaczenie mają najczęściej momenty gospodarcze, interesujące różne grupy lokalne. Od kandydata oczekuje się, że po swym zwycięstwie stanie się rzecznikiem interesów tych grup, które go popierały. Oczekuje się tego od kandydata na wszelkie stanowiska — od najwyższego do najniższego. Kandydat na Prezydenta ma być rzecznikiem tych interesów w skali bardzo szerokiej, kandydat na burmistrza — w skali znacznie węższej. W każdym razie we wszystkich tych wypadkach w grę wchodzi sprawy bardzo konkretne.

To z kolei sprawia, że wyborca amerykański mniej troszczy się o przekonania ogólne kandydata, niż o jego zdolność w zakresie wykonywania tych konkretnych zadań, jakie mają mu być powierzone. Od programu ważniejsza jest osoba kandydata, jego osiągnięcia w przeszłości, jego rzetelność. Inaczej niż w Europie, w Stanach Zjednoczonych wyborca kieruje się swym zaufaniem do *osobistych walorów* kandydata, mniej dbając o partie i programy, na które kandydat się powołuje. Zwycięstwa Prezydenta Eisenhowera w roku 1952 i 1956 mogą tu służyć jako doskonałe przykłady.

Oczekując od swego wybrańca, że odpowie temu, czego się po nim spodziewano, przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych do tego oczekiwania oraz do aktu wyborczego prawie wyłącznie ogranicza swoją działalność polityczną. Myrdal zauważył, że w Stanach Zjednoczonych — inaczej niż w Europie — akt wyborczy prawie całkowicie wypełnia to, co stanowi udział obywatela w życiu politycznym jego narodu. „Działalność polityczna — powiada Myrdal — nie jest (w Ameryce) zorganizowana w ten sposób, by była codzienną troską i codziennym przedmiotem odpowiedzialności zwykłego obywatela”. I jakkolwiek siła demokracji amerykańskiej polega na stanowczej kontroli, jaką obywatele przeprowadzają w akcie wyborczym, to jednocześnie mały udział tych obywateli w pozawyborczej działalności politycznej jest źródłem słabości tejże demokracji<sup>10</sup>. Dodajmy, że fakt bardzo znacznej absencji wyborczej jeszcze bardziej redukuje aktywność polityczną mas obywateli Unii. Wszelkie próby podniesienia tej aktywności — a są one robione stale i na wielką skalę — jak dotąd dają niezbyt imponujące wyniki.

W tym wszystkim poważne znaczenie ma ta okoliczność, że Amerykanin, nawet gdy się pasjonuje polityką, nie ma zbyt wysokiego szacunku dla zawodowego politykowania. Stąd też najchętniej sprawy te powierza zawodowcom, jest jednak bardzo dbały o odpowiedni dobór tych zawodowców. Będzie się przeto pasjonować wyborami, które są środkiem dobierania zawodowców od politykowania, ale wykaże bardzo małą aktywność polityczną w okresach między wyborami.

---

10. Myrdal, op. cit. Str. 717.



## 5. Konstytucja pewnych rzeczy nie uwzględniła

Założenia prawno-ustrojowe, na których opiera się amerykańskie życie polityczne, są zawarte w Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Była ona uchwalona w roku 1787 i później wielokrotnie uzupełniana. W roku 1787 Stany Zjednoczone zajmowały mały skrawek obecnego terytorium, były społeczeństwem przeważnie agrarnym, dopiero zaczynającym się wyzbywać cech systemu kolonialnego. Konstytucja była owocem walki, jaka toczyła się między oligarchią miast nadatlantycznych i radykalnymi farmerami „pogranicza”. Przewaga, jaką osiągnęła pierwsza z tych dwóch współzawodniczących stron, znalazła dla siebie wyraz w tym wielkim akcie prawno-ustrojowym.

Poprzednio była już mowa o „antypartyjnictwie” Washingtona i jego przyjaciół politycznych. Była też mowa o tym, z jakich przesłanek to „antypartyjnictwo” wpływało. I ono i jego przesłanki miały duży wpływ na sformułowanie wielu punktów Konstytucji, miały też wpływ i na fakt, że Konstytucja wielu rzeczy nie poruszyła.

Twórcy Konstytucji szczególną oszczędność w szafowaniu słowami wykazali w stosunku do sposobów, jakie mają być użyte przy wybieraniu przedstawicieli władz państwowych. Konstytucja sprawy te porusza w kilku punktach. Artykuł I w sekcji 2 i 3 określa warunki, jakim winny czynić zadość osoby, ubiegające się o godność Kongresmanów i Senatorów, artykuł II w sekcji 1 dokładnie mówi o sposobie wybierania Prezydenta, ale Konstytucja jest bardzo oględna w słowach, gdy chodzi o wyborców i o mechanizm przeprowadzania wyborów. Sekcja 4 artykułu I jest pod tym względem szczególnie znamienita. Powiada ona, że „czas, miejsce i sposób przeprowadzania wyborów Senatorów i Reprezentantów winny być w każdym stanie określane przez jego Legislaturę”<sup>11</sup>. Słowem — do uznania władz stanowych pozostawione zostały zarówno sprawy,

11. „The Times, Places and Manner of holding Elections for Senators and Representatives, shall be prescribed in each State by the Legislature thereof”. Dodane jest jednak, że „but the Congress may at any time by Law make or alter such Regulations, except as to the Places of choosing Senators”.

gdzie indziej określane przez ustawy o ordynacjach wyborczych, jak i przepisy administracyjne, odnoszące się do techniki wyborczej.

Późniejsze Poprawki (*Amendments*) do Konstytucji nieco bardziej sprecyzowały uprawnienia wyborcze obywateli Stanów Zjednoczonych. Poprawka XV ustala, że nikt nie może być pozbawiony praw wyborczych lub ograniczony w ich wykonywaniu z powodu swej rasy, barwy skóry czy uprzedniego znajdowania się w sytuacji niewolnika. Poprawka XVII przekazuje obywatelom (a nie jak przedtem Legislaturom stanowym) prawo wybierania Senatorów. Poprawka XIX daje prawo głosowania (i wybieralności) kobietom. Żadna jednak z tych Poprawek nie zmieniła w sposób istotny sensu i brzmienia sekcji 4 Artykułu I. Konstytucja Stanów Zjednoczonych celowo pominęła szereg ważnych przepisów, odnoszących się do wyborów, przepisów, które w innych krajach zostały szczegółowo sformułowane bądź przez ustawy konstytucyjne, bądź przez ustawy zwykłe.

Amerykańskie zwykłe ustawodawstwo federalne nie dało tu żadnych wyjaśnień ani uzupełnień. Znacznie więcej wniosły tu ustawodawstwa stanowe, przez Konstytucję do tego specjalnie uprawnione. Przepisy te, choć w sprawach zasadniczych na ogół zgodne, wprowadzają jednak daleko posuniętą różnorodność w szczegółach, a zwłaszcza — w technice wyborczej. Z drugiej strony i one są często zdawkowe i nieokreślone w odniesieniu do takich przepisów technicznych, które w innych krajach są jasno precyzowane.

Wytworzyła się więc sytuacja bardzo interesująca: *Stany Zjednoczone są demokracją przedstawicielską, w której ilość stanowisk obieralnych i częstość wyborów są większe niż ma to miejsce w innych demokracjach przedstawicielskich; ale — z drugiej strony — Konstytucja bądź pomija milczeniem bądź mówi mało i zdawkowo na temat spraw, które odnoszą się do mechanizmu wyborów. Nie jest rzeczą jasną, kto bierze udział w wyborach, jak wybory są przeprowadzane, kto za ich przeprowadzenie ponosi odpowiedzialność, czy i jakie instytucje publiczne są powołane do organizowania wyborów.*

To stanowisko Twórców Konstytucji było wynikiem ich antypartyjnego nastawienia i ich obawy przed rady-

kalizmem szerokich mas wyborców. Ale — jak to już mówiliśmy na innym miejscu — partyjnictwa nie dało się usunąć. Powróciło i — co ważniejsza — właśnie próbom usunięcia go zawdzięcza swe najważniejsze funkcje polityczne.

Albowiem te właściwości Konstytucji Stanów Zjednoczonych, o których przed chwilą była mowa, sprawiły, że *amerykańskie stronnictwa polityczne musiały wziąć na siebie zadanie organizowania nie tylko obywateli dla wyborów, ale i samych wyborów*. Luka, jaką pozostawiła Konstytucja, musiała być w jakiś sposób wypełniona. Wypełniły ją partie polityczne. Organizowanie wyborów jest podstawową funkcją stronnictw amerykańskich.

Innymi słowy, stronnictwo polityczne — odnosi się to przede wszystkim do obu wielkich stronnictw — spełnia w Stanach Zjednoczonych bardzo doniosłe zadania o charakterze prawnopublicznym. Pociąga to za sobą wyjątkowo bliski i intymny stosunek między państwem a partiami. De facto są one częścią *amerykańskiego aparatu państwowego* i to częścią bardzo ważną. Wyrazem tego jest fakt regulowania stosunków wewnątrzno-partyjnych przez ustawy państwowe. Ustawy określają warunki, jakim zadość musi uczynić grupa, która chce być uznana za partię. W wielu stanach istnieją ustawy, odnoszące się do składu i organizacji ciał partyjnych. Prawybory (*primaries*), które formalnie są instytucjami partyjnymi, są wszędzie ustawowo regulowane i w praktyce mogą być uważane za instytucje państwowe<sup>12</sup>. Federalny Sąd Najwyższy i stanowe Sądy Najwyższe stale wydają orzeczenia, które odnoszą się do prawyborów i do wielu innych dziedzin życia partyjnego. Bez wahania można mówić o oficjalnym, a przynajmniej o półoficjalnym, charakterze partii politycznych w Stanach Zjednoczonych.

Ale poza sprawą ustalenia mechanizmu przeprowadzenia wyborów były jeszcze i inne rzeczy, które w Konstytucji nie zostały uwzględnione. W dużym stopniu nawet nie mogły być uwzględnione. W roku 1787 nikt nie mógł przewidzieć tych olbrzymich zmian w rozwoju terytorialnym, ekonomicznym i społecznym, jakich widownią stały się Stany Zjednoczone w stuleciach następnym.

---

12. William Beard, op. cit. Str. 58.

Konstytucja była uzupełniana, ale w swych najbardziej zasadniczych punktach nie była rewidowana. Niewątpliwie ogólnikowość i elastyczność tego dokumentu oraz weneracja, jaką naród amerykański go darzy, sprawiły, że kontrast między jego treścią a obiektywnymi warunkami amerykańskiego życia zbiorowego nie jest tak jaskrawy, jak by się tego należało spodziewać. Niemniej jednak kontrast istnieje: zachodzi rozbieżność między tym dziełem warunków wieku XVIII a warunkami życia współczesnego.

Stąd w sposób nieunikniony wytworzyła się sytuacja, w której wiele spraw, przez Konstytucję nie przewidzianych i nie uwzględnionych, musi być regulowanych drogą obyczajów, orzeczeń sądowych, interpretacji i innych środków, których konstytucyjność nie zawsze jest wyraźna. Obok organów sądowych, partie polityczne są tu ważnym narzędziem pozakonstytucyjnego korygowania Konstytucji przez wprowadzanie obyczajów, bardziej zgodnych z obiektywnymi warunkami życia. Występuje to szczególnie w dziedzinie życia gospodarczego oraz w pewnych działach administracji ogólnej.

Udział partii politycznych w pewnych czynnościach natury państwowo-administracyjnej jest w Stanach Zjednoczonych nie tylko następstwem niedomówień, istniejących w Konstytucji. Myrdal zwraca uwagę na fakt, że młoda republika w okresie swego powstawania nie miała odpowiedniego aparatu administracyjnego. Duża część kolonialnej biurokracji była zlikwidowana przez Rewolucję. To, że Ameryka była przez ocean chroniona przed interwencją zagraniczną, czyniło mniej palącą kwestię stworzenia sprawnego mechanizmu administracyjnego. Panujący od Andrew Jacksona „system łupów” w ogóle uniemożliwił wytworzenie się zwartego aparatu urzędniczego, niezależnego od fluktuacji partyjno-politycznych. Do tego dołączało się przekonanie, że biurokracja jest wrogiem wolności, przekonanie, wzmocnione przez niski szacunek czynności państwowych, jako w mniejszym stopniu zapewniających sukces, niż czynności prywatno-gospodarcze<sup>13</sup>.

Konsekwencje tego były bardzo ważne. Najdonioślejszą z nich stała się zależność urzędów i urzędników administracyjnych od partii politycznych. W czasach, gdy

13. Myrdal, op. cit. Str. 432-434.

„system łupów” panował niepodzielnie, zwycięstwo wyborcze jakiejś partii oznaczało kompletną zmianę całego aparatu biurokratycznego — od stanowisk najwyższych do najniższych. I bodaj szczęśliwą wtedy okolicznością było to, że aparat ów był tak słabo rozbudowany! Główną funkcją stanowisk w państwowym (federalnym i stanowym) aparacie administracyjnym było wtedy zapewnienie środków egzystencji osobom zasłużonym dla partii lub protegowanym przez partię. A że do kariery urzędniczej nie garnęły się jednostki bardziej wartościowe, przeto jakość tej biurokracji była bardzo niska, jej uległość wobec „bossów” partyjnych zupełna, jej oportunizm i niesumienność przysłowiowe.

Ustanowienie w roku 1883 Komitetu Służby Państwowej (*Civil Service Commission*) i tworzenie analogicznych organów stanowych znacznie poprawiło te stosunki. Późniejsze ustawy zakazały urzędnikom etatowym prowadzenia działalności polityczno-partyjnej. Urzędnik poczuł się bardziej niezależny. W każdym razie istniało coś w rodzaju pragmatyki urzędniczej, coś, co umożliwiło otrzymywanie posad federalnych i stanowych nie tylko drogą protekcji partyjnej, co — ponadto — gwarantowało pracownikom pewną stałość posiadania tych posad. Kolosalny rozrost aparatu biurokratycznego za Roosevelta, powstanie nowych organów władzy administracyjnej, zatrudniających armie urzędnicze — wszystko to przyczyniło się do dalszego wzmocnienia pozycji biurokracji.

Ale reformy te nie zmieniły faktu, że związek między amerykańskimi partiami politycznymi i aparatem administracyjnym jest wciąż bardzo bliski i wszechstronny. Zwłaszcza gdy chodzi o aparaty stanowe, gdzie Gubernator działa przede wszystkim w swym charakterze przywódcy stanowej organizacji partyjnej. Tu w wielu stanach zasługi dla partii są wciąż jeszcze najlepszą rekomendacją przy otrzymywaniu choćby skromnej posady. Tu też wpływ partii na działalność aparatu administracyjnego jest wciąż bardzo potężny. Najogólniej rzecz ujmując, amerykańskie stronnictwo polityczne jest bardzo ważnym czynnikiem tworzenia państwowego aparatu administracyjnego i ma bardzo żywy udział w jego funkcjonowaniu.

## 6. Federacja, regionalizm, Prezydent

Stany Zjednoczone są republiką związkową. Jest to federacja 48 państw, z których każde posiada daleko posuniętą samodzielność. Państwa te — dla których w języku polskim przyjęła się dziwaczna i na nieporozumieniu oparta nazwa „stany” — nazywają siebie suwerennymi. I choć trzeba tu mówić o suwerenności „ograniczonej”, to przecież nie ulega wątpliwości, że są to państwa autentyczne, obdarzone tymi najważniejszymi atrybutami, jakie przypisywane są państwom. W żadnym też wypadku stanów nie wolno utożsamiać z jednostkami podziału administracyjnego, jakie istnieją np. w Polsce (województwa) czy we Francji (departamenty).

Każdy ze stanów ma swoją indywidualność historyczną, polityczną, gospodarczą i nawet kulturalną. Wśród ludności każdego z nich rozwinął się bardzo silny patriotyzm stanowy, niekiedy silniejszy od patriotyzmu ogólnonarodowego. Niejeden Amerykanin myśli o sobie przede wszystkim w kategoriach stanowych, a dopiero później — ogólnonarodowych. Nierzadko też patriotyzm stanowy prowadzi do szowinizmu stanowego i do lekceważącego stosunku do innych stanów<sup>14</sup>. We wczesnych okresach historii Stanów Zjednoczonych te odrębności stanowe były tak silne, że upoważniły Alexisa de Tocqueville do powątpiewania w przyszłą trwałość Unii. Przeszła też ta Unia przez poważne kryzysy, z których najgroźniejszym była Wojna Domowa. Sprawa samodzielności stanów wobec federacji czerwoną nicią przechodzi przez całe dzieje Unii, a nawet i obecnie jest stale aktualna.

Ale stany to nie jedyny czynnik terenowego różnicowania się narodu amerykańskiego. Drugim — niemniej ważnym, bodaj nawet ważniejszym — czynnikiem jest fakt istnienia szerszych obszarów geograficzno-gospodarczych, znanych pod nazwą regionów albo dzielnic. Każda z takich dzielnic obejmuje większą ilość stanów, przy czym w niektórych wypadkach część terytorium danego stanu zaliczana jest do jednej dzielnicy, inna część — do drugiej.

---

14. Np. Texas, patrz: Gunther, op. cit. Str. 814 i nast.

Zróźnicowanie dzielnicowe nie znalazło dla siebie jak dotąd wyrazu w przepisach prawno-ustrojowych. Nie mówi o nim Konstytucja federalna, nie mówią konstytucje stanowe. Biorą je pod uwagę niektóre ustawy zwykłe, ale unikają nazywania go po imieniu. Podział dzielnicowy powstał drogą obyczajową, jako wynik tendencji rozwojowych narodu amerykańskiego.

Podstawą tego podziału jest gospodarcze zróźnicowanie wielkiego kontynentu. Jest to szczególnie ważne, gdy chodzi o rolnictwo. Specjalizacja produkcji rolnej doprowadziła do powstania owych „pasów”, które są tak charakterystyczne dla stosunków agrarnych w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście równoległe z tym zróźnicowaniem się produkcji szło zróźnicowanie się w stylu życia i w typach stosunków społecznych. Poza rolnictwem i inne elementy amerykańskiego życia gospodarczego mają potężny wpływ na dzielnicowe zróźnicowanie się Stanów Zjednoczonych.

Stany i dzielnice są podłożem, z którego wyrasta regionalizm Stanów Zjednoczonych. Jest to kraj wybitnie zregionalizowany, odznaczający się daleko posuniętymi odrębnościami lokalnymi, odrębnościami gospodarczymi, społecznymi, kulturalnymi i — rzecz jasna — politycznymi. Ta regionalizacja jest podstawowym czynnikiem, który każdy badacz stosunków w Stanach Zjednoczonych musi pilnie brać pod uwagę.

Jest to tym ważniejsze, że czynnik ten nie od razu narzuca się uwadze przypadkowego obserwatora. Albowiem fakt zregionalizowania jest pokryty patyną tego uniformizmu w sposobie życia i zachowania się, jaki przede wszystkim uderza powierzchownego obserwatora. Stąd rozpowszechnione — głównie w Europie i w Ameryce Łacińskiej — przekonanie o monotonii życia amerykańskiego, o panowaniu tych samych wzorów na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych, od Atlantyku aż po Pacyfik. Dopiero po lepszym zapoznaniu się z życiem amerykańskim można się przekonać, jak dalece ta pierwsza obserwacja jest niesłuszna, jak głęboko sięga regionalizm kolosalnego kraju.

Ta regionalizacja ma potężny i wszechstronny wpływ na amerykańskie życie polityczne i na stronnictwa polityczne. Centrami tego życia są w pierwszym rzędzie sto-

lice stanowe. Są to zarazem ogromnie doniosłe centra działalności partyjnej. Lokalne problemy gospodarcze, społeczne, kulturalne, lokalne układy sił politycznych tworzą kanwę, na której partie wyszywiają wzory swej działalności.

Następstwem tego są regionalne zróżnicowania wewnętrzno-partyjne. W każdym stanie stronnictwa polityczne mają swoje oblicza, mają swoje odrębności, odnoszące się zarówno do momentów ideologicznych jak i czysto organizacyjnych. Chcąc mieć dokładną charakterystykę Demokratów czy Republikanów, należałoby omówić Demokratów i Republikanów w każdym z 48 stanów Unii <sup>15</sup>.

W niemniejszym stopniu to samo da się powiedzieć pod adresem dzielnic. Istnienie w Kongresie „bloków” regionalnych i rola, jaką odgrywają one w polityce amerykańskiej, jest najlepszym dowodem politycznego znaczenia tej formy regionalizmu amerykańskiego. Będzie o tym jeszcze mowa w dalszych rozdziałach tej książki.

Regionalizacja jest ważną przyczyną tej niejedności, jaka tak bardzo cechuje amerykańskie stronnictwa polityczne. W rzeczywistości są one luźnymi koalicjami czy kombinacjami interesów różnych regionów ogromnego kontynentu. Interesy te nieraz są sprzeczne i to pociąga za sobą luźność kombinacji partyjnych. To również narzuca kierownictwu partyjnemu konieczność posiadania wielkiego kunsztu manewrowania, aby całość partii została utrzymana. Przywódcy amerykańskich partii politycznych muszą mieć duże uzdolnienia taktyczne, aby uzgodnić sprzeczne interesy, unikać zbyt ostrych konfliktów, utrzymywać stan równowagi. Wymaga to ciągłych kompromisów, wymaga również wyrzeczenia się zbyt wyraźnych i określonych programów. Amerykańskie stronnictwo polityczne, aby istnieć, nie może sobie pozwolić na dogmatyzm i krańcowość w formułowaniu swych programów. W przeciwnym razie grożą mu rozłamy, które prawie zawsze powstają na podłożu regionalnym.

Dzięki przyjęciu takiej linii wielkie amerykańskie stronnictwa polityczne stały się ważnym narzędziem utrzy-

---

15. W dużym stopniu uczynił to John Gunther w swym ogromnym dziele INSIDE U.S.A. Znajduje się tu obfity, choć dziś już nieco przestarzały — materiał odnośnie politycznej regionalizacji Stanów Zjednoczonych.



mania jedności narodowo-państwowej. W szczególności taką rolę odegrali Republikanie za Lincolna. Ale we wszystkich okresach historycznych sam fakt istnienia stronnictw ogólnonarodowych jest ważnym czynnikiem cementowania tej wielkiej różnorodności, jaką są Stany Zjednoczone. Tu znów z pomocą partiom idzie Konstytucja, ustanawiająca ogólnonarodowe organy federalne, przede wszystkim — urząd Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Prezydent bardziej niż Kongres jest organem ogólnonarodowym i instrumentem jedności federalnej. Jest wybierany przez cały naród, stoi ponad stanami i dzielnicami, jest od nich niezależny. Ale Prezydent jest również uznanym przywódcą stronnictwa, do którego należy. Jest to bardzo ważna — choć pozakonstytucyjna — funkcja Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pomiędzy tym urzędem a systemem partyjnym istnieje związek bardzo ścisły i wszechstronny.

Akcentuje on jeszcze mocniej ten oficjalny czy półoficjalny charakter, jaki posiadają wielkie amerykańskie stronnictwa polityczne. Przez Prezydenta (choć nie tylko przez niego) są one podstawowymi składnikami całego amerykańskiego systemu polityczno-państwowego. Prezydent dzięki swemu podwójnemu obliczu — naczelnika władzy wykonawczej i przywódcy partyjnego — jest niezmiernie ważnym łącznikiem między państwem a systemem partyjnym <sup>16</sup>.

Jako naczelny organ wykonawczy, Prezydent Stanów Zjednoczonych ma za swe podstawowe zadanie zachowanie jedności państwowo-narodowej, kompromisowe rozwiązywanie istniejących konfliktów regionalnych i międzyregionalnych. Jako przywódca partyjny, Prezydent ma analogiczne zadanie w odniesieniu do własnego stronnictwa. W jednym i drugim wypadku środkiem, jakim się posługuje, jest amerykańska zasada utrzymywania równowagi (*check and balance*), sprowadzająca się do znajdowania takich kompromisowych rozwiązań, w których by interesy jednej grupy czy jednego regionu były równoważone przez interesy innych grup i regionów.

16. C. L. Rossiter, THE AMERICAN PRESIDENCY. New York, 1956.

Oczywiście nie każdy Prezydent zadania te spełnia w sposób jednakowo pomyślny. Ale spełnienie tych zadań jest tym, czego naród amerykański spodziewa się od swych prezydentów. W duchu tych oczekiwań — urzeczywistnianych gorzej lub lepiej — układa się praktyka amerykańskich stosunków politycznych i partyjnych.

## Rozdział IV

### SYSTEM DWUPARTYJNY

#### 1. Partie „większe” i partie „mniejsze”

Stany Zjednoczone są uważane i same uważają się za klasyczny przykład demokracji dwupartyjnej. Jest to jednak słuszne tylko w pewnych granicach. Albowiem w Stanach Zjednoczonych istnieje i prawie zawsze istniało więcej partii, niż dwie.

Istnieje tu cały szereg partii, które choć liczebnie małe — zasięgiem swej działalności obejmują cały obszar Unii lub znaczną jego część. Tak jest z partią socjalistyczną, z partią komunistyczną i z paroma innymi grupami politycznymi, które roszczą sobie pretensje do miana partii. Istnieją dalej partie lokalne, działające w obrębie jednego stanu lub paru stanów sąsiednich. Jako przykład można tu podać Partię Liberalną (*Liberal Party*), której teren działania ogranicza się prawie wyłącznie do stanu New York. Wreszcie w pewnych okresach powstają tak zwane trzecie partie, które zazwyczaj są wynikami rozłamów w obrębie dwóch wielkich partii.

Ustawodawstwo amerykańskie nie odnosi się życzliwie do tych mniejszych ugrupowań politycznych. Prawa stanowe stawiają surowe warunki, które muszą być spełnione, aby dane ugrupowanie mogło być uznane za partię polityczną. Najważniejszym z nich jest otrzymanie przez daną grupę (czy raczej jej kandydata) określonej ilości głosów w pewnych, uznawanych za szczególnie miarodajne,

wyborach. Tak np. ustawy stanu New York przyjmują, że tylko grupa, której kandydat na Gubernatora otrzymał co najmniej 50.000 głosów, może być uznana za partię w prawnym tego słowa znaczeniu. Ale równocześnie, aby otrzymać taką ilość głosów, przedstawiciel grupy musi być dopuszczony na listę kandydatów. I tu ustawy poszczególnych stanów stawiają szereg warunków, z których najczęstszym jest poparcie kandydatury przez określoną ilość (liczby te w zależności od stanów się zmieniają) uprawnionych do głosowania obywateli, reprezentujących — gdy chodzi o wybory o charakterze nie ściśle lokalnym — określoną ilość powiatów (*counties*), na które stan się dzieli.

Słowem — ustawy amerykańskie są nieprzychylnie usposobione do małych ugrupowań partyjnych, szczególnie świeżopowstających. Nie mają one oczywiście nic przeciw temu, by jakaś grupa działała jako ośrodek czysto ideologiczny, jako stowarzyszenie. Utrudniają jednak powstawanie nowych partii, starają się je odsunąć od udziału w wyborach, mają intencję w kierunku zniechęcania obywateli do tworzenia takich drobnych, niekonformistycznych zespołów partyjnych. Nawet istniejąca i biorąca udział w wyborach grupa może przestać być uważana za partię, jeżeli w wyniku jednorazowej klęski wyborczej nie otrzyma wymaganego minimum głosów.

Niezycliwy stosunek do partii „mniejszych” (*minor parties*) jest równoznaczny z forytowaniem partii „większych” (*major parties*). W praktyce w Stanach Zjednoczonych istnieją tylko dwie „większe” partie, przez ustawy uznane za pełnowartościowe i od wielu dziesięcioleci czyniące zadość wszystkim wymaganiom prawa. Są to partie: Demokratyczna i Republikańska. Ze względu na ich szczególnie uprawnienia i rolę, jaką one odgrywają w życiu narodowym, można system amerykański określić mianem *demokracji dwupartyjnej*.

Owe dwie „większe” partie nie tylko pod względem liczebności i sytuacji prawnej różnią się od partii „mniejszych”. Zachodzą tu również i inne różnice, głównie natury organizacyjnej i ideologicznej. Dla wyjaśnienia sobie tych różnic musimy nieco miejsca poświęcić partiom „mniejszym”.

Zapoznanie się z nimi nasuwa nam obraz stosunków, właściwych życiu politycznemu Starego Świata i Ameryki Łacińskiej. Amerykańskie „mniejsze” stronnictwa są bardziej bliskie partiom europejskim, niż stronnictwa „większe”. Podobieństwo to przede wszystkim polega na tym, że podstawową więzią, zespalającą członków grupy i decydującą o obliczu grupy, są wspólne przekonania, zdefiniowane, sprecyzowane, zawarte w jakimś konkretnym credo i w konkretnym programie działania. Są to grupy wyraźnie ideologiczne, opierające się na jakiejś wspólnej filozofii, na jakimś wspólnym systemie myślowym, na jakiejś koncepcji życia zbiorowego. Niekiedy — jak to ma miejsce w przypadku socjalistów i komunistów — partia „mniejsza” ma swe dokładne odpowiedniki w innych narodach świata i pozostaje z nimi w jakimś związku organizacyjnym. Niekiedy — jak w przypadku Socjalistycznej Partii Pracy (*Socialist Labor Party* — grupa wyznawców poglądów de Leona) — partia „mniejsza” jest amerykańskim wariantem prądów, które w pewnym okresie istniały w Europie. Jeszcze w innych wypadkach partia „mniejsza”, będąc wyraźnie tworem warunków amerykańskich, wykazuje jakieś pokrewieństwo ideologiczne z grupami i prądami, występującymi poza Ameryką. Jako przykład można tu przytoczyć Partię Liberalną, która w pewnej mierze jest ideologicznie związana z angielską Labour Party. Nawet w partiach „trzecich”, które są zjawiskiem bardzo specjalnym, można stwierdzić znaczny stopień samookreślenia się ideologicznego. Fakt, że wszystkie partie „mniejsze” powstały i działają jako *grupy protestu*, siłą rzeczy narzuca im jakieś wyraźne oblicze ideologiczne.

W konsekwencji amerykańska partia „mniejsza” jest grupą stosunkowo zwartą. Wspólne przekonania narzucają tu więź organizacyjną, w wielu wypadkach bardzo mocną. Przystąpienie do takiej partii często wymaga od osobnika złożenia jakiegoś wyznania wiary, pociąga za sobą określone konsekwencje praktyczne. Nie wystarcza tu tylko płacenie składek (w partiach „większych” obowiązek ten nie istnieje) i głosowanie na kandydatów partii. Konieczne jest tu bardziej wszechstronne solidaryzowanie się z partią, praca dla niej, działalność apostołska w zakresie głoszenia jej ideałów. A do tego członek partii nonkonformistycznej — zwłaszcza w małym miasteczku —

jest nieraz narażony na wrogość otoczenia, spotyka się z ostracyzmem towarzyskim, może mieć przykrości na polu swej pracy zawodowej.

Partie „mniejsze” są najczęściej grupami drobnymi, a jeżeli są liczniejsze, to wpływy swe ograniczają do określonych terenów. Łatwo zauważyć, że im mniej są one liczne, tym bardziej dążą do zachowania i sprecyzowania jednolitości swej doktryny i swego programu. Stąd częste w tych grupach rozłamy, jeszcze bardziej zmniejszające ich liczebność. Jako jaskrawy przykład może tu posłużyć rozbitcie socjalistów amerykańskich. Nie będzie więc przesadą o wielu z tych grup powiedzieć, że reprezentują one typ sekciarstwa politycznego, jakie zresztą jest pospólite i poza Stanami Zjednoczonymi.

Wpływ partii „mniejszych” — z wyjątkiem, rzecz jasna, partii „trzecich” — na całokształt amerykańskiego życia politycznego nie jest zbyt wielki. Błędem jednak byłoby wpływ ten lekceważyć. Przede wszystkim rola, jaką w pewnych miastach czy nawet stanach odgrywają lokalne partie nonkonformistyczne, bywa niekiedy bardzo poważna. Partia Liberalna jest w mieście New York czynnikiem o dużym znaczeniu, wywierającym znaczny wpływ na miejscową politykę. Inne grupy, których działalność nie ogranicza się do spraw lokalnych, nieraz znaczą wiele jako ośrodki ideologiczne. Są one kanałami, przez które wydobywają się na zewnątrz uczucia protestu i niezadowolenia jeżeli nie szerokich mas, to grup intelektualistów. Na tym, nawet dotąd, polega historyczna rola Partii Socjalistycznej i w pewnym okresie analogiczną rolę odgrywali komuniści.

Amerykańskie partie „mniejsze” nie zawsze występują jako czynnik samodzielny w kampanii wyborczej. Nie zawsze mogą to robić ze względów na ograniczenia i utrudnienia prawne. W licznych wypadkach partie „mniejsze” wołają dla względów taktycznych przyłączyć się do akcji wyborczej stronnictw „większych”, stawiając tym ostatnim swe wymagania odnośnie kandydatów i programów. Jako typowy przykład może tu posłużyć Partia Liberalna w stanie New York, najczęściej współdziałająca z Demokratami i wspólnie z nimi ustalająca kandydatów i hasła. Trzeba dodać, że w takich wypadkach głosy zwolenników partii „mniejszej” nie toną w ma-

się głosów, oddanych na kandydatów partii „większych”. Albowiem system obliczania głosów, przyjęty w wielu stanach, umożliwia wyraźne ustalenie, jaki był udział ilościowy każdego z uczestników międzypartyjnej koalicji wyborczej. Dzięki temu systemowi partie „mniejsze” — a wraz z nimi i całe społeczeństwo — mają sprawdzian swej siły i wpływów.

Ta charakterystyka partii „mniejszych” jest nam potrzebna dla wyjaśnienia sobie istotnych właściwości amerykańskiego systemu dwupartyjnego. Partie „większe” pod każdym prawie względem różnią się od partii „mniejszych”. Przede wszystkim zaś różnią się pod względem wykonywania pewnych zasadniczych funkcji w amerykańskim systemie politycznym.

Czym *ideologicznie* różnią się Republikanie od Demokratów? — „Oto — powiada Bryce — o co Europejczyk stale się pyta inteligentnych Republikanów i inteligentnych Demokratów. Pyta się o to stale, albowiem nigdy nie otrzymuje odpowiedzi”. I dopiero po miesiącach dociekań zaczyna docierać do prawdy: „...żadna partia nie ma jakichkolwiek zasad, jakichkolwiek wyraźnych przekonań. Obie mają tradycje. Obie powołują się na to, że mają pewne tendencje. Obie z całą pewnością mają pewne zawałania wojenne, pewne organizacje i interesy, które są zaciągnięte w ich służbę. Ale interesy te sprawdzają się głównie do troski o zdobywanie i utrzymywanie patronatu nad władzą państwową. Poglądy i koncepcje polityczne, założenia doktryn politycznych i założenia praktyki politycznej — wszystko to tak dobrze jak zniknęło”<sup>1</sup>.

Ta charakterystyka amerykańskich „większych” partii politycznych jest dziś słuszna tak samo, jak za czasów Bryce’a. Fakt, że obie wielkie partie amerykańskie ideologicznie czy programowo, praktycznie rzecz biorąc, niczym nie różnią się między sobą, budzi we współczesnym Europejczyku zdumienie nie mniejsze od tego, jakie budził w Europejczyku sprzed przeszło półstulecia. „Większe” amerykańskie partie ideologicznie nie różnią się między sobą, ale ten brak różnic sprawia, że „większe” partie zasadniczo różnią się od „mniejszych”.

1. Bryce, op. cit. T. II, str. 20.

Te ostatnie, reprezentując jakieś bardziej określone poglądy, są odstępstwem od tego wzoru stronnictwa politycznego, jaki od czasów jeffersonowskich Demokratów i hamiltonowskich Federalistów przyjął się w Stanach Zjednoczonych i w latach późniejszych znalazł dla siebie wyraz w Demokratach i Republikanach. I jakkolwiek w Stanach Zjednoczonych jest więcej partii niż dwie, to w rzeczywistości tylko Republikanów i Demokratów (w pewnych okresach i niektóre „trzecie” partie) można uważać za czyniące zadość tym wymaganiom, jakie ustroj amerykański stawia stronnictwom politycznym, i tylko one odpowiadają temu wzorowi, jaki w wyniku swoistego rozwoju historycznego przyjął się na ziemi Washingtona. Z punktu widzenia tego rozwoju, jego założeń i tendencji Stany Zjednoczone są demokracją dwupartyjną. Aby nią być przestały, konieczne byłoby całkowite przetworzenie tych podstaw ustrojowych, społecznych i ekonomicznych, na których opiera się amerykańskie życie narodowe.

Amerykańskie „większe” stronnictwa polityczne nie są zespołami ideologicznymi i z samego swego założenia nie mają i nie miały być zespołami ideologicznymi. „Nasze stronnictwa polityczne — mówi znawca amerykańskiego systemu partyjnego — są chwilowymi sojuszami lokalnych przywódców, którzy trzymają się razem w nadziei osiągnięcia (tą drogą) zwycięstwa w walce o prezydenturę”<sup>2</sup>. Inny badacz stwierdza, że zadaniem tych stronnictw jest spełnienie dwóch ważnych zadań demokracji, zadań nie rozwiązanych przez Konstytucję. Są nimi: „powierzenie stanowisk urzędowych ludziom, których naród chce widzieć na tych stanowiskach, oraz przekazywanie życzeń narodu ośrodkom ustawodawczym i administracyjnym”<sup>3</sup>. Amerykańskie wielkie stronnictwa polityczne są więc instrumentami organizowania i przeprowadzania wyborów. Są narzędziami wielkich rozgrywek o władzę, jakie stale toczą się w Stanach Zjednoczonych. Są to instytucje czysto funkcjonalne i instrumentalne, nie zaś ideologiczne. System dwupartyjny jest tu środkiem technicznym, umożliwiającym przeprowadzenie wyborów i promowanie kandydatów. Wybór jest zawsze łatwiejszy, gdy się liczbę

2. Herring, op. cit. Str. 121.

3. Myrdal, op. cit. Str. 811.



kandydatów sprowadzi do dwóch alternatyw, niż do więcej.

Ale kandydaci nie są abstrakcjami. Są to żywi ludzie, wyznający określone poglądy, reprezentujący jakieś siły społeczne i jakieś interesy gospodarcze. Można momenty ideologiczne wyrugować z samego mechanizmu wyborczego, nie można ich wyrugować z kampanii wyborczej i — tym mniej — z realnego życia politycznego. Dlatego też amerykańskie życie polityczne i partyjne pełne jest ideologii, pełne jest walk i konfliktów ideologicznych. Z wyjątkiem jednak sytuacji specjalnie dramatycznych, nie naruszają one samego mechanizmu działania aparatu wyborczego. Tak samo, jak europejska wielopartyjność nie narusza mechanizmu działania ordynacji wyborczych i techniki przeprowadzania wyborów. Ten mechanizm jest w zasadzie neutralny i aideologiczny. Podobnie neutralny i aideologiczny jest jego amerykański odpowiednik, uosobiony w „większych” partiach politycznych.

Tak jednak jest w zasadzie. Europejskie ordynacje wyborcze i europejskie biura wyborcze nie są idealnie neutralne i czysto funkcjonalne. W tym mniejszym stopniu da się to powiedzieć o amerykańskich partiach politycznych. Te wielkie maszyny, skupiające miliony ludzi, są bardzo wrażliwe na wszystko to, co łączy się z poglądami i interesami grupowymi. Niemniej jednak ze względu na swe zasadnicze funkcje nie mogą one angażować się zbyt daleko w formułowaniu jakichś wspólnych wyznań wiary. Muszą — przynajmniej do pewnych granic — starać się być abstrakcyjnymi. Jak się przekonamy, abstrakcje te nie-raz bywają wypełniane przez treści bardzo konkretne.

## 2. Wielkie koalicje

Zajmiemy się partiami „większymi”. Są to potężne mechanizmy, o których działaniu decyduje fakt istnienia organizacji. Ale organizacja jest tylko instrumentem, służy jakiemuś celowi, powstaje w określonych warunkach i w zależności od tego celu i od tych warunków przybiera takie czy inne oblicze.

Wiemy, że amerykańskie organizacje partyjne powstały i rozwinęły się jako mechanizmy czynności obsadza-

nia stanowisk publicznych takich, jakich obsadzenie jest powierzane wyborcom. Wiemy dalej, że ze stanowiskami tymi łączą się wszechstronne interesy gospodarcze różnorodnych grup narodu amerykańskiego. Interesy te z konieczności muszą znajdować jakiś dla siebie wyraz w strukturze organizacyjnej partii amerykańskiej.

„Nasz system partyjny da się najlepiej wyjaśnić jako rywalizacja dwóch organizacji, z których każda stara się przedstawić swój pogląd na dobro publiczne tak, aby został on przyjęty przez możliwie jak największą ilość ludzi. Zadaniem partii jest osiągnąć w swych szeregach skutecznie działającą kombinację dzielnic, interesów oraz liberałów i konserwatystów”<sup>4</sup>. Ta — w uszach Europejczyka dość dziwacznie brzmiąca — charakterystyka amerykańskiego systemu partyjnego bardzo trafnie ujmuje istotę sprawy.

Amerykańskie stronnictwo polityczne jest kombinacją czy lepiej — *koalicją*. Nie zrozumie się nigdy amerykańskiego systemu partyjnego, jeżeli nie uwzględni się jego nadzwyczaj istotnej cechy, że opiera się on na koalicjach. *Amerykańskie partie polityczne są szerokimi koalicjami różnorodnych grup interesów, które zawarły sojusz taktyczny i powołały do życia wspólną organizację celem osiągnięcia pewnych wspólnych celów.*

Jest to koalicja nad wyraz szeroka i nad wyraz różnorodna. Utrzymanie jej przy istnieniu wymaga nie byle jakich uzdolnień organizacyjnych, nie byle jakiego kunsztu wśród zespołu kierowniczego. Na koalicję tę składają się grupy regionalne, reprezentujące interesy miejscowe, często lokalnie skłócone i niemniej często będące w stanie konfliktu z interesami grup innych regionów. Na koalicję tę — dalej — składają się interesy szerszych grup ogólnonarodowych — wyznaniowych, klasowych, rasowych, etnicznych. Wreszcie do koalicji tej dochodzą sprzeczne zespoły ideologiczne, w Ameryce popularnie określane jako konserwatyści i liberałowie. W każdej z tych koalicji jest materiał na wiele stronnictw politycznych w europejskim tego słowa znaczeniu. I w rzeczywistości — jak się o tym później będziemy mogli przekonać — we wspólnych ra-

---

4. Herring, op. cit. Str. 133.

mach szerokiej koalicji organizacyjnej mieści się tu *wiele partii politycznych*. System amerykański jest dwupartyjny bardziej z formy niż z treści. Tylko że dla istnienia jego i działania forma ma istotne znaczenie.

O każdej z tych koalicji można by powiedzieć, że jest małżeństwem z konieczności. Warunki historycznego rozwoju Stanów Zjednoczonych, Konstytucja, swoistości kapitalizmu amerykańskiego — wszystko to sprawiło, że we wspólnym małżeńskim łożu koalicji partyjnej znaleźli się dziwni partnerzy. Łączy ich to łoże, albowiem tylko dzięki niemu mogą liczyć na szansę osiągnięcia czegoś ze swych celów. Jest to łoże niewygodne. I choć partnerzy starają się je uczynić możliwie jak najbardziej szerokim, to przecie nie zawsze w nim się mieszczą i niekiedy muszą je opuszczać. Wtedy powstają „trzecie” partie. Ale w ogromnej większości wypadków względy praktyczne zwyciężają. Małżeństwo, choć zawarte bez miłości, choć stale skłócone, trwa, nieustannie jest klejone, nieustannie jest łatanе, ale istnieje siłą konieczności, połączonej z nawykiem. O tym ostatnim też nie należy zapominać. Amerykański system partyjny istnieje tak długo, że musiały się wytworzyć silne tradycje, które sprawiają, iż w jednej partii mogli znaleźć dla siebie miejsce reakcyjni plantatorzy Południa i radykałowie miast przemysłowych.

Jest to przede wszystkim koalicja grup regionalnych i ich interesów. Ani przez chwilę nie wolno zapominać, że Stany Zjednoczone są federacją, że są kolosalnym kontynentem, wybitnie zregionalizowanym. I dlatego to *fundamentem amerykańskiej koalicji partyjnej są partyjne organizacje stanowe*. Bezspornie i one są koalicjami. I one są płaszczyznami, na których spotykają się różnorodne klasowe, społeczne, kulturalne interesy grup, decydujących dla danego regionu. Istnieją tu jednak mocne ramy, powstałe na podłożu wspólnych interesów miejscowych, bardziej wyraźnych na terenie ograniczonym, gospodarczo bardziej jednolitym, niż na szerokim i bardzo zróżnicowanym terenie życia całej Unii. W rozwoju nabiłowej gospodarki Nebraski jest zainteresowany zarówno miejscowy farmer, jak i miejscowy bankier, zarówno miejscowy lekarz, jak i miejscowy robotnik przemysłowy. Niewątpliwie mogą to być zainteresowania różnego rodzaju i napięcia. Ale są one na tyle silne i powszechne, by dokoła spraw

nabiałowych skupić różnorodne grupy, jakie tworzą społeczną organizację stanu Nebraska.

Kunszt organizatorów partyjnych polega na tym, aby zainteresowania te uczynić jak najbardziej powszechnymi. Osiąga się to przez eliminowanie z programów i haseł partyjnych rzeczy kontrowersyjnych, przez akcentowanie natomiast tych momentów ogólnych, które mogą do każdego przemówić i każdego zainteresować. Na płaszczyźnie polityki stanowej jest to rzeczą stosunkowo łatwiejszą niż na płaszczyźnie polityki federalnej.

Oczywiście różnic usunąć się nie da. Znajdą one dla siebie wyraz w różnicowaniach ideologicznych i programowych, zachodzących *wewnątrz* partyjnej organizacji stanowej. Różnice te mogą prowadzić do konfliktów bardzo ostrych i dramatycznych. Walka między konserwatystami i liberałami toczy się stale wewnątrz każdej z dwóch partii i jest bardzo zacięta w każdym z 48 stanów. Brak oficjalnej doktryny partyjnej, luźność organizacyjna, instrumentalne traktowanie partii — oto czynniki, które sprawiają, że konflikty takie nie muszą zagrażać istnieniu partii, że — przeciwnie — istnienie partii daje im wygodną podstawę organizacyjną.

Te różnicowania regionalne sprawiają, że w Stanach Zjednoczonych można mówić o 48 partiach republikańskich i tyluż partiach demokratycznych. W rzeczywistości *każdy stan ma swoje partie*, które posiadają specyficzne oblicza, wyodrębniające je od partii o tej samej nazwie w innych stanach. Kilka przykładów wyjaśni nam to lepiej.

Miasto New York (ale nie *stan* New York!) jest jedną z twierdz Partii Demokratycznej. W mieście New York podstawę masową tej partii stanowią robotnicy, zorganizowani w związkach zawodowych. Jest to element, którego amerykańskość jest stosunkowo dość świeżej daty. W rzeczywistości dominującą rolę odgrywają tu trzy społeczności etniczne: Irlandczycy, Żydzi i Włosi. Poza tym ważnym czynnikiem są Murzyni, którzy do roku 1932 tradycyjnie trzymali się partii Prezydenta Oswobodziciela — Lincolna, a od tego czasu przerwali się na stronę partii drugiego Prezydenta Oswobodziciela — Franklina D. Roosevelta (jednakże — jak o tym będzie jeszcze mowa później — w roku 1956 znaczna część Murzynów stanęła po stronie

Eisenhowera). W New Yorku Partia Demokratyczna nie może iść przeciw robotnikom i nie może iść przeciw Irlandczykom, Żydom, Włochom oraz Murzynom. W rezultacie jest to partia reform społecznych; z osobą jednego z jej przywódców — nieżyjącego już Senatora Roberta Wagnera (ojca obecnego Mayor'a) — związane jest powstanie najważniejszych ustaw New Deal'u, odnoszących się do praw związków zawodowych i opieki nad pracą, jest to partia zdecydowanie pro-katolicka (Alfred Smith był znakomitym Gubernatorem nowojorskim, wieloletnim przywódcą nowojorskich Demokratów), jest to partia pro-żydowska i pro-sjonistyczna (były Senator Herbert Lehman był innym wybitnym Gubernatorem nowojorskim i przywódcą partyjnym) i — od czasów Roosevelta — jest to partia obrony praw murzyńskich (przywódcy Murzynów nowojorskich zajmują wysokie miejsca w hierarchii partyjnej).

Weźmy teraz jako przykład inny kraniec Stanów Zjednoczonych. Oto „głębokie Południe” (*Deep South*) i w nim stan Mississippi. Jest to stan rolniczy: 90 procent jego mieszkańców czerpie swe utrzymanie z pracy na roli, to jest głównie z uprawy bawełny. Jest to stan prawie jednolicie protestancki, przy czym — jak na całym „głębokim Południu” — rząd dusz należy tu do Baptystów i Metodystów, ściślej — do najbardziej ortodoksyjnego i fanatycznego ich skrzydła, do „fundamentalistów”. Jest to stan jaskrawych konfliktów rasowych, stan, gdzie system kastowy w stosunku do Murzynów jest zakorzeniony tak, jak mało gdzie nawet na Południu. A jednocześnie w wielu powiatach (*counties*) tego stanu ludność czarna jest liczniejsza od białej.

Mississippi jest rządzone przez Partię Demokratyczną. Jest to partia skrajnego konserwatyzmu, fanatyzmu protestanckiego, partia „supremacji białych”. Mississippi jest „suchym” stanem — utrzymanie prohibicji jest jednym z naczelných postulatów tutejszej Partii Demokratycznej. Partia ta wydała takich przywódców, jak Theodore Bilbo i John Rankin, którzy w czasie swej kariery politycznej pobili rekord wszelkiego obskurantyzmu. W kongresie Stanów Zjednoczonych mężowie ci znaleźli się w jednym i tym samym stronnictwie z najbardziej bezkompromisowymi liberałami Północy i Środkowego Zachodu.

Czy sytuacja w Partii Republikańskiej wygląda inaczej? — Odpowiedź na to dadzą nam przykłady.

W samym mieście New York Republikanie są stosunkowo słabi. Kiedyś byli tu znacznie silniejsi, mieli np. wpływy wśród Włochów (Fiorello H. La Guardia wyszedł z Partii Republikańskiej) i wśród Murzynów. Ale jest to przeszłość. Obecnie nowojorscy Republikanie są partią warstw zamożniejszych i mają największe wpływy w dzielnicach, zamieszkałych przez sfery „lepsze”, to jest takie, którym materialnie dobrze się powodzi. Szczególnie silni są Republikanie w tzw. *suburbs*, czyli w eleganckich dzielnicach podmiejskich. Przede wszystkim jednak Republikanie nowojorscy są partią Wall Street. Wielkie interesy od wielu dziesięcioleci miały w nowojorskiej Partii Republikańskiej swój instrument polityczny.

Ale nowojorska Partia Republikańska musi się bardzo liczyć ze społecznym obliczem metropolii i z jej strukturą etniczno-rasową. Odzyskanie głosów włoskich i murzyńskich jest wielkim celem GOP. Takim samym celem jest zdobycie głosów żydowskich, przeważnie demokratycznych. Na głosy irlandzkie Republikanie mało liczą. Irlandczycy są tradycyjnie wierni Demokratom. W żadnym jednak wypadku nie chcą Republikanie rezygnować z głosów robotniczych. Za czasów Gompersa Amerykańska Federacja Pracy szła częściej z Republikanami niż z Demokratami.

Stąd Republikanie nowojorscy muszą być jednocześnie partią konserwatywną i partią ostrożnie liberalną. Muszą być partią nacjonalistyczną i partią życzliwą dla grup mniejszościowych. Partią protestancką, ale wyciągającą rękę do katolików i Żydów. Republikański przywódca nowojorski Senator Jacob K. Javits doskonale czyni zadość tym warunkom: jest Żydem (gorącym obrońcą Izraela), jest wybitnym liberałem, ma doskonałe koneksje wśród katolików i jest życzliwie widziany przez sfery zamożne. Eisenhowerowski republikanizm znajduje w mieście New York grunt dla siebie bardzo odpowiedni.

Jeżeli jednak Republikanie są stosunkowo słabi w mieście New York, to są oni silni w stanie New York. I jakkolwiek godność Gubernatora nowojorskiego jest obecnie w rękach Demokrata, to Republikanie mają większość w Legislaturze stanowej w Albany (niewielkie to miasto jest

stolicą stanu New York). Podstawą, na której Republikańskie opierają swą moc, są, poza eleganckimi osiedlami podmiejskimi, okręgi rolnicze (zwłaszcza górską część stanu) oraz małe miasteczka.

Ta wiejska i małomiasteczkowa część stanu nie żywi sympatii dla części metropolitalnej, reprezentowanej przez miasto New York i w pewnej mierze przez przemysłowe Buffalo. Jest to niechęć do miasta, które dyktuje ceny artykułów spożywczych, które pobiera procenty od pożyczek, które jest tak bardzo kosmopolityczne. Rolnicza część stanu New York jest konserwatywna, tradycjonalistyczna, i takim jest jej republikanizm.

Partia Republikańska stanu New York musi przeto lawirować między swą agrarną twierdzą a nadziejami na pozyskanie metropolitalnych wyborców. Związana z Wall Street, nie może jednak drażnić robotników, ani tym bardziej odstręczać od siebie farmerów. W rezultacie powstaje mieszanina ogólnikowego liberalizmu i agraryzmu, antyzolacjonizmu i życzliwości dla big businessu, mieszanina tak charakterystyczna dla polityki byłego Gubernatora Thomasa E. Dewey'a. Nie jest rzeczą przypadkową, że stan New York łąwą stawał za Eisenhowerem.

Przejdźmy teraz do innego krańca Stanów Zjednoczonych. Stan Północna Dakota jest jedną z najpotężniejszych twierdz Partii Republikańskiej. John Gunther powiada, że Demokraci są tu tak rzadcy jak oceloty — zwierzęta w tej części Ameryki dziś prawie już zupełnie wytrzebione. Jest to stan wybitnie agrarny i jest to zarazem stan, który dzięki swym metodom gospodarczym i społecznym jest uważany za jeden z najbardziej postępowych w całej Unii.

Jest to jedyny stan, który posiada swój własny bank państwowy. Jest to stan pokryty gęstą siecią potężnych i wspaniale działających kooperatyw. Urządzenia opieki społecznej, urzędnictwa sanitarne i szkoły Północnej Dakoty są uważane za wzorowe. Jej sieć biblioteczna jest znakomita — nie mała pochwała w kraju, który słusznie się szczyci organizacją swych bibliotek. Miejscowi farmerzy — wielu z nich to potomkowie wychodźców ze Skandynawii — są bardzo zamożni, dobrze zorganizowani, pełni poczucia swego znaczenia.

W swych poglądach politycznych są oni dalecy od konserwatyzmu. Wiele się w nich przechowało z tego dynamicznego farmerskiego radykalizmu, jaki kiedyś był tak typowy dla „pogranicza”. Ich naczelna organizacja, która — choć ściśle współpracuje z Partią Republikańską — podkreśla swą bezpartyjność (*Non-Partisan League*), ma inklinacje socjalistyczne i jest bezspornie bardzo postępową. Jest ona zarazem silnie izolacjonistyczna, reprezentując to połączenie radykalizmu społecznego i izolacjonizmu politycznego, z jakim często spotkać się można na Środkowym Zachodzie. W roku 1932 radykalizm tak dalece przeważał, że organizacja zdecydowała się na udzielenie swego poparcia Rooseveltowi. Później zatriumfował izolacjonizm i wraz nim nastąpił powrót do Republikanów.

Partia Republikańska Północnej Dakoty ma swe skrzydło konserwatywne. Ale w pierwszym rządzie jest ona partią postępowych farmerów, wierzących w spóldzielczość i nieżyczliwie usposobionych do monopolów wielkokapitałistycznych. Przywódca jej — Senator William Langer — należy w Senacie do liberalnego skrzydła Republikanów i bodaj częściej głosuje przeciw Republikanom niż z nimi<sup>5</sup>.

Są to przykłady dobrane raczej dowolnie. Idąc z jednego do drugiego z 48 stanów Unii, można się łatwo przekonać, że każdy z nich ma swoje specyficzne oblicze polityczne i że znajduje to dla siebie wyraz w lokalnych organizacjach partyjnych. Nie jest przesadą powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych istnieją nie dwie wielkie partie — Demokratyczna i Republikańska, ale że jest tu 48 partii Demokratycznych i tyleż Republikańskich. W pewnym sensie jest ich jeszcze więcej: albowiem partie stanowe są koalicjami różnych sił społecznych i różnych grup politycznych.

Dochodzimy więc do wniosków końcowych:

*Amerykańska partia polityczna w skali ogólnonarodowej jest wielką koalicją partii stanowych. Każda z tych partii stanowych ma swe odrębne i sobie tylko właściwe oblicze, wynikające z lokalnych warunków gospodarczych i społecznych oraz z tradycji, jakie w danym stanie panują. Każda z tych partii stanowych jest — w stopniu więk-*

5. Gunther, op. cit. Str. 239-242.



szym czy mniejszym — koalicją lokalnych sił społecznych, grup gospodarczo-klasowych, zespołów ideologicznych oraz ich przywódców.

Tak więc fundamentem, na którym opiera się budowała amerykańskiej organizacji partyjnej, są stany i ich organizacje lokalne. Nie daje to nam jednak jeszcze pełnego obrazu struktury organizacyjnej amerykańskich stronnictw politycznych.

### 5. Więzy organizacyjne

„Tak małe formalności są wymagane, aby stać się członkiem partii, że termin ten (członek partii) prawie zupełnie pozbawiony jest znaczenia. Na przykład wyborcy, chcąc uczestniczyć w „zamkniętych” prawyborach partyjnych (*primary*), mogą się zarejestrować jako Republikanie lub Demokraci, po prostu oświadczając, że są Republikanami czy Demokracami. Zazwyczaj nie są od nich wymagane żadne dowody lojalności wobec partii, którą sobie wybrali. W niektórych stanach obywatele mogą głosować na kandydatów partyjnych w bezpośrednich prawyborach, wolni od kłopotu uprzedniego zadeklarowania się, do jakiej partii należą”<sup>6</sup>.

Co więcej — istnieje tendencja uważania za zwolennika partii każdego wyborcy, o którym się wie, że w poprzednich wyborach głosował na jej kandydatów. W tym sensie zanika pojęcie „niezależnych” (*independent*) wyborców, które na ogół utrzymuje się w tych stanach, gdzie rejestracja wyborców połączona jest z rejestracją partyjną.

W tym miejscu potrzebne są pewne wyjaśnienia, odnoszące się do spraw, o których szerzej będzie mowa dalej. W Stanach Zjednoczonych wybory właściwe są poprzedzane przez „prawybory” albo „wybory wstępne”, które mają na celu ustalenie przez członków partii osób jej kandydatów dla przyszłych wyborów. Prawybory — formalnie rzecz biorąc — są instytucją ściśle partyjną. W wielu stanach służą one również zadaniu wybierania lokalnych władz partyjnych. Są one jednak równocześnie instytucją nie tylko że uznawaną przez państwo, ale i w pewnym

6. William Beard, op. cit. Str. 54.

sensie państwową. Ustawy stanowe określają sposób przeprowadzania prawyborów, wyniki głosowania mogą być zaskarżane do sądów. Przed każdymi wyborami (a tym samym i prawyborami) odbywa się rejestracja wyborców, choć w wielu okolicach zaprowadzona jest rejestracja stała. W każdym razie nie jest ona przeprowadzana automatycznie przez odnośne organy państwowe czy samorządowe, jak to ma zwykle miejsce w innych krajach. Obywatele Stanów Zjednoczonych muszą sami zgłosić się do odpowiednich biur wyborczych i zarejestrować się w nich, przedstawiając dowody, że są uprawnieni do głosowania. Równocześnie — tak jest przynajmniej w wielu stanach — obywatele mogą zgłosić swą chęć uczestniczenia w prawyborach którejs z działających w tym okręgu czy stanie partii. W praktyce jest to uważane za identyczne z zapisaniem się do tej partii i daje rejestrującemu się prawo do uważania się za jej członka.

Na członku partii nie ciąży żadne zobowiązania. Nie ma on obowiązku płacenia składek, ani uczestniczenia w zebraniach partyjnych, ani propagowania poglądów partyjnych. Przy następnej rejestracji może on bez żadnych trudności zmienić swą „przynależność” partyjną. Taki rodzaj pojmowania członkostwa najlepiej świadczy o tym, że amerykańskie stronnictwa polityczne są *par excellence* machinami wyborczymi.

Czy więc amerykańska partia polityczna jest czymś tak luźnym, że pozbawionym wszelkiej spistości organizacyjnej? Mierzona wzorcami, znanymi z doświadczeń europejskich, jest to rzeczywiście organizacja nadzwyczaj luźna. Brak jej jest bowiem trzech cech istotnych dla partii europejskich: selekcji kandydatów na członków, obowiązków członków wobec partii oraz dyscypliny organizacyjnej. A jednak byłoby dużym błędem twierdzić, że brak tych momentów czyni z amerykańskiej partii politycznej jakąś całkiem luźną, niezorganizowaną i przypadkową gromadę. W grę bowiem wchodzi tu jeszcze momenty, które nadają partii pewną — choć w porównaniu ze wzorami europejskimi, zwłaszcza socjalistycznymi i komunistycznymi, niezbyt wielką — spistość organizacyjną.

Przedewszystkim — jak o tym szczegółowiej będzie mowa w następnym rozdziale — istnieje *emocjonalne* *związanie* obywateli z określonymi partiami. Niezależnie

od formalności rejestracyjnych duża część obywateli Stanów Zjednoczonych po prostu uważa się za Demokratów lub Republikanów, to jest nie tylko przeważnie (choć nie zawsze) głosuje na ich kandydatów, ale i emocjonalnie utożsamia się z którąś z tych partii, przyjmuje jej tradycje, cieszy się jej zwycięstwami i martwi jej niepowodzeniami.

Ale dla amerykańskiej organizacji partyjnej największe znaczenie ma fakt istnienia *bardzo licznej grupy czynnych pracowników czy działaczy partyjnych*. Grupa ta to kościec każdej partii, to jej rzeczywista organizacja, to jej siła motoryczna. Naczelnym zadaniem tej grupy jest pociągnięcie jak największej ilości wyborców do głosowania za kandydatami partii. A to — jak to już zauważył Bryce — wymaga od grupy niezmiernej sprężystości organizacyjnej, energii, zwartości i dyscypliny <sup>7</sup>.

W obrębie tej grupy istnieje wyraźna hierarchia. Górną warstwę stanowią przywódcy, zawodowi politycy, którzy działalności partyjnej poświęcili swe życie. Najwyższy szczebel tworzą tu wielcy przywódcy terenowi, wśród nich zaś specjalną kategorię stanowią „bossowie”. Ci ostatni stoją na czele bardzo zwartych organizacji zwanych „maszynami”, obejmujących liczne zastępy pracowników wszystkich szczebli drabiny partyjnej.

Dolne warstwy tworzą setki tysięcy ludzi, którzy bądź zawodowo poświęcają się działalności partyjnej, bądź też poświęcają jej czas wolny od innych zajęć. Ludzie ci stanowią bardzo ważną część „maszyn”.

Cała grupa jest zorganizowana według tego schematu, jaki w danym stanie jest przyjęty dla przeprowadzenia wyborów. Najniższą jednostką jest tu komitet dzielnicowy (*district committee*), odpowiadający jednej z dzielnic, na które dany okręg wyborczy jest podzielony. Często zamiast komitetu wystarczy tu jednostka (*precinct captain* albo *election district leader*), która w czasie kampanii wyborczej korzysta z pomocy wolontariuszów. Gdzie indziej jest to ciało zbiorowe, przy czym partie starają się, by składało się ono z jednakowej liczby kobiet i mężczyzn. W większych miastach kilka komitetów dzielnicowych jest łączone w większą całość, noszącą nazwę „oddział” (trudne w tym przypadku do przetłumaczenia słowo „ward”). Je-

---

7. Bryce, op. cit. T. II, str. 72.

— szcze wyższymi jednostkami organizacyjnymi są: komitet okręgowy (obejmujący cały okręg wyborczy), komitet miejski, komitet powiatowy oraz — organ najwyższy — komitet stanowy. Do komitetów wyższych szczebli wchodzi przedstawiciele ciał niższych stopni, w pewnych jednak stanach komitety powiatowe są wybierane na zjazdach partyjnych (*party conventions*), złożonych z delegatów wszystkich niższych jednostek organizacyjnych. Komitety stanowe są z reguły wybierane bądź na zjazdach delegatów organizacji partyjnych z całego stanu, bądź — to ostatnie przeważa — w bezpośrednich prawyborach (*direct primaries*).

W praktyce system ten jest jeszcze bardziej skomplikowany. Albowiem okręgi i dzielnice wyborcze zmieniają się w zależności od tego, jakim celom wyborczym mają służyć. Osobny podział wyborczy istnieje dla wyborów senatorskich (jednostką jest tu cały stan), inny — dla reprezentanckich, jeszcze inny — dla przedstawicielskich ciał stanowych, sądowych, samorządowych itd. Innymi słowy, w obrębie tego samego miasta amerykańskiego istnieje szereg topografii wyborczych, wiele różnych okręgów i dzielnic. Organizacja partyjna, która w każdej z tych różnorodnych jednostek terenowych prowadzi kampanię wyborczą, musi dla prowadzenia tej kampanii mieć w każdej z nich swój organ specjalny. Wymaga to ogromnej ilości ludzi, ściśle z partią związanych i czynnie na jej rzecz pracujących.

O tym, jak akcja ta jest prowadzona, będzie mowa na innym miejscu. Tu zaznaczymy jedynie, że podstawowym jej celem jest: po pierwsze — zachęcić wyborców do udziału w wyborach i — po drugie — skłonić ich, by głosowali na kandydatów danej partii. Nie poruszając tu jeszcze kwestii sposobu, jakim to jest robione, podkreślimy kilka momentów, pozostających w związku z organizacją samych ciał partyjnych.

Przed wszystkim, każda taka komórka partyjna musi mieć dokładną ewidencję obywateli rejonu, nad którym czuwa. Działacze partyjni muszą być w stałym i osobistym kontakcie z mieszkańcami. W małych osiedlach, gdzie wszyscy się znają, jest to rzeczą stosunkowo łatwą. W dużych miastach jest to osiąganę przez podział terenu działalności partyjnej na bardzo małe jednostki, co lokalnym

działaczom umożliwia utrzymywanie stosunków towarzyskich z możliwie dużą ilością obywateli. Zresztą działacze ci to najczęściej ludzie miejscowi, tu urodzeni, tu wychowani, mający tu pełno przyjaciół i krewnych. W amerykańskim politykowaniu kontakty towarzyskie zawsze mają kolosalne znaczenie — na szczeblach bardzo wysokich i na szczeblach najniższych. Demokracja amerykańska jest demokracją kumotrów, sąsiadów, jest demokracją plebejską.

Ten typ akcji politycznej przez kontakty osobiste wyjaśnia nam, dlaczego w politykowaniu amerykańskim tak wielką rolę odgrywały knajpy (*saloons*). Jeszcze nie tak dawno knajpa była podstawową jednostką, na której opierała się maszyna nowojorskiego Tammany Hall czy chicagowskiej organizacji demokratycznej. Knajpiarz był z reguły działaczem partyjnym i nie jeden z mniejszych polityków amerykańskich przez posiadanie knajpy dochodził do wyższych stanowisk. Knajpiarz „kontrolował” swych klientów, szczególnie w rejonach ghatt narodowościowych, gdzie na ogół ludzie jednej narodowości zwykli zbierać się w tej samej knajpie. Ze swej strony partia, która rządziła danym miastem, przez swój wpływ na policję i na urzędy, wydające koncesje na sprzedaż trunków, miała potężne środki „kontrolowania” knajpiarzy. Ogromne podniesienie się stopy życiowej mas amerykańskich, nowe warunki mieszkaniowe, nowe sposoby wczasowania (auto i telewizja w pierwszym rzędzie), wreszcie — wyższe wyrobienie obywatelskie — wszystko to wybitnie osłabiło znaczenie knajp i knajpiarzy. Nawet w Chicago obecne „saloons” są cieniem tego, czym były kiedyś. Niemniej nawet teraz odgrywają one wcale poważną rolę tam, gdzie utrzymują się dawne ghetta narodowościowe. Knajpiarze irlandzcy, polscy, litewscy, włoscy i inni nie są czynnikiem, z którym Partia demokratyczna przestała się liczyć <sup>8</sup>.

Lokalni działacze partyjni starają się też związać wyborców z partią przez materialne zainteresowanie ich w jej powodzeniu. Chodzi tu o patronat partii nad życiowymi potrzebami obywateli. Dawniej wyrażało się to w tej różnorodnej pomocy, jaką partia niosła obywatelom, którzy

---

8. Nie jest rzeczą przypadkową, że gorącymi wrogami prohibicji były wielkomijskie organizacje demokratyczne. Względy utylitaryzmu politycznego odgrywały w tym bardzo poważną rolę.

mieli kłopoty. Przy pomocy partii można było dostać posadę, koncesję na szynk, poradę prawną, uniknąć surowszego wyroku w sądzie policyjnym, wyjść obronną ręką z zatargu z policją.

Dziś i pod tym względem nastąpiły zmiany. Rozwój amerykańskiego ruchu zawodowego i ustawodawstwa socjalnego pozbawił partie polityczne wpływu na swoiste regulowanie stosunków na rynku pracy. Pragmatyka urzędnicza, wyższy poziom sędziów, walka z korupcją w policji nowojorskiej, skutecznie prowadzona przez La Guardię i później przez Wagnera — wszystko to znacznie osłabiło patronackie rządy organizacji partyjnych. Ale nie usunęło ich zupełnie. Zwłaszcza w pewnych miastach i w pewnych stanach, gdzie system dawnych „bossów” i ich „maszyn” zachował wiele ze swej mocy, patronactwo partyjne utrzymuje się w całej swej krasie i wysiłki grup „niezależnych”, walczących o jego likwidację, jak dotąd nie zawsze pomagają.

Wybory i kampanie wyborcze są więc naturalną podstawą, na której opiera się organizacja amerykańskiej partii politycznej. Nie jest to jednak jedyna podstawa. Albowiem — jak to już przed laty zauważył Bryce — amerykańska partia polityczna ma dwa różne — choć ściśle ze sobą związane — układy ciał kierowniczych<sup>9</sup>. Jeden z tych układów, odnoszący się do zadań wyborczych, został już przez nas omówiony. Drugi odnosi się do czynności wewnętrzno-partyjnych.

Obejmuje on różne *komitety gospodarcze*, których zadaniem jest zbieranie pieniędzy, gospodarowanie nimi, utrzymywanie lokalów partyjnych i szereg innych tym podobnych czynności administracyjnych. Jednakże w czasach dzisiejszych podział na te dwa układy jest mniej wyraźny, niż to było w epoce Bryce'a. W praktyce pierwszy układ przejął znaczną część zadań drugiego. Najważniejsze czynności administracyjne, nie koniecznie związane z wyborami, są w rękach stanowych i powiatowych ciał partyjnych lub są im całkowicie podporządkowane. I w praktyce organizacja wewnętrzna amerykańskiej partii politycznej jest funkcją naczelnego zadania tej partii. A zadaniem tym jest, jak wiemy, organizowanie i przeprowadzanie wyborów.

9. Bryce, op. cit. T. II, str. 78.

#### 4. Kierownictwo ogólnonarodowe

„Architektura naszego systemu partyjnego zdaje się na pierwszy rzut oka źle pasować do tych zagadnień, jakie zwykły stawać przed rządem federalnym. Sprawy polityczne są ogólnonarodowe i często w swych następstwach międzynarodowe; politykowanie partyjne jest natomiast wybitnie lokalne i nieraz sekcjonalne”<sup>10</sup>. Uwaga ta podkreśla fakt wyraźnej dysproporcji pomiędzy regionalizmem amerykańskiego systemu partyjnego a zadaniami, jakie ciąży na rządzie federalnym. Jak amerykański system partyjny działa na szczeblu federalnym, na tym właśnie szczeblu, na którym mają być rozwiązywane wielkie problemy życia narodowego, a obecnie i światowego?

Jedną z najbardziej uderzających cech tego systemu jest *słabość jego organów centralnych* — ogólnonarodowych. Jest to jeszcze jedna z wielu różnic między amerykańskim systemem partyjnym a systemami Starego Świata. W Europie partia — odnosi się to w szczególności do partii komunistycznych i socjalistycznych, ale jest właściwe i wszelkim innym partiom — jest ciałem rządzonym centralistycznie przez naczelne władze partyjne, działające w skali państwowej. Zjazd partyjny, złożony z delegatów grup partyjnych całego kraju, decyduje o ideologii partii, o jej programie i o jej linii działania. Wykonanie uchwał zjazdowych jest powierzone ciałom centralnym — Komitetom Wykonawczym, Radom Partyjnym itd., które są przez zjazd wybierane i przed nim odpowiedzialne. Te ciała centralne kierują działalnością organów lokalnych, rozciągają nad nimi kontrolę, pociągają je do odpowiedzialności. Ciała centralne posiadają najwyższy autorytet, są potężne, zwarte, zaopatrzone we wszelkie narzędzia sprężystego działania.

W Stanach Zjednoczonych sytuacja jest najzupełniej inna. I tu odbywają się ogólnonarodowe zjazdy partyjne, i tu każda partia ma swój ogólnopaństwowy komitet partyjny (*national party committee*). Ale zjazdy te odbywają się co cztery lata i mają jako swój główny cel ustalenie

10. Herring, op. cit. Str. 203.

osoby kandydata na Prezydenta. Opracowywany jest też wtedy program, który ma służyć za polityczną platformę bieżącej kampanii wyborczej. Zjazdy te poświęcają minimum uwagi sprawom, które normalnie stoją na porządku dziennym zjazdów europejskich partii politycznych. A i sam przebieg tych zjazdów, ich charakter, atmosfera, jaka na nich panuje — wszystko to bardzo odbiega od wzorów europejskich. Szerzej zresztą o tym pomówimy później.

A ogólnopartyjne komitety partyjne? — Ich możliwości działania są ograniczone. Komitety stanowe są w rzeczywistości od nich niezależne. Komitety ogólnopartyjne nie mogą niczego komitetom stanowym dyktować, są raczej czymś w rodzaju ciał doradczych przy nich. Taki ogólnopartyjny komitet partyjny zbiera się raz na cztery lata, aby wybrać miejsce na zjazd partyjny (konwencję) i przygotować regulamin zjazdu. Gdy zjazd powoła kandydata na Prezydenta, ten ostatni nominuje przewodniczącego ogólnopartyjnego komitetu swej partii. Przewodniczący jest bardzo ważną osobą w komitecie, ale w swej działalności jest podporządkowany kandydatowi na Prezydenta (a po wyborach — Prezydentowi lub pokonanemu kandydatowi), otrzymuje od niego dyrektywy i je wykonuje. Osobiste jego znaczenie nie jest stosunkowo zbyt wielkie <sup>11</sup>.

Te ogólnopartyjne komitety są złożone z przywódców organizacji stanowych. Są one bardziej środkiem porozumiewania się organizacji stanowych ze sobą, niż właściwym organem wykonawczym. Ich działalność ogranicza się prawie wyłącznie do spraw związanych z wyborami, włączając w to arcyważne zagadnienie zdobywania pieniędzy na kampanię. Są to ciała bardzo luźne, o składzie wyznaczonym wyłącznie przez względy polityki lokalnej, przez organizacje stanowe i stanowe interesy. Uchwały tych ciał centralnych — o ile, poza odnoszącymi się do techniki wyborów, są podejmowane — w ogóle nie wiążą organizacji stanowych. To, że amerykańska partia polityczna jest luźną koalicją partii stanowych, najlepiej jest widoczne na przykładzie ogólnopartyjnych komitetów partyjnych. Te ostatnie dadzą się porównać do konferencji

---

11. Herring, op. cit. Str. 203-204.



państw sojuszniczych. Zbierają się w momencie akcji wojennej (to jest w momencie kampanii wyborczej), mają ściśle określone zadania i trwają tak długo, jak długo wykonywane są te zadania.

Istnieją jednak federalne organy przedstawicielskie: Senat i Izba Reprezentantów. Ciała te mają skład partyjny. Jedna z dwóch partii jest tu bądź w większości, bądź w mniejszości. W jakiej mierze parlamentarne grupy partyjne odgrywają rolę ciał kierowniczych dla amerykańskich stronnictw politycznych? To pytanie nasuwa się każdemu, kto szuka analogii z wzorami europejskimi.

Działają pewne regulaminy partyjne, które obowiązują z jednej strony demokratycznych a z drugiej republikańskich członków Kongresu. Istnieje też pewien rodzaj dyscypliny klubowej. Członkowie każdej partii w obu izbach wybierają też spośród siebie osoby, których zadaniem jest czuwać nad tym, aby członkowie grupy partyjnej przestrzegali zasad dyscypliny i solidarności partyjnej (*whip, floor leader itd.*). Są to jednak rzeczy, które głównie odnoszą się do spraw technicznych, do obsadzania komisji (*committees*), do spraw porządkowych itp. Nie mają one natomiast większego wpływu na zachowanie się Kongresmanów i Senatorów w sprawach zasadniczych. Tu nie są przestrzegane zasady dyscypliny i solidarności partyjnej. Żaden członek Kongresu nie jest w praktyce związany jakimikolwiek postanowieniami czy uchwałami swych kolegów.

Nie znaczy to, by nie były czynione próby uzgodnienia stanowisk członków danej partii w Kongresie. W momentach specjalnie dramatycznych członkowie danej partii odbywają poufną naradę. Narady te — w Ameryce istnieje dla nich etymologicznie dziwaczna nazwa „caucus” — nie mają jednak znaczenia obowiązującego. „Caucus” może nie dać żadnych wyników, albo, jeżeli nawet powzięte będą jakieś uchwały, to nie koniecznie wszyscy uczestnicy narady będą im posłuszni<sup>12</sup>.

Stąd jest też rzeczą bardzo rzadką, by wyniki głosowania w izbach były zgodne z podziałem partyjnym. Pra-

12. Bryce w „caucus” widział namiastkę dla nieistniejącego uznanego kierownictwa partyjnego. Op. cit. T. I, str. 201. Od czasów Bryce'a w funkcjach i działalności „caucus” niewiele się zmieniło.

wie jednak zawsze odpowiadają one podziałowi regionalnemu, gospodarczemu czy ideologicznemu. Więzy regionalne, więzy wspólnoty interesów gospodarczych i więzy przekonań ideologicznych są w praktyce amerykańskich ciał parlamentarnych bez porównania silniejsze od więzy partyjnych. Bloki regionalno-gospodarcze (np. bawełniany, pszeniczny, kukurydzany itd.) wykazują nieraz znacznie większą zwartość i wyższy stopień dyscypliny, niż kluby partyjne.

Słowem, i reprezentacje partyjne w Kongresie nie stanowią naczelną, kierowniczą instytucji partyjnej na poziomie ogólnonarodowym. Reprezentacje te jeszcze wyraźniej unaczyniają regionalno-koalicyjny charakter amerykańskich stronnictw politycznych.

Czyż więc nie ma żadnych więzi organizacyjnych, które by 48 partii stanowych łączyły w jedno ciało ogólnonarodowe? Więzy takie istnieją.

Pierwszą z nich i ze względu na działanie aparatu organizacyjnego najważniejszą jest sieć *stosunków osobistych*, jakie przewodniczącego ogólnopartyjnego komitetu partyjnego łączą z działaczami partyjnymi, z przywódcami różnorodnych stowarzyszeń, z przedstawicielami grup interesów gospodarczych itp. we wszystkich stanach Unii. Mamy tu do czynienia z całym systemem stosunków prywatnych lub na pół-prywatnych, stosunków przyjaźni i poufałości, znajomości i wspólnych interesów, słowem — z systemem, jaki mógł powstać i rozwinąć się tylko na gruncie demokracji plebejskiej, w świecie sąsiadów-kumotrów. Tym stosunkom przewodniczący ogólnopartyjnego komitetu partyjnego zawdzięcza swe wpływy i swą pozycję wewnątrz partii. One bowiem umożliwiają mu stałe obcowanie z działaczami terenowymi i zdobywanie tą drogą wiadomości o nastrojach wyborców, o tym, jak wyborcy myślą i czego chcą. A to z kolei umożliwia mu kierowanie polityką partyjną, której bezpośrednim celem jest — jak wiemy — zdobycie maksymalnej ilości głosów.

Występuje tu zjawisko bardzo charakterystyczne dla amerykańskiego życia w ogóle. Polega ono na tym, że na życie publiczne w Stanach Zjednoczonych decydujący wpływ często mają pewne instytucje, które można określić jako prywatne, pewne formy i funkcje społeczne, powstałe

obyczajowo, nie ujęte w reguły pisane, poza ustawowe, poza regulaminowe, wyrosłe w wyniku indywidualnych doświadczeń, które z czasem zostały usystematyzowane. Taki charakter ma ten system stosunków osobistych, jaki kierownika amerykańskiej maszyny partyjnej łączy z tysiącami ludzi w całym kraju.

Oczywiście ogromne znaczenie mają tu indywidualne właściwości tego kierownika: jego takt, jego umiejętność obcowania z ludźmi, słowem — wszystko to, czemu może on zawdzięczać swoją popularność. Ale te indywidualne walory mogą być wzmocnione przez obiektywne środki, jakimi rozporządza przewodniczący ogólnopaństwowego komitetu partyjnego. Środki te wynikają zarówno z jego stosunków we wszystkich dziedzinach życia amerykańskiego jak i — jeżeli reprezentuje on partię rządzącą — z jego wpływów w aparacie państwowym. Przyjaźnie osobiste mogą tu być wzmocnione przez możliwość materialnego zainteresowania w przyjaźni. Dzięki przyjaźni przewodniczącego ogólnopaństwowego komitetu partyjnego można otrzymać posady w przemyśle, handlu, transporcie, w ubezpieczeniach, można otrzymać posady w administracyjnym aparacie federalnym, stanowym lub samorządowym. Przewodniczący ma wielu przyjaciół w kołach businessu, które z jego rekomendacjami bardzo się liczą.

Dodajmy, że zgodnie ze zwyczajem przewodniczący komitetu partii zwycięskiej zasiada w gabinecie Prezydenta jako Pocztmistrz Generalny. To z kolei czyni go szafarzem tysięcy posad pocztowych, które — choć skromne — są pożądane przez mniej ambitnych drobnych pracowników partyjnych i ich przyjaciół. Poza tym Pocztmistrz Generalny jako członek gabinetu, złożonego z jego przyjaciół politycznych, ma poważny wpływ na obsadzanie posad i w innych resortach.

W ten sposób przewodniczący zdobywa sobie armię zwolenników we wszystkich stanach Unii i w każdym z ich zakątków. Mając „swoich” ludzi wszędzie, zdobywa sobie wpływy we wszystkich ważniejszych komórkach partyjnych i tym samym utrzymuje jedność organizacyjną całości.

Słabą stroną tego systemu jest to, że opiera się całkowicie na osobie przewodniczącego. Działa on i pada

razem z przewodniczącym. Dopóki ten ostatni jest górą, dopóty cały system funkcjonuje sprawnie. Z chwilą jednak, gdy partia ponosi porażkę wyborczą, cały system momentalnie rozpada się w gruzy. Pobity przewodniczący traci „przyjaciół”, a przez to i cały swój aparat. W roku 1928 Partia Republikańska była bardzo silna i miała sprawnie działający aparat. Po roku 1932 aparat ten rozleciał się ze zdumiewającą szybkością. Ówczesny przewodniczący przyznał się, że wypada mu partię budować od samych początków. Jednakże w roku 1952 Demokraci wcale nieźle wyszli z klęski wyborczej. Tu z pomocą przyszły organizacje lokalne, które okazały się na tyle zwarte, że potrafiły przetrzymać przegraną.

Drugim ważnym czynnikiem zespolenia partyjnego w skali ogólnonarodowej jest kandydat na Prezydenta i sam Prezydent. Zgodnie z obyczajem amerykańskim każdy, wybrany na konwencji narodowej, kandydat jest uważany za przywódcę danej partii. W wypadku kandydata pokonanego przywództwo to trwa tak długo, jak długo trwa kampania wyborcza. Po klęsce kandydat — zwłaszcza gdy jest indywidualnością niezbyt wybitną — szybko traci swój autorytet. W wypadku więc partii opozycyjnej można powiedzieć, że partia ta tylko w czasie kampanii wyborczej ma na swym czele osobistość, uważaną za przywódczą. W wypadku partii rządzącej przywódcą takim jest Prezydent przez cały czas swej kadencji. Niekiedy — jak to jest wyraźne w czasie rządów Eisenhowera — gdy Prezydent nie ma ani czasu ani możliwości, by w pełni oddać się sprawom partyjnym, zadanie to przechodzi na Wice-Prezydenta. Ale o tej roli Prezydenta Stanów Zjednoczonych wypadnie nam szerzej powiedzieć osobno.

Zauważmy, że amerykańskie stronnictwa polityczne nie mają na szczeblu ogólnonarodowym tych instytucji związania członków, jakimi rozporządzają partie europejskie. Amerykańska prasa partyjna prawie że nie istnieje. Działalność wydawnicza jest, poza akcją wyborczą, prowadzona do minimum. Organizacje pomocnicze — np. stowarzyszenia kobiet, młodzieży itd. — wykazują działalność słabą, ożywiającą się w czasie kampanii wyborczej, a i to głównie na poziomie stanowym. Słowem, jedyną

więzią organizacyjną, która zaznacza się w warunkach codziennej, praktycznej pracy partyjnej, jest system kontaktów osobistych, jakie zdobył sobie i jakimi operuje przewodniczący ogólnopartyjnego komitetu partyjnego. Jak wiemy, nie jest to system zbyt trwały. Przede wszystkim jest on doraźny, bardziej improwizowany niż zinstytucjonalizowany.

## Rozdział V

### PARTIE W LICZBACH I FAKTACH

#### 1. Dlaczego Demokraci? — Dlaczego Republikanie?

William Allen White w swej wspaniałej „Autobiografii” opowiada, jak zdecydował się na wstąpienie do Partii Republikańskiej. White, młody dziennikarz, odbywający jeszcze swe studia uniwersyteckie, odczuwał wyraźne aspiracje polityczne. Nie miał — jak pisze — „szczerzej sympatii ani dla Demokratów ani dla Republikanów”, musiał jednak dokonać jakiegoś wyboru. Udał się przeto do dr. Canfielda, swego profesora nauk politycznych, prosząc go o radę. I usłyszał taką odpowiedź:

„Widzisz, White, ja sam nie wiem. Próbowałem być niezależnym, ale politycznie nic mi to nie dało. Wiem, że nie podobają ci się cła ochronne i że nie masz do nich zaufania. Z tego względu powinienbyś zostać Demokratą. Ale w Kansas być Demokratą — to beznadziejne. I prawdopodobnie bardziej zaszkodziś cłom ochronnym, jeżeli wstąpisz do Partii Republikańskiej i tam będziesz z nimi walczyć”<sup>1</sup>.

Rada ta White’owi wydała się rozumna. I poszedł za nią. Swą dalszą działalność publiczną związał z Republikanami. Niewątpliwie nigdy nie był posłusznym członkiem partii. Republikanie mieli z nim masę kłopotów. Był stale bojowym liberałem. Był jednym z twórców rozłamu

---

1. Autobiografia. Str. 162.

roku 1912 i odegrał wybitną rolę w Partii Postępowej Teodora Roosevelta. Pod koniec swego długiego i bardzo czynnego życia bez wahania popierał zagraniczną politykę drugiego Roosevelta. W roku 1940 szedł z Willkie'm. Napisał w swym życiu setki artykułów, w których bez miłosierdzia rozprawiał się z Partią Republikańską, ogłaszał książki, demaskujące „big business” i jego wpływy wśród Republikanów. Był stale buntownikiem, stale dysydem, przeciwstawiającym się partyjnemu konformizmowi. Ale nigdy nie zrywał z Partią Republikańską. Wyszedł z niej razem z Teodorem Rooseveltem, aby wkrótce znów do niej powrócić.

I nie był wyjątkiem. Analogicznie szła droga innego wielkiego dziennikarza — Lincolna Steffensa. I ten wieczny oponent, bojowy liberał, wróg konserwatyizmu i konformizmu, ten sam Lincoln Steffens znajdował dla siebie miejsce w jednej partii z Hooverem, dla którego czuł pogardę<sup>2</sup>. Tak samo było z wielkim wodzem amerykańskich sił postępowych Senatorem Georgem Norrisem i z tysiącami innych Republikanów lub Demokratów, swą działalność wiążących z partiami i z ludźmi, z którymi ich znacznie więcej dzieliło niż łączyło. Oto czym kierował się Fiorello H. La Guardia, decydując się w roku 1906 na wstąpienie do Partii Republikańskiej: La Guardia był specjalnie zainteresowany stosunkami, jakie panowały w mieście New York. Metropolią rządziło wtedy skorumpowane Tammany Hall, Republikanie zaś byli opozycją. Młody La Guardia rozumował, że Republikanie „jako partia, będąca w mniejszości, z konieczności muszą być dobrzy i czysti”<sup>3</sup>.

Rzeczy te budzą zdumienie w Europejczyku. W jego oczach są one sprzeczne z tymi wymaganiami elementarnej etyki politycznej, jaka wciąż jest uznawana (choć nie zawsze praktykowana) w Starym Świecie. Rzeczy te wy-

---

2. „Hoover was the Hamiltonian, who had no democracy in him, none, neither political nor economic. He has shown no sense of the perception that privileges are a cause of our social trouble... Good business is all the good we need. Politics was the only evil, and he has no sense of politics”. THE AUTOBIOGRAPHY OF LINCOLN STEFFENS. Str. 857.

3. Fiorello H. La Guardia, American in the Making. W „The Atlantic”, kwiecień, 1948.

dadzą mu się tym bardziej zdumiewającymi, że White, Steffens, Norris, La Guardia byli ludźmi absolutnej uczciwości, że byli jak najbardziej dalecy od karieryzmu, że nikt ich nie mógł oskarżyć o oportunizm. Jak więc jest to możliwe? — pyta się zdumiony Europejczyk.

Odpowiedź na to pytanie zawarta jest częściowo w słowach dr. Canfielda, a częściowo w poprzednich rozdziałach tej książki. Amerykanin, który ma aspiracje polityczne, który chce odegrać jakąś rolę w życiu politycznym swego narodu, musi znaleźć w tym celu organizacyjną płaszczyznę działania. Inaczej nie ma szans. Taką jedyną płaszczyzną jest partia polityczna. Amerykanin traktuje ją czysto *instrumentalnie*. Wie, że nie jest ona środowiskiem ideotwórczym, że nie jest zespołem ideologicznym. Jest natomiast terenem, na którym mogą być i są prowadzone walki ideowe. W tych wielkich, ideologicznie nie wiążących lub bardzo mało wiążących, koalicyjnych jest pole dla bardzo szerokiej działalności. I dlatego w życiu Amerykanina wstąpienie do tej czy innej partii nie oznacza jakiegos przełomu wewnętrznego, jest decyzją prostą, nieskomplikowaną żadnymi moralnymi względami. Momenty moralne — przyjmując, że Amerykanin ten jest człowiekiem uczciwym — występują dopiero w toku samej działalności publicznej, jako następstwa toczonych wewnątrz samej partii walk o pewne cele i ideały.

John Gunther przytacza ustęp z rozmowy, jaką Thomas Dewey miał w czasie kampanii wyborczej roku 1946 z jednym z dziennikarzy nowojorskich. Na pytanie „Dlaczego jest Pan Republikaninem?” Dewey odpowiedział:

„Takiego pytania jeszcze mi nikt nie zadawał. Wierzę, że Partia Republikańska jest najlepszym narzędziem, aby zdrowy system rządzenia mógł być przekazany w ręce ludzi kompetentnych, i że przez to zabezpiecza ona nasze swobody... Ale jest jeszcze inny powód, dlaczego jestem Republikaninem — urodziłem się nim”<sup>4</sup>.

Dewey urodził się w rodzinie republikańskiej. Republikaninem był jego ojciec i prawdopodobnie — dziadek. Czynniki tradycji rodzinnych ma w amerykańskim życiu politycznym znaczenie wręcz kolosalne. Jak powiada William Beard, przynależność partyjna stała się tu dzie-

---

4. Gunther, op. cit. Str. 528.



dziczonym nawykiem. W wyniku tego nawyku miliony ludzi głosują tak, jak głosowali ich przodkowie. Przyjmuje się, że — pomijając wypadki wielkich rewolucji wyborczych — od 70 do 80 procent głosuje zgodnie z tym nawykiem <sup>5</sup>.

Ten system dziedziczenia przynależności partyjnej jest znacznym ułatwieniem w warunkach, gdy ideologicznie i moralnie jest rzeczą niezbyt ważną — jeśli nie bez mała obojętną — do jakiej partii się należy. Przeciętny obywatel, stając wobec programów, które mało różnią się między sobą i z których żaden nie zawiera treści zbyt konkretnych, w tradycji rodzinnej znajduje klucz do sytuacji. Tradycja ta zwalnia go z kłopotliwej konieczności dokonania jakiegoś zasadniczego wyboru. Ale jednocześnie tradycja ta nie krępuje jego przekonań osobistych. Syn konserwatywnego Demokraty nie musi być konserwatywnym Demokratą. Będąc po prostu Demokratą, może wejść na arenę tych rozgrywek wewnętrznych, jakie istnieją w Partii Demokratycznej. I tak samo, jeżeli jest Republikaninem. Tradycja rodzinna decyduje o arenie, nie koniecznie musi decydować o walce.

Jednakże tradycje rodzinne nie zawsze decydują. Dowodem tego są zmiany w wynikach każdorazowych wyborów. Wybory roku 1932, które dały miażdżące zwycięstwo Rooseveltowi, i wybory lat 1952 i 1956, gdy podobne zwycięstwa odnosił Eisenhower, świadczyły, że wyborcy w tych wypadkach nie liczyli się z tradycjami rodzinnymi. Można dalej wykazać, że tradycje te tracą na swym znaczeniu, gdy chodzi o bardzo konkretne sprawy lokalne. W wyborach np. do władz miejskich — a są to wybory, które Amerykanina szczególnie interesują: stawką są tu sprawy bezpośrednio się go tyżące — linie podziałów partyjnych i tradycji rodzinnych zatracają się prawie zupełnie <sup>6</sup>. Ale często zatracają się one i w wyborach Gubernatorów stanowych. Stan Maine jest twierdzą — i to od pokoleń — republikanizmu i protestantyzmu. A jednak w roku 1954 i w roku 1956 obywatele stanu Maine godność

---

5. William Beard, op. cit. Str. 53.

6. Robert S. Lynd i Helen Merrell Lynd, MIDDLETOWN IN TRANSITION, A Study in Cultural Conflicts. New York, 1937. Str. 363.

swego Gubernatora powierzyli Demokracji, który jest katolikiem i pochodzenia polskiego. Zaufanie do wysokich kwalifikacji kandydata, jego popularność osobista — oto co okazało się silniejsze od tradycji rodzinno-partyjnych. Tradycje te na ogół działają najsilniej w wyborach ogólnonarodowych i w czasach, gdy stawką wyborczą nie są zagadnienia specjalnie ogół pasjonujące. Tradycje schodzą na plan dalszy, gdy, jak w roku 1952 i w roku 1956, wybitny kandydat porywa za sobą masy lub gdy, jak w roku 1932, stawką w kampanii wyborczej są sprawy o największym znaczeniu dla każdego obywatela.

Jednakże stwierdzenie, że tradycje rodzinne odgrywają dużą rolę w politycznym podziale narodu amerykańskiego, nie daje nam jeszcze odpowiedzi na wiele istotnych pytań. W pierwszym rzędzie nie mówi nam, jak i dlaczego tradycje te powstały i rozwinęły się na określonych obszarach Stanów Zjednoczonych. To zaś z kolei przenosi nas na teren rozleglejszego zagadnienia amerykańskiej geografii politycznej.

## 2. *Polityczna geografia Stanów Zjednoczonych*

Była już mowa o tym, że w każdym z 48 stanów każda z dwóch wielkich partii ma swoje specyficzne oblicze, że zarówno Republikanie jak i Demokraci są kombinacjami czy koalicjami samodzielnych partii stanowych. Są jednak stany, w których wyraźnie przeważają Demokraci, i są inne, w których niewątpliwa przewaga należy do Republikanów. Na podstawie wyników wyborów można wykreślić polityczną mapę Stanów Zjednoczonych.

Mapa ta nieraz ulegała zmianom. W pewnych latach były to zmiany bardzo gwałtowne. W roku 1928 kandydat Demokratów Alfred Smith nie zdobył większości w Virginii, Północnej Karolinie, Tennessee, Florydzie i Texasie — w stanach, tradycyjnie głosujących za Demokratami. Była to rewolta południowych protestantów i prohibicjonistów przeciw katolikowi i „mokremu” Smithowi. W roku 1952 i 1956 znaczna część stanów południowych wypowiedziała się za Eisenhowerem. W roku 1952 za Rooseveltem poszły stany, które, jak np. Nebraska, najczęściej szły za Republikanami. We wszystkich tych wypadkach

jakieś racje ogólne okazywały się silniejsze od lokalnych tradycji i nawyków.

Mapa ta może być również różnorodnie kreślona. Wiemy o tym, jak bardzo sprawy lokalne pasjonują Amerykanina. W sprawach tych nie koniecznie kieruje się on względami partyjnymi. Przykładem — Maine w roku 1954 i 1956. Bardzo też często Amerykanin głosuje inaczej, gdy chodzi o wybory o znaczeniu ogólnonarodowym, i inaczej w sprawach lokalnych. Te same stany, które w roku 1956 ławą poszły za Eisenhowerem, wybierały demokratycznych Gubernatorów i Kongresmanów. Dla amerykańskiego wyborcy osobistość kandydata zazwyczaj znaczy znacznie więcej niż przynależność partyjna.

Mapa polityczna Stanów Zjednoczonych, nakreślona na podstawie wyników wyborów do Kongresu czy do władz stanowych, wypadnie inaczej, niż mapa, dla której za podstawę przyjmujemy wyniki wyborów prezydenckich. Różnice między tymi mapami mogą być tak znaczne, że wyprowadzenie czegoś pośredniego może się okazać rzeczą niemożliwą, a w każdym razie — nieściąłą. Trzeba też dodać, że w stopniu mniejszym lub większym to samo da się powiedzieć o poszczególnych stanach. Każdy z nich ma swoją geografię polityczną i w wielu z nich może być ona rozmaicie wyrażona. Była już przecież mowa o tym, jak bardzo pod względem politycznej geografii jest zróżnicowany stan New York. Bodaj że w jeszcze większym stopniu da się to samo powiedzieć np. o Kalifornii, Ohio czy Illinois.

Godząc się jednak, że wybory prezydenckie, jako szczególnie ważne, bardziej niż inne są wskaźnikami politycznych nastrojów ogółu, możemy je przyjąć za podstawę naszej politycznej mapy Stanów Zjednoczonych. Oczywiście przy jej kreśleniu musimy zachować w pamięci wszystkie nasze powyższe zastrzeżenia. Traktując ją więc jako coś zmiennego i nawet prowizorycznego, możemy jednak uwzględnić w niej pewne stany, w których przewaga jednej lub drugiej partii jest bardziej widoczna. W każdym — lub prawie w każdym — z tych stanów istnieją obie partie; każdy — lub prawie każdy — z tych stanów wykazywał w pewnych okresach duże przesunięcia w wynikach głosowań; jednakże o każdym z nich da się powie-

dzieć, że zachodzi tu wielkie prawdopodobieństwo takiego a nie innego głosowania większości jego obywateli.

Ujmując sprawę w ten sposób, następujące stany zaliczymy do tych, w których Republikanie zazwyczaj mają przewagę: Colorado, Delaware, Indiana, Iowa, Kansas, Maine, Nebraska, Północna Dakota, Południowa Dakota, Vermont. Jako stany demokratyczne wymienimy oczywiście Południe, to jest: Virginia, Północna Karolina, Południowa Karolina, Tennessee, Georgia, Alabama, Floryda, Texas, Mississippi, Arkansas, Luizjana i Oklahoma. Inne stany są mniej wyraźne, zwłaszcza że w każdym z nich decydujące znaczenie ma często jego własna geografia polityczna. Jako typowe przykłady mogą tu posłużyć New York (wielkie miasta — demokratyczne, małe miasteczka i okręgi wiejskie — republikańskie) oraz Illinois (Chicago — jedna z twierdz Demokratów, reszta stanu — przeważnie republikańska).

Demokratyczna część Stanów Zjednoczonych jest bardzo wyraźnie zlokalizowana. Jest to Południe, są to stany, które w roku 1861 oderwały się od Unii i utworzyły Konfederację. Jest to równocześnie rejon, z którego pochodził Jefferson (Virginia) i Jackson (Tennessee). W roku 1861 Partia Demokratyczna — tradycyjna wtedy obrończyni praw stanowych — była tu grupą rządzącą. Wodzowie Konfederacji byli Demokratami. Z drugiej strony dla stanów południowych Partia Republikańska była synonimem wroga, partią zaboru i zwycięstwa tych sił, które sprzysięgły się na zgubę południowego sposobu życia. Na Południu imię Lincolna jest ciągle na indeksie. Dzień jego urodzin — świętowany w innych stanach — jest tu w kalendarzu świąt pominięty.

Partia Demokratyczna jest więc w stanach południowych partią lokalnego patriotyzmu. Jest partią południowego nacjonalizmu, politycznym wyrazem niezależności i odrębności tej części federacji. Symbolizuje ona zarazem opór Południa wobec Północy, uosabia przeciwstawność interesów kraju agrarnego wobec wysoce uprzemysłowanej reszty narodu amerykańskiego. Momenty ściśle emocjonalne idą tu w parze z tradycjami i ze świadomością roli interesów lokalnych grup społeczno-gospodarczych.

Jednakże zmiany gospodarcze, jakie ostatnio w szybkim tempie zachodzą na Południu, zdają się mieć coraz

poważniejszy wpływ na strukturę polityczną tej części Stanów Zjednoczonych. Południe uprzemysławia się i wraz z tym następują tu nowe przewarstwienia społeczne. Powstają tu grupy zamożne, ściśle związane z przemysłem. Z drugiej strony uprzemysławiające się Południe zaczyna ściągać ludzi z innych okolic kraju. Zmiany te sprawiają, że czynnik dawnej lojalności partyjnej słabnie. Wytwarza się podstawa dla wpływów Partii Republikańskiej, co właśnie znalazło dla siebie wyraz w wynikach wyborów roku 1952 i 1956. Ale o sprawach tych wypadnie nam jeszcze pomówić.

Przez długie dziesięciolecia południowi Demokraci rządząli Partią Demokratyczną. Dopiero w końcu wieku XIX znaczenie ich w partii zaczęło nieco słabnąć. Osłabło ono jeszcze bardziej w wieku XX, gdy punkt ciężkości sił demokratycznych przesunął się do wielkich miast przemysłowych. Ale i wtedy głos Południa znaczył i wciąż znaczy dużo w tej wielkiej koalicji, jaką jest Partia Demokratyczna. W demokratycznej reprezentacji Senatu przeszło dwadzieścia głosów południowych, w demokratycznej reprezentacji Izby Reprezentantów przeszło stu południowych Kongresmanów — to siła bardzo poważna i wpływowa. W pewnych okresach południowi Demokraci stanowili połowę — a nawet większość — całej parlamentarnej reprezentacji Partii Demokratycznej.

Wśród południowych Demokratów wyraźną przewagę mają żywioły konserwatywne. Odnosi się to szczególnie do najbardziej gospodarczo i kulturalnie uwsteczniczonych stanów, np. do Mississipi. Nie znaczy to jednak, aby w południowej Partii Demokratycznej nie istniało skrzydło liberalne. Istnieje ono i jest w Kongresie reprezentowane przez kilku wybitnych Senatorów i Kongresmanów. W niektórych stanach — np. w Georgii — liberałowie w pewnych momentach potrafili być górą. Ellis Arnall był jednym z najpostępowszych Gubernatorów, jakich miała nie tylko Georgia, ale i jakikolwiek inny stan w całej Unii <sup>7</sup>. W miarę jak Południe się uprzemysławia, w miarę jak zachodzą w nim głębsze przewarstwienia społeczne, rosną siły liberalizmu. Jest to liberalizm bardzo bojowy, bardzo

---

7. Dobrą charakterystykę Arnalla i wyczerpującą analizę liberalizmu w Georgii daje Gunther, op. cit., str. 767 i nast.

żywy, w wielu sprawach — szczególnie w stosunku do Murzynów — radykalnie odbiegający od tradycji południowych. Z liberalizmem tym związani są tacy pisarze, którzy, jak Lillian Smith (autorka głośnej powieści „Strange Fruit”), stoją w pierwszych szeregach obrońców praw ludzkich czarnych obywateli.

Ale droga do zwycięstwa, jakie czeka liberałów południowych, jest wciąż bardzo długa. Mimo doraźne zwycięstwa są oni ciągle w mniejszości. W tej samej Georgii po Arnallu znów doszły do głosu elementy konserwatywne. Siła tych elementów, która opierała się na odsunięciu od urn wyborczych niezamożnych obywateli (słynny „podatek od urny” — *poll-tax*), dziś przede wszystkim opiera się na wyłączeniu Murzynów od udziału w prawyborach Partii Demokratycznej („białe prawyборы” — *white primary*).

O ile stany demokratyczne geograficznie tworzą mniej więcej jednolitą całość, o tyle sprawa stanów republikańskich przedstawia się mniej wyraźnie. Jest tu bowiem kilka odrębnych regionów, a raczej kilka odrębnych „wysp” republikanizmu. Jednocześnie zaś wiele z tych „wysp” ma swoje potężne ośrodki demokracji, reprezentowane przez wielkie miasta przemysłowe. Słowem, wykreślenie mapy republikańskiej Ameryki nastrocza specjalne trudności. Zapoznamy się z tymi „wyspami”.

Przed wszystkim mamy tu dwa stany Nowej Anglii — Maine i Vermont. Oba one to prawdziwe twierdze republikanizmu (co nie przeszkodziło, by Maine godność swego Gubernatora już dwukrotnie powierzył Demokraci!). Do tych dwóch stanów można dodać New Hampshire, gdzie Republikanie są bardzo potężni. Delaware, gdzie również są bardzo silni (choć Demokraci tam ostatnio zdobywają sobie wpływy), oraz Massachusetts i Connecticut, gdzie wpływy republikańskie są bardzo znaczne (choć Connecticut ma obecnie demokratycznego Gubernatora). Z tym ostatnim stanem graniczy, nie należący do Nowej Anglii, stan New York, którego agrarna i górską część wykazuje przewagę Republikanów.

Ta część Stanów Zjednoczonych to wschodnia „wyspa” republikanizmu. Dalej na zachód od niej leży ogromna „wyspa” czy raczej cały „kontynent”, obejmujący szerokie połacie Środkowego Zachodu, Krainy Wielkich

Równin oraz Zachodu. Są tu takie typowe środkowo-zachodnie stany, jak Iowa i Indiana, są obie Dakoty, jest górski stan Colorado. Panuje tu ogromna różnorodność geograficzna, społeczna, różnorodność w stosunkach gospodarczych i w tradycjach.

Wspólną cechą tych republikańskich stanów — przemysłowy Delaware jest tu wyjątkiem — jest przewaga w nich elementów farmerskich. Nie są to okręgi ani wielkiej ani miniaturowej własności rolnej, ale okręgi, gdzie przeważają średnie, zamożne, samodzielne gospodarstwa rolne. Miejscowi farmerzy mają poczucie swego znaczenia, przy czym — co szczególnie jest wyraźne w Północnej Dakocie i w Vermontcie — z poczuciem tym idzie w parze pewien specyficzny radykalizm agrarny, tradycyjnie wyrażający się w nieufności do Wall Street.

Fakt, że radykalizm ten zaprowadził tych farmerów do partii, w której wpływy Wall Street są tak znaczne, budzi zdumienie w Europejczyku. Jest to jednak mniej zdumiewające, gdy przypominamy sobie to, cośmy mówili o historii Świetnej Starej Partii. W stanach agrarnych, gdzie rewolucja przemysłowa nie spowodowała tak głębokiego i wszechstronnego przewrotu jak w stanach innych, mógł się lepiej przechować ten typ dawnego agrarnego radykalizmu, który ongiś cechował partię Lincolna i Greeley'a. Te stany rolnicze żyją własnym życiem, są stosunkowo mało wystawione na wielkie machinacje polityki ogólnonarodowej, ich republikanizm jest bardziej pierwotny, bardziej domowy czy lokalny. Zachowały się tu bądź dawne tradycje „pogranicza”, bądź też tradycje partii „nic nie wiem” czy innych grup, łączących w sobie nacjonalizm i agrarny radykalizm. Tutejsi farmerzy żywią nieufność do wielkich miast i do ich eksponentki — Partii Demokratycznej. Niemniej jednak w okresie Wielkiego Kryzysu ogromna większość tych republikańskich farmerów poszła za Rooseveltem. Trzeba też pamiętać, że Iowa jest ojczystym stanem Henry Wallace'a. Rodzina Wallace'ów od dawna służy temu farmerskiemu radykalizmowi Środkowego Zachodu. Ojciec i dziad Henry'ego byli wybitnymi republikańskimi liberałami. On sam początkowo był Republikaninem. W tych republikańskich stanach poważne wpływy ma Unia Farmerska, której wódz James Patton był gorącym zwolennikiem New Deal'u. Przywódca

Republikanów Vermontu — Senator George D. Aiken — reprezentuje lewicowe skrzydło republikańskiego liberalizmu i w wielu sprawach zajmuje stanowisko bardzo radykalne.

Tak więc wygląda geograficzne rozmieszczenie głównych sił obu partii. Podstawą dla każdej z nich są okręgi wyraźnie agrarne. Dla Demokratów jest to agraryzm południowy, bardzo konserwatywny, natrafiający jednak na silne nurty postępowe. Dla Republikanów jest to agraryzm Nowej Anglii, Środkowego Zachodu, Krainy Wielkich Równin i częściowo Zachodu, agraryzm w swych założeniach radykalny, ale spleciony ze skrajnym konserwatyzmem i w praktyce nieraz mu ulegający. W jednym i drugim wypadku mamy tu do czynienia z postawami tradycyjnymi, staromodnymi, niejako — ale tylko niejako — przeżytkowymi. To, że takie postawy ciągle w tych okręgach dominują, sprawia, że są to okręgi o dość wyraźnie zdefiniowanym obliczu politycznym. Dzięki ich staromodności można wykreślić ową polityczną mapę Stanów Zjednoczonych, zaznaczając w niej stany, co do których istnieje maksimum szans, że pójdą czy to za Demokratami czy za Republikanami.

Są to razem jakieś dwa dziesiątki stanów w czterdziestoośmio-stanowym zespole Unii. Polityczna mapa reszty ulega częstym zmianom i nie da się przedstawić jako coś stałego czy jednolitego. A nawet każdy z tych stanów „republikańskich” czy „demokratycznych” wymagałby narysowania osobnej mapy dla siebie. I na mapie tej zachodziłyby poważne zmiany. Geografia nie da nam przeto dokładnego obrazu partyjnej sytuacji w Stanach Zjednoczonych. Zwróćmy się o pomoc do innych dyscyplin, zaczynając od socjologii.

### 3. Polityczna socjologia Stanów Zjednoczonych

Od wielu lat w Ameryce prowadzone są badania nad dynamiką życia politycznego, wyrażoną w postawach i reakcjach wyborców. Poza badaniami, mającymi na celu względy czysto naukowe, istnieją tu badania, stale przeprowadzane przez różne instytucje badań opinii publicz-



nej, które starają się zebrać materiał, umożliwiającą przewidzenie wyników najbliższych wyborów. Kierownicy obu partii badaniom tym przypisują kolosalne znaczenie i zazwyczaj na podstawie tak zdobytych prognoz ustalają linię swej taktyki wyborczej. Ameryka jest demokracją i głos ostateczny należy tu do obywatela-wyborcy. W każdym razie materiał, zdobyty drogą różnorodnych badań, jest bardzo obfity i ułatwia on wyprowadzanie wniosków odnośnie dynamiki amerykańskiego życia politycznego.

Nie ulega wątpliwości, że epoka Roosevelta stworzyła w życiu tym zupełnie nowe sytuacje. Roosevelt osobą swoją zasłonił konserwatywne południowe skrzydło Partii Demokratycznej. Dzięki Rooseveltowi Partia Demokratyczna stała się synonimem New Deal'u, utożsamiała się z liberalizmem i postępem. Dzięki Rooseveltowi Demokraci zdobyli dla siebie poparcie mas zorganizowanych robotników. Jednym zresztą z celów Roosevelta było powstanie w Stanach Zjednoczonych potężnego ruchu robotniczego, zorganizowanego w związkach zawodowych. Aż do roku 1946 Partia Demokratyczna była w oczach szerokiego ogółu partią Roosevelta, partią postępu i walki z reakcją. Tę tradycję starał się utrzymać Harry Truman — wierny zwolennik Roosevelta i szczery liberał. Jednakże Truman nie posiadał tego kunsztu harmonizowania sprzecznych grup, jaki cechował zmarłego Prezydenta. Zresztą zmieniły się czasy. W Partii Demokratycznej zarysowały się głębokie rozbieżności, dochodziło do ostrych konfliktów, których wyrazem było z jednej strony wystąpienie Wallace'a a z drugiej — ostry zatarg ze skrajnie reakcyjnym skrzydłem południowych Demokratów. Rany te później zostały zagojone, ale nie zatarły się różnice między liberałami i konserwatywnymi Południowcami. Amerykańska opinia publiczna jest dobrze świadoma tych różnic i to oczywiście ma poważny wpływ na jej reakcje.

Z drugiej strony właśnie w latach ery rooseveltowskiej nastąpiło wyraźne utożsamienie się Partii Republikańskiej z konserwatyzmem. Była to partia Hoovera, w którego konserwatyzmie widziano jedną z głównych przyczyn katastrofy roku 1929. W okresie New Deal'u cały szereg bojowych liberałów opuścił Partię Republikańską i stanął przy Roosevelcie. Republikański liberalizm poniósł potężne

straty. Próbował się on odrodzić w roku 1940, gdy na czele partii stanął Willkie. Po klęsce Willkie'go i po jego śmierci górę w Partii Republikańskiej wzięły elementy konserwatywne, kierowane przez Tafta. Stopniowe odradzanie się republikańskiego liberalizmu przypadło na lata późniejsze — na czasy Prezydenta Eisenhowera.

Słowem — jeżeli pominiemy Południe i republikańskie „wyspy”, gdzie panujące tradycje nadają sytuacji specjalne zabarwienie, to przyjąć możemy, że na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci Partia Demokratyczna była w oczach ogromnej ilości obywateli Unii partią Roosevelta i Trumana, a Partia Republikańska — partią Tafta i Hoovera. Stąd żywioły postępowe miały więcej zaufania do pierwszej, żywioły konserwatywne — do drugiej. Czasy Eisenhowera wprowadziły w tym jednak pewne korektywy.

Analiza bogatego materiału statystycznego, jaki został zebrany w wyniku niezliczonych badań opinii publicznej, wykazuje, że wśród sfer mniej zamożnych przeważają sympatie demokratyczne, wśród sfer bardziej zamożnych — republikańskie.

Co więcej — zmiany w kondycji majątkowej zdają się wyraźnie wpływać na sympatie partyjne mas obywateli. W latach pogarszania się sytuacji gospodarczej wyborcy są nastroszeni pro-demokratycznie, w latach pomyślności gospodarczej — pro-republikańsko. To ostatnie było szczególnie wyraźne w wyborach lat ostatnich, gdy spora ilość obywateli, dawniej systematycznie głosujących na Demokratów, poszła za Eisenhowerem. Republikanie nie oczekiwanie dla siebie zdobyli wtedy znaczną ilość głosów robotniczych i to w okręgach, które były uważane za twierdze Demokratów. Ale lata pomyślności sprawiły, że znaczna część robotników amerykańskich faktycznie ani stylem życia ani skalą dochodów nie różni się od tego, co w Stanach Zjednoczonych jest określane jako zamożna średnia klasa. Robotnik taki, który mieszka we własnym pięknie urządzonej domu, który w garażu ma drogie auto (albo i dwa auta), którego dochód jest wyższy od dochodu niejednego profesora uniwersytetu, taki robotnik — a nie jest on zjawiskiem wyjątkowym — jest bliższy umiarkowanemu, z lekka liberalnemu konserwatyzmowi Eisenhowera niż bardziej radykalnemu liberalizmowi wielu pół-

nocnych Demokratów. Do tego w wielu konserwatywnych osiedlach z republikanizmem jest połączone to, co w Ameryce jest nazywane „respectability” — zdolność budzenia poszanowania u ogółu. W tych osiedlach (i w całych śródowiskach) jest bardziej „respectable” być protestantem niż katolikiem, i Republikaninem niż Demokratą. Taka atmosfera charakteryzuje w pierwszym rzędzie osiedla podmiejskie (*suburban areas*), jakie w latach ostatnich coraz szerszym pierścieniem otaczają wszystkie wielkie miasta amerykańskie. Do osiedli tych masowo przenoszą się ci wszyscy, którym się dobrze powodzi. A ilość ludzi, którym dobrze się powodzi, jest w Stanach Zjednoczonych coraz większa. Nie koniecznie wśród nich muszą przeważać ludzie bogaci. Bardzo wielu z nich to po prostu dobrze usytuowani wyżsi urzędnicy różnorodnych przedsiębiorstw prywatnych (*executives*). Otóż zmiana miejsca zamieszkania, będąca następstwem zmiany w kondycji materialnej, pociąga za sobą obowiązek przyjęcia nowego stylu życia. Trzeba być „respectable”. A to znów wymaga wypowiedzenia się za Republikanami. W ten sposób sympatie partyjne stają się w Stanach Zjednoczonych jedną z konwencji społecznych, związanych z sytuacją majątkową czy skalą dochodów osobnika.

To, że w Stanach Zjednoczonych zachodzi wyraźny związek między kondycją majątkową obywatela a jego sympatiami partyjnymi, ma swe potwierdzenie w całym szeregu badań. Małżonkom Lynd zawdzięczamy klasyczną monografię stosunków w amerykańskim mieście średniej wielkości. Lyndowie wybrali za podstawę swych badań miasto, które z różnych względów mogło być uznane za reprezentatywne dla tego typu miast amerykańskich. To anonimowe miasto<sup>8</sup>, znajdujące się w okręgu agrarnym i wyraźnie republikańskim, w roku 1936 dało większość Rooseveltowi. Lyndowie wyniki głosowania rozpatrzyli według dzielnic, na które miasto się dzieliło, przy czym dzielnice te posegregowali według materialnej sytuacji ich mieszkańców. Zamieszczona poniżej tablica jest zapożyczona z dzieła Lyndów „*Middletown in Transition*”:

---

8. W rzeczywistości było to miasto Muncia, stanu Indiana. Lyndowie badania swe przeprowadzali dwukrotnie, w odstępnie dziesięcioletnim.

<i>Mieszkańcy</i>	<i>Ilość dzielnic</i>	<i>Ilość głosów</i>	<i>% za Rooseveltem</i>
Robotnicy	14	9,186	68.8
Przeważnie robotnicy, lecz nie tylko	4	3,188	65.0
Murzyni	3	1,953	63.4
Przeważnie zamożni ( <i>business class</i> ), lecz nie tylko	5	3,483	52.8
Zamożni ( <i>business class</i> )	9	6,960	46.8

Minimalne ilości głosów padły na rzecz drobnych partii. W całości 99.2 procent głosujących oddało swe głosy bądź na Demokratów bądź na Republikanów <sup>9</sup>.

Pracą Lyndów stała się punktem wyjściowym dla całego szeregu badań, które w różnych okresach i w różnych miejscach wielkiego kraju zajmowały się studiowaniem postaw i nawyków Amerykanów. Badania te potwierdziły wnioski, do których doszli małżonkowie Lynd. Nie ulega wątpliwości, że na ogół (ale tylko na ogół) *Partia Republikańska pociąga ku sobie zamożniejsze warstwy społeczeństwa amerykańskiego, Partia Demokratyczna — jego warstwy mniej zamożne.*

Do podobnych wniosków dochodzą znacznie obszerniejsze, gdyż obejmujące teren całej Unii, badania systematycznie prowadzone przez różne instytuty badań opinii publicznej, zwłaszcza — przez Gallupa i Elmo Ropera. „Im wyborcy są bardziej zamożni — twierdził Roper w roku 1948 — tym większe jest prawdopodobieństwo, że głosować będą na Republikanów; im mniej zamożni, tym bardziej zdają się popierać Trumana” <sup>10</sup>. Materiały, zbierane w latach późniejszych, w niczym nie podważyły siły tego wniosku.

Ale i inne aspekty zagadnienia były obejmowane przez badania opinii publicznej. Zajęto się sprawą związku między wiekiem obywatela a jego sympatiami partyjnymi. Na podstawie zebranych danych można było wyciągnąć wniosek, że na ogół (zawsze — na ogół) *do młod-*

9. Lyndowie, op. cit. Str. 356.

10. New York Herald Tribune, 12 lutego 1948.

szych Amerykanów bardziej przemawia Partia Demokratyczna, gdy Republikanie mają znacznie większe powodzenie wśród roczników starszych. Jest rzeczą interesującą, że ludzie starsi zdają się przeważać wśród tych, którzy nie wypowiadają się za żadną z obu partii. Wyjaśnienie tego zjawiska nie jest sprawą łatwą. Możliwe, że wśród ludzi starszych jest więcej dysydentów, jednostek, których doświadczenie życiowe zaprawiło je nieufnością do obu partii. Możliwe jest też, że młodzież jest bardziej impulsywna, bardziej stanowcza w swych sympatiach i antypatiach. Trzeba się też liczyć i z tym, że młodzież ta w pełniejszym stopniu niż starsze roczniki przeszła przez szkołę amerykańską, że jest dzięki temu politycznie bardziej aktywna. Są to jednak tylko hipotezy, albowiem otrzymany materiał jest zbyt ubogi, by pozwalał na wyciąganie bardziej kategorycznych wniosków.

Wszystkie badania zgodnie stwierdzają, że Demokraci mają stale największe wpływy w wielkich miastach przemysłowych (i oczywiście na agrarnym Południu), że — dalej — wpływy ich są największe w dzielnicach robotniczych (choć w roku 1952 i 1956 sporo głosów w tych dzielnicach padło na Eisenhowera), przy czym robotnicy zorganizowani w związkach zawodowych dają Demokratom większe poparcie, niż robotnicy niezorganizowani. W miastach o zaludnieniu mniej niż 10.000 mieszkańców oraz wśród farmerów na ogół przeważają wpływy Republikanów.

Podsumujmy wyniki, które nam łącznie przyniosły polityczna geografia i polityczna socjologia Stanów Zjednoczonych. Wyniki te możemy sformułować w sposób następujący:

Analizując nasze liczby i fakty, dochodzimy do przekonania, że Partia Demokratyczna jest kombinacją agrarnego Południa i przemysłowych ośrodków wielkomiejskich reszty kraju; że partia ta silniej do siebie przyciąga elementy mniej zamożne niż bardziej zamożne, ludzi młodszych niż starszych; że następnie ma — z wyjątkiem Południa — większe wpływy wśród ludności miejskiej niż wśród farmerów. Z drugiej strony Partia Republikańska jest kombinacją okręgów farmerskich (zwłaszcza Środkowego Zachodu i Nowej Anglii) i zamożnych elementów miejskich — zarówno wielkomiejskich jak i małomiastecz-

kowych; że następnie silniej ku sobie pociąga ludzi bogatszych niż uboższych, starszych niż młodszych, farmerów niż robotników. Jak powiada znawca stosunków na Środkowym Zachodzie, w tej dzielnicy kraju Partia Republikańska „stafa się w większym stopniu religią małomiasteczkową i farmerską, niż nią była na początku swych dziejów”<sup>11</sup>.

Ale ten obraz układu amerykańskich sił partyjnych wymaga dalszych uzupełnień. Przyniesie nam je polityczna etnografia Stanów Zjednoczonych.

#### 4. Polityczna etnografia Stanów Zjednoczonych

Ta polityczna etnografia Stanów Zjednoczonych jest dziś mniej ważna, niż była kiedyś. Postępy amerykanizacji, niwelacyjne procesy w grupach emigracyjnych, rozpad ghatt narodowościowych — wszystko to wybitnie zmniejsza wagę grup etnicznych świeżego pochodzenia amerykańskiego. Ale znaczenia tych grup nie należy lekceważyć. Przede wszystkim czynnik emigracyjny miał duży wpływ na historię amerykańskich partii politycznych. Bez niego nie wyjaśnimy sobie wielu cech amerykańskiego życia partyjnego. A poza tym ghetta narodowościowe — choć już w stanie rozkładu — ciągle istnieją i fakt ich istnienia jest stale brany pod uwagę przez strategów amerykańskiej gry politycznej. Do tego dochodzi tu tak ważny moment, jakim jest obecność 16 milionów Murzynów. Politycznej etnografii Stanów Zjednoczonych nie wolno nam pomijać.

Z grup emigrantów Irlandczycy mieli bezspornie największe znaczenie dla amerykańskiego życia politycznego. Gdy w latach 1840-1850 rozpoczął się wielki exodus z Irlandii, pierwsi wychodźcy szukali dla siebie politycznego oparcia w Partii Demokratycznej. Główną przyczyną było zapewne — jak przypuszcza Bryce — że Demokraci wydawali się im mniej protestanckimi, niż Whigowie, oraz że byli już wtedy potęgą w New Yorku, które to miasto najbardziej w przyciągało Irlandczyków<sup>12</sup>. Dość że od tego

11. Hutton, op. cit. Str. 295.

12. Bryce, op. cit. T. II, str. 33.

czasu wytworzył się bardzo ścisły związek między Irlandczykami a Demokratami.

Nawet w naszych czasach Irlandczycy odgrywają wybitną rolę w demokratycznych organizacjach tych miast amerykańskich, które — jak np. New York i Boston — mają olbrzymie skupiska wychodźców z Zielonej Wyspy. Wśród demokratycznych burmistrzów (mayorów) tych miast, wśród miejscowych przywódców partyjnych najczęściej spotykane są nazwiska irlandzkie. Są one również pospolite w policji — organizacji, która w Stanach Zjednoczonych zawsze blisko jest związana z lokalną polityką. Dopiero stosunkowo od niedawna na czoło kierownictwa wielkomijskich organizacji demokratycznych zaczęli wysuwać się ludzie o nazwiskach włoskich i żydowskich.

Zasługą Partii Demokratycznej jest to, że bardzo wczesnie zwróciła uwagę na polityczne znaczenie mas emigranckich. Masy te Demokratom zawdzięczają początki swej edukacji obywatelsko-politycznej. I choć nie zawsze była to edukacja najlepsza, to w każdym razie Partia Demokratyczna walenie przyczyniła się do związania świeżych przybyszów z życiem politycznym ich nowej ojczyzny.

Oczywiście Demokratom chodziło o głosy. Na Północy Partia Demokratyczna już w pierwszej połowie wieku XIX opanowała aparaty władz miast przemysłowych. Miasta te stały się wkrótce wielkimi skupieniami nowych Amerykanów. Demokraci nie mogli dopuścić, by ci nowi obywatele byli pozostawieni samym sobie, albo — co gorzej — by dostali się w ręce innych ugrupowań politycznych. Organizowanie emigrantów, wiązanie ich z obozem Jeffersona i Jacksona stało się wielkim zadaniem Demokratów.

Występowali tu oni jako opiekunowie i orędownicy interesów tych gromad, które, nie znając języka, obyczajów, praw, gubiąc się w warunkach życia amerykańskiego, szukały nad sobą patronatu jakiejś siły życzliwej i wyciągającej do nich rękę. To, że Demokraci podkreślali swą życzliwość dla kościoła katolickiego, że byli wolni od ksenofobii, że prezentowali się jako partia umiarkowanie konserwatywna — wszystko to zjednywało im sympatie chłopów irlandzkich, sycylijskich, polskich czy litewskich.

Wpływy, jakie Demokraci mieli we władzach miejskich, w policji i w sądach, były czynnikiem nie mniej

ważnym. Emigrant, który miał często zatargi z tymi potęgami, wiedział, że partia przyjdzie mu z pomocą<sup>13</sup>. Demokraci tworzyli też organizacje obcojęzyczne, popierali prasę emigrantów, starali się, by wśród lokalnych przywódców reprezentowani byli przedstawiciele grup i organizacji nowych przybyszów. Trzeba też dodać, że Demokraci — dla zrozumiałych przyczyn — dbali o to, by świeży przybysze jak najszybciej otrzymywali obywatelstwo.

W rezultacie Partia Demokratyczna zdobyła sobie potężne oparcie w masach emigrantów. Partia ta, która na Południu jest wybitnie protestancka i raczej nieżyczliwa dla cudzoziemców, w miastach przemysłowych Północy, Wschodu i Środkowego Zachodu stała się synonimem elementów wątpliwie rdzennie amerykańskich i zgoła nieprotestanckich. Z drugiej strony elementom tym zawdzięcza ona dużo z tej ewolucji, jaką przeżyła w dziedzinie swych haseł i programów. Pierwotnie konserwatyzm Demokratów był tym, co pociągało do nich przybyszów z chłopskiej Europy. Ale ci ostatni reprezentowali tu biedotę miejską. Radykalizowała się ona w miarę jak się amerykańizowała, jak, wyzbywając się tradycji rodzinnych wiosek, mocniej wchodziła w nurt życia wielkiej demokracji przemysłowej. To radykalizowanie się mas miejskich miało znaczny wpływ na zmianę oblicza północnych Demokratów. Wzmagają wśród nich prądy liberalne i życzliwe dla świata pracy. Dawny konserwatyzm zaczął stopniowo przeradzać się w coś zupełnie innego.

Można powiedzieć, że w Stanach Zjednoczonych miejskie elementy emigranckie są prawie jednolicie w obozie Demokratów. Czołowe miejsce zajmują tu oczywiście Irlandczycy, ale za nimi idą Włosi, Polacy, Niemcy, Litwini, Czechosłowacy itd. itd. Jak silnie grupy te są związane z Demokratami, o tym powiedzą dwa przykłady.

W roku 1946 Republikanie starali się wyzyskać rozgorczenie, jakie wśród polskich Amerykanów panowało z powodu Jałty. W kampanii wyborczej „zaprzeczenie Polski Sowietaom” przez Roosevelta było użyte przez opozycję jako potężny argument na rzecz poparcia Partii Republikańskiej przez grupy polskie. Wyniki były znikome. Wy-

13. Barwną ilustrację tych stosunków dała Betty Smith w swej powieści *A TREE GROWS IN BROOKLYN*.



borcy pochodzenia polskiego — choć głęboko rozżaleni na Roosevelta za jego stanowisko w Jałcie — oddali swe głosy na partię, za której kandydatami zawsze głosowali i którą uważali za tradycyjną obrończynię ich interesów. Podobnie w tym samym okresie niepowodzeniem zakończyły się próby Republikanów pozyskania dla siebie Żydów, rozgorączkonych na ówczesną politykę amerykańską w Palestynie. Licytowanie się przez kandydatów republikańskich w pro-sjonizmie nie przyniosło im wzrostu głosów żydowskich. Wyborca żydowski w miastach przemysłowych dochował swej wierności Demokratom, co najwyżej — podobnie jak wyborca polski — wyrażając swe niezadowolenie przez wstrzymanie się od głosowania. Jasną jest rzeczą, że w roku 1957 Demokraci występują jako płomienni obrońcy Izraela i nieubłagani krytycy polityki, jaką republikańska administracja prowadzi na Bliskim Wschodzie.

Republikanom wypadło więc płacić za grzech pierworodny zlekceważenia przez siebie wielkomijskich elementów emigranckich. Były jednak i są pewne grupy emigranckie, gdzie Republikanie mają wpływy bardzo duże. Są to grupy farmerskie i protestanckie, szczególnie na Środkowym Zachodzie. Wiemy, że ta część Stanów Zjednoczonych jest wielką „wyspą” republikanizmu. Dominuje on tu przede wszystkim wśród ludności farmerskiej. Jest przeto rzeczą zupełnie zrozumiałą, że Partia Republikańska musiała tu trafić do farmerów skandynawskich i niemieckich.

Środkowy Zachód i Kraina Wielkich Równin są bardzo silnie zaludnione przez od dawną tu osiadłą skandynawską i niemiecką ludność rolniczą. Szczególnie Minnesota ma ogromną ilość Skandynawów wśród swych farmerów. W Wisconsin są całe połacie zaludnione przez farmerów niemieckich. I jakkolwiek proces amerykańzacji jest i wśród Skandynawów i wśród Niemców bardzo daleko posunięty, to jednak coś się tu zachowało z poczucia odrębności — u Skandynawów (Szwedów) bodaj silniej niż u Niemców. Zostali tu oni ogarnięci przez Republikanów, którzy w tej części Stanów Zjednoczonych w ogóle ogarnęli farmerów. Stąd element skandynawsko-niemiecki odgrywa w Partii Republikańskiej poważną rolę, choć nie jest to rola tak wielka, jak ta, jaką odgrywają Irlandczycy w Partii Demokratycznej. W Partii Republikańskiej

wpływ elementu skandynawsko-niemieckiego odczuwa się głównie w polityce lokalnej, podczas gdy w Partii Demokratycznej wpływy irlandzkie sięgają bardzo wysoko.

Jest rzeczą wyraźną, że w tym związku grup emigranckich z tą czy z inną partią polityczną momenty ściśle narodowościowe nie odgrywają istotnej roli. Irlandczycy, Włosi, Żydzi, Polacy nie dlatego sprzyjają Demokratom, że są Irlandczykami, Włochami, Żydami czy Polakami, ale dlatego, że są mieszkańcami wielkich miast przemysłowych i że są wciągnięci w te same procesy, w jakie jest wciągnięta cała ludność tych miast. I analogicznie jeżeli na Środkowym Zachodzie i w Krainie Wielkich Równin Skandynawowie i Niemcy są przeważnie Republikanami, to nie jest to dlatego, że są Skandynawami czy Niemcami, ale dlatego, że są farmerami, osiadłymi w określonej części Stanów Zjednoczonych. Niewątpliwie wszędzie tam działają tradycje lojalności partyjnej ojców i dziadów. Ale i istnienie tych tradycji jest zgodne z tym ogólnym wzorem życia politycznego, jaki jest tak charakterystyczny dla Nowego Świata.

##### 5. *Polityczna antropologia Stanów Zjednoczonych*

W zespole grup, jakie składają się na naród amerykański, Murzyni zajmują specjalne miejsce. Nie są grupą kulturalno-etniczną — są Amerykanami bardzo starej daty, są przedstawicielami kultury amerykańskiej w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Folklor murzyński jest jedną z najważniejszych — i najcenniejszych — części składowych folkloru ogólnoamerykańskiego. Język angielski jest językiem ojczystym Murzynów amerykańskich, ich wkład we wzbogacenie tego języka jest znaczny. Murzyni amerykańscy wydali szereg postaci, które wybitnie przyczyniły się do wzbogacenia amerykańskiego dorobku kulturalnego. A jednocześnie Murzyni stanowią grupę społeczną bardzo się wydzielającą z całej amerykańskiej zbiorowości narodowej.

Podstawą tego wydzielenia się są — formalnie rzecz biorąc — rasowo-antropologiczne cechy Murzynów. W rzeczywistości chodzi tu o cały system ocen, tradycji, uwarunkowań społecznych i kulturalnych, idących od białych,

a które z antropologią jako ze ścisłą dyscypliną naukową bardzo mało mają wspólnego. System ten sprawił, że Murzyni stali się w narodowej społeczności amerykańskiej *kastą* i to kastą ocenianą przez inne elementy tej społeczności narodowej jako bardzo nisko umiejscowioną w całej organizacji społecznej.

Jako kasta Murzyni są odseparowani od reszty społeczności narodowej. Odseparowanie to jest najdalej posunięte na Południu, gdzie Murzyn jest wciąż trzymany poza nawiasem społeczności innych obywateli. Jest ono bezporównania słabsze na Północy i szczególnie na Zachodzie, gdzie system kastowy jest znacznie mniej sztywny, kontakty na stopie równości między białymi a czarnymi bardziej liczne i częste, dyskryminacja mniej zinstytucjonalizowana, przeważnie natrafiająca na dezaprobatę ogółu białych. Ale i tu zachował się jakiś stopień separacji, i tu kastowość nie zniknęła, jakieś dyskryminacje powtarzają się <sup>14</sup>.

Te różnice w sytuacji Murzynów jako kasty na Południu i w innych dzielnicach Stanów Zjednoczonych mają ogromny wpływ na role, jakie czarni Amerykanie odgrywają w życiu politycznym kraju, i na całą działalność stronnictw politycznych.

Z wyjątkiem krótkiego okresu „Rekonstrukcji” po Wojnie Domowej, Murzyni na Południu byli zupełnie odsunięci od udziału w życiu politycznym. W wielu stanach południowych „podatek od urny” (*poll tax*) pozbawiał niezamożnych obywateli — wśród tych ostatnich ogromną ilość Murzynów — prawa głosowania. Ale ważniejszym ograniczeniem jest w wielu stanach południowych wciąż faktycznie istniejąca (choć przez sądy uznawana za niekonstytucyjną) zasada „białych praw wyborów” (*white primary*) w Partii Demokratycznej. Na Południu partia ta jest właściwie jedynym rzeczywistym stronnictwem politycznym. Jej prawyborcy mają w niektórych stanach znacznie większe znaczenie od właściwych wyborów, które są tam niczym innym jak formalnym potwierdzeniem wyników, osiągniętych w prawyborach. Tymczasem regu-

14. Poza klasyczną książką Myrdala sprawy te są omówione w niezwykle bogatej literaturze naukowej. Na szczególną uwagę zasługuje John Dollard, *CASTE AND CLASS IN A SOUTHERN TOWN*, New York, 1937.

laminy południowych stanowych Partii Demokratycznych tylko białych obywateli dopuszczają do udziału w tych głosowaniach. I jakkolwiek Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych uznał to zarządzenie za sprzeczne z Konstytucją i bezprawne, to nie przestaje ono być nadal stosowane nawet w tych stanach południowych, gdzie Murzyni formalnie są dopuszczani do udziału w prawyborach. Albowiem czarny obywatel dobrze się zastanowi, zanim z „prawa” głosowania w prawyborach skorzysta. Cały system złośliwych szykan a często i wręcz brutalnego terroru, stosowanego wobec Murzynów przez białych, wciąż stoi na straży czystości rasowej „białych prawyborów”. Jednakże w latach ostatnich dał się zauważyć znaczny wzrost udziału czarnych w tych głosowaniach. W niektórych stanach — choć bynajmniej nie we wszystkich — widoczna jest poprawa stosunków.

Są okręgi na Południu, gdzie Murzyni stanowią większość miejscowej ludności. Niemniej jednak na całym Południu Murzyni jako czynnik polityczny nie mają znaczenia. Choć chcą głosować, nie mogą tego czynić nawet tam, gdzie nie mają formalnych przeszkód. A kto nie głosuje, ten się nie liczy. A jeśli nawet głosują, to wciąż jako nieliczne jednostki, których głosy toną w masie głosów białych obywateli.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja poza Południem. Tu nigdy nie było „podatku od urny” ani „białych prawyborów”. Murzyn może tu korzystać ze wszystkich uprawnień obywatelskich i rzeczywiście stara się z nich korzystać.

Jednakże znaczenie polityczne wyborców murzyńskich jest tu ograniczone przez warunki, w jakich oni żyją. Przede wszystkim na Zachodzie ilość Murzynów jest zupełnie znikoma. Są oni tu tak nieliczni, że nie mogą mieć wpływu na życie polityczne tych kolosalnych rejonów. Są oni nieco liczniejsi na Północnym Wschodzie (z wyjątkiem stanów Maine i New Hampshire, gdzie jest ich bardzo mało) oraz w niektórych stanach Środkowego Zachodu (zwłaszcza — Illinois, Michigan, Indiana, Ohio). Ale ołbrzymia ich większość przebywa w kilkunastu wielkich miastach, gdzie tworzą zamknięte ghetta dzielnicowe (w rodzaju słynnego nowojorskiego Harlemu). Murzyni —

ludność na Południu wybitnie rolnicza — na Północy ulegli zupełnej urbanizacji.

Choć zdaje się to brzmieć paradoksalnie, ale proces urbanizacji miał raczej ujemne następstwa dla politycznego znaczenia Murzynów północnych. Po pierwsze — Murzyni razem z białą ludnością miast amerykańskich są pokrzywdzeni, jeżeli chodzi o reprezentację w Kongresie. We wszystkich stanach podział na okręgi wyborcze forytuje ludność wiejską na niekorzyść dużych miast. Stąd w Izbie Reprezentantów okręgi agrarne mają stosunkowo liczniejszą reprezentację od okręgów miejskich. Po drugie — Murzyni, stłoczeni w ciasnych granicach swych dzielnic, poza nimi mają minimalne wpływy. W praktyce Murzyni jako czynnik polityczny znaczą coś tylko w tych rejonach wielkich miast, w których mieszkają. To nam tłumaczy, dlaczego Murzyni — prawie dziesiąta część narodu amerykańskiego — mogą w obecnych warunkach liczyć na wysłanie do Kongresu kilka zaledwie swych przedstawicieli. W chwili obecnej w Izbie Reprezentantów, składającej się z 435 Kongresmanów, zasiada zaledwie trzech Murzynów.

Dzięki jednak specyficznej geografii wyborczej w wielu wielkich miastach istnieją okręgi „mieszane”, obejmujące razem dzielnice murzyńskie i niemurzyńskie. W okręgach takich głosy czarnych obywateli dużo znaczą i występujący tu biali kandydaci obu partii muszą zabiegać o pozyskanie dla siebie tych głosów. To z kolei stwarza dla Murzynów pole dla gry politycznej. Grę tę prowadzą na ogół bardzo zgranie i jej zawdzięczają znaczny wzrost swych wpływów politycznych w takich miastach, jak New York i Chicago.

Do czasów Franklina Roosevelta Murzyni stale oddawali swe głosy na kandydatów Partii Republikańskiej. Było to zrozumiałe: Republikanie byli partią Prezydenta, który Murzynom dał wolność, Republikanie nie byli odpowiedzialni za dyskryminacje, jakie Murzynów spotykały na demokratycznym Południu. W dużych ośrodkach miejskich — jak np. w Chicago — Republikanom za cenę bardzo małych koncesji łatwo było pozyskiwać czarnych wyborców<sup>15</sup>.

15. St. Clair Drake i Horace R. Cayton, op. cit. Str. 351.

Ten stan rzeczy zaczął szybko zmieniać się po roku 1932. St. Clair Drake i Horace R. Cayton, dwaj utalentowani socjologowie murzyńscy, którzy napisali wyczerpującą monografię ghetta murzyńskiego w Chicago, twierdzą, że w mieście tym tylko 23 procent Murzynów oddało w roku 1932 swe głosy za Rooseveltem. Ale odsetek ten rósł z każdymi następnymi wyborami. W roku 1936 już 49 procent czarnych wyborców poparło Roosevelta, w roku 1940 — 52 procent <sup>16</sup>.

Rozwój wypadków w Chicago niewątpliwie wyrażał tendencję, panującą we wszystkich ośrodkach, gdzie Murzyni mogli wystąpić jako czynnik polityczny. Roosevelt porwał swym programem społeczno-gospodarczym, swym szerokim liberalizmem i humanitaryzmem. Murzyni pamiętali Białemu Domowi, że gościem w nim bywała Marian Anderson i inni znakomici przedstawiciele czarnej Ameryki. New Deal kazał zapominać, że Południe jest ważną częścią Partii Demokratycznej. Czarni wyborcy od partii Prezydenta Oswobodziciela Lincolna przeszli do partii nowego Prezydenta Oswobodziciela — Franklina D. Roosevelta <sup>17</sup>.

Ten stan rzeczy utrzymał się za czasów prezydentury Trumana. Następca Roosevelta starał się być wierny liberalnym tradycjom swego wielkiego poprzednika. W sprawie murzyńskiej Truman zachowywał bezkompromisowe stanowisko, wrogie dyskryminacjom rasowym i walczące o rzeczywiste równouprawnienie czarnych z białymi. Murzyni byli tego świadomi i szli za Prezydentem.

Ale czasy Trumana wydobyły na wierzch uśpione za czasów Roosevelta wewnętrzne konflikty w Partii Demokratycznej. Jednym z najostrejszych był właśnie konflikt na tle sprawy murzyńskiej. Walka między liberalną Północą a konserwatywnym Południem — to stare zjawisko w Partii Demokratycznej. Istniało ono i za czasów Roosevelta, który jednak, zręcznie lawirując między stronami,

---

16. *Ib'id.* Str. 353-354.

17. Wyczerpującą analizę politycznej sytuacji Murzynów w Stanach Zjednoczonych daje Myrdal, *op. cit.*, str. 474-520. Tam również na str. 496 tablica, ilustrująca, jak w latach 1932-1940 głosowali Murzyni 9 miast amerykańskich. Na uwagę zasługuje: Harold J. Laski, *THE AMERICAN DEMOCRACY, A Commentary and an Interpretation*. New York, 1948. Str. 467-477.

umiał łagodzić zadrażnienia i utrzymywać jedność. Zresztą w epoce Roosevelta inne zgoła zagadnienia wysuwały się na miejsce naczelne. Po wojnie sprawa murzyńska stała się jednym z najbardziej palących zagadnień amerykańskiej polityki wewnętrznej. Nowy zaś Prezydent — Harry Truman — niedwuznacznie stanął na czele północnych liberałów.

Trzeba też pamiętać, że w ciągu tych lat bardzo posunęło się naprzód polityczne uświadomienie Murzynów. Czarna Ameryka dojrzywała i przestawała się godzić z dotychczasowym stanem rzeczy. Setki tysięcy czarnych żołnierzy walczyły w szeregach armii Stanów Zjednoczonych. Tysiące z nich nie wróciły. A ci, którzy wrócili cało i zdrowo, niechętnie wracali do kasty.

Nie inaczej na tę sprawę patrzył i Prezydent, i cały obóz liberalizmu amerykańskiego. I to nie tylko na Północy. Albowiem i na Południu rosły siły liberalne. Były one jednak tam wciąż za słabe, by dać odpór panującym przesądom rasowym. Musiało dojść do walki, która nawet i dziś jest daleka od zakończenia.

Walka ta koncentrowała się dookoła zagadnienia praw obywatelskich (*civil rights*) dla Murzynów, to jest faktycznego ich równouprawnienia, zapewnienia swobodnego wykonywania praw wyborczych, usunięcia dyskryminacji w życiu codziennym, zniesienia segregacji w szkołach itp. Główne momenty tej walki rozegrały się w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych i kulminacyjnymi jej punktami były orzeczenia sądowe, uznające dyskryminujące przepisy stanowe za sprzeczne z Konstytucją. Szczególnie ważnymi były orzeczenia, wypowiedziane się przeciw segregacji rasowej w szkolnictwie.

Ale strona przeciwna nie złożyła broni. Punktem zasadniczym stało się zagadnienie — tak stare, jak cała Unia — „praw stanowych”. Pytaniem było — w jakiej mierze decyzje organów federalnych — Sądu Najwyższego i Kongresu — mogą wpływać na ustawodawstwo stanowe? Stany południowe twierdziły — a i wciąż twierdzą — że ustawodawstwo, dotyczące się stosunków rasowych, jest wyłączanie sprawą kompetencji władz stanowych.

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły tego sporu. Zaznaczymy jedynie, że miał on potężny wpływ na rozwój stosunków partyjnych ostatniego okresu historii Stanów

Zjednoczonych. Przede wszystkim jest to spór w Partii Demokratycznej. W roku 1948 skrajne skrzydło południowe wyszło z tej partii i w wyborach wystawiło własnego kandydata. Rozłam ten został później zlikwidowany, ale konflikt istnieje nadal.

Wszystko to nie mogło nie mieć wpływu na postawy i reakcje amerykańskich Murzynów. Ich zaufanie do Demokratów uległo zachwianiu. Prawda że w Partii Demokratycznej byli ludzie, w których Murzyni widzieli wypróbowanych przyjaciół i oddanych obrońców swych praw. Ale ludzie ci byli w jednej i tej samej partii z innymi, których Murzyni uważali za swych śmiertelnych wrogów. Czy można więc zachować lojalność, która powstała w czasach Roosevelta i Trumana? Nowy przywódca Demokratów — Adlai Stevenson — choć niewątpliwy liberał, starał się utrzymać jedność partii, nie chciał zrażać do siebie Południowców i w sprawie murzyńskiej zajmował dość niewyraźne stanowisko.

Z drugiej zaś strony Republikanie wystąpili jako gorący obrońcy programu „praw obywatelskich”. Szło to im tym łatwiej, że nie musieli liczyć się z Południem, gdzie wpływy ich były bardzo małe. Partia Republikańska stanęła w roku 1952 i 1956 wobec wielkiej perspektywy odzyskania głosów murzyńskich.

W pewnych granicach osiągnęła ona w tym dobre wyniki, szczególnie w wyborach roku 1956. W roku tym spora ilość głosów murzyńskich padła na Prezydenta Eisenhowera. Jest jednak sprawą raczej sporną, czy głosy te rzeczywiście oznaczały jakąś istotną zmianę w nastrojach politycznych czarnej Ameryki. W dużym stopniu były to głosy protestu — zjawisko bardzo typowe dla Stanów Zjednoczonych — głosy tych, którzy bardziej głosowali przeciw Demokratom niż za Republikanami. Zresztą w ogromnej ilości wypadków Murzyni, głosując na Eisenhowera, jednocześnie głosowali na lokalnych kandydatów demokratycznych. Prawdopodobnie też wielu Murzynów zostało porwanych tą falą uczuć pro-eisenhowerowskich, jaka w roku 1952 i 1956 ogarnęła całą Amerykę. Jest też rzeczą możliwą, że zmiany w kondycji majątkowej, które zachodzą w całym społeczeństwie amerykańskim i wszędzie mają wpływ na przegrupowywania polityczne, mogły



w jakiejś mierze odbić się i na Murzynach. I wśród nich zachodzi — powolny co prawda — wzrost liczby ludzi zamężnych.



Omówiliśmy szereg zasadniczych elementów, składających się na obraz amerykańskich stronnictw politycznych. W ten sposób otrzymaliśmy pewne pojęcie o statyce amerykańskiego systemu partyjnego. Czas przejść do jego dynamiki, czas omówić amerykański system partyjny w działaniu.

## Rozdział VI

### INTERESY I POLITYKA

#### 1. System łupów

Było to w roku 1832. Przemawiając na posiedzeniu Senatu stanu New York, jeden ze zwolenników Jacksona, niejaki William L. Marcy, użył wyrażenia, które wkrótce przeszło do historii amerykańskiej. Marcy, broniąc prawa zwycięskiej partii do obsadzania swymi zwolennikami urzędów publicznych, oświadczył, że nowojorscy politycy „nie widzą nic złego w regule, że do zwycięzcy należą łupy po nieprzyjacielu”<sup>1</sup>.

Ale Marcy dał tylko nazwę dla metod, jakie w życiu amerykańskim były stosowane jeszcze przed Jacksonem. W rzeczywistości metody te były praktykowane od samego początku dziejów republiki. Konstytucja dawała Prezydentowi faktycznie dyskrejonalną władzę w zakresie obsadzania stanowisk w aparacie administracji federalnej. Jasną było rzeczą, że Prezydenci stanowiska te powierzali ludziom, z którymi byli politycznie związani. Tak postępował sam Washington. To samo w obrębie swych stanów robili Gubernatorzy. I jakkolwiek Konstytucja do tego nie upoważniała, Senatorowie, Kongresmani, członkowie Zgromadzeń Stanowych uważali za swój partyjny obo-

---

1. Bryce podaje to słynne zdanie w następującym brzmieniu: „They (tj. nowojorscy politycy) see nothing wrong in the rule that to the victor belong the spoils of the enemy”. Op. cit. T. II, str. 125 i nast.

wiązek forytować swoich „przyjaciół” na różnorodne stanowiska publiczne. Tak robiła każda zwyczajna partia. I każda istotna zmiana w politycznym obliczu Białego Domu oraz Kongresu oznaczała gruntowną zmianę w całym personelu administracyjnym Unii. Czy zresztą bardzo się to różniło od stosunków, panujących w wielu innych krajach świata?

W Stanach Zjednoczonych „system łupów” oznaczał, że członkowie każdej partii byli osobiście bezpośrednio zainteresowani w zwycięstwie tej partii. Byli zainteresowani *materialnie*. Dla niejednego z nich klęska wyborcza partii oznaczała utratę podstawy zarobkowania, zwycięstwo jej — zdobycie posad lub zachowanie posiadanych.

Tworzyło to silną więź pomiędzy partią a tymi, którzy — użyjemy tu tego typowego wyrażenia amerykańskiego — stanowili jej maszynę. Tworzyło to jeszcze silniejszą więź między ludźmi maszyny a przywódcami — w skali federalnej, stanowej czy lokalnej — od których osobistej interwencji zależało otrzymanie posady. Na podstawie tego ostatniego mogła się wytworzyć instytucja „bossów” partyjnych, instytucja, o której wypadnie nam szerzej pomówić w rozdziale następnym.

Był to więc *patronat partii nad aktywnymi członkami* i — w stopniu jeszcze większym — *patronat nad nimi wykonywany przez przywódców partyjnych*. Patronat ten oznaczał, że w Stanach Zjednoczonych akcja polityczna była równocześnie akcją ekonomiczną, mającą na celu zabezpieczenie środków egzystencji członkom aparatu zwycięskiej partii.

Dalszą tego konsekwencją było patrzenie na stanowiska publiczne jako na *beneficja*, jakimi przywódcy partyjni obdarzali jednostki dla nich zasłużone. Było coś feudalnego w takim ujmowaniu roli aparatu publicznego i w takim ujmowaniu wzajemnych obowiązków między przywódcami partyjnymi a ich zwolennikami. Ale „feudalizm” taki możemy zauważyć we wszystkich środowiskach ludowo-plebejskich, daleko położonych od Stanów Zjednoczonych<sup>2</sup>.

Jak wiemy, ustawy lat późniejszych znacznie ograni-

---

2. Znakomita, dotąd przez nikogo nie przewyższoną, analizę całego systemu dał Bryce w LXV rozdziale swego dzieła.

czyły zakres działania „systemu łupów”. Przepisy o służbie państwowej w dużym stopniu uniezależniły aparat urzędniczy — zwłaszcza na stopniu federalnym — od maszyn partyjnych<sup>3</sup>. Byłoby jednak złudzeniem przypuszczać, że system łupów został całkowicie wyeliminowany z życia amerykańskiego. I ile to krajów świata może o sobie powiedzieć, że go nie znają?! W Stanach Zjednoczonych uchował się on, przystosowując się jedynie do zmienionych warunków.

Za czasów Jacksona ilość stanowisk publicznych, jakie były do podziału, była stosunkowo bardzo niewielka. Dziś — wobec kolosalnego rozwinięcia się funkcji państwowych i samorządowych — jest ona olbrzymia. Przytłaczająca większość tych stanowisk jest — wobec działania ustaw o służbie publicznej — niedostępna dla dzielenia się łupami. Ale jest ich pewna ilość — w sumie wcale pokaźna — która wciąż jeszcze znajduje się w sferze patronatu politycznego. Odnosi się to przede wszystkim do władz stanowych i samorządowych w tych stanach i miastach, które po dawnemu są rządzone przez maszyny partyjne i „bossów”. Gdy w roku 1944 toczyła się kampania przeciw rządowi osławionego „bossa” Hague’a w mieście Jersey City, niedyskretni dziennikarze wykryli, że miasto to ma więcej nadzorców parków publicznych, niż olbrzymi New York. Posady te, z którymi połączone były wysokie pensje, były rozdawane między osobników specjalnie zasłużonych dla Hague’a. I choć od tego czasu nawet w Jersey City dużo zmieniło się na lepsze, wciąż w prasie amerykańskiej można znajdować wiadomości o podobnych wypadkach.

Ale system łupów można rozumieć znacznie szerzej. Można w nim — ujmując go najogólniej — widzieć *wszelkie wypadki osiągania celów gospodarczych przy pomocy środków politycznych*. Można dalej — w nieco węższym

---

3. W lutym roku 1946 Demokraci ponieśli straszną klęskę wyborczą w nowojorskiej dzielnicy The Bronx. Staruszek — weteran-działacz partyjny — miał w takich słowach dać ujście bólowi swego serca: „Everything is civil service now. That's the real trouble. Why, in the old days every fireman and policeman owed his job to the organization. If he didn't get out the vote he was fired. Now it's all examinations and they don't owe nothing to no one no more”. Przytaczam to na odpowiedzialność „New Republic”, 1 marca, 1946.

ujęciu — sprowadzać go do sytuacji, w których *cele gospodarcze są osiągnięte przez czynne zaangażowanie się osób zainteresowanych w działalności określonych stronnictw czy grup politycznych*. Stronnictwa te czy grupy same przez się nie mają celów gospodarczych. Dążą one do władzy państwowej. Ale posiadanie tej władzy daje im taki wpływ na życie gospodarcze narodu, że dzięki temu powstają kolosalne możliwości dla osób, które w ten czy w inny sposób wiążą się z grupami, posiadającymi władzę.

Jednym z najważniejszych aspektów historii amerykańskiej jest eksploatacja bogactw wielkiego kontynentu. Z eksploatacją tą i z jej metodami nierozdzielnie był związany rozwój amerykańskich instytucji politycznych, w ich rzędzie i stronnictw politycznych. System łupów — rozumiany bardzo szeroko — musiał stać się częścią składową tego rozwoju. Zresztą w cywilizacjach plebejskich nie ma miejsca na tę bezinteresowność w polityce, na jaką w cywilizacjach arystokratycznych mogli sobie pozwolić ludzie wolni od trosk materialnych i dzięki temu w pełni rozporządzający swobodnym czasem. Co najwyżej — jak to np. było w dawnej Anglii — uznawali za rzecz właściwą uleganie korupcji.

Jeżeli chodzi o amerykański system łupów, to skala jego jest olbrzymia, zarówno pod względem jego celów jak i metod oraz sił działających. Od lokalnych polityków mogą zależeć koncesje na sprzedaż alkoholu. Koncesje te mogą być formą wynagrodzenia osób zasłużonych dla maszyny, mogą też być formą wywierania presji na właścicieli knajp. W każdym razie chodzi tu o małych ludzi i o małe rzeczy.

Ale Senatorowie i Kongresmani decydują o rzeczach stokroć ważniejszych, interesujących znacznie potężniejsze jednostki czy grupy. Ustawodawstwo podatkowe, taryfy celne, opieka społeczna, ustawodawstwo bankowe, asekuracyjne, kolejowe, polityka zagraniczna — wszystko to odnosi się do wielkich celów gospodarczych, w których żywo są zainteresowane różne grupy i klasy społeczne. Decyzje zaś w tych sprawach są w rękach polityków.

Formalnie rzecz biorąc, panująca w Stanach Zjednoczonych filozofia hołduje zasadzie klasycznego liberalizmu ekonomicznego: działalność państwowa i prywatna ini-

cjatywa gospodarcza to dwie sfery nawzajem od siebie niezależne. Stany Zjednoczone są krajem „wolnej gospodarki” (*free economy*), rozwijającej się zgodnie z regułami wolnej gry sił ekonomicznych. Ale od samych początków republiki stało się rzeczą oczywistą, że praktyka odbiegała od tych zasad. W społeczeństwie, które powstało i rozwinęło się na podłożu eksploatawania bogactw wielkiego kontynentu, państwo musiało stać się ważnym narzędziem tej eksploatacji. Osadnictwo, budowa dróg żelaznych, cła ochronne dla przemysłu — oto były najważniejsze dziedziny, gdzie grupy gospodarcze same zwracały się do państwa jako do narzędzia w osiągnięciu celów ekonomicznych. W miarę rozwoju kapitalizmu amerykańskiego ten związek między państwem a gospodarką stawał się coraz wszechstronniejszym i ściślejszym. W okresie New Deal'u, gdy katastrofa gospodarcza, wykazując zawodność dotychczasowych metod gospodarowania, zmusiła państwo do wejścia na drogę planowania ekonomicznego, związek ten okazał się szczególnie wszechstronnym i ścisłym. Utworzenie TVA było wyraźnym odejściem od klasycznej filozofii gospodarczej.

W rezultacie od zarania dziejów Stanów Zjednoczonych państwo stało się przedmiotem specjalnych zabiegów grup gospodarczych. Zabiegi te miały na celu podporządkowanie państwa interesom tych grup. Przez długie dziesięciolecia były to przede wszystkim czy nawet wyłącznie grupy big businessu. Ostatnie dziesięciolecia wprowadziły tu nowe grupy, reprezentujące szersze masy społeczne. Są to związki zawodowe i organizacje farmerskie.

Ale państwo nie jest abstrakcją. Państwo to organy władzy państwowej, to instytucje, to ludzie, którzy stanowią te organy i te instytucje. Biały Dom, Senat, Izba Reprezentantów, gabinet Prezydenta, Gubernatorzy, Legislatury stanowe, sądy, władze miejskie i powiatowe — oto koła, kółka i kółeczka wielkiego mechanizmu politycznego, który, wprawiony w ruch, może przynieść wyniki gospodarcze, interesujące określone jednostki i zespoły. Wszystkie te koła, kółka i kółeczka mieszczą się równocześnie bez reszty w amerykańskim systemie partyjnym. System ten jest podstawową częścią całego mechanizmu państwowego. Przez partie prowadzi najpewniejsza droga do państwa, prowadzi zarazem najpewniejsza droga do czynienia

zadość — przy pomocy państwa — postulatom gospodarczym różnych grup i środowisk społecznych.

Stwarza to nowy aspekt dla tradycyjnego systemu łupów. Wyraża się on *we wzajemnym patronacie, jaki politycy rozciągają nad światem interesów gospodarczych, a świat interesów gospodarczych nad politykami*. Wzajemność tego patronatu nie zawsze jest sprawą prostą. I w praktyce patronat grup gospodarczych nad partiami i władzami państwowymi nieraz staje się silniejszy i wszechstronniejszy, niż patronat partii i władz państwowych nad grupami gospodarczymi.

W każdym razie najróżnorodniejsze grupy interesów ekonomicznych muszą wywierać stały nacisk na władze publiczne i na partie, aby tą drogą urzeczywistnić swe cele. Słowem — aby mieć patronat polityków nad sobą, muszą patronować politykom. Sukcesy określonych polityków mogą służyć sprawie sukcesów jakichś grup gospodarczych. W tym sensie grupy te stają się beneficjentami sytuacji politycznej i tym samym uczestniczą w systemie łupów. Z drugiej strony grupy te muszą nieść pomoc politykom. Pomoc materialna, jaką zainteresowane ośrodki dają partiom i ich kandydatom, jest inwestycją, która powinna przynieść zyski. Nie chodzi tu o korupcję w zwykłym tego słowa znaczeniu, nie chodzi o „przekupienie” polityków, o płacenie im za usługi, jakich się od nich oczekuje. Takie wypadki zdarzają się obecnie w Stanach Zjednoczonych bardzo rzadko i, gdy są wykryte, wywołują bardzo ostrą reakcję społeczną. Przede wszystkim chodzi o pomoc materialną na kampanię wyborczą, która jest czymś bardzo kosztownym i w epoce telewizji staje się czymś coraz kosztowniejszym. Do tego jest to wydatek, powtarzający się co dwa lata. Stąd wielkie przedsiębiorstwa amerykańskie — a obok nich ostatnio i robotnicze związki zawodowe — mają specjalne fundusze na subwencjonowanie kampanii wyborczych kandydatów, na których życzliwość mogą liczyć. Jeżeli chodzi o wielkie przedsiębiorstwa, to najczęściej służą one pomocą obu partiom. Jest to metoda asekurowania się. Bez względu na to, kto zwycięży, zwycięzca będzie pamiętać, od kogo otrzymał pomoc, i będzie za to wdzięczny. Jednakże w ostatnich dziesięcioleciach dawało się stwierdzić, że *big business* wykazuje znacznie większą hojność wobec kandydatów

republikańskich niż demokratycznych. Natomiast związki zawodowe, pomagając liberałom w obu partiach, były znacznie hojniejsze dla Demokratów niż dla Republikańców. Takie praktyki są powszechnie stosowane. I choć ustawodawstwo amerykańskie stworzyło dla nich poważne ograniczenia (między innymi obowiązek ogłaszania przez partie i kandydatów list „protektorów” i sum od nich otrzymanych), to jednak podstawą funduszy wyborczych obu partii są „zasilki”, z takich właśnie źródeł pochodzące <sup>4</sup>.

Ten wzajemny protektorat interesów nad polityką i polityki nad interesami znajduje dla siebie wyraz w całym szeregu instytucji i form działania. Dla praktyki życia politycznego w Stanach Zjednoczonych są to rzeczy ogromnie ważne. Wypadnie nam o nich pomówić szczegółowiej.

## 2. Interesy gospodarcze kontrolują

Stan Montana jest trzecim co do wielkości stanem Unii. Obszar tego stanu jest większy od powierzchni takich państw jak Włochy lub Japonia. Na tej ogromnej przestrzeni mieszka jednak tylko około siedmiuset tysięcy osób. W świetle ocen europejskich stan Montana jest pustkowiem.

Jest to jednak stan bardzo ważny. Natura zaopatrzyła go w kolosalne bogactwa kopalne. Miedź i srebro to fundament, na którym w stanie Montana została zbudowana potęga przedsiębiorstwa, noszącego nazwę „The Anaconda

---

4. Beardowie, *The Rise...* T. II, str. 302-303. Beardowie w *AMERICA IN MIDPASSAGE* cytują następujący ustęp z badań, jakie prowadziła pani Overacker: „In 1928 both major parties depended largely upon bankers and manufacturers for their contributions, although the Republicans received a larger proportion of their funds than did their rivals. In 1932, although the proportion of the Democratic fund coming from manufacturers dropped appreciably, Roosevelt's promises of a New Deal had no apparent effect upon the support of the bankers, who contributed as heavily as in 1928”. Ale w roku 1936 sytuacja wyglądała inaczej. „The revolt of the bankers and brokers from the Democratic party is startling. Only 3.3 per cent of the contributions of \$1000 and more came from this group, compared to 14.7 per cent in the case of the Republicans”. Str. 329-330.



Copper Mining Company", w życiu codziennym nazywanego po prostu Anakondą. Jest to jedno z największych przedsiębiorstw w Stanach Zjednoczonych, a tym samym i jedno z największych przedsiębiorstw w całym świecie.

Jest rzeczą wiadomą, że Anakonda jest władcą stanu Montana. Wpływy tego przedsiębiorstwa na politykę miejscową są kolosalne. A jednocześnie jest również rzeczą wiadomą, że ludność Montany nie żywi sympatii dla Anakondy. Znajdowało to wyraz w „rewolucjach” wyborczych, które przynosiły zwycięstwa wrogom „kompanii”.

„Rewolucji” tych było nie mało. Faktem jest, że w obu izbach Kongresu Stanów Zjednoczonych Montana jest częściej reprezentowana przez wrogów Anakondy, niż przez jej przyjaciół. A przecież „kompania” robiła wszystko, by było inaczej. I miała po temu potężne środki.

Przez długie lata przedstawicielem Montany w Senacie Stanów Zjednoczonych był James E. Murray. Był to jeden z najliberalniejszych i najbardziej niezależnych Senatorów, jacy kiedykolwiek zasiadali w wyższej izbie Kongresu. Był to zarazem jeden z najbardziej nieprzejednanych wrogów Anakondy, która ze swej strony nie szczędziła wysiłków, aby położyć kres karierze politycznej Senatora <sup>5</sup>.

Senator Murray na forum Senatu i w innych wystąpieniach dał szereg wymownych oświeleń stosunków, jakie panowały w jego ojczystym stanie. Źródło potęgi Anakondy widział on przede wszystkim w tym, że „kompania” miała w swym ręku całą prasę miejscową, że utrzymywała w stosunku zależności od siebie najważniejsze polityczne centra stanu <sup>6</sup>. Anakonda jest właścicielem i wydawcą wszystkich miejscowych pism (wyjątek stanowi parę niezależnych tygodników o małych nakładach), zarówno republikańskich jak demokratycznych. „W moim mieście rodzin-

---

5. Anakonda w pewnych okresach zwalczała jeszcze innego wybitnego przedstawiciela Montany — Burtona K. Wheelera. Ten fanatyczny izolacjonista, którego izolacjonizm doprowadził do sympatii pro-hitlerowskich, w polityce wewnętrznej był liberałem. Gunther twierdzi, że Anakonda bała się go i, chcąc mieć go zdala od Montany, nie sprzeciwiała się jego wyborowi do Senatu. Str. 177.

6. Tekst tego zeznania przytacza George Seldes, 1000 AMERICANS, The Real Rulers of the U.S.A. New York, 1947. Str. 16-18.

nym Butte — mówił Senator Murray — Anaconda Copper Company jest właścicielem pisma porannego „Democratic” i pisma wieczorowego „Republican”. Oba pisma odbijane są na jej samej prasie, a wiadomości są cenzurowane przez Anaconda Copper Company”. Nie trzeba dodawać, że pierwsze z tych pism sympatyzuje z Partią Demokratyczną, drugie — z Republikańską.

Oto kilka jeszcze cytat z tego samego oświadczenia Senatora Murray'a: „Anakonda jest właścicielem pism w Butte tylko i wyłącznie dlatego, że w ten sposób może rozciągać swą kontrolę nad życiem politycznym stanu Montana... oni (to jest Anakonda i jej prasa) są zainteresowani wyłącznie w swej własności i w eksploatacji stanu. Zatrzymują rozwój stanu i w wyniku ich rządów ludność Montany, trzeciego co do wielkości stanu w Unii, zmniejsza się... Tamują rozwój naszych zasobów hydroenergetycznych i uniemożliwiają stworzenie źródeł taniej energii elektrycznej, które by rozwinęły przemysł i znacznie zwiększyły zaludnienie Montany”.

Fakt, że rewolty wyborców posyłają do Waszyngtonu jako przedstawicieli stanu wrogów Anakondy, nie ma istotnego wpływu na układ stosunków w samym stanie. Albowiem „kompania” jest bardziej zainteresowana w tym, jacy ludzie zasiadają na Kapitolu stanowym, niż kto reprezentuje Montanę w Waszyngtonie. I dlatego to Anakonda czuwa, by na stanowiskach we władzach stanowych byli ludzie godni jej zaufania. W Montanie mówi się, że bez zgody „kompanii” nawet hycel nie dostanie tu posady <sup>7</sup>.

Montana jest szczególnie jaskrawym przykładem stanu, politycznie uzależnionego od potężnego przedsiębiorstwa prywatnego. Montana jest lennem Anakondy. Wytworzyły się tu stosunki, dla których analogii należy szukać w świecie wczesnego feudalizmu. Władca miejscowy — w Stanach Zjednoczonych wieku XX jest nim gigant przemysłowy — rozciąga swój patronat nad wielkim terytorium, stwarza cały system zależności, system, którego elementami są prasa, radio, telewizja, są partie polityczne, są organy państwowe. Jest to prawdziwe *imperium in imperio*.

---

7. Gunther, op. cit. Str. 177.

W biurach „kompanii” w mieście Butte koncentruje się władza, która w stosunku do Montany znaczy więcej niż władza federalna w stolicy Stanów Zjednoczonych.

Ale jednocześnie obywatele Montany wcale nie są zachwyceni takim stanem rzeczy. Przeciwnie — buntują się przeciw niemu, co znajduje dla siebie wyraz w „rewoltach” wyborczych. Jest to walka między zależnością gospodarczą — olbrzymia ilość obywateli Montany jest w jakiś sposób materialnie uzależniona od Anakondy — a tym poczuciem niezależności obywatelskiej, jakie rozwinać się może tylko w demokracji. I w praktyce przedsiębiorstwo typu Anakondy musi iść po drodze różnych koncesji w stosunku do obywateli. Przede wszystkim musi ich utwierdzać w przekonaniu o zgodności ich interesów z interesami „kompanii”. Pracownicy przedsiębiorstwa muszą być zadowoleni z warunków swej pracy. Stąd wielkie przedsiębiorstwa amerykańskie — wyjątki są stosunkowo bardzo nieliczne — dawno wyrzekły się starych metod eksploatacyjnych wczesnego kapitalizmu. Zresztą na straży interesów robotnika amerykańskiego stoją potężne związki zawodowe, których rola nawet w Montanie bynajmniej nie jest błaha.

Montana jest jednym z najbardziej jaskrawych przykładów patronatu przemysłowego giganta nad jakimś terenem Stanów Zjednoczonych. Oczywiście dla Anakondy kolosalnym ułatwieniem jest fakt, że w Montanie jest ona jedynym takim gigantem. W innych stanach patronat taki musi być dzielony między wieloma gigantami, które zresztą nie zawsze są ze sobą w harmonijnej zgodzie. Gunther przytacza zdanie jednego ze swych rozmówców, które w następujący sposób ujmowało sytuację w Texasie niewiele lat temu: „Życie polityczne tego stanu jest doskonale proste — jest on rządzony przez około dwudziestu korporacji (spółek akcyjnych)”<sup>8</sup>.

Niewątpliwie każdy z tych gigantów ma na widoku swe własne cele gospodarcze. Jeżeli w stanie New York Alcoa, Du Pont, grupa Morgana, General Electric Corporation i szereg innych kolosów przez całe lata zwalczały wszelkie próby uregulowania rzeki Świętego Wawrzyńca i stworzenia tu odpowiednika TVA (*St. Lawrence Valley*

---

8. Gunther, op. cit. Str. 841.

Authority), to chodziło im o utrzymanie wysokich cen na energię elektryczną i o zyski dla tych działów produkcji, które są zainteresowane w wysokich cenach na tę energię. Ale ten cel gospodarczy wymagał zastosowania środków politycznych. Oznaczało to konieczność pozyskania dla siebie grup politycznych, zdobycia sobie ich patronatu. A jest to z kolei niemożliwe, jeżeli samemu nie będzie się miało patronatu nad tymi grupami.

Jest rzeczą godną uwagi, że ta polityka gigantów kapitalistycznych coraz częściej natrafia na sprzeciwy społeczne i coraz częściej kończy się niepowodzeniem. Tak porażką dla zainteresowanych przedsiębiorstw zakończyła się ich kampania przeciw TVA. Próby zniszczenia TVA są wciąż podejmowane, ale dają mizerne wyniki. Kampania przeciw St. Lawrence Valley Authority przyniosła tylko zwłokę w urzeczywistnianiu projektu, ale go nie zabiła. Takich przykładów można by przytoczyć więcej. A w każdym razie giganty gospodarcze coraz częściej prowadzą raczej akcję opóźniającą, akcję o swój stan posiadania, niż akcję agresywną, zdobyczą. Szereg planów zdobywczych dał w wyniku fiasco. Zbyt silna była reakcja opinii publicznej. I bodaj jako jedyny przykład rzeczywistego sukcesu wielkich potentatów przemysłowych można w latach ostatnich wymienić wyłączenie bogatych w źródła naftowe wód przybrzeżnych Stanów Zjednoczonych spod kompetencji władz federalnych. O to zabiegały zainteresowane przedsiębiorstwa, które, rozporządzając wielkimi wpływami we władzach różnych stanów, mogły bardziej liczyć na życzliwość tych ostatnich, niż na pobłażliwość władz centralnych.

I wielkie giganty kapitalistyczne, i potężne związki zawodowe, i farmerzy, i niezliczona masa wszelkiego rodzaju grup i organizacji czynnych w życiu gospodarczym muszą interesować się polityką jako środkiem dla celów ekonomicznych. Cała ta ogromna i jakże różnorodna gromada musi utrzymywać ścisły i stały kontakt z organami rządowymi i grupami politycznymi. Formy tego kontaktu, metody, jakie są tu używane, to znów jeden z najważniejszych i najciekawszych aspektów życia politycznego Stanów Zjednoczonych.

### 3. Lobbies i lobbying

Słowo „lobby” dałoby się najlepiej przetłumaczyć jako „kuluary” czy „westibule”. W staropolskim wyrażeniu „antyszambrować” czy „antyszambrowanie” znaleźlibyśmy najlepszy odpowiednik tego, co w potocznym języku amerykańskim określane jest jako „lobbying”. Wreszcie nazwę „the lobbyists” odnieśmy do tych, którzy „antyszambrowaniem” zajmują się profesjonalnie. Tyle jeżeli chodzi o lingwistyczną stronę zagadnienia. Ale ważniejsza jest strona polityczna i socjologiczna.

Lobby jest to biuro, które zainteresowana grupa utrzymuje w Waszyngtonie (lub w stolicach stanowych), aby mieć stały kontakt z politykami i wywierać na nich nacisk. Biuro to działa bardzo dyskretnie, z reguły unikając rozgłosu<sup>9</sup>. Personel biura składa się ze specjalistów, którzy są doskonale wtajemniczeni we wszystkie sekrety zakulisowych stosunków polityki amerykańskiej, którzy mają „przyjaciół” wśród polityków i wiedzą, jak z nimi mówić. Wśród lobbyistów nierzadko spotkać można byłych Senatorów i Kongresmanów, którzy zawód urabiania polityków uznali za bardziej interesujący i intratny niż zawód robienia polityki.

Lobbyista musi być człowiekiem bardzo obrotnym. Musi mieć dar perswazji, musi opanować sztukę tego, co w Ameryce nazywa się „trzymaniem za dziurkę od guzika” (*buttonholing*), a co wyraża równocześnie natręctwo i umiejętność przekonywania osoby, która się molestuje. Lobbyista musi być człowiekiem towarzyskim, wszędzie docierającym, każdego znającym, łatwo nawiązującym przyjaźnię. I wreszcie lobbyista, jeżeli akcja jego ma być skuteczna, musi być obficie wyposażony w środki materialne. Lobby takiego Ogólnopanstwowego Stowarzyszenia Przemysłowców (*National Association of Manufacturers* — wszechpotężny NAM) liczy setki pracowników i rozporządza wielomilionowym budżetem. „Lobbyista, którego

9. Jedno z badań Elmo Ropera przyniosło zdumiewające dane, świadczące, jak słabo ogół amerykański orientuje się w „grupach nacisku” i w lobbies i jak mało o nich wie. Z osób, które Roper pytał, aż 42.4 procent nigdy nie słyszało o istnieniu NAM.

roczny dochód wynosi sto tysięcy dolarów, ma wiele sposobów zdobycia sobie życzliwości Kongresmana, który rocznie zarabia dziesięć tysięcy dolarów” — powiada znawca stosunków waszyngtońskich <sup>10</sup>.

*Lobby* i *lobbyista* reprezentują jakąś grupę interesów. Nie są samodzielnymi czynnikami, ale organami grup i organizacji, dla których pracują. Grupy te i organizacje w mowie potocznej noszą nazwę „grup nacisku” (*pressure groups*). Nacisk, jaki za pośrednictwem swych *lobbies* wywierają one na polityków, jest zasadniczym środkiem osiągnięcia przez nie określonych celów.

Ilość *lobbies* w Waszyngtonie jest ogromna. Niektórzy mówią o przeszło sześciu tysiącach *lobbies* w samej tylko stolicy Stanów Zjednoczonych. A poza tym w każdej stolicy stanowej znajduje się pewna — niekiedy wcale pokazna — liczba takich lokalnych biur. Istnieje ustawa federalna (podobne ustawy obowiązują w niektórych stanach), nakładająca na stołeczne *lobbies* obowiązek ujawniania się i rejestrowania. Celem ustawy jest utrzymanie jakiejś formy kontroli publicznej nad *lobbyistami* i ich budżetami. Jest jednak rzeczą pewną, że część *lobbyistów* stara się obejść tę ustawę, uznając za bardziej właściwe uniknięcie publicznego przyznania się do swego zawodu. Rozmiary tych biur są bardzo różne. Są tam placówki jednoosobowe, ale są i kolosalne organizacje, zatrudniające armie pracowników. Prowadzą one również intensywną akcję propagandową, posługując się wszystkimi współczesnymi środkami masowego oddziaływania. *Lobbyista* wie, że najlepszą drogą do pozyskania amerykańskiego polityka jest pozyskanie sobie jego wyborców.

Obok właściwych *lobbyistów* (a często w ścisłym z nimi związku) w Waszyngtonie działają ludzie, których specjalnością są tak zwane „public relations”. Jest to sztuka nawiązywania kontaktów, pośredniczenia, oddziaływania i przekonywania uprawiana przez fachowców, zawodowo oddających się temu zajęciu. Przy kolosalnej ilości waszyngtońskich urzędów federalnych, przy skomplikowanej ich organizacji musiała się wytworzyć kategoria ludzi, którzy po prostu potrafią skierować klienta we właściwe

---

10. Kenneth G. Crawford, THE PRESSURE BOYS, The Inside Story of Lobbying in America. New York, 1939. Str. 14.

miejsce, pomagają mu dotrzeć do właściwych osób, wiedzą, jak należy prowadzić rozmowy. Sztuka nawiązywania kontaktów osobistych jest w demokracji amerykańskiej czymś arcyważnym i nic dziwnego, że znaleźli się od niej specjaliści.

Nie wszystkie *lobbies* i nie wszystkie grupy nacisku mają przed sobą cele gospodarcze. *Lobbying* może mieć też i charakter wybitnie polityczny, religijny czy ideologiczny. „Wszelkie gatunki specjalnych interesów są reprezentowane w Waszyngtonie — od fabrykantów pułapek na myszy do międzynarodowych bankierów... Kobiety, świat pracy, weterani wojenni, podopieczni, farmerzy, bankierzy, pacyfiści, przemysłowcy, *big business* — wszyscy oni mają na miejscu swoich agentów” — powiada autor, którego specjalnością stało się badanie grup nacisku w Stanach Zjednoczonych<sup>11</sup>. Rzeczywiście skala zainteresowań, jakie reprezentują waszyngtońskie *lobbies*, jest nieprawdopodobnie rozległa. Każda grupa — gospodarcza, ideologiczna, zawodowa — która chce, by cele jej mogły być osiągnięte w skali ogólnoamerykańskiej, ma swoje *lobbies* i swoich lobbyistów.

Oczywiście ciężar gatunkowy poszczególnych *lobbies* jest różny. Pod względem swoich wpływów i znaczenia na czoło wysuwają się tu ogromne placówki potężnych organizacji gospodarczych. Ale waszyngtońskie biuro połączonych organizacji zawodowych (AFofL-CIO) nie jest w rzeczywistości niczym innym, jak potężnym *lobby*. Amerykański ruch robotniczy, który dziś stał się jednym z najważniejszych czynników całej gospodarczej organizacji Stanów Zjednoczonych, w swej akcji na terenie Waszyngtonu posługuje się metodami, nie różniącymi się od metod innych wielkich sił amerykańskiego życia narodowego. I to samo da się powiedzieć o farmerach, od dawna zaprawionych w sztuce *lobbying'u*.

Ale nie tylko grupy amerykańskie mają swe przedstawicielstwa w Waszyngtonie. Istnieje wiele *lobbies*, które reprezentują interesy grup i firm zagranicznych, ba — nawet zagranicznych rządów. Zresztą w warunkach waszyngtońskich każda zagraniczna placówka dyplomatyczna mu-

---

11. Crawford, op. cit. Str. 5.

si — chce czy nie chce — nieoficjalnie uprawiać *lobbying*. Po drugiej wojnie światowej, gdy Waszyngton stał się ośrodkiem politycznych i gospodarczych zainteresowań świata, działalność dyplomatycznych przedstawicieli państw obcych w stolicy Stanów Zjednoczonych zaczęła szczególnie blisko graniczyć z *lobbyingiem*. Pożyczki, zaciągane w Stanach Zjednoczonych, akcja pomocy, zakupy, plan Marshalla — wszystko to narzuciło dyplomatom konieczność nieoficjalnego kontaktowania się z politykami Kongresu i władzy wykonawczej. Bardzo często droga sztywnych, oficjalnych stosunków i kontaktów nie wystarcza. I nie zawsze dyplomaci do tego się nadają. Potrzebni do tego są ludzie inni, ludzie miejscowi, którzy wiedzą, do kogo i jak trafić, i — najważniejsze — wiedzą, jak trafić do szerokiej opinii publicznej. Stąd obok oficjalnych placówek dyplomatycznych wytworzył się w Waszyngtonie szereg placówek nieoficjalnych, nieraz — bardziej wpływowych niż oficjalne. Wystarczy tu wymienić potężne *China lobby* — biuro reprezentujące interesy rządu nacjonalistycznego na Formozie. *Lobby* to umiało pozyskać sobie wielu bardzo wpływowych polityków, umiało też znaleźć drogę do opinii publicznej. Jest też rzeczą powszechnie wiadomą, że przedstawicielstwa państw arabskich utrzymują jak najbardziej zażyłe stosunki z *lobbies* potężnych amerykańskich firm naftowych, które służą dyplomatom arabskim inspiracją polityczną i mniej lub bardziej dyskretną pomocą materialną <sup>12</sup>.

Zresztą jeszcze przed ostatnią wojną różne kraje — zwłaszcza republiki południowo-amerykańskie — miały swoje *lobbies*, działające niezależnie od oficjalnych placówek dyplomatycznych. Trujillo — głośnej sławy dyktator republiki dominikańskiej — znalazł w osobie niejakiego Davies'a lobbyistę wysoce utalentowanego. Davies otrzymał od Trujillo jednorazowe honorarium w wysokości 480,000 dolarów za zabiegi przy redukowaniu zobowiązań pieniężnych Dominikany wobec Stanów Zjednoczonych. Trudno się dziwić, że gdy Trujillo przez wymordowanie tysięcy Bogu ducha winnych Haitańczyków „zafatwił”

---

12. Amerykańskie towarzystwa naftowe zaopatrzyły w samochody delegatów państw arabskich do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pisała o tym cała prasa amerykańska.



swój spór graniczny z Haiti, Davies wysłał mu telegram z gorącymi powinszowaniami <sup>13</sup>.

W gruncie rzeczy *lobbying* nie jest ani instytucją nową ani specjalnie amerykańską. Był on doskonale znany w starożytnym Rzymie, gdy państwa obce, prowincje i miasta starały się o możnych patronów wśród wpływowych senatorów, innych dygnitarzy czy — za cesarstwa — wyzwoleńców. *Lobbying* można odnaleźć i w innych epokach i w innych krajach. Jednakże specyficzne właściwości ustroju Stanów Zjednoczonych, cały charakter demokracji amerykańskiej, cała ekonomiczna i polityczna potęga Ameryki — wszystko to sprawiło, że waszyngtoński *lobbying* musiał przybrać wyjątkowo wielkie rozmiary, zinstytucjonalizować się, odpowiednio zorganizować, nabrać cech wysoce profesjonalnych. A przede wszystkim musi on zawsze mieć na widoku opinię publiczną. Albowiem „obrobienie” polityka nie zawsze może wystarczyć. Polityk jest zależny od wyborcy, który nieraz nie pobbłaża. I stąd *lobbies* muszą być bardzo w swych działaniach wszechstronne, bardzo pomysłowe i sprężyste.

#### 4. *Lobbies* w działaniu

Dla zrozumienia mechanizmu działania *lobbies* i ich roli w życiu politycznym Stanów Zjednoczonych wypadnie nam użyć kilku przykładów. Bez liku przecież dostarcza ich prasa amerykańska. Żadne bowiem *lobby* nie jest na tyle potężne, by mogło zamknąć usta amerykańskim dziennikarzom. Cokolwiek się mówi o związaniu prasy amerykańskiej z *big business'em* — i niewątpliwie związanie takie istnieje — nie zmienia to faktu, że prasa ta nie unika najbardziej drażliwych i nieprzyjemnych tematów i że arcytrudno jest zmusić ją do milczenia. Tego od prasy wymaga czytelnik. Prawdziwa demokracja nie boi się rzeczy skandalicznych, boi się — ich przemilczania. Stąd w Stanach Zjednoczonych tak swobodnie i odważnie pisze się o rzeczach, których odpowiedniki w innych krajach w ogóle nie dochodzą do świadomości ogółu.

Stany Zjednoczone są jednym z największych na

---

13. Crawford, op. cit. Str. 18.

świecie ośrodków produkcji naftowej. Tu też mieszczą się centrale kolosalnych światowych firm naftowych i tu działają lobbies tych firm. W dnie amerykańskich mórz terytorialnych znajdują się bardzo obfite pokłady naftowe. Podobno jest tam więcej nafty niż w całej Arabii. Szczególnie bogate są obszary, przyległe do Kalifornii, Texasu i Luizjany. Władze stanowe, które uważały, że kontrola nad tą naftą należy do ich kompetencji, eksploatację tych skarbów powierzały na zasadzie dzierżawy różnym firmom prywatnym. W samej tylko Kalifornii inwestycje, poczynione przez takie firmy, sięgnęły w roku 1949 sumy trzech miliardów dolarów. Oczywiście rządy stanowe czerpały z tego bardzo poważne zyski.

Ale w czerwcu roku 1947 Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zdecydował, że kontrola nad podwodnymi źródłami naftowymi należy do rządu federalnego. Odnosi się to przy tym zarówno do źródeł podmorskich, jak i do tych, które znajdują się w dnie wód wewnętrznych. Sąd Najwyższy kierował się przepisem prawa, że wszelkie bogactwa naturalne Stanów Zjednoczonych podlegają kompetencji organu federalnego — Departamentu Spraw Wnętrza Kraju (*Department of the Interior* — nieraz niewłaściwie tłumaczony jak Departament Spraw Wewnętrznych).

Ta decyzja Sądu Najwyższego wywołała burzę. Niezadowolone były stany i wybitnie niezadowolone były firmy, eksploatujące naftę podwodną. Firmy te od lat współpracowały z władzami stanowymi. Była to współpraca łatwa. Politycy stanowi nie stwarzali trudności. Niejednego z nich łączyły bliskie stosunki osobiste z rządami kolosów naftowych. A kolosy te — naftowe czy nienaftowe — zawsze wołać mieć do czynienia z władzami stanowymi niż z Departamentem Spraw Wnętrza Kraju. Departament ten, którego bardzo ważnym zadaniem jest obrona amerykańskich bogactw naturalnych przed dziką i niszczytelką eksploatacją ich przez czynniki prywatne, nie czasach się najlepszą opinią wśród tych ostatnich. W czasach, gdy na czele jego stał Harold Ickes, cieszył się on szczególnie złą opinią. Ickes — człowiek niezwyklej niezależności i absolutnej uczciwości — był bardzo trudnym partnerem we wszelkich negocjacjach.

W roku 1947 powstała koalicja stanów i firm naftowych. Na czele jej stanął niejaki Walter Johnson, Oskarżyciel Publiczny stanu Nebraska, równocześnie kierownik lobby naftowego w Waszyngtonie. Rozpoczęła się akcja. Rozległy się wołania, że wyrok Sądu Najwyższego pogwałcił prawa stanów, że jest groźbą dla inicjatywy prywatnej, że daje pole dla nadużyć biurokratycznych itp. Lobby szybko znalazło sojuszników w obu izbach Kongresu i w każdej z nich zostały wniesione projekty ustaw życzliwe dla stanów. W Izbie Reprezentantów projekt taki uzyskał nawet kolosalną większość.

Ale zaczęła się i kontrakcja. Znalazła się grupa dziennikarzy, która uderzyła na alarm. Opinia publiczna, która dotąd bardzo mało o tej sprawie wiedziała (lobby dbało o to, by wszystko odbywało się bez hałasu) i jeszcze mniej się nią przejmowała, teraz zaczęła się nią interesować. W Kongresie znaleźli się liczni przeciwnicy idei oddania nafty podwodnej pod kompetencję stanów. W rezultacie jednak lobby odniosło zwycięstwo. Już za rządów Eisenhowera przeszła ustawa, która w formie bardziej kompromisowej przyznaje stanom prawo do kontroli nad naftonośnymi wodami przybrzeżnymi. Jednakże lobby naftowe musi wciąż czuwać. Opinia została rozbudzona a ustawy bywają zmieniane. Sprawa wód przybrzeżnych nie zesłała w Ameryce z porządku dziennego i lobby musi stale przekonywać ogół i polityków, że obecne rozwiązanie jest najlepszym.

Następny przykład z działalności lobbies przenosi nas do innej dziedziny życia amerykańskiego. Problem regulacji wielkich rzek i pełnego wyzyskania ich możliwości energiotwórczych nie od dziś zaprzęta uwagę społeczeństwa amerykańskiego. TVA udowodniło, co w tym zakresie może być zdziałane. Ale poza Tennessee istnieje w Stanach Zjednoczonych szereg potężnych rzek, których uregulowanie i wyzyskanie stało się sprawą palącą. Są tu takie kolosalne rzeki, jak: Świętego Wawrzyńca (co w równym stopniu obchodzi Kanadę), Mississippi, Colorado, Missouri itd.

O pozytywne rozwiązanie tego problemu walczą przede wszystkim farmerzy. W dolinie rzeki Tennessee oni to są głównymi profitantami tego wspaniałego przedsięwzięcia, jakim jest TVA. W Waszyngtonie farmerskie

*lobbies* są głównymi promotorami idei pokrycia terenu Stanów Zjednoczonych szeregiem systemów, wzorowanych na TVA. Ale w tym samym Waszyngtonie działa też cały szereg innych *lobbies*, które nie mniej gorąco są zainteresowane w tym, aby z owego projektu nic nie wyszło. *Lobbies* te reprezentują przemysł energetyczny, węglowy, pewne działy transportu oraz szereg innych przemysłów, które dla różnych względów zainteresowane są w utrzymaniu wysokich cen na prąd elektryczny. I nie tylko przemysłowcy stoją za tymi *lobbies*. Niektóre robotnicze organizacje zawodowe nie palą się do projektu, który, szkodząc pewnym działom produkcji, może zaszkodzić i zatrudnionym w nich robotnikom. To, że w ostatecznym wyniku urzeczywistnienie projektu przyniesie błogosławione skutki dla ludności całego kraju, schodzi na plan bardzo daleki.

John Gunther powiada, że dokoła projektu MVA — Zarządu Doliny Rzeki Missouri — wytworzył się *lobbying* „na skalę nieznaną od czasów Antoniusza i Kleopatry. Najwytrawniejsi zawodowcy zabrali się tu do dzieła<sup>14</sup>. Ogółem 167 różnych firm energetycznych i przemysłów użyteczności publicznej (*utilities*) złączyło się razem w akcji, której celem było wykazać narodowi amerykańskiemu, że regulacja Missouri ściągnie nań wszelkie możliwe kłęski. Oczywiście pominięto, że brak tej regulacji jest źródłem rzeczywistej kłęski — kłęski katastrofalnych powodzi. Regulacja Missouri jest ciągle w sferze projektów, o których dużo się mówi, ale mało robi.

Gorzej powiodło się *lobbies*, których zadaniem była walka z projektami regulacji rzek Colorado i Świętego Wawrzyńca. Prawda że w obu wypadkach nie doszło do powstania systemu na miarę TVA. Jednakże szereg zasadniczych prac został już wykonany lub ma być wykonany. Sprawa regulacji rzeki Colorado miała swe daleko posunięte następstwa polityczne. W wykonaniu tego projektu szczególnie była zainteresowana ludność stanu Oregon. W stanie tym w przeszłości silne były wpływy republikańskie. Ale Republikanie byli raczej dość chłodno usposobieni do projektów regulacyjnych, które znalazły dla siebie gorących obrońców w miejscowych liberalnych Demokratkach. Sprawa obrony projektów regulacyjnych miała du-

---

14. Gunther, op. cit. Str. 188.

zy — choć nie wyłączny — wpływ na decyzję przywódcy oregońskich Republikanów, bojowego liberała Senatora Morse'a, porzucenia swej partii i przejścia do Demokratów. Obecnie całe przedstawicielstwo Oregonu w Senacie jest w rękach Demokratów — gorących i oddanych zwolenników projektów regulacyjnych. Interesy ludności stanu Oregon były tak silnie związane z urzeczywistnieniem wielkiego projektu, że cały kunszt wrogiej projektowi organizacji musiał całkowicie zawieść. A jednocześnie jeszcze raz można się było przekonać o znaczeniu roli, jaką zagadnienia lokalne odgrywają w polityce amerykańskiej. I nie trzeba dodawać, że zwolennicy projektu w swej akcji posługiwali się metodami, które również miały charakter lobbyingu.

Bardziej dramatyczny charakter ma walka o regulację rzeki Świętego Wawrzyńca. Nie ulega wątpliwości, że urzeczywistnienie St. Lawrence Valley Authority miałyby kolosalne konsekwencje dla New Yorku, całego północnego Wschodu, części Środkowego Zachodu oraz dla Kanady. Oznaczałoby, że statki oceaniczne mogłyby swobodnie docierać do Wielkich Jezior, czyniąc z Chicago i Duluth porty oceaniczne. Oznaczałoby dalej nadzwyczaj tanią energię elektryczną dla całego okręgu, wraz ze wszystkimi zmianami, jakie tania energia elektryczna z reguły za sobą pociąga.

Ale całe przedsięwzięcie — jeżeli miałyby być w pełni rozwinięte — musiałyby być wzorowane na TVA. Te same siły i często te same *lobbies*, które zwalczały i wciąż zwalczają TVA, stanęły w zwartym orydyku przeciw StLVA. Przemysł energetyczny, towarzystwa kolejowe, port nowojorski (New York jako port mógłby stracić — Duluth zyskać!) — wszystko to nie chciało StLVA. Zaczęła się walka bardzo zacięta. *Lobbying*owi wrogów StLVA przeciwstawił się *lobbying* zwolenników projektu — organizacji farmerskich, niektórych wielkich związków zawodowych, organizacji spożywców itd. Projektowi rzecz jasna sprzyjała Kanada, wybitnie w jego wykonaniu zainteresowana. Waszyngton i Albany były scenami zabiegów obu stron i rozgrywek między nimi. W rezultacie projekt — w formie zresztą dość skromnej i nie tak ambitnej jak TVA — zaczął być stopniowo urzeczywistniany. I w tym wypadku walka nie jest zakończona i zapewne trwać będzie jeszcze

długo. Czy przeciwnicy StLVA w ostatecznym wyniku zwyciężą? To zdaje się być bardzo wątpliwe. Duża część takich zabiegów ma raczej charakter akcji opóźniającej, zwalniającej tempo zachodzących zmian. Ale samych zmian już zatrzymać nie może.

Intensywny *lobbying* bywa prowadzony także i na poziomie stanowym. W marcu roku 1957 prasa nowojorska ogłosiła interesujące dane o akcji, jaką prowadziło Nowojorskie Towarzystwo Telefoniczne w sprawie podniesienia opłat za rozmowy. Taryfa telefoniczna w stanie New York podlega zatwierdzeniu przez władze stanowe. Na porządku dziennym nowojorskiej Legislatury był projekt ustawy w sprawie taryf telefonicznych, ustawy, którą Towarzystwo Telefoniczne kategorycznie zwalczało. W tym celu wydało ono w ciągu piętnastu miesięcy pół miliona dolarów na kampanię propagandową, która miała na celu przekonanie opinii i polityków, że projekt ustawy musi być odrzucony. O kampanii tej powiedział przedstawiciel władz stanowych, że siała zamęt w umysłach i starała się zaciemnić całe zagadnienie. W kraju, w którym telefon jest koniecznością życiową i znajduje się prawie w każdym mieszkaniu, sprawa taryf telefonicznych interesuje miliony ludzi. O tym pamiętają politycy i to nie pomaga lobbyistom Nowojorskiego Towarzystwa Telefonicznego.

I wreszcie jeszcze dwa przykłady — tym razem z dziedziny żywnościowej. Stany Zjednoczone są wielkim producentem mięsa i wyrobów mleczarskich. Wielkimi producentami mięsa są również Kanada i Argentyna. Dużo nabiału produkują Kuba, Urugwaj i różne kraje europejskie. To zagraniczne mięso, sery i masło, importowane do Stanów Zjednoczonych, mogłyby być tu sprzedawane bardzo tanio. Szczególnie import mięsa argentyńskiego pociągnąłby za sobą kolosalną zniżkę cen. Ale taka zniżka — życzliwie przyjęta przez ludność miejską Stanów Zjednoczonych — godziłaby w interesy wielkich „ranczerów”, rzeźni, fabrykantów konserw oraz w interesy robotników tych przedsiębiorstw. Podobnie zniżka cen na produkty mleczarskie byłaby groźna dla farmerów Wisconsin i Nebraski oraz dla wielkich koncernów nabiałowych.

Od lat szereg *lobbies* wytrwale pracuje nad przekonaniem Ameryki, że mięso argentyńskie i sery kubańskie, importowane do Stanów Zjednoczonych, stałyby się roz-

sadnikami najstraszliwszych chorób. *Lobbies* przeforsowały różne ustawy „sanitarne”, które pod pretekstem walki z chorobami była zamknęły rynek amerykański przed tanimi produktami zagranicznymi. Zakaz ten obowiązywał nawet w czasie wojny, choć rynek amerykański dotkliwie odczuwał wtedy brak mięsa. W tym czasie Argentyna cierpiała na nadmiar żywca. Ale o sprowadzeniu go do Stanów Zjednoczonych dla użytku szerokiego ogółu (konsumpcją mięsa *per capita* w Stanach Zjednoczonych jest jedną z najwyższych na świecie) nie mogło być mowy: *lobbies* czuwały nad zdrowotnością obywateli — nie dopuszczały, aby tanie woły argentyńskie stały się rozsadnikami epidemii! Tylko w drodze wyjątku pewne ilości mięsa zagranicznego zostały dopuszczone dla wojska i jakoś zgubnych skutków dla zdrowia nie było <sup>15</sup>.

Trudno było obwiniać sery szwajcarskie, francuskie czy duńskie, że są rozsadnikami chorób. *Lobby* mleczarskie mogło przeto tylko wołać, że import tych serów rujnuje produkcję krajową. Wobec tego Kongres wybitnie podniósł stawki opłat celnych na te produkty zagraniczne. Administracja była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa: było to bowiem w czasie, gdy Waszyngtonowi wybitnie zależało na gospodarczym rozkwicie krajów produkujących sery. A dla niektórych z nich — jak choćby dla Danii — eksport produktów nabiałowych jest pozycją arcyważną. Trudno jednak było walczyć z interesami tak potężnej grupy jak amerykańscy farmerzy.

Tomy można by pisać o walce, jaką producenci cukru i ich *lobbies* prowadzili przeciw importowi cukru kubańskiego i południowo-amerykańskiego. I prowadzili ją zwycięsko. Cordell Hull, rozwijając swą politykę „stosunków dobrosąsiedzkich” z Ameryką łacińską, skarżył się, że cukrowi *lobbyści* dynamitują jego program umów handlowych z produkującymi cukier republikami południowymi. Cordell Hull domagał się przeprowadzenia przez Senat szczegółowego dochodzenia w tej sprawie. To jednak *lobbyistów* nie przeraziło, akcję swoją prowadzili nadal <sup>16</sup>.

Oto kilka dowolnie wybranych przykładów. W świetle ich widać, że *lobbies* i *lobbying* to podstawowe instytucje

15. O walce *lobbies* przeciw importowi mięsnemu — Wesley McCune, THE FARM BLOC, New York, 1943. Str. 99.

16. Crawford, op. cit. Str. 172.

amerykańskiego życia politycznego, to szczególnie ważne formy oddziaływania przez grupy *wszelkich* (nie tylko ekonomicznych) *specjalnych* interesów na życie państwowe. Znowu musimy mocno podkreślić, że nie chodzi w tym o zwykłą korupcję, o przekupstwa czy łapówki. Niewątpliwie i te rzeczy zdarzają się w amerykańskim życiu publicznym. Rzadko jednak uchodzą bezkarnie. Opinia amerykańska jest tu bardzo wrażliwa i nie dopuszcza do zamazania skandalów. I *lobbying* w żadnym wypadku nie da się sprowadzić do systemu korupcji. Jest on instytucją bardzo szerokiego, wszechstronnego i głębokiego oddziaływania różnych sił społecznych na aparat polityczny. I dlatego nad *lobbying* iem wypadnie nam się jeszcze zastanowić. A zacznijmy od ustalenia, w jakiej mierze i w jakiej formie znajduje on oddźwięk wśród polityków.

### 5. Ustawodawcy tworzą bloki

Ażeby *lobbies* mogły swym mocodawcom przynieść wyniki warte zachodu, muszą one liczyć na jakiś oddźwięk ze strony polityków — wśród odpowiedzialnych członków aparatu administracyjnego i przede wszystkim w Kongresie. Lobbyista dla swej sprawy musi pozyskać wpływowych Senatorów, Kongresmanów oraz innych przywódców partyjnych. Warunkiem takiego pozyskania musi być zgodność interesów czy zainteresowań między tymi, których lobbyista reprezentuje, a tymi, których stara się pozyskać.

Ta zgodność interesów i zainteresowań może być bardzo różnej natury. Polityk może osobiście nie czuć zbyt wielkiej sympatii dla np. programu popierania przez rząd i skarb federalny budownictwa tanich domów mieszkalnych dla byłych żołnierzy. Ale polityk amerykański jest świadom, że ponowny jego wybór może zależeć od głosów byłych żołnierzy. Może więc dojść do wniosku, że rzeczą dla niego ryzykowną byłoby narazić się na niechęć do jego osoby ze strony organizacji „weterańskich”. *Lobbies*, które reprezentują te organizacje, starają się przeto wyzskać tę delikatną sytuację polityków, mających wpływ na taki program budownictwa domów mieszkalnych. Wiedzą też i o tym, że każdy z tych polityków jest przedmiotem zabiegów innych *lobbies*, przeciwnych projektowi budow-



nictwa tanich domów mieszkalnych. Trzeba więc działać szybko i energicznie, trzeba naciskać, grozić, paktować. Prowadzone są zakulisowe pertraktacje, dla których amerykański język polityczny używa nazwy „horse trading”. A więc — jak ongiś na jarmarkach gdzieś w miasteczkach Podola czy Wołynia — handlowanie końmi, niebardzo uczciwe, ale stwarzające możliwości dojścia do jakiegoś porozumienia. Politykowi obiecuje się głosy, polityk obiecuje poparcie dla programu, o który lobbysci zabiegają.

Dla bardzo wielu organizacji amerykańskich i ich *lobbies* głosy wyborców są najpotężniejszym i najskuteczniejszym środkiem wywierania nacisku na polityków. Wielka centrala związków zawodowych AFofL-CIO, reprezentująca prawie 17 milionów zorganizowanych członków, związki farmerskie, stowarzyszenia byłych żołnierzy i inne zorganizowane grupy masowe są wielkimi rezerwuarami potencjalnych głosów i z tego tytułu mają w ręku argumenty, które przemawiają do umysłów polityków amerykańskich.

Są to jednak słabe argumenty, gdy polityk jest przekonany, że o wyborze jego decydować będą czynniki inne, niż głosy robotników, farmerów albo „weteranów”. Polityk z okręgów agrarnych nie boi się antagonizmu robotników, polityk z okręgów przemysłowych nie dba o farmerów. Fakt, że Stany Zjednoczone są terenem dużego zróżnicowania interesów lokalnych i ogólnonarodowych, umożliwia politykowi pewną swobodę manewrowania.

A poza tym polityk ten nie jest abstrakcją. Jest człowiekiem żywym, posiadającym własne interesy i zainteresowania, ściśle związanym z jakąś klasą społeczną, organizacją gospodarczą, z jakimś regionem i jego potrzebami. Stale mając uwagę zwróconą na głosy, jest on także wyrazicielem pewnych poglądów osobistych i pewnych interesów grup i regionów, z którymi jest osobiście związany.

Jest on przede wszystkim politykiem regionalnym. Jako Senator czy członek Izby Reprezentantów jest on przedstawicielem swego stanu, jest obrońcą tych sił i interesów, które dominują w danym stanie. Bardzo często jest osobiście zainteresowany w organizacji przemysłowej, w farmerskiej, w grupie bankowej. Może być wielkim przemysłowcem, albo wielkim farmerem, radcą prawnym potężnej

„korporacji” albo związku zawodowego, redaktorem pisma farmerskiego albo będącego własnością jakiegoś banku. We wszystkich tych wypadkach jest człowiekiem, który łatwo mieć będzie zrozumienie dla propozycji, wysuwanych przez pewne *lobbies*, i nie będzie czuł serca dla propozycji, wysuwanych przez inne *lobbies*. Naturalnie najżyczliwiej odniesie się do *lobbies*, które reprezentują bliskie jego sercu interesy regionu, przez niego reprezentowanego.

Tu powstaje szczególnie dogodna płaszczyzna kontaktów między lobbyistami a politykami. Tu zarazem podstawa, na której w Kongresie Stanów Zjednoczonych ukształtowały się tak zwane *bloki*.

Mówiąc o blokach, Amerykanin ma na myśli *grupy członków Kongresu, którzy występują zwarcie jako obrońcy interesów pewnych sił społecznych i gospodarczych określonych regionów*. Nazwy bloków — farmerski, pszeniczny, srebrny itp. — w samym swym brzmieniu wyrażają cele, dla których bloki zostały utworzone. Blok południowy, którego jednym z celów jest obrona tradycji Południa (przede wszystkim „białej supremacji”), jest jednocześnie blokiem bawełnianym. Obrona interesów plantatorów bawełny idzie tu w parze ze zwalczaniem antydyskryminacyjnego ustawodawstwa federalnego.

Bloki mają równocześnie charakter gospodarczy i wybitnie regionalny. Albowiem interesy gospodarcze, które są ojcami bloków, są w Stanach Zjednoczonych najczęściej skoncentrowane w pewnych dzielnicach kraju. Taki np. blok srebrny reprezentuje interesy siedmiu stanów, produkujących srebro. Blok ten w Senacie liczy tylko 14 Senatorów, którzy choć reprezentują zaledwie koło czterech milionów mieszkańców Unii, zapewnili sobie ogromne wpływy w polityce ogólnonarodowej.

Podobnie bloki takie, jak pszeniczny, bawełniany, cukrowy itd., mają zdecydowanie regionalne oblicze. Odnoszą się one do produkcji, która jest wyraźnie zlokalizowana.

Są jednak wyjątki od tej reguły. Takim wyjątkiem jest przede wszystkim blok farmerski — najpotężniejsze i najliczniejsze ugrupowanie członków obu izb Kongresu Stanów Zjednoczonych. Blok ten jest niejako organizacją nadrzędną wobec wielu innych bloków, reprezentujących bardziej specjalne i bardziej regionalne interesy agrarne.

Do bloku farmerskiego wchodzi przedstawiciele wszystkich rolniczych okręgów Unii.

Blok farmerski działa w ścisłym porozumieniu z *lobbies* potężnych organizacji farmerskich, jak National Grange, American Farm Bureau Federation, National Council of Farmer Cooperatives itp. W pewnej mierze może być uważany za przedłużenie tych organizacji w Kongresie. Był on zorganizowany w roku 1921 i pierwsze posiedzenie Senatorów, którzy do niego przystąpili, odbyło się w lokalu waszyngtońskiego biura American Farm Bureau Federation. Od tego czasu między blokiem a tą organizacją utrzymywany jest mocny i ścisły związek <sup>17</sup>.

Blok farmerski jest grupą bardzo liczną. W Izbie Reprezentantów należy do niego przeszło dwustu członków. Jest to oczywistym następstwem forytowania przez konstytucje i ustawy stanowe okręgów rolniczych na niekorzyść okręgów przemysłowych. Szczególnie wyraźne jest to w stosunku do Senatu, o którego strukturze zresztą decyduje Konstytucja federalna. Fakt, że każdy stan ma w Senacie tę samą ilość (dwóch) przedstawicieli, daje kolosalną przewagę słabo zaludnionym stanom rolniczym nad gęsto zaludnionymi stanami przemysłowymi. Blok farmerski w Kongresie musi więc z samej natury rzeczy być szczególnie liczny i potężny.

W czasach ostatnich daje się też zauważyć tendencja w kierunku wyłaniania się w Kongresie bloku, związanego z robotniczym ruchem związkowym. Trudno tu jednak wciąż mówić o właściwym bloku. W rzeczywistości jest to porozumienie się licznej grupy liberałów Kongresu, którzy utrzymują bliskie stosunki z AFofL-CIO i występują jako obrońcy interesów amerykańskiego świata pracy. To, że grupa ta ma w swym zespole szereg bardzo wybitnych członków Kongresu, bardzo podnosi jej znaczenie na terenie parlamentarnym.

*Podział na bloki jest niezależny od podziału partyjnego.* W każdym bloku są zarówno Demokraci jak i Republikanie, o ile reprezentują oni te same interesy gospodarcze czy regionalno-gospodarcze. Bloki są niezależne od partii, w pewnej mierze są ponadpartyjne.

---

17. McCune, op. cit. Str. 165.

Nie oznacza to jednak, by były apolityczne. Wręcz przeciwnie — blok jest przede wszystkim narzędziem określonej polityki. Prowadzi ją przez *partie*, do których członkowie jego należą. Jest ważną formą nacisku określonych interesów na oba wielkie amerykańskie stronnictwa polityczne.

Nacisk ten może się ograniczać wyłącznie do dziedziny specyficznych interesów, reprezentowanych przez blok. Czternastu Senatorów bloku srebrnego, działając w obu partiach, umiejętnie krzyżuje wszelkie próby zrewidowania polityki federalnej wobec tego metalu, którego Stany Zjednoczone mają tak dużo, że nie wiedzą co z nim robić. W rezultacie mieszkańcy czterdziestu jeden stanów Unii muszą grubo dopłacać do cen srebra, aby w ten sposób zapewnić wysokie zyski dla towarzystw górniczych siedmiu pozostałych stanów. Ale nacisk może iść znacznie dalej, obejmując rozległe dziedziny polityki ogólnonarodowej. Pod koniec życia Franklina Roosevelta blok farmerski stał się sprężyną powstania potężnej koalicji Republikanów i konserwatywnych Demokratów. Było to ułatwione przez fakt, że ówczesny przywódca bloku był równocześnie przywódcą republikańskiej mniejszości Senatu.

W praktyce parlamentarnego życia Stanów Zjednoczonych bloki mają też częstokroć o wiele większe znaczenie niż kluby partyjne. Jest rzeczą bardzo rzadką, by wyniki głosowań w izbach pokrywały się z podziałem partyjnym. Jest rzeczą bezporównania pospolitszą, że w głosowaniach tych członkowie bloków występują bardzo solidarnie. I jest rzeczą wyjątkową, aby w głosowaniach, odnoszących się do spraw obchodzących np. rolnictwo, członkowie bloku farmerskiego wyłamali się spod zasady solidarności.

Istnienie bloków świadczy o dwóch zjawiskach, ważnych dla amerykańskiego życia politycznego. Po pierwsze — *bloki są niezmiernie doniosłymi kanałami przenikania wpływów grup interesów specjalnych w polityczny mechanizm Unii*. I po drugie — *bloki są jeszcze jednym świadectwem czysto technicznego, instrumentalnego charakteru amerykańskich stronnictw politycznych*. Stronnictwa te są narzędziami wyborczymi. Bez nich politycy nie mogą mieć dostępu do wpływów na aparat państwowy. Gdy jednak narzędzie spełni swe zadanie, gdy polityk znajdzie się w Senacie czy w Izbie Reprezentantów, od technicznej orga-

nizacji, zwanej partią, ważniejszym dla niego będzie blok — reprezentant konkretnych interesów gospodarczych i regionalnych. Oczywiście nie oznacza to, aby polityk tym samym lekcewał sobie znaczenie partii. Będzie mu ona potrzebna przy następnych wyborach, może być z nią emocjonalnie związany. Ale w konkretnym działaniu na terenie Waszyngtonu przewodnikiem jego częściej będzie nie partia, lecz zespół realnych interesów, reprezentowanych przez blok.

## 6. Jeszcze o lobbies i o blokach

John Gunther przytacza następujące zdanie, jakie usłyszał od pewnego polityka kalifornijskiego: „Lobby jest amerykańską namiastką tej jedynej dobrej rzeczy, jaką odznaczało się państwo korporacyjne — np. Farm Bureau i Unia Farmerska są przedstawicielami pszenicy<sup>18</sup>. Rozmówca Gunthera chciał przez to powiedzieć, że w niezmiernie zróżnicowanym systemie gospodarczym *lobbies* spełniają funkcje reprezentowania grup gospodarczych, które na innej drodze nie znajdują dla siebie reprezentacji.

Gunther dodaje od siebie, że *lobbies*, aby mogły spełniać taką funkcję, musiałyby otrzymać jakąś *postać prawną*, musiałyby być w jakiś sposób ulegalizowane. W rzeczywistości w chwili obecnej są one traktowane jako zło konieczne. Są instytucją, na którą wszyscy z musu się godzą, którą wszyscy się posługują, ale dla której nie mają zbyt wysokiego szacunku. Ustawa, nakładająca na waszyngtońskie *lobbies* obowiązek ujawniania się przez rejestrację, jest wyrazem nieufności, jaka wytworzyła się w stosunku do tych specyficznych instytucji.

W każdym razie w uwadze rozmówcy Gunthera jest coś, co zasługuje na rozważenie. Wiemy, jakie motywy społeczno-gospodarcze leżały u podstaw Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Ale Konstytucja ta tworzyła się w społeczeństwie o ekonomice przeważnie agrarnej, mało zróżnicowanej, mało skomplikowanej, słabo rozwiniętej. Wśród wielu rzeczy, których Konstytucja nie przewidziała, znajdował się i późniejszy rozwój gospodarki Stanów Zjed-

---

18. Gunther, op. cit. Str. 32.

noczonych. Cały skomplikowany mechanizm tej gospodarki nie znalazł dla siebie po prostu wyrazu w prawno-ustrojowej organizacji Unii.

Organizacja ta jest ściśle oparta na założeniach politycznych. Wyborcy, powierzając funkcje rządzenia swym przedstawicielom, w zasadzie mają się kierować względami politycznymi. Ale w Stanach Zjednoczonych polityka jest funkcją gry grup gospodarczych. W całej historii amerykańskiego życia publicznego momenty gospodarcze nierozłącznie wiązały się z politycznymi. Eksploatacja bogactw wielkiego kontynentu była motorem politycznego rozwoju Stanów Zjednoczonych. Ekonomika ciążyła nad całym życiem publicznym, nad działalnością stronnictw politycznych, nad funkcjonowaniem mechanizmu państwowego.

Ekonomika ta nie znalazła w artykułach Konstytucji i w instytucjach państwowych odpowiedniego ujścia prawnego, ujścia ulegalizowanego. Musiała przeto szukać dla siebie jakichś ujść czy kanałów pozalegalnych, stworzonych na drodze rozwijania się obyczajaju. Takim ujściem czy kanałem stały się *lobbies*. Zachodzi tu wyraźna analogia między rozwojem stronnictw politycznych a rozwojem *lobbying'u*. W obu wypadkach pominięcie przez Konstytucję pewnych form legalnych musiało stworzyć jakieś namiastki obyczajowe. W wypadku partii namiastki te zdobyły dla siebie sankcję prawną, *lobbies* — tej sankcji dotąd nie mają. To zaś z kolei jest jedną z przyczyn ich degeneracji.

Czy jest rzeczą prawdopodobną, że w Stanach Zjednoczonych z *lobbies* i bloków rozwiną się jakieś formy przedstawicielskie, odpowiadające korporacjom w ustrojach faszystowskich? To wydaje się być rzeczą bardzo mało prawdopodobną. A już najmniej prawdopodobnym zdaje się tu być powstanie jakiejś repliki systemów faszystowskich. Tradycje demokratyczne są mocno i głęboko zakorzenione w społeczeństwie amerykańskim, obce są mu wspomnienia średniowiecznych korporacji, jest ono wysoce dynamiczne i dynamiczną jest jego gospodarka. Ale poza tym działa jeszcze i wiele innych czynników, które przemawiają przeciwko takiej prognozie.

Zwróćmy uwagę na zdumiewającą różnorodność *lobbies*. Reprezentują one grupy wszelkich możliwych

interesów. Są tu grupy bardzo specjalne i potężne organizacje ogólne, są przedstawicielstwa wielkich firm i całych gałęzi big businessu, są tu grupy ściśle lokalne i obejmujące cały kraj. W pewnych wypadkach grupy te reprezentują szarmonizowane interesy szerokich zespołów ludzkich, w innych wypadkach są one wyrazami ścierających się interesów i dążeń. Te ostatnie wypadki są szczególnie liczne. Scena amerykańska jest pełna potężnych konfliktów — międzyklasowych, międzyregionowych, konfliktów między rywalizującymi grupami w obrębie tej samej klasy, tego samego regionu, tej samej gałęzi przemysłowej czy finansowej.

I oczywiście wszystkie te konflikty mają swe odbicie w życiu politycznym i partyjno-politycznym republiki. Każda z zainteresowanych grup woła o cła (lub o ich zniesienie), o zakazy (lub nakazy), o ulgi taryfowe (lub o podwyższenie taryf), o subwencje (lub o zaprzestanie ich udzielania). National Association of Manufacturers chce ustaw antystrajkowych, związki zawodowe domagają się dalszego rozszerzania ustawodawstwa socjalnego. Istrumentami tych akcji są niezliczone *lobbies*, kanałami, którymi wpływy grup zainteresowanych sięgają do aparatu państwowego, są bloki w Kongresie.

Obraz, jaki w ostatecznym podsumowaniu da się uzyścić, przedstawia się mniej więcej w sposób następujący:

Z jednej strony jest aparat rządzący — Prezydent, jego gabinet, Kongres, władze stanowe, partie polityczne. Z drugiej strony — niezliczone grupy interesów, wywierające swój nacisk na aparat rządzący za pośrednictwem swych narzędzi oddziaływania: *lobbies*, prasy, radia, telewizji, organizacji, wpływów osobistych. Ale aparat rządzący składa się z żywych ludzi, z których każdy reprezentuje określone interesy gospodarcze i społeczne. Grupy interesów dbają o to, by były reprezentowane w aparacie rządzącym. Jest ich jednak wiele. Nie są między sobą szarmonizowane. Ludzie aparatu rządzącego są ponadto zależni od głosów swych wyborców, którzy nieraz buntują się i wykazują samodzielną. Polityk musi zachowywać ostrożność. Ma swoje sympatie, ale jest pod ostrzałem różnorodnych nacisków, jest atakowany przez *lobbies* i jest zależny od wy-

borców. Musi być ekwilibrystą, musi uważać na to, by nie zrazić sobie ani potężnych patronów z *lobbies* ani jeszcze potężniejszych wyborców.

W tym leży przyczyna, dla której polityka waszyngtońska jest dla Europejczyków czy w ogóle Nie-Amerykanów tak trudna do zrozumienia. *Jest to bowiem polityka stałych presji i stałej ekwilibrystyki. Nigdy nie jest polityką zasad. I w istniejących warunkach być nią nie może.* A do tego polityk amerykański jest najczęściej postacią lokalną, żyjącą swymi lokalnymi sprawami i zainteresowaniami. Postać ta, przeniesiona na teren wielkich zagadnień narodowych czy — co gorzej — międzynarodowych, gubi się. Jest to doskonała sposobność dla wszelkich *lobbies*. Zręczny lobbysta wie, jak wykorzystać zakłopotanie lokalnego polityka, który nagle znalazł się na scenie wielkich wydarzeń.

W sumie jest to polityka *zabiegów*, polityka rozmów w pokojach hotelowych, w salach restauracyjnych. Cele tej polityki są gospodarcze, środki — na sposób amerykański — polityczne.

System ten przy wszystkich swoich brakach i wadach na ogół działa całkiem sprawnie, nie budząc zastrzeżeń zasadniczych u żadnej z zainteresowanych stron. Wykazuje też on dużą zdolność przystosowywania się do zmieniających się warunków. Jest — jak wiele innych rzeczy w Ameryce — oparty na zasadach empirycznych, a nie teoretycznych. I dlatego nic naprawdę nie przemawia za tym, by w dającej się przewidzieć przyszłości miał być zastąpiony przez jakiś inny system. Jeżeli nawet tworzy on namiastkę dla ustroju korporacyjnego, to mieści się ona doskonale w ramach demokracji amerykańskiej i nie wymaga jakichś zasadniczych zmian ustrojowych.



## R o z d z i a ł V I I

### APARAT WIELKIEJ ROZGRYWKI

#### 1. Kulisy bywają ważniejsze od sceny

„Zarówno rządy polityczne jak rządy nad biznesem są wykonywane według tych samych zasad. Jedne i drugie mają nieoficjalne, przed nikim nie odpowiedzialne, niewidzialne, ale faktyczne władze, ukryte poza legalnymi, konstytucjonalnymi fasadami” — do takich oto wniosków doszedł na początku swej wielkiej kariery dziennikarskiej Lincoln Steffens, obserwując równocześnie Wall Street i nowojorskie Tammany Hall<sup>1</sup>. Młody Steffens z niepokojem patrzył na fakt, że w demokracji amerykańskiej najważniejsze funkcje kierownicze — w polityce i w gospodarce — są wykonywane przez ludzi i ośrodki, schowane za kulisami wielkiej sceny narodowej i nie podlegające kontroli społecznej. Walka z tymi kulisami, demaskowanie ich — oto co stało się ważną częścią świetnej kariery tego wielkiego dziennikarza.

Niewątpliwie od czasów Steffensa w życiu amerykańskim nie jedno się zmieniło. Wall Street nie jest tym, czym było kiedyś, i to samo da się powiedzieć i o Tammany Hall. Niemniej jednak pewne zasadnicze rzeczy zachowały się nadal i kulisy w polityce narodu amerykańskiego nadal mają kolosalne znaczenie. Jak zresztą i w politykach wszystkich innych narodów.

---

1. Steffens, op. cit. Str. 235.

W rozdziale poprzednim mówiliśmy o gospodarczym kulisach amerykańskiej sceny politycznej. Obecnie rozpatrzemy kulisy polityczne amerykańskiej sceny partyjnej. A rozpatrzemy je w odniesieniu do najważniejszego zadania, jakimu służą amerykańskie stronnictwa polityczne — w odniesieniu do kampanii wyborczej.

Zadanie to sprowadza się do dwóch podstawowych czynności: po pierwsze — do *doboru kandydatów* na różne obieralne stanowiska publiczne, po drugie — do *zmobilizowania wyborców* dla zapewnienia tym kandydatom zwycięstwa przy urnach. Jak już przedtem była mowa, cała organizacja amerykańskiej partii jest przystosowana do tych czynności.

Kośćcem tej organizacji jest liczna grupa zawodowych polityków. Jako zespół, odpowiedzialny za dobór kandydatów i mobilizację wyborców, tworzą oni tak zwaną *maszynę*. Jest to organizacja wewnętrzna, złożona z fachowców od techniki wyborczej, organizacja wyspecjalizowana w tym, jak dobierać kandydatów, którzy mają najwięcej szans zdobycia maksymalnej ilości głosów (*votegetters*), i jak szanse te zrealizować.

Maszyny najczęściej są skupione dokoła jakiejś jednostki kierowniczej. Jest to największy specjalista od techniki wyborczej — twórca Prezydentów, Senatorów, Kongresmanów, Gubernatorów, członków legislatur, sędziów itd., i jest to zarazem wielki specjalista od mobilizowania mas wyborców. Popularnie nosi on nazwę „bossa”. Słowo to, które język amerykański przejął od holenderskiego, da się przetłumaczyć jako „szef”, „zwierzchnik” czy kierownik. Nie popełni się wielkiego błędu, jeżeli dla określenia słowa „boss” użyje się po polsku wyrażenia „patron”. A francuskie „patron” jest bodaj znaczeniowo jeszcze bliższe „bossowi”.

Boss jest ośrodkiem maszyny. Jest jej organizatorem, kierownikiem, duszą. O maszynie da się powiedzieć, że jest ona drużyną bossa, zespołem jego adiutantów, ludzi, którzy są mu oddani i których łączy z nim liczne więzy zażyłości osobistej i zależności faktycznej. Boss „rozdziela stanowiska, nagradza lojalnych, uśmierza bunty, układa plany kampanii, zawiera traktaty. Przeważnie unika reklamy, bardziej ceni istotę władzy od jej pompy zewnętrznej i przez to jest szczególnie groźny, bowiem jak pajak czai

się ukryty w samym środku pajęczyny” — pisał kiedyś Bryce <sup>2</sup>.

W wielkich miastach organizacja jest bardziej złożona. W New Yorku np. każda z pięciu dzielnic metropolii ma swojego bossa. Jest tu więc pięciu bossów maszyny demokratycznej (*Tammany Hall*) i tyluż republikańskiej. A trzeba pamiętać, że takie dzielnice New Yorku jak Brooklyn i Bronx liczą znacznie ponad dwa miliony mieszkańców każda. Pięciu bossów każdej partii tworzą tu „pierścień” czy „krąg” (*ring*), ścisły zespół najwyższych sojuszników, sztab generalny całej maszyny.

Każdy zresztą boss z kolei ma przy sobie taki „pierścień”, złożony z jego najbliższych i najintymniejszych współpracowników. Celem tego zespołu jest „nie tylko zdobyć dla siebie najlepsze stanowiska, ale i podporządkować sobie całe miasto, a to drogą obsadzania swymi kreaturami różnych działów samorządowych oraz przez taką kontrolę nad wyborami do legislatur stanowych, aby te ostatnie uchwały ustawy (przez krąg) pożądane i nie dopuszczaly do uchwalania ustaw, które (dla kręgu) mogłyby być szkodliwe” <sup>3</sup>. I choć wiele lat upłynęło od czasu, gdy Bryce pisał te słowa, i w ciągu tych lat wielkie zmiany zachodziły w Ameryce, to jednak wciąż warto jest mieć w pamięci te uwagi wielkiego obserwatora życia Stanów Zjednoczonych.

Oczywiście między bossem, pierścieniem i maszyną zachodzi związek bardzo ścisły. Pierścień i maszyna są narzędziami bossa. Z drugiej strony boss nie osiągnąłby niczego, gdyby nie miał za sobą zwarte go pierścienia i sprawnie funkcjonującej maszyny. Zachodzi tu stała współzależność interesów, które są w takim samym stopniu interesami politycznymi jak i materialnymi. Cały system jest jaskrawym przykładem patronatu politycznego, jaki rozwinął się na gruncie amerykańskiej demokracji plebejskiej.

Bossowie i maszyny są przede wszystkim instytucjami miejskimi. Płynność stosunków w miastach amerykańskich, duże ilości emigrantów, tworzyły wyjątkowo pomyślne warunki dla powstania takich form patronatu politycznego.

---

2. Bryce, op. cit. T. II, str. 104.

3. Bryce, op. cit. T. II, str. 103.

W okręgach farmerskich, gdzie stosunki są bardziej ustabilizowane, a obywatele czują się bardziej niezależnymi, bossowie i maszyny nie mogły się rozwinąć w takim stopniu, jak w miastach. Zdarza się jednak, że boss lokalnego ważnego ośrodka miejskiego zdobywa sobie tak mocną pozycję w stanowym aparacie rządzącym, iż tą drogą osiąga wielki wpływ i na okręgi farmerskie. Jeszcze niedawno jako typowy przykład mogło tu służyć Tennessee, gdzie boss miasta Memphis — Crump — faktycznie stał się bossem całego stanu.

Jak wiemy, zadaniem bossa i jego maszyny jest w pierwszym rzędzie dobór odpowiednich kandydatów na różne obieralne stanowiska publiczne. Przez odpowiednich kandydatów należy rozumieć osoby, które dają bossowi gwarancję swej lojalności wobec niego i jego celów. Za czasów Bryce'a, gdy ustalanie osób tych kandydatów było prawie wyłącznie przeprowadzane na tak zwanych konwencjach, bossowie nie mieli tu wielkich kłopotów. Konwencje były całkowicie „kontrolowane” przez maszyny. Dziś sprawa jest bez porównania trudniejsza. Ustalanie kandydatów w coraz większym stopniu przechodzi do prawyborów (*primaries*), czyli do samych wyborców. Ci zaś są dziś bardziej samodzielni niż byli przed laty. Prawyборы często dają wyniki sprzeczne z planami bossów. Nastęstwem tego jest — jak o tym będzie jeszcze mowa dalej — że ostatnio znaczenie bossów i maszyn zaczyna wyraźnie słabnąć.

Przeniesienie funkcji ustalania kandydatów na teren prawyborów zwiększyło niebezpieczeństwo faksjonalizmu wewnątrz partii. Jak wiemy, partia amerykańska jest wielką koalicją interesów i grup. Zadaniem bossa jest harmonizowanie na danym terenie tych jakże często sprzecznych interesów i grup. Prawyборы, w których o stanowisko kandydata ubiegają się aspiranci z różnych grup koalicji partyjnej, stwarzają teren dla zarysowania się ostrych konfliktów wewnętrznych. Występują tu rywalizujące ze sobą grupy wewnętrzno-partyjne, rywalizujące maszyny i mniejsi bossowie.

Te walki wewnętrzne nie są zresztą nowością w życiu amerykańskim. Bryce słusznie mówi, że „rzeczywistym przeciwnikiem wodza nie jest wroga partia polityczna, ale

wrogie frakcje wewnątrz własnej partii”<sup>4</sup>. W New Yorku przez wiele lat istniały trzy odrębne organizacje demokratyczne, nawzajem się zwalczające. W Texasie Partia Demokratyczna ma od lat dwie odrębne organizacje, które są w stanie wojny ze sobą<sup>5</sup>. W czasie kampanii wyborczych kandydaci obu partii podkreślają, czy są kandydatami „regularnymi” czy „nieregularnymi”. Pierwsi mają poparcie oficjalnych grup partyjnych, drudzy — grup, które przez pierwsze są uważane za nieoficjalne. Nie-Amerykaninowi jeszcze bardziej utrudnia to rozeznanie się w stosunkach amerykańskich.

„Zadaniem bossa — mówi znawca stosunków partyjnych w Stanach Zjednoczonych — jest przede wszystkim analizować nastroje swoich dzielnic wyborczych i — w granicach możliwości — jak najlepiej przystosować swych kandydatów do oczekiwań wyborców”<sup>6</sup>. W warunkach dzisiejszych boss nie może zaudać iść wbrew nadziejom i oczekiwaniom swych wyborców. Jest to następstwem tych przemian, jakie w masach amerykańskich nastąpiły w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Boss — jeżeli nie chce przegrać — musi być tylko technikiem. To znaczy — powinien się przystosowywać do wymagań wyborców, których mobilizuje. Bossowie o tym wiedzą. Nie jeden z nich przegrał, gdy prawdę tę sobie zlekceważył. Stąd główną troską bossa jest znalezienie kandydatów, których mogą pociągnąć za sobą jak najwięcej głosów. Przy doborze tych kandydatów boss nieraz musi zapominać o własnych sympatiach. Jego troską jest to, by kandydat, którego poparł, pamiętał, komu zawdzięcza swój sukces.

Tak w najogólniejszym ujęciu wyglądają te zakulisowe siły polityczne, które dyrygują lub starają się dyrygować amerykańską kampanią wyborczą. Z siłami tymi i z techniką, jaką się posługują, wypadnie nam się teraz bliżej zapoznać.

## 2. Dygresja historyczna

„Dawna maszyna rozciągała swą kontrolę nad głosami. Z emigrantów robiła obywateli, troszczyła się, by mieli

4. Bryce, op. cit. T. II, str. 110.

5. Gunther, op. cit. Str. 844 i nast.

6. Dale Kramer w „The Nation”, 13 marca 1948.

pracę, składała za nich kaucje w sądach policyjnych, całowała ich dzieci, urządzała pikniki dla młodzieży... Ogarniała różne grupy narodowościowe i dbała, aby ich najbardziej agresywni przywódcy byli zopatrzeni w przywoicie lukratywne synekury z funduszków publicznych”<sup>7</sup>. Ta zwięzła charakterystyka funkcji maszyny i jej bossów dobrze odtwarza stosunki, jakie jeszcze do niedawna panowały w miastach amerykańskich. Maszyny i bossowie swój rozwój w pierwszym rządzie zawdzięczają faktowi napływania do Stanów Zjednoczonych mas emigrantów europejskich.

Każdy emigrant był potencjalnym obywatelem, a więc — potencjalnym głosem. Podstawowym zadaniem maszyny było stworzenie z emigrantów rezerwuaru głosów. Prowadziło to do patronatu nad emigrantami. Im bardziej emigrant był kulturalnie prymitywny, im bardziej był politycznie nieuświadomiony, tym był wdzięczniejszym materiałem dla patronatu maszyny i jej bossa. Jak już wiemy, Irlandczycy stali się szczególnie ważnym elementem w dziejach partyjnych grup demokratycznych w wielkich miastach. Aż prawie po dziś dzień Tammany Hall było potężną domeną wpływów w New Yorku przybyszów z Zielonej Wyspy. I dopiero od niedawna w Tammany Hall na miejsca czołowe obok Irlandczyków zaczęli się wysuwać Włosi i Żydzi. Ale i teraz jeszcze wpływy irlandzkie są ogromne. Dzień Świętego Patryka jest w New Yorku i w kilku innych miastach amerykańskich bardzo uroczyste obchodzony. Jest to nie tylko narodowe święto irlandzkie, ale i sposobność do stwierdzenia politycznego znaczenia obywateli pochodzenia irlandzkiego. Jest to święto Tammany Hall i pokrewnych organizacji.

Byłoby jednak przesadą twierdzić, że maszyny i ich bossowie są produktami wyłącznie wielkomiejskich ośrodków emigranckich. W pewnych wypadkach maszyny i bossowie powstawali i w okręgach rolniczych. Tak było na Południu, gdzie czynnik emigrancki jest bardzo słabo reprezentowany. Ale w wielu okolicach Południa istniały warunki pomysłne dla zakorzenienia się takiego systemu. Były tam liczne masy ludności bardzo biednej, sproletary-

---

7. Warren Moscow w artykule „Exit Boss, Enter the Leader” w New York Times Magazine, 22 czerwca 1947. Str. 16.

zowanej, społecznie luźnej, kulturalnie prymitywnej, politycznie surowej. W takich warunkach mógł się formować system patronatu, wykonywanego przez grupę techników wyborczych. Warunki takie nie istniały w zamożnych, społecznie zwartych okręgach farmerskich i tam system bossów i maszyn nie miał wielkiego powodzenia. Oczywiście środowiska wielkowiejskie najbardziej mu sprzyjały.

Historie miast amerykańskich są nierozłącznie związane z działalnością maszyn partyjnych i ich bossów. Jako przykład może posłużyć słynne Tammany Hall. Genezą swoją sięga ono czasów Wojny o Niepodległość. Było ono wtedy skromnym stowarzyszeniem prywatnym, które wśród swych naczelnych zadań umieściło pomoc wzajemną dla członków i dobroczynność. W roku 1800 zabrało się do politykowania, występując w charakterze organizacji pomocniczej Demokratów nowojorskich. Z każdym dziesięcioleciem wpływy Tammany Hall rosły. Organizacja objęła masy emigrantów i zaczęła je prowadzić do wyborów.

W połowie ubiegłego stulecia Tammany Hall znalazło sobie wyjątkowo utalentowanego przywódcę. Był nim William M. Tweed, człowiek, którego historyk kulisy polityki nowojorskiej nazwał „fenomenalnie nieuczciwym”<sup>8</sup>. Tweed, który w roku 1869 został mayorem (burmistrzem) New Yorku, zasłynął jako jeden z największych rabusiów, jakich znały dzieje miast amerykańskich. Od jego czasów Tammany Hall stało się synonimem korupcji, nieprawdopodobnych nadużyć, bezprawia policyjnego, łapownictwa i przekupstwa. Rządy Tweeda zaszły tak daleko, że wybuchł skandal publiczny i utalentowany boss powędrował do więzienia.

Następca jego Richard Croker był stosunkowo bardziej uczciwy. Niemniej i za jego czasów samorząd metropolii był ogniskiem szalonej korupcji i machinacji kryminalno-politycznych. W każdym razie Croker kolosalnie rozbudował aparat Tammany Hall i uczynił z tej organizacji prawdziwą potęgę polityczną. Jeszcze późniejszy boss Charles F. Murphy nadał działalności Tammany Hall bardziej przyzwoite pozory. Ale gdy umierał, zostawił po sobie spadek

---

8. Warren Moscow, *ibid.*

wartości dwóch milionów dolarów. Tyle mu przyniosła jego kariera polityczna<sup>9</sup>.

Rządzony przez Tammany Hall, New York zdobył sobie opinię jednego z bardziej (choć nie najbardziej) skorumpowanych miast amerykańskich. Kres temu położyła w roku 1934 wielka rewolta obywateli nowojorskich, która do ratusza zaniósła człowieka wolnego od związków z Tammany Hall. Był nim Fiorello H. La Guardia. Zwycięstwo La Guardii oznaczało nadejście nowej ery w dziejach metropolii. Prawda że po śmierci La Guardii Tammany Hall próbowało odzyskać swoje wpływy, ale czasy bardzo się zmieniły. Obecnie Tammany Hall nie jest taką potęgą jak dawniej, a i jego metody uległy znacznej poprawie. Dzisiejszy New York jest miastem rządzonym bardzo przyzwoicie.

New York nie był jedynym miastem amerykańskim, rządzonym przez skorumpowaną maszynę i skorumpowanych bossów. Chicago, Filadelfia, St. Louis i dziesiątki innych wielkich centrów mogły służyć jako przykłady nieprawdopodobnej gospodarki miejskiej. Wszędzie tam „system łupów” przybierał szczególnie zwyrodniałe formy. Lincoln Steffens, który znaczną część swego życia poświęcił walce z tymi stosunkami, daje w swej autobiografii doskonałą analizę rządów maszyn w miastach amerykańskich. Fakty, jakie przytacza Steffens, niekiedy brzmią zgoła fantastycznie. Nigdy jednak przez nikogo nie zostały zaprzeczone.

Z tych stosunków dziś bardzo dużo należy już do przeszłości. Ordynarna grabież, jaka przez dziesięciolecia była podstawą panowania maszyn i bossów nad miastami amerykańskimi, przeszła do dziedziny wspomnień. Nawet rządy Hague'a w Jersey City czy rządy Crump'a w Memphis przy całym swym despotyzmie i bezprawiu nie dały się porównać z rządami Tweed'a czy Crokera w dawnym New Yorku. Zresztą kariery obu tych maszyn — w Jersey City i w Memphis — zakończyły się niesławnie. A słynny boss stanu Missouri T. J. Pendergast skończył swą karierę polityczną w więzieniu, maszyna zaś jego po skandalu z przekupstwami wyborczymi została rozbita.

---

9. Patrz Beardowie, *The Rise...* T. II, str. 309-311.



Ustanie emigracji do Stanów Zjednoczonych, powszechna zamożność społeczeństwa, podniesienie się poziomu uświadomienia obywatelskiego, rozwój związków zawodowych — wszystko to podważyło podstawy, na których opierał się system korupcji maszyn i bossów. Nie mniejsze znaczenie miała celowa akcja, jaką uczciwe elementy społeczne prowadziły przeciw maszynom i bossom. Wybitni publicyści, jak Ida M. Tarbell, Ray Stannard Baker, wielokrotnie wymieniani przez nas Lincoln Steffens i inni, w artykułach swych i książkach, demaskujących rządy maszyn i bossów, mobilizowali opinię publiczną na przełomie wieków XIX i XX. Zasługi tych pisarzy były rzeczywiście ogromne. To, co oni pisali, stało się manifestem dla grup „reform”, które tworzyły się w różnych miastach amerykańskich. Dochodziło do „rewolt” wyborców, które ludziom uczciwym oddawały rządy nad miastami. Wyniki tych „rewolt” nie zawsze były długotrwałe. Maszyny po pewnym czasie znów powracały do władzy. Ale pozycje ich, raz już podważone, nie były tak mocne jak przedtem. Bossowie, pomni „rewolt”, musieli bardzo się liczyć z nastrojami obywateli.

Małżonkowie Lynd w swym dziele „Middletown in Transition” opisują rewoltę, która w roku 1929 nastąpiła w badanym przez nich mieście. Middletown było tradycyjnie rządzone przez maszynę lokalnej Partii Republikańskiej. Istniała jednak opozycja, obejmująca wszelkich zwolenników reform niezależnie od ich przynależności partyjnej. W roku 1929 opozycja ta skonsolidowała się i dużą większością głosów wprowadziła na urząd mayora (burmistrza) redaktora miejscowego pisma demokratycznego, człowieka znanego ze swej uczciwości, bezkompromisowo zwalczającego silny w Middletown Ku-Klux-Klan. Nowy mayor nadal prowadził kampanię przeciw nadużyciom i Klanowi, wybitnie przyczyniając się do oczyszczenia stosunków nie tylko w Middletown, ale i w całym stanie. Warto zauważyć, że, choć Demokrat, miał za sobą zwarte poparcie wszystkich grup obywatelskich, wrogo usposobionych wobec maszyny<sup>10</sup>.

Przykładów podobnych rewolt można przytoczyć bez liku. We wszystkich nich znamienne jest ich *koalicyjny*

---

10. Lyndowie, op. cit. Str. 322-324.

charakter. Łączyły one ludzi wszelkich obozów i wyznań politycznych, zespolonych wspólnym celem uzdrowienia skich stosunków politycznych. Od formalnej przynależności partyjnej znacznie ważniejsze tu były pewne konkretne cele, jednoczące szersze zespoły obywateli. New York jest miastem, które tradycyjnie idzie za Partią Demokratyczną. Ale gdy chodziło o wybór La Guardia, większość Demokratów nowojorskich znalazła się w koalicji, utworzonej przeciw demokratycznemu Tammany Hall. Zadecydowały tu względy lokalne, zadecydowała niechęć do systemu maszyn i bossów.

Wszystkie te bunty lokalne osłabiały maszyny i zmuszały je do ostrożności. Nie oznacza to jednak, aby maszyny i bossowie zniknęli ze sceny partyjno-politycznego życia Stanów Zjednoczonych. Maszyny i bossowie nadal istnieją, nadal są podstawowym mechanizmem działania aparatów partyjnych. Mechanizm ten jednak musiał się przystosować do zmienionych warunków.

### 3. *Współczesne maszyny i współcześni bossowie*

E. H. Crump w mieście Memphis stanu Tennessee i Frank Hague w Jersey City stanu New Jersey to byli bodaj ostatni przedstawiciele dawnego bossizmu. Crump potrafił rozciągnąć swój patronat na wszystkich miejscowych urzędników stanowych i federalnych, na agentów assekuracyjnych, na knajpiarzy, na sprzedawców samochodów, słowem — na wszystkich, którzy mają do czynienia z szeroką publicznością. Jak sprawnie działała jego maszyna, o tym mogły powiedzieć wyniki wyborów w roku 1936 i w roku 1938. W roku 1936 o stanowisko Gubernatora Tennessee ubiegał się niejaki Gordon Browning. Miał on poparcie Crumpa i zdobył powiat Shelby, otrzymawszy w nim większość 60.000 głosów. Ale Browning pokłócił się z Crumpem. W roku 1938 przepadł w powiecie Shelby. Zabrakło mu 60.000 głosów.

Jednakże rządy Crumpa odbiegały od tych wzorów, jakie po sobie pozostawili głośni bossowie wieku XIX. Crump miał opinię człowieka osobiście uczciwego. Pod jego rządami Memphis miał dobrą sławę. Nie było tam słyhać o grabieży, o „współdziałaniu” policji ze świa-

tem przestępczym. A jednak i rządy takiego „oświeconego absolutyzmu” musiały się skończyć, zabite przez sam rozwój życia, coraz bardziej odchodzącego od warunków, umożliwiających rozkwit starego systemu <sup>11</sup>.

Gorszym od Crumpa despotą był Frank Hague, którego ulubionym powiedzeniem było: „W Jersey City ja jestem prawem”. To lokalne wydanie Ludwika XIV piasutowany przez siebie urząd mayora miasta Jersey City traktowało jako lenno czy własność osobistą. Gdy w końcu zdecydował się na ustąpienie, stanowisko mayora przekazał swemu bratankowi „jak wschodni kalif, który swój dwór i posiadłości przekazuje swemu ulubionemu synowi” <sup>12</sup>.

Gdy jednak Hague ustępował, było rzeczą wyraźną, że system przez niego stworzony jest już poważnie zachwiany. Opozycja była silna i następca Hague'a nie umiał się uporać z rebelią niezależnych grup obywatelskich. Inne systemy — jak np. system Pendergasta w Kansas City — rozlatywały się jeszcze szybciej. Crump w końcowym okresie swej działalności z kretesem przegrał wojnę o zdobycie patronatu nad TVA.

Współczesny boss coraz też rzadziej reprezentuje ów lokalny despotyzm i system lokalnego łupiestwa, jakie cechowały bossa dawnego. Boss współczesny swą działalność koncentruje przede wszystkim dokoła promowania kandydatów, skupiania przy nich wyborców i organizowania dla nich kampanii. Jest w pierwszym rzędzie technikiem, organizatorem, impresariem.

Niektórzy z bossów jeszcze i dziś łączą te czynności z funkcjami oficjalnymi. Są burmistrzami miast, niekiedy Gubernatorami, Senatorami i Kongresmanami. W bardzo jednak wielu wypadkach wolą przebywać poza sceną działalności urzędowej, wywierając wpływ za pośrednictwem tych, których promowali na urzędy.

Bossowie przede wszystkim powinni doskonale orientować się w nastrojach terenu. Dobry boss „czuje” czego chce teren i zgodnie z tym dobiera osoby kandydatów, opracowuje ich programy i przeprowadza samą kampanię. Jako dobry impresario, któremu na sercu leży głównie

11. Gunther, op. cit. Str. 749-752.

12. Warren Moscow, op. cit. Str. 16.

zwycięstwo jego partyjnego przedsięwzięcia, boss dba nie tyle o poglądy kandydata, ile o to, by kandydat ten był osobą pociągającą, zdolną do zebrania wielu głosów. Bossowi potrzebny jest „łowca głosów” (*votegetter*), w stosunku do innych właściwości swego kandydata będzie krańcowym oportunistą.

Naturalnie boss musi być w stałym kontakcie z tymi grupami interesów, które są decydujące dla danego terenu. Musi te grupy pozyskać dla swego kandydata, albo też wybrać kandydata, który tym grupom najlepiej odpowie. Bossowie starają się mieć przyjaciół w lokalnych izbach handlowych (*Chambers of Commerce*), które skupiają miejscowy business, w związkach zawodowych, w lożach masonskich, wśród duchowieństwa, w lokalnych bankach, towarzystwach asekuracyjnych i kolejowych. Oczywiście przyjaźń z prasą, radiem i telewizją ma dla bossa zasadniczą wartość. Boss jest szczęśliwy wtedy, gdy w osobie swego kandydata potrafi znaleźć kompromisowe rozwiązanie dla sprzecznych sił, działających w terenie. Ideałem dla niego jest kandydat, który jest jednakowo mile widziany przez izbę handlową i przez związki zawodowe. To nam tłumaczy, dlaczego zespół ustawodawców amerykańskich przedstawia się tak szaro, dlaczego nie ma w nim nadmiaru prawdziwych indywidualności. Jeżeli w Kongresie Stanów Zjednoczonych trafiają się prawdziwe indywidualności — a rzeczywiście trafiają się one — to najczęściej sukces swój zawdzięczają walce z maszynami, najczęściej są wyrazami „rewolt” wyborczych. Są też wybitni ustawodawcy, którzy umieli zbudować własne maszyny i dzięki nim odnieść zwycięstwo nad zawodowymi bossami. Ostatnio też coraz częściej daje się zauważyć wśród kandydatów tendencja do uniezależniania się od zawodowych bossów. Niektórzy kandydaci, mając to na względzie, angażują dla kampanii przedwyborczej specjalistów niepolityków, zazwyczaj specjalistów od reklamy handlowo-stosunków lokalnych. Znamienna to właściwość amerykańskiej, angażują dla kampanii przedwyborczej specjalistów.

Boss musi też dbać i o jakiś program dla swego kandydata. To jest również jednym z ważnych zadań impresaria, który swemu protegowanemu chce zapewnić sukces. Oczywiście programu tego nie traktuje się zbyt poważnie.

„Program, jak każdy inny towar, jest fabrykowany na zamówienie, by być sprzedanym. Wytrawni mechanicy, którzy go kreślą (na użytek masowy), kierują się smakiem ogółu i mierzą jego powodzenie ilością głosów w dniu wyborów” — zauważył sporo lat temu obserwator życia politycznego Stanów Zjednoczonych<sup>13</sup>. Program musi przemówić do jak największej ilości obywateli. Musi odpowiedzieć zainteresowaniom różnych grup. Musi być przeto wszechstronny i ogólny. Oczywiście w społeczeństwie tak zróżnicowanym jak amerykańskie program taki sprowadza się do szeregu banałów i ogólników, a sztuką jest zatuszowanie sprzeczności, jakie w sposób nieunikniony muszą to istnieć. Jasną jest rzeczą, że program taki może być tylko ornamentem, z którym sami wyborcy niezbyt się liczą<sup>14</sup>.

To, co powyżej zostało powiedziane, zdaje się wyglądać na sprzeczność. Wyborcy mało liczą się z programem, ale jednocześnie musi on być tak ułożony, by przemówić do wszystkich kategorii wyborców. Sprzeczność ta zniknie, jeżeli uwzględni się, że dla wyborcy amerykańskiego osoba kandydata jest istotniejsza od programu, jaki on głosi. To, co kandydat mówi, jest tylko dodatkiem do jego osoby, jest jej uzupełnieniem, ale nie czymś występującym samodzielnie. Amerykanin w kandydacie chce widzieć człowieka, który swą dotychczasową działalnością i zalecaniami charakteru daje najwięcej gwarancji wywiązania się z zadania, jakie obywatele mają na niego nałożyć. Oczywiście od kandydata tego oczekuje się, że złoży jakieś konkretne obietnice odnośnie swej dalszej działalności. To jest właśnie program, który winien zawierać jakąś listę zobowiązań się kandydata wobec wyborców.

Przezorny kandydat nie pójdzie zbyt daleko w konkretyzowaniu swoich obietnic i swego programu. Konkretyzacja taka może go narazić na niezadowolenie pewnych grup, które stara się pozyskać. Kandydat, który równocześnie apeluje do robotników i do przemysłowców, do bankierów i do farmerów, do Południa i do Północy, musi być bardzo ostrożny w swych słowach. Kandydat nie może się

---

13. Edward M. Sait, artykuł „New Parties for Old”, w The Forum, listopad, 1931. Str. 316.

14. Cenną analizę zagadnień programowych w amerykańskiej akcji wyborczej dają: Walter Lippmann, A PREFACE TO POLITICS, New York, 1933 oraz Herring, op. cit. Rozdział 16.

jednostronnie angażować, podobnie jak nie może się angażować jednostronnie partia, która go popiera. Stąd w Stanach Zjednoczonych możliwe są fakty — niezrozumiałe dla nie-Amerykanów — celowego przemilczania przez kandydatów na Prezydentów swoich programów. Jest to tym bardziej zdumiewające, że prezydentura jest stanowiskiem *par excellence* politycznym i — zdawałoby się — wymagającym jakiegoś wyraźniejszego programu. W roku 1948 Gubernator Dewey, ówczesny kandydat Partii Republikańskiej, za najślusniejszą linię swego postępowania uznał nieskładanie oświadczeń, które mogłyby go jakoś związać. Calvin Coolidge otrzymał przydomek „Milczącego Cala”, tak bowiem unikał wszelkich oświadczeń, które by go angażowały.

Dobór odpowiednich kandydatów i opracowanie dla nich programów to pierwsze zadania maszyny partyjnej. Do następnych zadań należy zbieranie funduszków na akcję wyborczą.

Jak wiemy, przynależność do amerykańskiej partii politycznej nie nakłada na członków obowiązku płacenia składek. Innymi słowy, amerykańskie stronnictwo polityczne jest pozbawione podstawowego dla stronnictw w innych krajach źródła dochodów. Wybory są jednak rzeczą bardzo kosztowną, zwłaszcza dziś, w epoce telewizji. Jedną z najważniejszych trosk kandydatów i bossów jest zebranie odpowiednich funduszków wyborczych.

Nie mogą to być fundusze ze źródeł nieujawnionych. Ustawodawstwo amerykańskie nakłada na kandydatów obowiązek publicznego ogłaszania kosztów kampanii wyborczych. Istnieją ponadto przepisy, które wprowadzają różne ograniczenia odnośnie sposobu zbierania i wydatkowania sum na cele wyborcze. Chodzi tu o zwalczanie korupcji i o uniezależnienie kandydatów od potentatów finansowych. Chwalebne te motywy nie sprawiły jednak, aby finansowa strona amerykańskich kampanii wyborczych była wolna od brzydkich posądzeń.

„Du Pontowie i Dom Morgana zazwyczaj dają pomoc pieniężną zarówno demokratycznym jak i republikańskim kandydatom. W ten sposób nie ponoszą straty bez względu na to, który ze współzawodników zwycięża”<sup>15</sup>.

15. Seldes, op. cit. Str. 178.

— To zdanie, wypowiedziane przeszło dwadzieścia lat temu, ma wciąż swoje znaczenie. Maszyny obu partii czerpią z tych samych źródeł finansowych. Jednakże w ostatnich dziesięcioleciach daje się tu zauważyć wyraźną dysproporcja. Choć obie partie czerpią z tych samych źródeł, to jednak nie w tym samym stopniu.

Rozpoczęło się to w roku 1936. Roosevelt wykazał, że New Deal traktuje poważnie. W tym roku tylko 3.3 procent datków powyżej 1000 dolarów otrzymali Demokraci z kół bankierskich i przemysłowych, gdy wśród wpływów, jakie przypadły Republikanom, datki te stanowiły 14.7 procent. W latach poprzednich wpływy, pochodzące z tych źródeł, rozkładały się na obie partie bardziej równomiernie, choć Republikanie wykazywali tu pewną przewagę<sup>16</sup>. Od roku 1936 ta dysproporcja w datkach na partie utrzymała się nadal i raczej stawała się bardziej uderzającą. Po obu przegranych kampaniach roku 1952 i 1956 Demokraci zostali się z dużymi deficytami finansowymi, które z trudem udało się im pokryć. A w toku kampanii mieli też ciągle kłopoty pieniężne. Prawda że Partia Demokratyczna otrzymywała na cele wyborcze poważną pomoc od związków zawodowych (co nie było zupełnie legalne), ale pomoc ta nie mogła dorównać tym wpływom, jakie Partia Republikańska otrzymywała od big businessu (co też nie zawsze było zupełnie legalne).

Akt Hatch'a ograniczył do trzech milionów dolarów globalną sumę, jaką każda partia może wydać na cele wyborcze w każdym roku kalendarzowym. W poszczególnych stanach miejscowe ustawy wniosły tu dalsze ograniczenia. Ale w epoce telewizji trzy miliony dolarów na kampanię wyborczą, to zaiste nie jest suma bardzo imponująca. I dlatego to maszyny i ich bossowie muszą szukać sposobów obchodzenia tych przepisów. Przede wszystkim wśród kandydatów zdarzają się ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na finansowanie własnej kampanii wyborczej i pokryć jej koszty tak, by dało się uniknąć kontroli publicznej. Tacy kandydaci są przez maszyny mile widziani. Dalej wielu kandydatów otrzymuje dyskretną pomoc „indywidualną” od możnych „przyjaciół”, przy czym robi się to w taki sposób, że unika się obowiązku

---

16. Beardowie, AMERICA IN MIDPASSAGE. Str. 330.

ujawniania. Te rzeczy od czasu do czasu dochodzą do wiadomości ogółu, robi się dokoła nich hałas, ale nie mniej są nadal uprawiane.

Naturalnie w najtrudniejszej sytuacji są kandydaci „niezależni”, którzy bądź nie mają poparcia maszyn, choć formalnie kandydują z ramienia wielkich partii, bądź reprezentują mniejsze grupy polityczne. „Mniejsze” partie są tu w położeniu wyjątkowo ciężkim. Muszą wyłącznie liczyć na mizerne wkłady materialne swych nielicznych zwolenników. Wyjątkowo się zdarza, by znalazła się jakaś osobistość bogata, która z fantazji czy z przekonania da pieniądze grupie dysydenckiej lub jej kandydatom <sup>17</sup>.

#### 4. Propaganda przedwyborcza

Pieniądze, które zdobywają maszyny i kandydaci, są zużywane na kampanię wyborczą. W tej zaś kampanii najważniejsze miejsce zajmuje propaganda. W akcji propagandowej koncentrują się największe wysiłki maszyn i bossów. Prawie zresztą każdy kandydat na poważniejsze stanowisko publiczne ma swego osobistego agenta czy impresaria, który organizuje kampanię dla niego. Agenci tacy najczęściej są członkami maszyn, niekiedy są samymi bossami, a w każdym razie pozostają w najbliższych stosunkach z maszynami i bossami. Ostatnio wśród tych agentów czy impresariów coraz częściej się widzi specjalistów od reklamy handlowej i metody tej reklamy na coraz większą skalę są stosowane w akcji propagandowej. O wyborach roku 1956 mówiono, że cała kampania na rzecz Prezydenta Eisenhowera była prowadzona przez wytrawnych specjalistów z Madison Avenue — nowojorskiej ulicy, na której mieszczą się największe firmy, zajmujące się organizowaniem reklamy handlowej.

Pomijając pewne wyjątki, wybory w Stanach Zjednoczonych odbywają się w pierwszy wtorek listopada ro-

---

17. Wyczerpujące opracowanie finansowej strony wyborów amerykańskich dała dr. Louise Overacker w MONEY IN ELECTIONS. New York, 1937. Praca ta, choć w wielu punktach już przestarzała, ma wciąż dużą wartość. Zdaniem autorki, wpływy, jakie big business osiąga dzięki swym wkładom pieniężnym, są stosunkowo więcej warte niż rozmiary wkładów.



ku wyborczego. Faktycznie cały rok wyborczy do listopada stoi pod znakiem kampanii wyborczej. Zwłaszcza gdy chodzi o rok, w którym odbywają się wybory Prezydenta. W wypadku Kongresmanów cały okres ich kadencji stoi pod znakiem następnych wyborów. Kongresmani są wybierani na dwa lata i następnego dnia po zwycięstwie wyborczym muszą myśleć o tym, że za krótkie dwa lata czeka ich nowa rozprawa.

Jeżeli dodamy do tego, że prawie nie ma roku, aby nie odbywały się jakieś lokalne wybory, to musimy stwierdzić, że życie amerykańskie jest stale wypełnione zgiełkiem propagandy wyborczej. Nic dziwnego, że w Stanach Zjednoczonych powstała bardzo liczna kategoria ludzi, którzy z propagandy wyborczej uczynili sobie zawód.

W czasach, gdy maszyny miały absolutną kontrolę nad masami prymitywnych wyborców, propaganda była sprawą bardzo prostą. Wystarczało organizować pikniki, całować dzieci, dawać najbardziej niewiążące obietnice. Dziś sprawa ta jest bardzo poważna. Wyborcy mogą mieć swoje własne zdanie i boss, który organizuje kampanię wyborczą, musi liczyć się z oporami ze strony wyborców.

Przed wszystkim stali się oni bardziej wrażliwi na działalność swych przedstawicieli. Na ogół obywatel Stanów Zjednoczonych wyładowuje swe zainteresowania polityczne w akcie wyborczym. Po wyborach aktywną działalność polityczną przekazuje tym, których wybrał. Nie oznacza to jednak, by nie interesował się tym, co oni robią, i by nie oceniał tego, co oni robią. Prasa amerykańska poświęca stosunkowo mało miejsca na sprawozdania z obrad Kongresu, zwłaszcza — Izby Reprezentantów. Ale każdy Senator i każdy Kongresman dba o to, aby w prasie lokalnej pisano o nim i o tym, co zrobił. Poza tym bardzo często w formie listów-cyrkularzy bezpośrednio zwraca się do swych wyborców, zdając im sprawę z tego, co robi. Wyborca amerykański, który w ogóle mniej się interesuje całością życia parlamentarnego swego kraju niż działalnością swych bezpośrednich przedstawicieli, jest o tej ostatniej informowany i chce być informowanym.

O tym, że obywatel amerykański żywo reaguje na to, co robią jego przedstawiciele, świadczą listy do członków Kongresu. Każdy Senator i każdy członek Izby Reprezentantów (to samo odnosi się do Prezydenta, Gubernatorów

i członków legislatur stanowych) może być pewny, że w swej codziennej poczcie znajdzie dużo listów od swych wyborców. Nie często są to listy schlebiające. W korespondencji tej najwięcej miejsca zajmują listy, które — niekiedy w formie bardzo brutalnej — oceniają działalność adresata czy zalecają mu, jak ma w danej sprawie postąpić. Szczególnie w momentach bardzo ważnych, gdy izby stoją wobec uchwał o wielkim znaczeniu dla zainteresowanych grup obywatelskich, na ustawodawców amerykańskich spadają lawiny listów od wyborców.

Lawiny te często są organizowane. Mamy tu do czytania z formą presji zbiorowej, wywieranej na ustawodawców. Grupa, której zależy na określonym wyniku głosowania w Kongresie, organizuje takie masowe pisywanie listów. W roku 1947, gdy Kongres miał uchwalić słynną ustawę Tafta-Hartley'a, poszczególni ustawodawcy otrzymali każdy ponad 10.000 listów ze wskazówkami, jak mają głosować. Akcje takie są organizowane jawnie. Hasło „pisz do swego Senatora czy Kongresmana, powiedz mu, jakie jest twoje zdanie” powtarza się w publikacjach wszelkich grup politycznych, ideologicznych czy zawodowych. W wielu wypadkach są przygotowywane listy stereotypowe, wymagające jedynie podpisu zainteresowanego obywatela i wrzucenia do skrzynki pocztowej.

Ustawodawcy amerykańscy wiele czasu, uwagi i wysiłku poświęcają tym listom. Wielu z nich dla studiowania ich i dla odpowiadania na nie utrzymuje specjalnych sekretarzy. Albowiem ustawodawca amerykański jest w pełni świadom znaczenia tej korespondencji. Czysto techniczny, a ideologiczny charakter partii politycznych, fakt, że akcja wyborcza nie jest prowadzona na platformie skonkretyzowanych programów politycznych — wszystko to może prowadzić do oderwania przedstawicielstwa narodowego od postaw i dążeń obywateli. Niewątpliwie członkowie tego przedstawicielstwa szukają stałego kontaktu z obywatelami. Osiągają go dzięki stosunkom osobistym, tak ważnym dla plebejskiej demokracji sąsiadów. Nie wystarczy to jednak w wysoce skomplikowanych warunkach życia współczesnego. I stąd muszą powstawać jakieś nowe formy kontaktów osobistych. Jedną taką formą są owe listy, o których mówiliśmy powyżej.

Listy te dają technikom z maszyn partyjnych i samym politykom jakąś podstawę do orientowania się w nastrojach ogółu. Podstawa taka umożliwiła przeprowadzenie akcji propagandowej. Technik od propagandy wie, że w Ameryce trudno jest prowadzić kampanię *wbrew* nastrojom i przekonaniom mas ludzkich. Głos ostateczny zawsze należy do tych mas, które nie raz już wykazywały, że mają własne zdanie.

To nam tłumaczy fakt rozpowszechnienia się w Stanach Zjednoczonych jeszcze innej formy orientowania się w nastrojach ogółu, formy, która też może być uważana za namiastkę kontaktów osobistych. Formą taką są systematyczne badania opinii publicznej. Są one prowadzone bądź przez specjalne instytuty (Gallup, Roper itp.), bądź przez same organizacje partyjne. Na podstawie w ten sposób otrzymanych wyników opracowywane są wytyczne kampanii wyborczych. Badania są stale powtarzane, co z kolei umożliwia wprowadzanie wszelkich modyfikacji do akcji propagandowej.

Przeszło dwadzieścia lat temu „New York Times” ogłosił wyczerpujący artykuł o tym, jak w roku 1936 pracował James Farley, ówczesny szef kampanii z ramienia Demokratów. „Prawie codziennie otrzymywał on raport od każdego przewodniczącego komitetu stanowego. Ten zaś nie zgadywał — codziennie miał podobne raporty od wszystkich przewodniczących komitetów powiatowych. Przewodniczący komitetu powiatowego opierał swe dane na sprawozdaniach „kapitanów” okręgowych i dzielnicowych — tak że ostateczną jednostką była najmniejsza jednostka podziału politycznego. W tych ostatecznych jednostkach zadaniem odpowiedzialnych działaczy było poznawać — ale nie zgadywać — co myślą ich sąsiedzi”<sup>18</sup>. Od tego czasu system ten jeszcze bardziej się rozwinął i udoskonalił.

Niejaki Emil Hurja był tym, który w roku 1932 po raz pierwszy wprowadził naukowe metody systematycznego analizowania opinii do praktyki wyborczej Partii Demokratycznej. Metody te niezwłocznie zostały przejęte i przez Partię Republikańską.

---

18. „Democratic Strategy Is Told by Michelson”, w New York Times, 15 listopada, 1936.

Hurja rozpoczął swą karierę jako analityk i badacz koniunktur gospodarczych w jednym z biur na Wall Street. Doszedł on do przekonania, że metody badania koniunktur mogą być zastosowane i w polityce i że za podstawę należy tu przyjąć próbne głosowania ograniczonych ilości wyborców. Głosowania takie, organizowane w sposób „prywatny”, jeżeli będą uznane za wystarczające reprezentacyjne, mogą być użyte dla wyciągnięcia dalszych wniosków.

Pierwsze wyniki były bardzo zachęcające. We wrześniu roku 1932 prasa Hearsta przeprowadziła badania opinii w stanie Nebraska i doszła do przekonania, że 64,4 procent obywateli Nebraski będzie głosować na Roosevelta. Na tej podstawie pisma Hearsta przewidziały tu większość 132.000 głosów dla Roosevelta. Hurja, znając te liczby, postanowił sprawdzić je przy pomocy własnej metody. Przeprowadzając próbne głosowania, ustalił, że z wyborców Nebraski, którzy w roku 1928 głosowali za Hooverem, teraz 46 procent chce oddać swe głosy na Roosevelta. Z drugiej strony tylko 4,5 procent obywateli, którzy w roku 1928 byli za demokratycznym kandydatem A. Smithem, teraz chce przenieść się do obozu republikańskiego. Zestawiawszy te dane z liczbami, odnoszącymi się do zmian ludnościowych w Nebrasce, Hurja ustalił, że Roosevelt otrzyma w tym stanie większość od 150.000 do 200.000 głosów. Rzeczywista większość, jaka w Nebrasce w roku 1932 przypadła Rooseveltowi, wyniosła 158.000 głosów. W odniesieniu do innych stanów wyniki Hurji były jeszcze lepsze. Na przykład różnica między jego obliczeniami a rzeczywistymi wynikami była dla Oregonu tylko 522 głosy<sup>19</sup>.

W latach następnych badacze opinii pomylili się zasadniczo tylko w przewidywaniu wyników wyborów roku 1948. Wbrew ich obliczeniom wygrał Truman. Jednakże w roku 1952 i 1956 wyniki były na ogół zgodne z przewidywaniami.

Tablice statystyczne, wykresy, diagramy stanowią niezmiernie ważną część ekwipunku sztabów, kierujących kampaniami wyborczymi amerykańskich partii politycznych. Do pracy są tu zaprzęgnięci wybitni specjaliści, którzy swą wiedzę zdobyli na uniwersytetach, a doświadcze-

---

19. Herring, op. cit. Str. 265.

nie w wielkich firmach reklamy handlowej. Madison Avenue odgrywa coraz większą rolę w amerykańskich kampaniach wyborczych. A Madison Avenue w całej pełni opie-  
ra swe kampanie handlowo-reklamowe na podstawach naukowych.

Główna kwatery republikańska w Waszyngtonie ma szczegółowe dane, odnoszące się do każdego z 48 stanów Unii i wykazujące najmniejsze szczegóły życia jego obywateli. Wyniki głosowań za lata ubiegłe, wyniki według wieku, zawodu, zamożności, rasy, płci, rozmieszczenia itd. umożliwiają kierownictwu szybkie orientowanie się w perspektywach każdego okręgu. Na ich podstawie określane są szanse, jakie kandydaci republikańscy mogą mieć w danym okręgu. Według tych danych i tych szans przygotowywane są wytyczne dla akcji wyborczej. Nie inaczej zresztą wygląda ekwipunek kwatery demokratycznej.

Operując takimi danymi, partia przystępuje do akcji propagandowej. Dwa momenty wyznaczają strategię tej akcji: po pierwsze — przekonanie wyborców o konieczności głosowania, po drugie — przekonanie ich o konieczności głosowania za danym kandydatem.

Absencja wyborcza jest zasadniczą cechą wszelkich wyborów w Stanach Zjednoczonych. Jest ona szczególnie wielka, gdy stawką są rzeczy, słabiej ekscytujące obywateli. „Rzadkie to są w Stanach Zjednoczonych wybory, w których liczba możliwych wyborców, to jest takich, którzy nie wykorzystali swego prawa złożenia głosu, nie jest większa od tej większości, która zadecydowała o zwycięstwie”<sup>20</sup>. W roku 1940 z ogólnej liczby 80,000,000 osób uprawnionych do głosowania tylko 49,800,000 skorzystało z tego prawa, reszta — została się w domu. W roku 1944 liczba osób uprawnionych do głosowania wynosiła 88,000,000. Z liczby tej blisko 40,000,000 nie stawiało się do biur wyborczych. Natomiast większość, jaką w tym roku odniósł zwycięstwo Roosevelt, wynosiła tylko 3,500,000 głosów. Słowem — udział w wyborach nieobecnych wyborców mógłby był całkowicie zmienić wynik głosowania. W roku 1956 przy wyjątkowo dużej frekwencji wyborczej 40 procent uprawnionych wyborców nie wzięło udziału w głosowaniu. I tu zmniejszona absencja

20. Oren Root w New York Herald Tribune, 6 września, 1946.

mogłaby mieć duży wpływ jeżeli nie na wynik wyborów prezydenckich, to na wyniki innych wyborów.

Absencja wyborcza jest największa na Południu. W roku 1944 w stanie Południowa Karolina z liczby miliona uprawnionych wyborców tylko 95,148 złożyło swe głosy. Jeden z najbardziej wpływowych Kongresmanów w Georgii otrzymał w roku 1944 około 21,000 głosów w okręgu, mającym 160,000 uprawnionych do głosowania obywateli.

Ten stan rzeczy w Stanach Zjednoczonych uderza tym bardziej, jeżeli się go porówna z sytuacjami w innych demokracjach świata. Tak np. we Francji 80 procent uprawnionych obywateli przeciętnie bierze udział w głosowaniu, w Wielkiej Brytanii — 76 procent, w Kanadzie — 70 procent. W Stanach Zjednoczonych w ostatnich dziesięcioleciach bywały wypadki, gdy odsetek głosujących był tylko 33.

Strategia i taktyka każdej partii muszą brać pod uwagę ten nieobliczalny czynnik, jakim jest odsuwanie się obywateli od urny. Przy układaniu planu kampanii wyborczej partyjne sztaby generalne muszą dokładnie wykalkulować, jakie możliwości stwarza niska a jakie wysoka frekwencja wyborców. Muszą przeanalizować te przypuszczalne motywy, jakimi kierują się obywatele, którzy decydują się na niepójście do biur wyborczych.

Najogólniej rzecz biorąc, absencja wyborcza jest wypadkową dwóch różnych i sprzecznych czynników: niskiego uświadomienia obywatelskiego i wysokiego stopnia zainteresowania sprawami publicznymi. Brzmi to bardzo paradoksalnie, ale jest znacznie mniej paradoksalne, gdy się uwzględni specyficzne warunki życia amerykańskiego.

Duża ilość obywateli nie idzie do urn wyborczych po prostu dlatego, że się nie interesuje sprawami publicznymi, albo że nie zdaje sobie sprawy z wagi aktu głosowania. Pomijamy tu oczywiście wypadki, gdy — jak to ma miejsce na Południu — od udziału w wyborach odsuwane są całe masy obywateli Stanów Zjednoczonych. Ale i tam, gdzie warunki są inne, znajdują się ogromne ilości obywateli, dla których cała procedura głosowania jest czymś niezrozumiałym i mało interesującym. W dzielnicach narodowościowych wielkich miast są wciąż ludzie onieśmieleni, ludzie, którym rozwinięte w nich kompleksy

niższości nie pozwalają na pełne wykorzystanie posiadanych praw obywatelskich. Portorykańczyk w New Yorku, Meksykanin w Kalifornii — zwłaszcza jeżeli w starszym wieku — wciąż jeszcze nie wytworzył w sobie mocnego przekonania, że i on może wziąć udział w tym uroczystym akcie głosowania. Słowem — niski poziom uświadczenia obywatelskiego jest ważnym źródłem absencji wyborczej w Stanach Zjednoczonych.

Istnieje jednak i drugie źródło. Jest nim przekonanie, że udział w wyborach nie będzie miał istotnego wpływu na rozwój wypadków na scenie amerykańskiego życia politycznego. Przekonanie to może występować wśród najbardziej politycznie wyrobionych obywateli. Taki obywatel na Południu, wiedząc, że kandydat miejscowej maszyny demokratycznej w każdym razie będzie wybrany, uważa za rzecz zbędną fatygowanie się do biura wyborczego. Ale i w innych stanach niezależny wyborca może stanąć wobec beznadziejnej sytuacji. Co ma zrobić, jeżeli, będąc np. zdecydowanym liberałem, ma dokonać wyboru między reakcyjnym Demokratą a niemniej reakcyjnym Republikaninem? Często woli zostać się w domu!

System dwupartyjny, przeniesienie całej walki ideologicznej do prawyborów, ideowo bezbarwny charakter samych wyborów — wszystko to daje mało pola dla decyzji, odpowiadających ideowym przekonaniom obywatela. Ograniczony w możliwościach wydania takiej decyzji, sceptycznie odnoszący się do szczerości ubiegających się kandydatów, najbardziej ideowy, najżywiej zainteresowany w sprawach publicznych obywatel często woli nie brać udziału w głosowaniu, niż głosem swym przyczynić się do zwycięstwa sprawy, w którą nie wierzy. Gdy jednak stawka są sprawy naprawdę bardzo istotne, obywatel taki rzadko wstrzymuje się od głosu.

Oczywiście dochodzą też i czysto techniczne przeszkody, odgrywające jakąś rolę w każdym kraju. Kapryśny klimat i rozmiary Stanów Zjednoczonych są w okręgach rolniczych ważnym czynnikiem częstego zmniejszania się frekwencji wyborców.

Doświadczenia wielu lat wykazały, że niska frekwencja bardziej szkodzi Demokratom niż Republikanom. Ilekroć zachodziły wypadki dużej absencji wyborczej, tylekroć wyniki wyborów wypadały pomyślnie dla Partii Re-

publikańskiej. Sytuacja w roku 1952 i szczególnie w roku 1956 była pod tym względem zupełnie wyjątkowa. To, że niska frekwencja szkodzi Demokratom, nie jest czymś przypadkowym. Poza Południem podstawą siły Demokratów są wielkie ośrodki przemysłowe. Tu zaś jest najwięcej zarówno słabo jak i silnie politycznie zainteresowanych obywateli. Ci abstynenci wyborczy, gdyby udali się do miejsc głosowania, najprawdopodobniej oddaliby swe głosy na Demokratów. Natomiast Partia Republikańska, której bazą są zamożniejsze okręgi miejskie i rolnicze, prędzej może liczyć na stałych wyborców, którzy w każdym wypadku pójdą do lokalów wyborczych.

Stąd podstawowym momentem w przedwyborczej propagandzie Demokratów jest przekonywanie obywateli o konieczności wzięcia udziału w akcji głosowania. Akcja ta jest przede wszystkim skierowana do tych grup ludności, które wykazują najniższą frekwencję wyborczą. Kobiety, emigranci, Murzyni (z wyjątkiem oczywiście Południa), ubodzy farmerzy, niezorganizowani robotnicy itd. — oto tereny specjalnie intensywnej akcji.

Równocześnie prowadzona jest akcja propagandystyczna na rzecz samych kandydatów. Każda partia ma tu dokładnie wypracowane metody działania. Istnieją też szczegółowe instrukcje, podręczniki, działają liczni fachowcy od propagandy. Telewizja, radio, gazety, zgromadzenia, odezwy, ulotki, filmy — wszystko to, obok staromodnych pikników, stanowi rozległą gamę środków i metod oddziaływania. Oczywiście mowy i wystąpienia samych kandydatów mają tu kolosalne znaczenie. Każdy kandydat na Prezydenta czy nawet aspirant do tej kandydatury obowiązkowo odbywa podróż przedwyborczą po wszystkich stanach Unii. Jak już była o tym mowa, amerykańska polityka roku wyborczego stoi pod znakiem kampanii i w roku takim kampania jest kluczem do zrozumienia waszyngtońskiej sceny politycznej.

Ta kampania propagandowa jest czymś prawdziwie fascynującym. Stosowane są tu metody i środki, które dają doskonałe świadectwo poziomowi amerykańskiej techniki politycznej. Kolosalne rozpowszechnienie się w Stanach Zjednoczonych telewizji stworzyło tu zupełnie nowe możliwości. Kandydat został wprowadzony do domu każdego obywatela, został mu pokazany cielesnie, przestał być tyl-



ko „głosem”, stał się widzialną osobą. Ale właśnie to, że kandydat przestał być tylko „głosem”, postawiło kierowników akcji propagandowej przed nowymi zagadnieniami. Telewizja ma swoje wymagania. Nie każdy dobrze wychodzi na ekranie. Stąd fotogeniczność kandydata stała się jednym z warunków jego powodzenia! Warunek, któremu nie każdy kandydat może uczynić zadość. A w każdym razie warunek nie koniecznie mający dużo wspólnego z kwalifikacjami politycznymi. Ale nawet fotogeniczny kandydat musi być odpowiednio „spreparowany” do wystąpienia przed kamerą telewizyjną. Musi do jej wymagań przystosować swą gestykulację, całe swe zachowanie się. To znów wymaga pomocy ze strony fachowego reżysera. Nie każdy też kandydat dobrze się czuje w takiej sytuacji i to z kolei może mieć wpływ na skuteczność jego wystąpienia. Poza tym telewizja jest czymś bardzo kosztownym. Tu za każdą minutę trzeba płacić setki czy tysiące dolarów. Tekst przemówienia musi więc być tak zrobiony, by w ciągu możliwie krótkiego czasu dał jak najwięcej, nie nużąc jednocześnie słuchacza-widza. W akcji roku 1956, gdy telewizję zaczęto stosować na ogromną skalę, okazało się wyraźnie, że nowa ta metoda oddziaływania jest wyjątkowo trudna i przez to niezawsze skuteczna.

Operując takimi środkami technicznymi, amerykańska akcja przedwyborcza jest bardzo żywa, intensywna i kolorowa. Powstaje jednak pytanie, w jakim stopniu jest ona skuteczna. Czy rzeczywiście osiągnęte rezultaty odpowiadają poczynionym wkładom?

Byłoby rzeczą śmieszną lekceważyć znaczenie tych metod propagandystycznych, jakie są powszechnie stosowane w amerykańskich kampaniach wyborczych. Już sam fakt, że są stosowane, że są stale udoskonalane, najlepiej świadczy o ich skuteczności. Amerykańscy specjaliści od propagandy są zbyt przezorni i zbyt zaprawieni w swym zawodzie, by mieli pieniądze wyrzucać na darmo. Badają oni skuteczność swych metod, stale je sprawdzają i — niewątpliwie osiągają wyniki.

Alte w ostatecznej instancji decydują postawy samych obywateli. A ci nieraz kierują się własnymi racjami i wykazują odporność wobec propagandy. Ileż to w Stanach Zjednoczonych było niespodzianek wyborczych, gdy

obywatele szli za własnym zdaniem, wytrzymując huraganowy ogień potężnej propagandy! Prawie 90 procent amerykańskich pism codziennych stale, w każdym wyborach ostatnich dwóch dziesięcioleci popiera kandydatów republikańskich. W tym okresie cztery razy zwyciężył Roosevelt i raz Truman. W roku 1956 propaganda republikańska pod względem środków materialnych i technicznych na całej linii była propagandę demokratyczną. A jednak Demokraci — poza Prezydenturą — mieli wielkie sukcesy. I jest wysoce prawdopodobne, że Eisenhower wygrałby w każdym razie, nawet przy mniejszym nakładzie wysiłku propagandowego ze strony Republikanów. I piszący te słowa gotów jest zgodzić się ze zdaniem Gallupa, że Amerykanin najchętniej kieruje się zdrowym rozsądkiem i że wtedy obiera własną drogę, nie koniecznie zgodną z zaleceniami wielkich ośrodków oddziaływania na opinię <sup>21</sup>.

Ale prawdziwym egzaminem, składanym przez partie, maszyny, bossów i kandydatów, są dopiero wybory. To jest punkt szczytowy działalności stronnictw politycznych w Stanach Zjednoczonych, to jest historyczna racja ich istnienia. Wyborom amerykańskim poświęcimy nasze dalsze rozważania.

---

21. George Gallup, PUBLIC OPINION IN A DEMOCRACY. Princeton University, 1939. Str. 14.

## Rozdział VIII

### WIELKA ROZGRYWKA

#### 1. Dwa akty

To jedyne w swoim rodzaju widowisko, jakim są wybory w Stanach Zjednoczonych, składa się z dwóch aktów. Pierwszy z nich to szereg akcji, związanych z ustalaniem kandydatów na stanowiska publiczne; drugi — to same wybory. Z dwóch tych aktów pierwszy jest bodaj donioślejszy od drugiego. Ten ostatni jest tylko finałem, ukoronowaniem dramatycznej rozgrywki, toczącej się w czasie aktu pierwszego. W stanach południowych, gdzie dopiero teraz zaczynają się rysować perspektywy powstania systemu dwupartyjnego, właściwe wybory są tylko formalnym potwierdzeniem tego, co zostało zadecydowane w akcie pierwszym.

Nie-Amerykanin, który chce zrozumieć sens wyborów w Stanach Zjednoczonych, musi mieć pełną świadomość ich dwustopniowości. Musi też dobrze uświadomić sobie, że każdy z tych stopni ma coś innego na celu, że w każdym z nich dochodzą do głosu odmienne funkcje aparatu, regulującego życie polityczne narodu amerykańskiego. Nie-Amerykanin, a zwłaszcza Europejczyk, który w życiu tym szuka elementów bliskich stosunkom Starego Świata, niewiele ich znajdzie w akcie drugim. Nie mało ich natomiast znajdzie w tym wielkim preludium do wyborów właściwych, jakie stanowi treść aktu pierwszego. Tu lepiej niż gdziekolwiek indziej wypowiada się różni-

cowanie ideologiczne Ameryki. Walka między liberalizmem a konserwatyzmem, izolacjonizmem i jego wrogami, znajduje dla siebie najpełniejszy wyraz przy ustalaniu kandydatów partyjnych. W walce tej równocześnie najdoskonalej wypowiada się koalicyjno-techniczny charakter amerykańskich stronnictw politycznych.

To, że amerykańskie stronnictwo polityczne jest koalicją różnych grup interesów, reprezentujących różne ideologie, tendencje, nastawienia, dążenia, musiało z walk wewnętrzno-partyjnych uczynić coś szczególnie dynamicznego i dramatycznego. Wysiłki bossów i maszyn w kierunku tuszowania różnic i znajdowania kandydatów kompromisowych, kandydatów jadalnych dla wszystkich, nieraz bywają bezsilne wobec mocy tych rozbieżności i napięcia walk wewnętrznych. Walka o to, kto ma być kandydatem, staje się tu wyrazem głębokich konfliktów, jakie nieuchronnie wyrastają na tle zróżnicowań wewnętrznych w obrębie wielkiej koalicji. *Od wyników tej walki, a nie od wyników wyborów właściwych, zależy w Stanach Zjednoczonych oblicze ciał rządzących i kierunek polityki narodowej.* Od zwycięstwa Republikanów czy Demokratów stokroć tu ważniejsze jest to, *jakie siły zwyciężą w obrębie każdej z tych partii.* Od walk międzypartyjnych ważniejsze są walki wewnętrzno-partyjne. Nie stosunek liczebny Republikanów i Demokratów, ale stosunek liczebny liberałów i konserwatystów w obrębie każdej z dwóch partii jest istotny dla oblicza Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Już Bryce zauważył, że w amerykańskim systemie politycznym najostrejsze konflikty powstają nie na tle stosunków między rywalizującymi partiami, ale w wyniku rywalizacji wewnętrzno-partyjnych<sup>1</sup>. Bryce spostrzeżenie swoje odniósł do sytuacji, gdy w obrębie tej samej organizacji lokalnej działa kilku bossów czy kilka maszyn. Ale obserwację tę można rozszerzyć znacznie bardziej. Albowiem od czasów Bryce'a amerykańskie koalicje partyjne stały się zespołami jeszcze bardziej ideologicznie zróżnicowanymi, obejmującymi społecznie i politycznie jeszcze bardziej różnorodne elementy.

Było to następstwem tych przemian, przez które na przełomie obu stuleci przeszedł naród amerykański i które

1. Bryce, op. cit. T. II, str. 110-111.

swój punkt szczytowy osiągnęły w epoce Franklina Roosevelta. W wyniku tych przemian stronnictwa polityczne w stopniu znacznie jeszcze większym niż dotąd stały się ogólnymi, technicznymi ramami dla walk i konfliktów, toczących się w życiu narodu Stanów Zjednoczonych. W pewnych momentach konflikty te były tak silne, że zaczynały rozsadzać te ramy, jakie tradycja wyznaczyła im w postaci wielkich partii politycznych. Dochodziło wtedy do ostrych kryzysów. W rezultacie jednak ramy okazywały się bardzo mocne, czy bardzo elastyczne, tak że potrafiły utrzymać wielkie koalicje.

Stąd akt pierwszy wielkiej rozgrywki wyborczej ma tak olbrzymie znaczenie dla Stanów Zjednoczonych. Nie znaczy to, by akt drugi — same wybory — był bez znaczenia. Ale decyzje, które w nim zapadają, są coraz częściej tylko pochodnymi tych zasadniczych decyzji, jakie podejmują wyborcy, desygnując kandydatów. Ten coraz większy wzrost znaczenia aktu pierwszego na niekorzyść drugiego najwięcej mówi o przesuwaniu się wielkich konfliktów narodowych z płaszczyzny międzypartyjnej na płaszczyznę wewnątrzpartyjną, z płaszczyzny walki między Demokratami a Republikanami na płaszczyznę walki między ugrupowaniami ideologicznymi, które z konieczności posługują się dawnymi formami partyjnymi.

Przejdźmy teraz do bardziej dokładnego rozpatrzenia każdego z dwóch zasadniczych aktów, które składają się na całość amerykańskiej rozgrywki wyborczej. Da nam to sposobność do wyjaśnienia sobie nowych stron działania demokracji amerykańskiej.

## 2. *Demokratyczne przesłanki*

Desygnowanie osób, które jako kandydaci mają brać udział w zawodach wyborczych, jest sprawą bardzo poważną dla każdej demokracji przedstawicielskiej. Istnieje tu bowiem niebezpieczeństwo, że osoby desygnowane będą kandydatami tylko grup kierowniczych danej partii, że nie będą odpowiadać życzeniom szerokich mas członków partii czy mas wyborców. Zarzut, że kliki kierownicze wysuwają „swoich” ludzi, był nieraz stawiany pod adresem

wielu stronnictw politycznych i to w systemach niewątpliwie demokratycznych.

Jednakże w demokracjach europejskich zarzut ten coraz rzadziej jest podnoszony. Tu bowiem kandydatami są najczęściej przywódcy — ogólnonarodowi lub lokalni, ludzie, którzy stanowiska kierownicze zawdzięczają wyborowi członków swych partii. Kandydatem na posła do parlamentu angielskiego jest prawie z reguły człowiek, który stanowisko kierownicze w swym okręgu zawdzięcza zaufaniu swej organizacji partyjnej, zaufaniu, mającemu formalny wyraz w uchwałach członków lub ich wybranych przedstawicieli. Zwartość organizacji partyjnych, zdyscyplinowanie ich członków, solidarność tych ostatnich z grupą i jej kierownictwem — wszystko to stwarza silną więź między partią a jej oficjalnymi kandydatami. Zebrania członków, zjazdy partyjne, wybory do ciał kierowniczych dają duży stopień prawdopodobieństwa, że dobieranie kandydatów odbywa się w warunkach demokratycznej kontroli.

W parze z tym idzie ściśle związanie klubów parlamentarnych z partiami i ich ciałami kierowniczymi. Kluby parlamentarne są ekspozyturami samych partii: parlamentarzyści są podporządkowani władzom partyjnym, podlegają ich dyrektywom, są wykonawcami uchwał, które zostały powzięte przez zjazdy partyjne lub przez organy kierownicze, przez te zjazdy wybrane i w ich imieniu działające. Parlamentarzysta czy kandydat na parlamentarzystę, skoro występuje z ramienia jakiejś partii, jest osobą, która reprezentuje jakieś zwarcie zorganizowane masy ludzkie, ma ich zaufanie i przed nimi odpowiada. Selekcja osób, które mają się ubiegać o godności publiczne, jest więc następstwem tych demokratycznych selekcji, jakie normalnie odbywają się wewnątrz każdej partii.

Oczywiście w praktyce od tej reguły mogą zachodzić liczne odstępstwa. Historia parlamentaryzmu europejskiego zna liczne przykłady wyłamywania się poszczególnych parlamentarzystów i całych klubów spod kontroli partyjnej. Niemniej jednak są to tylko odstępstwa od reguły, powszechnie przyjętej w życiu europejskich demokracji przedstawicielskich.

W Stanach Zjednoczonych sytuacja jest odmienna. Partia jest tu grupą luźną, która w swej strukturze orga-

nizacyjnej nie przypomina masowych europejskich stronnictw politycznych. Członkostwo jest czymś raczej przypadkowym, nie wyrażającym się w istnieniu jakiejś silnej więzi organizacyjnej czy ideowej. Zainteresowanie członków dla spraw wewnętrzno-organizacyjnych jest słabe i powierzchowne. Olbrzymia większość osób, które zarejestrowały się na listach partyjnych, nie bierze najmniejszego udziału w tych funkcjach demokratycznej kontroli wewnętrznej, jakie stanowią podstawową część życia demokratycznych partii Starego Świata. Zresztą w Stanach Zjednoczonych funkcje te słabo zaznaczają swe istnienie.

Do tego dołącza się tak doniosły w partyjnych stosunkach amerykańskich fakt rządów maszyn i bossów. Rządy te wyobcowwały z udziału w sprawach organizacyjnych najszerze masy obywateli. Maszyna jest jedynym stałym i stale funkcjonującym składnikiem aparatu partyjnego. Ale jest to składnik, który z natury rzeczy nie poddaje się regułom demokratycznej kontroli. Maszyna jest narzędziem politycznego patronatu, wykonywanego przez zorganizowaną klikę nad niezorganizowanymi obywatelami. Niewątpliwie maszyna jest zależna od obywateli, ale nie jest przez nich kontrolowana. Ci ostatni mogą się jedynie przeciw niej buntować.

Jest rzeczą znamioną, że w Stanach Zjednoczonych w miarę politycznego dojrzewania mas obywateli funkcje nominowania kandydatów przechodziły od tak zwanych konwencji do prawyborów. Konwencje były całkowicie zorganizowane i opanowywane przez maszyny. W rzeczywistości były one niczym innym jak zjazdami bossów i ich pomocników. Kandydaci, promowani na konwencjach, byli niczym innym jak kandydatami klik zawodowych polityków. Bunt wyborców przeciw takiemu systemowi doprowadziły do rozpowszechnienia się prawyborów, gdzie funkcje nominowania kandydatów zostały oddane samym obywatelom. Nie oznacza to bynajmniej, że prawyборы są wolne od ingerencji i wpływu maszyn. Przeciwnie — każde prawyborowe są sceną zaciętej walki maszyn o utrzymanie kontroli nad wyborcami, o narzucenie obywatelom kandydatur, popieranых przez kliki. Że jednak dochodzi do takich walk, że nieraz kończą się one porażkami „regularnych” kandydatur, to najlepiej świadczy o znaczeniu prawyborów jako formy demokratycznej kontroli. A to, że

prawybory w pewnych stanach są dostępne dla wszystkich obywateli bez względu na ich formalną przynależność partyjną, że wszędzie są regulowane przez ustawy, nabierając tym samym znaczenia oficjalnego i państwowego, mówi o zrodzeniu się tu instytucji państwowych znacznie szerszych niż organizacje partyjne.

### 3. *Konwencje partyjne*

Konwencjami partyjnymi nazywają się w Stanach Zjednoczonych zgromadzenia (zjazdy) działaczy partyjnych, poświęcone ustalaniu kandydatów na obieralne stanowiska publiczne oraz opracowywaniu programów (platform), w imię których kandydaci wystąpią do zawodów wyborczych. Z konwencji najdonioślejsze są konwencje ogólnonarodowe, których zadaniem jest dokonanie wyboru kandydata na godność Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Każda partia odbywa swoje konwencje — lokalne i ogólnonarodowe.

Dziś zresztą coraz rzadziej spotykamy się w Stanach Zjednoczonych z konwencjami lokalnymi — stanowymi, powiatowymi czy okręgowymi. Ich funkcje coraz powszechniej przechodzą na prawybory. Utrzymały się jednak i nadal mają ogromne znaczenie partyjne konwencje ogólnonarodowe. Ale w wielu stanach delegaci na te konwencje wychodzą z prawyborów, przy czym walka wyborcza prowadzona jest pod znakiem popierania przez delegatów tych czy innych aspirantów do kandydatury.

Dopiero od roku 1840 delegaci stanowych organizacji obu partii zaczęli regularnie zbierać się co cztery lata w celu powołania tych, którzy w nadchodzących wyborach mieli się ubiegać o godności Prezydenta i Wice-Prezydenta Unii. Przy dwóch pierwszych wyborach — w latach 1789 i 1792 — nie zachodziła potrzeba debatowania nad osobami kandydatów, albowiem nikt nie miał wątpliwości, że tylko Jerzy Washington może być Prezydentem młodej republiki. Nie spotkał się on też z kontrkandydatem. To samo powtórzyło się w roku 1796, gdy John Adams nie miał rywala do wysokiej godności. Ale w roku 1800 taka jednomyślność już nie istniała. Kandydatem Federalistów był Adams, Demokratyczni Republikanie wy-



sunęli kontrkandydaturę Jeffersona. Obie te kandydatury zostały ustalone na zebraniach (*caucus*) małych grup członków Kongresu z każdej partii.

Ten system wyznaczania osób kandydatów przez zebrania partyjnych grup parlamentarnych utrzymał się i w późniejszych wyborach. Jednakże w roku 1828 legislatura stanu Tennessee zaleciła Andrew Jacksona jako kandydata na Prezydenta i Jackson znalazł dla siebie poparcie w szeregu zgromadzeń publicznych, które odbyły się w różnych stanach. Zwyczaj ten zaczął się przyjmować i w latach 1832 i 1836 delegaci ówczesnych partii, reprezentujący poszczególne stany, zaczęli odbywać wspólne zebrania, poświęcone omawianiu kandydatur i opracowywaniu platform wyborczych. W roku 1840 zarówno Demokraci jak i Whigowie (oraz niezależnie od obu tych partii Abolicjoniści) odbyli takie konwencje, w których uczestniczyli przedstawiciele grup partyjnych ze wszystkich prawie stanów Unii. Od tego czasu instytucja konwencji ogólnonarodowych przyjęła się na dobre i stopniowo wypracowany został ich porządek i sposób głosowania <sup>2</sup>.

Organizacja konwencji ogólnonarodowych jest uzgodniona z systemem przeprowadzania wyborów na Prezydenta. System ten — szczegółowiej będzie o tym mowa później — jest w zasadzie dwustopniowy: obywatele każdego stanu głosują na tzw. elektorów (każdy stan ma ich ustaloną ilość) i dopiero na podstawie rozłożenia się głosów w tzw. kolegium elektorskim ustalany jest ostateczny wynik wyborów. Zwyczaj nakazuje, aby każdy stan był reprezentowany na konwencji przez dwa razy tylu delegatów, ile ma głosów elektorskich, do czego jednak zazwyczaj dochodzi kilku extra delegatów, reprezentujących stan jako całość. Tak np. stan New York jest w kolegium elektorskim reprezentowany przez 47 głosów <sup>3</sup>, co znaczy, że organizacje obu partii stanu New York wysyłają na swe konwencje ogólnonarodowe co najmniej po 94 delegatów. W rzeczywistości stan New York jest na konwencji demokratycznej reprezentowany przez 97 delegatów, na republikańskiej — przez 98. Łączna liczba delegatów na

---

2. Bryce, op. cit. T. II, str. 170-173.

3. Ilość głosów elektorskich każdego stanu równa się sumie posiadanych przezeń Senatorów i Kongresmanów.

każdej konwencji wynosi przeszło 1000 osób, do czego dochodzi co najmniej drugie tyle zastępców. Są to więc ogromne zgromadzenia.

Dawniej delegaci byli wybierani wyłącznie na konwencjach stanowych. Dziś jednak coraz bardziej rozpowszechnia się zwyczaj wybierania ich w prawyborach „prezydencjalnych” (*presidential primary*), w których uczestniczą obywatele, zarejestrowani w danej partii. Bardzo często wyborcy mają prawo zaznaczania swych życzeń odnośnie tego, na jakich aspirantów do kandydatury wybierani przez nich delegaci mają głosować na konwencji (*presidential preference primary*). W praktyce zresztą walka w takich prawyborach odbywa się pod znakiem rywalizacji aspirantów do kandydatury. Trzeba jednak dodać, że zobowiązania, jakie w tej materii wzięli na siebie delegaci, nie są dla nich absolutnie wiążące i że delegaci w czasie samej konwencji mogą według swego uznania przetrząść się od jednego aspiranta do drugiego. Niemniej życzenia wyborców, wyrażone w prawyborach, choć nie konieczne muszą decydować o wynikach konwencji, są w każdym razie poważnie przez nią traktowane. Są one bowiem ważnym miernikiem popularności określonych aspirantów. A to z kolei jest ważną wskazówką dla samej konwencji. Każdy też aspirant stara się o zwycięstwo „swoich” delegatów w prawyborach. W roku 1944 klęska Willkiego w prawyborach stanu Wisconsin zadecydowała o zupełnym upadku jego kandydatury na konwencji republikańskiej. Prawyborom prezydencjalnym zazwyczaj towarzyszy ostra kampania propagandowa, dochodząca do najwyższego napięcia w tych stanach, które ze względu na dużą liczebność swych delegacji są uważane za szczególnie ważne <sup>4</sup>.

Konwencje odbywają się latem, na kilka miesięcy przed wyborami w każdym roku wyborów prezydencjalnych, to jest co cztery lata. Na miejsce obrad z reguły wy-

---

4. Mark Sullivan twierdzi, że istotną stawką w prawyborach prezydencjalnych są względy natury prestiżowo-propagandowej. Występujący tu aspiranci wiedzą dobrze, że wynik głosowania nie będzie miał większego wpływu na konwencję. Ale zwycięstwo w prawyborach prezydencjalnych zwłaszcza w stanach „kluczowych”, podnosi powagę aspiranta i może być wyzyskane jako dowód jego popularności. *New York Herald Tribune*, 12 kwietnia, 1948.

bierane są wielkie miasta (np. Chicago, Filadelfia), jako zapewniające najlepsze warunki na pomieszczenie takiej gromady uczestników. Zresztą na czas konwencji zjeżdżają się tu tysiące widzów z całych Stanów Zjednoczonych. Obecna jest również prasa, radio i telewizja, obecni są przedstawiciele *lobbies*, obecni są wszyscy ci, którzy w jakimś stopniu uczestniczą w polityce amerykańskiej. Konwencje muszą przeto odbywać się w kolosalnych salach, mieszczących nie tylko delegatów, ale i kilkanaście tysięcy widzów.

Widziane oczyma Europejczyków, przywykłych do zjazdów partyjnych Starego Świata, są to bardzo osobliwe zgromadzenia. Rzecz jasna, trudno jest spokojnie, rzeczowo i z godnością obradować, gdy w zgromadzeniu uczestniczy dwa tysiące osób, a przysłuchuje się kilkanaście tysięcy. Ale i w takich warunkach obradowanie jest rzeczą możliwą, jeżeli się chce, by wypadło ono przyzwoicie i by dało jakieś racjonalne wyniki. Amerykańskie konwencje partyjne nie są jednak ciałami deliberującymi. Ich celem nie jest obradowanie ani osiągnięcie racjonalnych wyników.

Przede wszystkim są to widowiska; widowiska nadzwyczaj barwne i głośne. Każda delegacja stanowa wkracza na salę przy dźwiękach muzyki, z lasem (jeżeli jest liczna) sztandarów i transparentów, z portretami aspirantów, z tablicami, na których wypisane są różne hasła. Efekty świetlne i akustyczne, fanfary i śpiewy, marsze i przemarsze, fantastyczne kostiumy — oto co składa się na treść tego dla Nie-Amerykanina zdumiewającego spektaklu, jakim są zjazdy amerykańskich partii politycznych. Można być pewnym, że na konwencji republikańskiej zjawi się żywy słoń, jako że jest on symbolem tej partii. A zaś konwencja Demokratów nie obejdzie się bez żywego symbolu tej partii — skromnego osiołka. Delegaci zachowują się jak małe dzieci. Sceny, jakie w czasie konwencji rozgrywają się w hotelach i restauracjach a nawet w domach prywatnych miast „konwencyjnych”, świadczą o karnawałowych nastrojach panów delegatów i o ich dziwnym pojmowaniu tak poważnego obowiązku, jakim jest ustalenie kandydatury Prezydenta. Konsumpcja alkoholu w czasie konwencji sięga bardzo poważnych rozmiarów, a sprzedawcy trąbek i gwizdawek robią wspaniałe interesy.

„Zachowanie się przeciętnego delegata na konwencji ogólnonarodowej nie jest nacechowane ani godnością ani sensem” — mówi jeden z obserwatorów amerykańskiego życia politycznego. I dodaje: „Sami delegaci nieraz dają dowody zawstydzenia z powodu swych nieumiarkowanych wybryków. Zastanawiają się, czy rzeczywiście upijanie się i jeżdżenie na osiołkach po westybulach hotelowych jest najlepszym sposobem kierowania wielką partią polityczną... Wiedzą, że zadaniem ich jest wykonanie poważnej pracy. Ale że tej poważnej pracy nie znaleźli, przeto poszukali ucieczki w wygłupianiu się”<sup>5</sup>.

Szczególnie europejskich obserwatorów zawsze zdumiewały swoiste obyczaje amerykańskich konwencji partyjnych. Bryce był przerażony, że zgromadzenie, które ma na celu wykonanie zdania o najwyższym znaczeniu państwowym, jest jakimś beładnym wiecem, gdzie wśród wrzasku jednocześnie pięciu czy sześciu mówców przemawia, gestykulując i przekrzykując się na wzajem. Bryce, przyzwyczajony do powagi obrad w Anglii, wykazał wyraźne zażenowanie wobec tego amerykańskiego sposobu obywatela tak ważnych zjazdów<sup>6</sup>.

Inny obserwator europejski — Ostrogorski — jeszcze drastyczniej ujmuje swe wrażenia z konwencji amerykańskich. Delegaci — powiada — „w stanie całkowitego odurzenia poddają się najbardziej gwałtownym impulsom, zwracają się w najbardziej nieoczekiwanych kierunkach. Ostatnie słowo ma ślepy przypadek. Nazwisko kandydata na stanowisko Prezydenta republiki wychodzi z głosowania, jak numer z ciągnięcia loterii. I wszyscy zwolennicy danej partii od Atlantyku po Pacyfik są obowiązani pod groźbą apostazji głosować na produkt tej loterii”. I Ostrogorski, zgorszony takimi praktykami, przypomina amerykańskie przysłowie, że „Bóg czuwa nad pijakami, małymi dziećmi i Stanami Zjednoczonymi” (*God takes care of drunkards, of little children, and of the United States*).

Dużo jednak przemawia za tym, że w tych konwencyjnych widowiskach coś zacznie się zmieniać. Już konwencje roku 1956 były mniej barwne od dawnych, bar-

5. Herbert Agar, PURSUIT OF HAPPINESS. Cambridge, 1938. Str. 132.

6. Bryce, op. cit. T. II, str. 187.

dziej uporządkowane i wyreżyserowane. Albowiem w polityczne życie Stanów Zjednoczonych wkroczył nowy czynnik, który gwałtownie zmienia dawne obyczaje. Czynnikiem tym jest telewizja.

Konwencja przestaje być widowiskiem, oglądanym przez kilkanaście tysięcy obecnych na niej widzów. Jest ona oglądana przez dziesiątki milionów ludzi. Delegaci muszą pamiętać o tym, że skierowane są na nich oczy milionów. W roku 1956 niektórzy z delegatów nawet wyrażali niezadowolenie z tego powodu i były głosy za usunięciem kamer telewizyjnych z sali obrad. Oczywiście głosy te nie miały cienia szansy powodzenia. Kamera jest bardzo niedyskretna i „łapie” najbardziej drastyczne momenty. A ekran ma swoje konwencje i wymagania. Nie wszystko na nim wychodzi dobrze, ba — są takie rzeczy, które na nim wyglądają gorzej niż w rzeczywistości. A do tego telewizja kosztuje majątek. Kto sobie może pozwolić na nadawanie owacji, trwającej 45 minut? Telewizja też sprawi, że czynnik planowej i świadomej reżyserii znacznie odgrywać coraz większą rolę w przebiegu konwencji. Z widowisk mniej lub więcej spontanicznych staną się one widowiskami ściśle czy nawet pedantycznie wyreżyserowanymi, krępującymi delegatów, narzucającymi im pewne reguły zachowania się. Czy jednak przestaną być widowiskami? Czy staną się rzeczywistymi, poważnymi obradami poważnych stronnictw politycznych? To zdaje się być bardzo wątpliwe. Wiele przemawia za tym, że nawet tak zmienione konwencje amerykańskie coś zachowają z tego, o czym mówili Bryce, Ostrogorski i inni obserwatorzy.

Czy jednak wolno amerykańskie konwencje ogólnonarodowe porównywać z kongresami stronnictw politycznych Starego Świata? W każdym razie, robiąc takie porównanie, trzeba stale pamiętać, że konwencje amerykańskie są tak różne od zjazdów europejskich, jak partie amerykańskie są różne od swych imienniczek w innych częściach naszego globu. Funkcją partii amerykańskiej jest zorganizowanie wyborów i wyborców. Funkcją konwencji jest znalezienie takiej kandydatury, która to zorganizowanie wyborów i wyborców uczyni czymś najbardziej łatwym i w swych wynikach najbardziej skutecznym.

Dla techników wyborczych, którzy kierują mechanizmem konwencji, jedynie istotną sprawą jest znaleźć takiego kandydata, który wygra wybory. Technicy ci nie mają wielkiego zainteresowania dla poglądów, ideałów, filozofii politycznych czy społecznych. Są w każdym celu oportunistami. Na aspirantów do kandydatury patrzą przede wszystkim pod kątem widzenia ich szans u wyborców. „Naczelnym zadaniem delegatów jest znaleźć kandydata, który wygra. Przeznaczeniem konwencji jest zjednoczyć sprzeczne grupy i rywalizujących przywódców przy jakiejś jednostce i rozbujać entuzjazm działaczy partyjnych tak, aby zaczęli walczyć o zwycięstwo wyborcze tej jednostki. To zaś nie odnosi się do zagadnień polityki narodowej, ale do dziedziny spraw strategii partyjnej”<sup>8</sup>. To zdanie znawcy amerykańskiego życia politycznego trafnie ujmuje istotne funkcje tych dziwnych zgromadzeń i rzuca światło na ich osobliwości.

Niekiedy zdarza się, że delegaci są od razu zgodni co do osoby kandydata. Tak jest prawie zawsze, gdy aspirantem jest dotychczasowy Prezydent, który po odbyciu pierwszej kadencji zgodnie ze zwyczajem ubiega się o kadencję następną. Ale na konwencjach partii opozycyjnych, czy w wypadkach, gdy Prezydent ma już za sobą dwie kadencje, liczba aspirantów do kandydatury może być bardzo znaczna. Aspiranci ci prowadzą na swoją rzecz akcje agitacyjną jeszcze na wiele miesięcy przed rozpoczęciem się konwencji. W stanach, w których przeprowadzane są prawyborzy prezydenckalne, akcja ta jest szczególnie namiętna i zwraca się bezpośrednio do obywateli. Każdy też aspirant liczy na „swoich” delegatów, to jest na takich, którzy w prawyborach zobowiązali się głosować na niego. Ale spora część składu konwencji nie pochodzi z prawyborów. Wysłały ją konwencje stanowe, to jest lokalne maszyny. Zresztą przedstawiciele maszyn nie brak i wśród delegatów, którzy wyszli z prawyborów. Na sali obrad konwencyjnych roi się przeto od bossów i ich adiutantów. Każdy aspirant ma tu swoich „przyjaciół”, którzy go popierają i którym on — jeżeli zwycięży — nie odmówi

---

7. M. Ostrogorski, DEMOCRACY AND THE ORGANIZATION OF POLITICAL PARTIES, New York, 1902. Str. 279.

8. Herring, op. cit. Str. 229.

swego poparcia. W tych warunkach konwencja musi stać się sceną najbardziej fantastycznych rozgrywek, kombinacji, zabiegów agitacyjnych.

Aspiranci walczą ze sobą. Zawierają sojusze i je zrywają. Obliczają swe szanse i zestawiają je z szansami rywalów. W pocie czoła pracują ich specjaliści agencji-impresariowie. Najciężej jednak pracują wielcy bossowie, na których spada obowiązek utrzymania koalicji partyjnej przez znalezienie kandydata, mogącego zadowolić wszystkich. Im więcej jest kandydatów, im ostrzejsze są rywalizacje, tym bardziej rośnie znaczenie wielkich bossów partyjnych. W takich sytuacjach ostatnie słowo najczęściej do nich należy.

Oczywiście *nie* na sali obrad konwencyjnych są prowadzone najważniejsze rozgrywki i nie tam zapadają końcowe decyzje. Istotna gra odbywa się za kulisami obrad, w pełnych dymu cygarowego pokojach hotelowych. Tu zbierają się główni technicy, wielcy bossowie, przedstawiciele maszyn poszczególnych aspirantów, ich osobiści impresariowie, tu rozważane są szanse, oceniane perspektywy, tu toczą się targi i przetargi, tu zachodzą najbardziej dramatyczne sceny. „Horse trading”, kaptowanie głosów, składanie obietnic, targi w sprawie równorodnych koncesji — oto żarna, mielące mąkę, z której wypiekana jest osoba ostatecznego kandydata<sup>9</sup>.

Nie idzie to łatwo. Wymaga energii, sprytu, sztuki w prowadzeniu rokowań, i zazwyczaj zabiera dużo czasu. Każdy aspirant może mieć za sobą poparcie wpływowych grup i silnych organizacji. Wielką też rolę odgrywają momenty regionalne. Delegacje stanowe murem stoją za aspirantami-krajanami. Ale w końcu dochodzi się do jakiegoś wyniku, choćby w tej formie — jak to było na konwencji demokratycznej roku 1956 — że dwóch głównych rywali godzi się ze sobą, powierzając jednemu kandydaturę na Prezydenta, a drugiemu — na Wice-Prezydenta. Po długich wysiłkach pokój hotelowy znajduje człowieka, co do którego jest pewność, że pozyska sobie wszystkich lub prawie wszystkich.

Z hotelu droga znów prowadzi do wielkiej sali obrad konwencyjnych. Najważniejszą jest teraz rzeczą dla wy-

9. Świetny opis kulis konwencyjnych dał William Allen White w swej Autobiografii. Str. 461 i nast.

brańca hotelu pozyskać zapał, entuzjazm sali. A przez zebranych na tej sali delegatów — wzbudzić entuzjazm w rzeszach zwykłych obywateli. „Wartość konwencji — mówi Herring — polega na tym, że umożliwia ona zastępom zwykłych członków partii fizycznie i emocjonalnie uczestniczyć we wspólnym przedsięwzięciu”<sup>10</sup>. Tysiąc delegatów i tyluż ich zastępców, kilkanaście tysięcy widzów, cała ta olbrzymia gromada zespoli się teraz w wielkim przeżyciu emocjonalnym i swój entuzjazm przekaże milionom innych ludzi. Z pomocą przychodzą im telewizja i radio.

Na momenty czysto emocjonalne nastawiona jest cała inscenizacja konwencyjnego widowiska. Nie chodzi tu o treści racjonalne, o rzeczowe obrady, dyskusje, o logiczne rozważanie pro i contra. To, co dałoby się podciągnąć pod kategorie racjonalne, odbywa się poza kulisami kolosalnej sali, w zadymionych pokojach hotelowych, wyraża się w przemysłnych posunięciach wielkiej strategii konwencyjnej. Wyniki tych zakulisowych rokowań są podawane sali w postaci spektaklu, w postaci hałaśliwej i barwnej zabawy, w której entuzjastycznie uczestniczą tysiące dorosłych ludzi.

Naturalnie może się zdarzyć, że zabawa nie wypadnie po myśli inicjatorów czy inscenizatorów. Delegaci mogą się „zbuntować” i pokrzyżować plany wypróbowanych techników kunsztu wyborczego. Tak było na konwencji republikańskiej roku 1940, gdy masa delegatów wbrew technikom znalazła „swego” przywódcę w Wendellu Willkie. Nie są to jednak wypadki częste. A i w roku 1940 Willkie niewiele zapewne by zdziałał, gdyby nie miał za sobą pewnej grupy techników, którzy umiejętnie wyzyskali jego popularność wśród delegatów i w całym kraju.

Gdy ostateczny wynik głosowania jest podany do wiadomości konwencji, salę ogarnia szalony entuzjazm. Zamienia się on w masową histerię, gdy na estradzie, na której zasiada prezydium konwencji, w świetle reflektorów i przy dźwiękach fanfar ukaże się postać elekta. Zadanie konwencji jest spełnione. Partia ma swego wodza. W jego osobie osiąga ona na czas wyborów swą jedność. Na czas

---

10. Herring, op. cit. Str. 229.



wyborów może być zapomniane, że partia jest luźną koalicją, technicznym sojuszem przypadkowych i często skłóconych partnerów. Jest więc powód do radości. Emocjonalna erupcja, dziecinny entuzjazm — oto co w danym momencie staje się psychologicznym wyrazem faktu osiągnięcia jedności partii. Delegaci i masy partyjne mogą wzniesić okrzyk: „Habemus Papam” — oczywiście nadając mu własną formę. I choć konwencje bardzo mało mają wspólnego z powagą papieskiego conclave, to jednak okrzyki ich, podobnie jak tamten, wyraża ulgę z powodu uzyskania kierownika i tym samym utrzymania jedności i ciągłości całej instytucji. Zbyteczne dodawać, że przez kolosalne rozpowszechnienie telewizji i radia w Stanach Zjednoczonych, cały kraj emocjonalnie bierze udział w przebiegu konwencji.

#### 4. O kandydatach i o ich sile przyciągającej

Od wielu dziesięcioleci konwencje posługują się specjalnymi miernikami przy ocenianiu aspirantów i ich szans w wielkim wyścigu do kandydatury. Interesujące są to mierniki i w tym, jak są one sformułowane i stosowane, odbija się wiele właściwości życia politycznego w Stanach Zjednoczonych.

Z gruba rzecz biorąc, aspirantów dzieli się na trzy gatunki. Pierwsi z nich to „faworyci”. „Faworytem — powiada Bryce — jest zawsze polityk, dobrze znany na terenie całej Unii i mający dla siebie poparcie ze strony wszystkich albo większości jej dzielnic”<sup>11</sup>. Jest to zazwyczaj człowiek, który zdobył sobie rozgłos jako członek Senatu albo jako wybitny Gubernator. Szczególnie kariera gubernatorska jest dobrym wstępem do zdobycia kandydatury na Prezydenta. Duże znaczenie ma tu uwiecznione powodzeniem sprawowanie godności Gubernatora jakiegoś dużego stanu, np. New Yorku. Franklin Roosevelt był wieloletnim Gubernatorem stanu New York i tu otrzymał swą zaprawę polityczno-administracyjną. Woodrow Wilson doszedł do Prezydentury przez stanowisko Gubernatora stanu New Jersey. Ale w wypadku Prezydenta Eisen-

---

11. Bryce, op. cit. T. II, str. 181.

howera czynnikiem zasadniczym była sława wojenna, jaką zdobył sobie naczelny wódz sił sojuszniczych w wielkiej wojnie.

Drugi gatunek to „*ulubieni synowie*” (*favorite sons*). „Ulubionym synem” jest — że znów posłużymy się definicją Bryce’a — „polityk szanowany i podziwiany we własnym stanie, ale mało znany poza nim”<sup>12</sup>. Może nim być Gubernator, albo członek legislatury stanowej, albo inny działacz lokalny, który zdobył sobie sympatię swego stanu. Przy amerykańskim regionalizmie rola tych „ulubionych synów” jest bardzo wielka. Każdy stan jest ogromnie dumny, gdy w Białym Domu zasiada jego krajan. Zaszczyt ten jednak jak dotąd nie wszystkim stanom przypadł w udziale. We wczesnym okresie dziejów Stanów Zjednoczonych Virginia była pod tym względem szczególnie uprzywilejowana. Stamtąd wywodzili się Washington, Jefferson, Madison i Monroe. Po Wojnie Domowej kolej przyszła na Ohio, które Unii dostarczyło ogółem siedmiu mieszkańców Białego Domu. Z innych stanów stosunkowo liczniej reprezentowane były New York, New Jersey i Massachusetts (obaj Adamsowie). Ale większość stanów nie miała swych synów w poczcie Prezydentów Unii.

Każdy też stan popiera swego „ulubionego syna”. Jeżeli jest stanem dużym, licznie reprezentowanym na konwencji, może mieć poważny głos przy rozgrywce konwencyjnej. W roku 1948 „ulubionym synem” republikańskiego New Yorku był ówczesny Gubernator Dewey, a republikańskiej Kalifornii — ówczesny Gubernator Warren. W obu wypadkach chodziło o stany wielkie, bardzo wpływowe, reprezentujące duże ilości głosów.

Nie należy wszakże do osobliwości sytuacja, gdy żaden z tych „faworytów” czy „ulubionych synów” nie może zdobyć przewagi nad rywalami. Długie targi i przetargi nie doprowadzają do wyników, delegaci się niecierpliwią, technicy pocą się, wciąż nie mogąc znaleźć odpowiedniej osoby. W takich wypadkach powstaje szansa dla trzeciej kategorii aspirantów. Konwencja może się zdecydować na wybór „*fuksa*” (*dark horse*). Kim jest ów „*fuks*”? I tu możemy się posłużyć klasycznym Bryce’em, którego słowa

---

12. Bryce, op. cit. T. II, str. 181.

nic nie straciły ze swej świeżości. „Fuksem — mówi Bryce — jest osobistość niezbyt szeroko znana na terenie całego kraju, bardziej przy tym znana dla swych właściwości dodatnich niż ujemnych<sup>13</sup>. Nieraz jest to człowiek naprawdę zdolny, nie obdarzony jednak talentem zdobywania sobie popularności. Jest to typ człowieka, którego się szanuje, ale w którym się nic nie widzi takiego, co by go specjalnie wyróżniało wśród innych. Konwencja zwraca się do „fuksa” gdy wszyscy inni kandydaci są zbyt samodzielni i skutkiem tego kontrowersyjni. Potrzebna jest wtedy jakaś kandydatura kompromisowa. Tak było w r. 1944 na konwencji demokratycznej w Chicago, gdy chodziło o kandydaturę na Wice-Prezydenta. Z walki między różnymi grupami wyszła kandydatura „fuksa” — Harry Trumana. Ze „fuksa” ten później okazał się człowiekiem bojowym i dalekim od układności — to już inna sprawa.

Wszystkie te jednak mierniki, jakimi technicy konwencyjni posługują się przy ocenianiu aspirantów, muszą być uzupełnione przez miernik najważniejszy, jakim są *szanse powodzenia kandydata wśród wyborców*. Bo przecież głos ostateczny należy do szarego obywatela-wyborcy. A on ma swoje upodobania i jakże często odrzuca towar, umiejętnie zareklamowany przez wytrawnych sprzedawców, przez znakomitych majstrów od propagandy partyjnowyborczej. I dlatego to ci ostatni przy wszystkich targach i przetargach konwencyjnych muszą stale myśleć o rzeczy najważniejszej — o gustach odbiorcy, o postawach i nastrojach obywateli. I muszą postawy te i nastroje badać stale i bardzo sumiennie.

Tu z pomocą przychodzą im zorganizowane badania opinii publicznej, próbujące ustalić, jakimi kryteriami kieruje się ogół amerykański w swych sympatiach i antypatiach wobec poszczególnych aspirantów. Badania takie są prowadzone nie tylko w okresach kampanii wyborczych, ale przy wszelkich innych sposobnościach. Na bardzo dużą skalę prowadził je dla wydawnictwa „Fortune” Elmo Roper w roku 1948. Oceny, które zebrał, odnosiły się do wszystkich ówczesnych aspirantów i wychodziły od różnych ludzi, reprezentujących wszelkie możliwe środowiska społeczne. Co w tych ocenach uderzało, to to że aspirant

---

13. Bryce, op. cit. T. II, str. 181.

był widziany głównie od strony swych właściwości osobistych (silny charakter, słabeusz, doświadczony, niedoświadczony, młody, za stary, ma dobre serce, zbyt czupurny, fanatyk itd.). Typowo amerykańskie szukanie osobowości (*personality*) występuje tu w całej pełni. Równie amerykańskie jest ocenianie aspiranta w świetle tego, co już zdziałał poprzednio. „Czas na zmianę” jest bardzo popolitą reakcją na zbyt długotrwałe rządy jednej partii. Stosunkowo znacznie mniejszą rolę odgrywają idee aspiranta, jego poglądy, jego filozofia. Amerykanin kieruje się przede wszystkim swym osobistym zaufaniem do aspiranta. Miliony ludzi, które w latach 1952 i 1956 oddały swe głosy na Eisenhowera, nie kryły się z tym, że urok osobisty Prezydenta i zaufanie do jego osoby były decydującym motywem ich stanowiska. Poglądy polityczne i filozofia Eisenhowera były tu czymś nieistotnym, zawyyczaj w ogóle nie brany pod uwagę.

William Allen White, który jako dziennikarz, był świadkiem wielu konwencji, dał świetny opis tego, jak powstają tam programy kandydatów<sup>14</sup>. Już na szereg miesięcy przed konwencjami w obu partiach zaczynają się zbierać małe grupki, reprezentujące różnych aspirantów i różne kierunki, w celu opracowania programów. Grupki te pracują po cichu, porozumiewając się z aspirantami i technikami, wielokrotnie przerabiając i uzgadniając swe elaboraty. W rezultacie, gdy zbiera się konwencja, komisja rezolucji otrzymuje szereg projektów programowych, wyrażających najbardziej sprzeczne stanowiska i interesy. Najtrudniejszym teraz zadaniem jest z tych sprzeczności i różnorodności wyprodukować coś takiego, co zadowoli wszystkich i każdego. Do tego należy dodać jakąś oprawę bardziej zindywidualizowaną, w której w jakiś sposób znajdzie dla siebie wyraz ów urok osobisty, jaki wymagany jest od kandydata.

Osobiste poglądy kandydata nie znaczą tu dużo. Oczywiście jeżeli jest on postacią wybitną, wpływowym przywódcą, to potrafi swe poglądy wprowadzić do programu. Osobisty wpływ Roosevelta był wyraźny w programach Partii Demokratycznej okresu lat 1932-1944.

14. William Allen White, WHAT IT'S ALL ABOUT. New York, 1936. Str. 25-28.

Najczęściej jednak kandydat przyjmuje za własny program, wypracowany przez setki techników gry wyborczej. „Platforma wyborcza — mówi Herring — jest kompromisem między poglądami i interesami różnych grup a ideami czołowych przywódców, nie jest natomiast programem kandydata, który ma być wybrany”<sup>15</sup>. Innymi słowy — opracowanie programu poprzedza desygnację kandydata i jest od niej niezależne.

Cała jednak rzecz w tym, że praktyczne znaczenie tego programu jest niewielkie. Program, który *ex definitione* musi być kompromisowy, a więc — ogólnikowy, starający się pozyskać wszystkich, a tym samym nie chcący nikogo urazić — taki program nie może być przez nikogo zbyt poważnie traktowany. Przede wszystkim — przez własnych twórców i przez tego, kto ma być jego wykonawcą — przez Prezydenta Unii. Ale i sami wyborcy nie traktują go zbyt serio. Zresztą bardzo rzadko się zdarza, by programy obu rywalizujących partii naprawdę różniły się między sobą. Co najwyżej przy następnych wyborach partia opozycyjna wyzyska program przeciwnika, aby udowodnić, że programowe obietnice nie zostały dotrzymane. Ale i to przejdzie bez większego wrażenia.

Konwencje są więc uwieńczone wynikiem: każda partia ma swoich kandydatów na godności Prezydenta i Wice-Prezydenta, ma dla nich programy i ma plan kampanii. Scena polityczna jest teraz sprowadzona do akcji międzypartyjnej. Kandydaci stają do zapasów. Zanim jednak o tych zapasach mówić będziemy, trzeba będzie zrobić pewną dygresję. Musimy pokrótce omówić funkcje Prezydenta Stanów Zjednoczonych w amerykańskim systemie partyjnym.

##### 5. Wielkość i małość prezydentury.

Wszystko to, cośmy dotąd mówili o konwencjach, czyni zrozumiałym, dlaczego wśród 34 mężów, którzy do tej pory piastowali godność Prezydenta Stanów Zjednoczonych, było stosunkowo tak mało wybitnych indywidualności. Niewątpliwie indywidualnościami byli pierwsi Pre-

---

15. Herring, op. cit. Str. 235.

zydenci — od Washingtona do Jacksona. Ale po Jacksonie tylko o Lincolnie, Teodorze Rooseveltcie, Wilsonie i Franklinie Delano Rooseveltcie można było powiedzieć że reprezentowali wysoki poziom myśli państwowej i sztuki przewodzenia narodowi. Reszta były to raczej miernoty, wśród nich ludzie w rodzaju Andrew Johnsona, Hardinga czy Coolidge'a. Wśród Prezydentów wybitnych dwaj — Abraham Lincoln i Franklin Roosevelt — stanowiska swe zawdzięczali wyjątkowym sytuacjom historycznym, które naród amerykański postawiły wobec konieczności podjęcia stanowczych decyzji i użycia odbiegających od reguły środków.

W warunkach, uważanych za normalne, Ameryka lubi przeciętnych, ba — miernych kierowników swej nawy państwowej. To, że Adlai Stevenson z pewnością odbiegał od przeciętności, obróciło się przeciw niemu. Zwykły Amerykanin czuje się dobrze, gdy w Białym Domu ma mieszkańca mu bliskiego, odpowiadającego tym wzorom przyzwoitości, jakie obowiązują w małych miasteczkach Nowej Anglii, Środkowego Zachodu i Południa. Plebejski charakter demokracji amerykańskiej w tym bodaj znajduje istotny swój wyraz.

A przecież zadania, jakie czekają Prezydenta Stanów Zjednoczonych, są naprawdę kolosalne. Są one szczególnie wielkie w czasach dzisiejszych, gdy w wyniku wypadków historycznych Stany Zjednoczone stały się mocarstwem, odpowiedzialnym za losy całej ludzkości.

Zadania Prezydenta Stanów Zjednoczonych są nieśkończenie większe od zadań głowy państwa w jakiegokolwiek innej demokracji współczesnej. Prezydent — jak to już była o tym mowa w rozdziale trzecim tej książki — jest podstawowym ogniwem, łączącym w całość 48 stanów Unii. Prezydent — zwłaszcza gdy jest nim osobistość wybitna — ma wielkie zadania wychowawcze; Harold Laski określa to, jako kierowanie przez Prezydenta uwagi ogółu na wielkie cele<sup>16</sup>. Prezydent ponad wszystko ma zadanie fundamentalne — oficjalne, określone przez Konstytucję, i nieoficjalne, wynikające z jego roli w amerykańskim systemie partyjnym.

---

16. Harold J. Laski, THE AMERICAN DEMOCRACY. New York, 1948. Str. 73.

Konstytucyjnie Prezydent koncentruje w swej osobie całą władzę wykonawczą republiki. Trzeba to dobrze zrozumieć: Prezydent Stanów Zjednoczonych jest równocześnie głową państwa, premierem i kierownikiem wszystkich działów administracji federalnej. Jest jednoosobowym rządem, odpowiedzialnym za wszystkie — użyjmy tu nazwy nieamerykańskiej — ministerstwa, formalnie rzecz biorąc kierując nimi, decydując o wszystkich dziedzinach administracji państwowej. Jest naczelnym wodzem, prowadzi politykę zagraniczną, kieruje polityką gospodarczą, społeczną, ma ogromny wpływ na stosunki między stanami-członkami Unii.

Rzecz jasna, ma cały zastęp pomocników i doradców. W pierwszym rządzie są to członkowie jego gabinetu, jego sekretarze. Ale choć dla ich nominacji potrzebne jest zatwierdzenie przez Senat, to przecież są oni odpowiedzialni tylko przed Prezydentem, działają tylko z jego ramienia, są wykonawcami jego polityki i jego zarządzeń. Amerykański sekretarz — inaczej niż europejski minister — jest organem tej ogromnej władzy, jaką Konstytucja przekazała Prezydentowi Unii.

Oczywiście Prezydent *nie jest* dyktatorem. Jego władza jest ograniczona. Na jego nominację, na jego politykę zagraniczną kolosalny wpływ ma Senat. Na jego politykę finansową i gospodarczą obok Senatu nie mniejszy wpływ ma Izba Reprezentantów. Prezydent jest pod stałym naciskiem opinii publicznej, która w Stanach Zjednoczonych jest czymś żywym i bardzo potężnym. Prezydent nie wiele może zdziałać, jeżeli ma Kongres przeciwko sobie. Ale przy wszystkich tych ograniczeniach władza jego jest olbrzymia i rola w życiu narodu amerykańskiego kolosalna. Polityka, jaką w danym okresie prowadzi Unia, jest bardziej niż przez cokolwiek innego wyznaczana przez politykę Prezydenta.

Wybór Prezydenta oznacza więc w praktyce *określenie linii politycznej Stanów Zjednoczonych na najbliższe cztery lata*. W akcie głosowania stawką jest coś więcej niż osoba tego czy innego kandydata. Stawką jest następne czterolecie (a wobec częstych wypadków ponownego wybierania Prezydenta na drugą kadencję — ośmioletnie) polityki amerykańskiej.

Formalnie rzecz biorąc, konwencja, uchwalając program-platformę wyborczą, wyznacza linie tej polityki, jakiej ma się trzymać kandydat — ewentualny Prezydent-elekt. Jak wiemy jednak, programu tego nikt zbyt poważnie nie traktuje. Nie jest to dokument, który w praktyce może być użyty jako wiążące Prezydenta ustalenie jego przyszłej linii postępowania. A jeżeli nawet coś z tego dokumentu znajdzie później jakiś wyraz w polityce Prezydenta, to będzie to w postaci zgoła ogólnikowej. Chyba że Prezydent jako aspirant i członek konwencji miał duży wpływ na formułowanie programu i wprowadził do niego własne myśli. W ogromnej jednak większości wypadków program po wyborach szybko ulega zapomnieniu.

Otrzymujemy więc sytuację wysoce paradoksalną: przy ustalaniu kandydata i przy wyborze Prezydenta dominują względy oportunistyczne i personalne. Szuka się człowieka, który posiada „appeal” i który zdobędzie maksimum głosów. Ale, znajdując takiego człowieka i na podstawie takich kryteriów, decyduje się tym samym o przyszłym czteroleciu polityki federalnej. Innymi słowy — dla prowadzenia polityki szuka się człowieka, którego kwalifikacje widzi się w momentach zgoła niepolitycznych. Podobnymi racjami kierowała się niegdyś szlachta polska przy wyborze swych królów.

A jednak praktyka ostatnich dziesięcioleci wykazała, że stosowanie takich kryteriów nie przekreślało możliwości wysuwania kandydatur ludzi o rzeczywistych kwalifikacjach politycznych. Zarówno kandydaci zwycięscy jak i pokonani kwalifikacje takie mieli. Albowiem inne nieco selekcje działają wśród tych, którzy aspirują do kandydatury. Większość aspirantów to ludzie dojrzały, zaprawieni politycy, nieraz bardzo wybitni. Jeżeli więc system niepolitycznych kryteriów jest tak powszechnie stosowany na amerykańskich konwencjach partyjnych, to odnosi się on do selekcjonowania kandydatów, z których każdy z osobna ma jakieś kwalifikacje rzeczowe, nieraz bardzo poważne. I tu zasadnicza różnica między Stanami Zjednoczonymi a dawną Polską szlachecką. Podstawowy wybór — aspirantów do godności kandydata — został dokonany przed konwencjami i został dokonany w ogniu walk codziennego życia politycznego wielkiej republiki.



Ale poza konstytucyjnymi zadaniami Prezydenta istnieją jeszcze jego zadania nie wynikające z przepisów prawa publicznego. Konwencja, dokonywując wyboru kandydata na godność Prezydenta, tym samym wybiera przywódcę partyjnego. Kandydat — zarówno zwycięski, to jest Prezydent, jak i pokonany w wyborach — jest przywódcą danego stronnictwa politycznego. Gdy zostanie pokonany, przywództwo jego będzie raczej rzeczą formalną. Po listopadzie roku 1956 Adlai Stevenson stał się tylko „tytularnym” przywódcą Partii Demokratycznej. Jego faktyczny wpływ jest bardzo ograniczony. Przegrana wyborcza dyskwalifikuje kandydata. Wśród Republikanów panuje nawet przekonanie, że osobistość, która już raz jeden przegrała wybory, nie powinna ponownie kandydować. W roku 1948 było to wyraźnie wysuwane wobec Dewey’a.

Bezspornie natomiast Prezydent jest uważany za przywódcę swego stronnictwa. W wielu demokracjach europejskich istnieje tendencja w kierunku odseparowania głowy państwa od jego poprzedniej działalności partyjnej. Uważa się, że prezydent powinien stać ponad partiami i z żadną z nich nie być osobiście związany. Ale funkcji i zadań Prezydenta Stanów Zjednoczonych nie można porównywać z funkcjami i zadaniami prezydentów demokratycznych republik innych krajów. Amerykański prezydent koncentruje w swej osobie całą władzę wykonawczą republiki. Jest nie tylko głową państwa, ale i premierem. Musi posługiwać się jakimś narzędziem partyjno-politycznym, jeżeli ma spełniać swe zadania. Partia polityczna jest tu zasadniczą częścią całego systemu rządzenia. I dlatego jest rzeczą jasną, że musiał się wytworzyć jak najsilniejszy związek między Prezydentem Stanów Zjednoczonych a jego stronnictwem politycznym. Związek ten polega na partyjnym przywództwie Prezydenta. W tym charakterze Prezydent Stanów Zjednoczonych ma do wykonania bardzo poważne zadania.

Podkreślaliśmy już wielokrotnie, że amerykańskie stronnictwo polityczne jest koalicją grup interesów, grup regionalnych oraz grup ideologicznych. Jest to koalicja techniczna i jej więź organizacyjna jest bardzo słaba na szczeblu ogólnonarodowym, federalnym. Na tym też szczeblu najmocniej zaznaczają się konflikty regionalne, antagonizmy klasowe, rywalizacje przywódców stanowych,

bossów miejskich, polityków lokalnych. *Zasadniczą funkcją Prezydenta jako przywódcy stronnictwa jest utrzymać jedność tej koalicji*, znajdować rozwiązania dla nieskończonych problemów, wynikających z różnorodności interesów gospodarczych, regionalnych i osobistych poszczególnych członków całego zespołu.

Franklin Delano Roosevelt był w tym mistrzem. Kierując partią, będącą koalicją skrajnie konserwatywnych elementów południowych i radykalnych liberałów północnych, partią, której podstawą były trzy tak różne siły, jak agrarne plantatorskie Południe, maszyny wielkemiejskie i zorganizowani robotnicy, Roosevelt umiał siły te jednaczyć, znajdował czynniki równowagi, był mistrzem w manewrowaniu wśród raf i mielisz swej partii, był mistrzem w wyzyskiwaniu jednych przeciw drugim i w ostatecznym ich godzeniu<sup>17</sup>. Amerykańska zasada „check and balance” była doskonałym narzędziem w rękach Prezydenta.

Konwencja, wybierając kandydata na godność Prezydenta, jest oczywiście doskonale świadoma, że jej elektą ma być przywódcą partii i że jako przywódca ma być jej ośrodkiem, źródłem jej jedności, rozjemcą w jej kontrowersjach, autorytetem dla wszystkich jej członków. Z punktu widzenia ludzi, którzy zebrali się na konwencję, te funkcje elekta są nie mniej ważne od jego funkcji prezydenckich. Wiedzą o tym, że Prezydent, by prowadzić swą politykę narodową, musi mieć za sobą i przy sobie swoją partię. Wiedzą, że — jak to pokazuje cała historia Stanów Zjednoczonych — zachodzi najściślejszy związek między sztuką kierowania nawą państwową a sztuką przewodzenia partii. A ponadto są partyjnikami. Konwencja jest kierowana przez zawodowych polityków, przez ludzi, którzy całe swe życie związali z partią, którzy bez partii są

---

17. Następująca anegdota, kursująca za życia Roosevelta, charakteryzuje jego kunszt rządzenia partią. Do Roosevelta przychodzi Hillman i przekonywuje go o konieczności pewnego zarządzenia. „Ależ Sidneyu — mówi Prezydent — masz stuprocentową rację”. Po chwili zjawia się konserwatywny Południowiec Byrd i proponuje coś zupełnie sprzecznego. „Ależ Harry — woła Prezydent — masz stuprocentową rację”. Obecna przy tym pani Roosevelt wyraża swe zdumienie: „Jak to, każdemu przyznałeś rację?” — „Ależ Eleonor — potwierdza jej mąż — masz stuprocentową rację”. W każdym razie decyzja, jaką podejmował Roosevelt, była jego własna. Każdy jednak był zadowolony...

niczym, nic nie znaczą. Ludzie ci, rozważając kwalifikacje poszczególnych aspirantów, muszą na ich zdolności partyjno-przywódcze zwracać baczną uwagę. Zwłaszcza gdy dana partia jest widownią szczególnie ostrych konfliktów wewnętrznych, gdy jedność jej jest zagrożona.

W roku 1952 brak doświadczenia partyjnego był wysuwany jako zasadniczy argument przeciwko kandydaturze generała Eisenhowera. A i później zarzut ten był niejednokrotnie wysuwany pod adresem Prezydenta. Podnoszono, że Eisenhower nie umie skupić partii przy sobie i przy swoim programie, że funkcje przywódcze przekazuje Wice-Prezydentowi. Oczywiście w danym wypadku decydujące znaczenie miały inne kwalifikacje Eisenhowera, przede wszystkim — jego szalona popularność. Ale fakt, że takie zarzuty były wysuwane i to nie tylko przez przeciwników politycznych, jest bardzo interesującą ilustracją stosunków amerykańskiego życia politycznego.

Konwencje, przeprowadzające selekcje aspirantów, muszą się kierować i miernikiem zdolności partyjno-przywódczych. Szukają człowieka, którego autorytet byłby uznany przez całą partię. A to nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza gdy partia jest targana przez właśnie wewnętrzne i rywalizacje personalne czy regionalne. Nieraz też w takich wypadkach szuka się postaci kompromisowej, w nikim nie budzącej sprzeciwów, dla każdego jadalnej. Tu znów rosną szanse postaci bezbarwnych, nawet — miernot.

Szanse tych ostatnich idą w górę, gdy partia w różnym świetle widzi swą siłę i swe perspektywy wyborcze. Skoro wszystko wygląda dobrze, to niepotrzebny jest wybitny przywódca. W kampanii roku 1948 wśród Republikanów panowało przekonanie, że Demokraci są rozbitci i Truman nie ma żadnych szans. A więc nie trzeba się zbyt wysilać i szukać wybitnych kandydatów. Przeciwko Trumanowi i tak każdy Republikanin wygrał! Nie po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych nie brano pod uwagę najważniejszego czynnika — zdania samego wyborcy. A w tym wypadku wyborca miał zdanie odmienne od zdania wytrawnych techników gry wyborczej.

Na ogół więc — pomijając sytuacje wyjątkowe — konwencje bardziej skłonne są zwracać się do postaci bezbarwnych niż do wybitnych indywidualności. Te ostatnie na konwencjach rzadko mają powodzenie i nie często je

mają wśród wyborców. Dużo o tym mówią losy Adlai Stevensona — niewątpliwie indywidualności nieprzeciętnej. Ale Amerykanin — jeżeli tylko może — woli unikać ludzi wybitnych, ma do nich nieufność, ma sympatię dla ludzi zwykłych, swymi poglądami i swym zachowaniem się nie odbiegających od ogółu. Amerykańska demokracja plebejska chce w swym przywódcy widzieć jednego z sąsiadów, człowieka, o którym z góry się wie, jak się zachowa, który będzie taki sam jak ja i moi przyjaciele. I musi być sytuacja wyjątkowo poważna, by demokracja ta zwróciła się do mężów naprawdę wybitnych, do ludzi na miarę Lincolnów i Roosevelтів.

Na tym kończymy omówienie konwencji ogólnonarodowych i problemów, jakie w związku z desygnowaniem kandydatów na Prezydenta istnieją w Stanach Zjednoczonych. Przejdziemy teraz do sprawy desygnowania innych kandydatów. Tu zaś wchodzimy na teren prawyborów.

## 6. Prawyborcy

W wielu miejscach tej książki była już mowa o prawyborach w związku z różnymi aspektami amerykańskiego życia politycznego. Czas teraz na bardziej szczegółowe rozpatrzenie tej ważnej instytucji.

Zaznaczyliśmy już coraz znaczniejszy udział prawyborów w ustalaniu kandydatów na godność Prezydenta: rośnie liczba stanów, w których do prawyborów należy desygnowanie delegatów na konwencje ogólnonarodowe, przy czym wyborcy mogą tym delegatom zalecać głosowanie na określonych aspirantów. Powszechnym natomiast zjawiskiem w Stanach Zjednoczonych stało się wyznaczanie przez prawyborcy wszelkich innych kandydatów. W stadium końcowego zaniku jest — dawniej dominujący — zwyczaj określania na konwencjach stanowych czy powiatowych kandydatów na stanowiska Gubernatorów, Senatorów, członków Izby Reprezentantów, członków legislatur stanowych, sędziów i całej masy innych funkcjonariuszy obieralnych. W wielu więc stanach (choć nie we wszystkich), co cztery lata odbywają się prawyborcy prezydenckalne, we wszystkich prawie stanach (wyjątki są nieliczne) odbywają się co dwa lata prawyborcy ogólne.

W zasadzie prawyборы są instytucją wewnątrzpartyjną. Członkowie danej partii w głosowaniu decydują, jakie osoby z ramienia ich partii mają kandydować w najbliższych wyborach. Zazwyczaj wymagane jest, aby aspiranci, ubiegający się o tak zwaną nominację w prawyborach, mieli za sobą poparcie pewnej liczby członków danej partii. Ma to formę petycji do komitetu partyjnego, w której podpisani członkowie proponują umieszczenie nazwiska danej osoby na liście ubiegających się o nominację aspirantów.

Jak już jednak była mowa o tym przedtem, nieścisleścią byłoby twierdzić, że prawyборы są „prywatną” czy wyłącznie wewnętrzną sprawą każdej partii. W praktyce bowiem prawyборы są uważane za instytucję publiczną o wielkim znaczeniu ogólnonarodowym. Sposób odbywania prawyborów jest określany przez prawa stanowe, a od pewnych zasadniczych momentów wymagana jest zgodność z Konstytucją federalną. Tak na przykład Sąd Najwyższy wydawał orzeczenia wobec niedopuszczania na Południu Murzynów do udziału w prawyborach Partii Demokratycznej. Sąd Najwyższy uznał to za niekonstytucyjne. Te wyroki sądu federalnego najlepiej świadczą, że prawyборы nie są uważane za prywatne imprezy poszczególnych partii, i mówią zarazem o ścisłym związku, jaki przez prawyборы wytworzył się między amerykańskimi stronnictwami politycznymi a państwem.

Są jeszcze i inne fakty, które wskazują na to, że prawyборы stały się czymś więcej niż wewnętrznymi imprezami partyjnymi. W pewnych stanach jest dopuszczalne, aby aspirant ubiegał się o nominację równocześnie w prawyborach różnych partii. Można tu więc jednocześnie starać się o prawo kandydowania zarówno z ramienia Demokratów jak Republikanów, jak i każdej innej partii, jeżeli taka istnieje. Tak jest na przykład w Kalifornii, gdzie prawyборы demokratyczne bardzo często wysuwają Republikanów. Jest też rzeczą możliwą, że aspirant, który przypadnie w prawyborach własnej partii, zostanie wysunięty przez prawyборы partii przeciwnej. I w ogóle w praktyce amerykańskiego życia politycznego nie jest osobliwością, gdy kandydatem jakiejś partii zostaje osoba, która do tej partii nie należy albo nawet należy do partii przeciwnej.

W roku 1945 kandydatem Republikanów na stanowisko mayor'a New Yorku był Demokrat.

Wszystko to jeszcze raz świadczy, jak dalece w Ameryce płynne są granice partyjne, jak rzeczą przypadkową i podrzędną jest przynależność do tej czy innej partii. Świadczy też zarazem, że w prawyborach partyjny charakter tej instytucji ulega zatarciu, że dominujące znaczenie mają tu względy ogólne, nie koniecznie związane z podziałem partyjnym.

Jeszcze wyraźniej występuje to wtedy, gdy w danym stanie przyjęty jest system prawyborów otwartych. W ogóle rozróżniane są w Stanach Zjednoczonych dwa rodzaje prawyborów — *otwarte* i *zamknięte* (*open and closed primaries*). W prawyborach otwartych *każdy* wyborca bez względu na to, czy i do jakiej partii należy, ma prawo oddania swego głosu w prawyborach tej partii, w których chce uczestniczyć. Przeważnie prawyборы obu partii odbywają się równocześnie i w tych samych lokalach. Obywatel przed oddaniem swego głosu otrzymuje dwie kartki z nazwiskami aspirantów i na jednej z nich zaznacza osoby, które mu odpowiadają. Partyjny charakter prawyborów ulega tu więc jeszcze dalszej redukcji.

Natomiast w prawyborach zamkniętych tylko zarejestrowani członkowie danej partii mogą uczestniczyć. Wyborcy, którzy do partii nie należą, nie mogą więc mieć wpływu na nominowanie kandydatów.

Prawyборы wyrosły z dążenia do odebrania maszynom partyjnym przywileju desygnowania kandydatów i do przekazania funkcji desygnacyjnych samym obywatelom. Czy cel ten został przez prawyборы całkowicie osiągnięty?

Nie ulega wątpliwości, że rozpowszechnienie się instytucji prawyborów było wielkim krokiem w kierunku umocnienia i pogłębienia podstawowej demokracji, że stały się one cennym narzędziem wypowiedzania się woli zwykłego obywatela. Ale też nie należy przypuszczać, że cel swój osiągnęły w całej pełni. W wielu stanach prawyборы rzeczywiście znacznie osłabiły moc maszyn i zmniejszyły ich wpływ na nominowanie kandydatów. Są to jednak stany, gdzie od dłuższego już czasu dawało się zauważyć słabnięcie roli maszyn. I nie łatwo jest tu ustalić, jaki wpływ na to miały prawyборы, a co było następstwem ogólnej tendencji. Są też stany i powiaty,

w których prawyborcy są wyraźnie opanowane przez miejscowe maszyny. A zresztą aspirant, mający za sobą sprawnie działającą maszynę, musi mieć przewagę nad rywalem, nie posiadającym aparatu organizacyjnego i agitatorskiego. Ostatecznie w prawyborach — jak we wszelkich wyborach — najczęściej zależy od sprężystej organizacji i od zręcznej propagandy. Wielu walczących z maszynami polityków amerykańskich musi dla tej walki tworzyć własne maszyny. Jest to błędne koło, na które każda demokracja — nie tylko amerykańska — zdaje się być skazana.

W każdym razie prawyborcy stwarzają wyraźną możliwość ograniczenia roli maszyn. Decyzje odnośnie wystawiania kandydatur nie są tu oddane klikom zawodowych polityków. Głos ostateczny należy tu do obywateli, którzy nieraz klikom sprawiają przykre niespodzianki. Istnieje też możliwość powstawania kandydatur „niezależnych” i istnieją szanse ich zwycięstw.

O wszystkich jednak tych rzeczach należy mówić w formie trybu warunkowego. Tak jest — prawyborcy stwarzają wielkie możliwości. Rzecz w tym, czy i jak możliwości te są wykorzystywane przez samych obywateli. I w tym tkwi największe zagadnienie. W prawyborach zasadniczo każdy obywatel brać może udział. Jak wiemy, zarejestrowanie się w spisach danej partii — upoważnia to do udziału w prawyborach „zamkniętych” — jest w Stanach Zjednoczonych formalnością, z której nie wynikają żadne zobowiązania polityczne, moralne czy organizacyjne. W stanach, gdzie istnieją prawyborcy „otwarte”, formalność ta nie ma nawet pozorów jakiegoś choćby teoretycznego związania się. Słowem — w prawyborach powinna brać udział ilość obywateli nie mniejsza od tej, jaka uczestniczy w wyborach.

Jeżeli jednak absencja w wyborach jest w Stanach Zjednoczonych uderzająco znaczna, to jest bez porównania większa w prawyborach. Zmniejsza się ona niekiedy w prawyborach prezydenckich, gdy walczą ze sobą bardzo wybitni aspiranci i gdy wynik może mieć duży wpływ na przebieg konwencji. Ale i tu frekwencja nie przedstawia się zbyt imponująco. Tak na przykład w roku 1948 w bardzo ważnych republikańskich prawyborach prezydenckich stanu Wisconsin na blisko trzy miliony mieszkańców stanu głosowało tylko około pół miliona.

W tym samym roku frekwencja w analogicznych prawyborach stanu Nebraska (przeszło 1.200.000 mieszkańców) wyniosła 180.000 głosujących. A były to prawybory, na które zwrócona była powszechna uwaga, a prasa stwierdzała, że w obu stanach udział obywateli w głosowaniu był wyjątkowo znaczny. W prawyborach zwykłych (nieprezydencjalnych) frekwencja jest znacznie niższa. Za zjawisko normalne uważa się, że gdy 10 procent wyborców oddaje swe głosy w takich prawyborach. W poszczególnych wypadkach odsetek ten bywa jeszcze znacznie niższy.

Oczywiście im niższa frekwencja, tym łatwiejsze zadanie mają maszyny i kliki politykierskie. Masowy udział w głosowaniu utrudnia rozciąganie kontroli nad obywatelami i stwarza możliwości niespodzianek przykrych dla maszyn. Stąd nieraz się zdarza, że maszyny celowo dążą do zwiększenia absencji wyborczej.

Tak w szczególności było na Południu w okresie panowania zasady „białych prawyborów”. Tam oczywiście chodziło o względy „białej supremacji”, ale równocześnie wybitnie zmniejszało to ogólną liczbę głosujących.

Fakt, że w Stanach Zjednoczonych absencja w prawyborach jest tak wielka, zasługuje na specjalną uwagę. Chodzi tu przecież o głosowanie o ogromnym znaczeniu. Pomijając nawet Południe, gdzie wobec faktycznego systemu jednopartyjnego jest ono bardziej decydujące od wyborów właściwych, prawybory są wszędzie najlepszą — w pewnym sensie jedyną — szansą demokratycznego sprawdzenia mocy pewnych programów, idei, stanowisk politycznych. W Stanach Zjednoczonych prawybory w stopniu nieskończenie większym niż wybory odbywają się pod znakiem walk ideologicznych. Wyniki ich są manometrem napięcia tych różnic ideologicznych, jakie istnieją w obrębie każdego amerykańskiego stronnictwa politycznego. W prawyborach w stopniu znacznie większym niż w wyborach mierzone są siły liberałów i konserwatystów, izolacjonistów i ich przeciwników.

W warunkach amerykańskich prawybory stają się najlepszym narzędziem uideowienia życia politycznego. *Ideologia, wyrzucona z codziennej organizacyjnej praktyki stronnictw amerykańskich, tu znów powraca do nich.* Tym samym prawyborcy mogłyby stać się szkołą ideologicznego



wychowania obywateli Unii, ujściem dla fermentu ideologicznego, jaki bezspornie w nich istnieje.

Ale to ostatnie jest jak dotąd tylko w sferze możliwości. Faktem jest bowiem, że masy amerykańskie, coraz lepiej uświadamiając sobie obiektywne znaczenie praw wyborów, nie doszły jeszcze do tego subiektywnego stanu, który by się wyraził w aktywnym uczestniczeniu w prawyborach. Frekwencja w tych głosowaniach jest niepokojąco mała. Amerykanin wie, że jest to głosowanie ważne. Ale z wiedzy tej nie wyciągnął dotąd wniosków praktycznych dla siebie. Im zaś frekwencja jest mniejsza, tym więcej szans dla maszyn i tym mniej szans wyzyskania tych obiektywnych możliwości politycznych, ideologicznych i wychowawczych, jakie zawierają się w instytucji prawyborów.

## 7. Akt drugi: wybory.

Sposób przeprowadzania wyborów jest w Stanach Zjednoczonych przekazany decyzjom organów stanowych. Konstytucja federalna przyjmuje jedynie pewne zasadnicze wytyczne, z których najważniejsze to rozszerzenie praw wyborczych na wszystkich bez względu na rasę (Poprawka XV) i na płeć (Poprawka XIX). Przyjęto też, że wybory (pomijając tu pewne kategorie wyborów lokalnych o mniejszym znaczeniu) odbywają się wszędzie tego samego dnia: w pierwszy wtorek listopada. I tu jednak istnieje pewne odstępstwo: w stanie Maine wybory odbywają się we wrześniu.

Każdy stan ma swoje przepisy wyborcze. Obejmują one tak ważne sprawy, jak określenie wieku wyborców. Tak na przykład w stanie Georgia prawo wybierania nabywa się z chwilą ukończenia osiemnastu lat życia. Motywuje się to tym, że skoro osiemnastoletni są wystarczająco dorośli, by jako żołnierze walczyć, to są też wystarczająco dorośli, by jako obywatele głosować. W innych stanach granica wieku jest wyższa — przeważnie 21 lat. Na ogół analfabeci nie są dopuszczani do głosowania. W niektórych stanach na Południu obywatel, aby być wyborcą, musi wykazać się znajomością konstytucji. Dziwnym trafem egzaminowi z tego przedmiotu poddawani są wyłącznie obywatele-Murzyni i również dziwnym trafem

zdarza się, że obcinają się nawet prawnicy. Oczywiście — Murzyni.

Istnieją też poważne różnice odnośnie techniki głosowania. W niektórych stanach i miejscowościach odbywa się ono staromodnie przy pomocy kartek. Ostatnio jednak coraz bardziej rozpowszechnione jest użycie specjalnych maszyn, sprowadzających cały akt do pociągnięcia małego lewarka i automatycznie sumujących ilość głosów, oddanych na danego kandydata. Umożliwia to ustalenie wyników wyborów w parę minut po ich zakończeniu i sprowadza do minimum możliwość oszustw wyborczych. Tu i ówdzie przy wyborach samorządowych stosowana jest zasada proporcjonalności. Jednakże w wyborach organów federalnych i stanowych powszechnie obowiązuje zasada zwykłej większości, przy czym okręgi są jednomandatowe. Jest to zrozumiałe wobec faktu, że — poza nielicznymi wyjątkami — do walki stają kandydaci, reprezentujący tylko dwie partie. Jest rzeczą najzupełniej dopuszczalną, że ta sama osoba może równocześnie kandydować z ramienia różnych partii. W każdym stanie obowiązują odmienne przepisy odnośnie prawa różnych grup politycznych do wystawiania swych kandydatów w wyborach. Zazwyczaj partia, która o to chce się ubiegać, musi się wykazać, że w poprzednich wyborach zdobyła określoną liczbę głosów. Jeżeli jest partią nową, nie mogącą się wykazać udziałem w wyborach poprzednich, musi dla siebie i swych kandydatów uzyskać poparcie w postaci petycji, podpisanej przez określoną ilość obywateli. Pewne stany stawiają pod względem ilości podpisów bardzo wysokie wymagania. Wszystkie te przepisy wyraźnie forytują obie wielkie partie tradycyjne i starają się utrudnić powstawanie nowych partii.

Każdy stan wybiera dwóch Senatorów, ale na różne sześćdziesiąt lat, więc nie równocześnie. Dlatego to w wyborach senatorskich każdy stan stanowi jednolity okrąg wyborczy. Każdy stan, w zależności od swego zaludnienia, wybiera określoną ilość Kongresmanów i według tego jest podzielony na kongresowe okręgi wyborcze. Senatorowie, Kongresmani, Gubernatorzy, legislatury stanowe itd. są wybierani w głosowaniu tajnym i bezpośrednim. Tajność obowiązuje również w wypadku wyborów Prezydenta i Wice-

Prezydenta, poza tym jednak stosowana jest tu odmienna i bardzo specyficzna procedura.

Przyjęta 25 września roku 1804 Poprawka XII do Konstytucji ustaliła, że każdy stan wybiera określoną liczbę „elektorów” (liczba ta równa się sumie Senatorów i Kongresmanów z danego stanu), którzy w każdym stanie zbierają się oddzielnie i głosują na Prezydenta i Wice-Prezydenta. Otrzymane w ten sposób z każdego stanu wyniki wysyła się do Waszyngtonu, gdzie są obliczane na posiedzeniu połączonych izb Kongresu. Wybrany zostaje kandydat, który otrzymał większość. Jeżeli nikt nie otrzymał większości, wtedy Izba Reprezentantów wybiera Prezydenta spośród trzech kandydatów o największej ilości głosów elektorskich, a Senat — Wice-Prezydenta spośród dwóch kandydatów o największej ilości takich głosów.

Jednakże skomplikowany ten system od dawna wyszedł z użycia. Poprawka XII została zinterpretowana w sposób, który, formalnie nie naruszając jej brzmienia, w rzeczywistości wprowadził zasadniczą inowację. W każdym stanie wyborca głosuje na pełną listę elektorów, o których wie, że będą głosować na danego kandydata. Zwycięza w danym stanie ta lista, która otrzymała zwykłą większość głosów. Oznacza to, że dany stan jako całość jest za danym kandydatem. Jeżeli więc na przykład w stanie New York w roku 1956 większość otrzymała lista elektorów, popierających Eisenhowera, to w kolegium elektorskim Eisenhowerowi przypadły wszystkie 47 głosów, reprezentujących stan New York. Ostateczny wynik obliczany jest według głosów elektorskich z całego kraju: zwycięża ten kandydat, który w kolegium elektorskim zdobył większość.

W praktyce owi elektorzy są bardziej symbolami niż żywymi ludźmi. Jest to następstwem tego, że wyborca głosuje na elektorów, którzy są za określonym kandydatem (np. „electors for Eisenhower”, „electors for Stevenson” — w latach 1952 i 1956). Innymi słowy, nie jest potrzebne zebranie się kolegium elektorskiego, by wiedzieć, kto w wyniku wyborów został Prezydentem i Wice-Prezydentem. Mówią o tym niezwłocznie po wyborach ogłaszane wyniki głosowań w każdym ze stanów Unii.

Ten system wybierania Prezydenta tłumaczy nam, dlaczego w Stanach Zjednoczonych tak często zachodzi różnica dysproporcja pomiędzy ilością głosów obywateli w ca-

łym kraju, jakie padły na danego kandydata, a liczbą „głosów elektorskich”, jaka mu przypadła w ostatecznym wyniku. Z reguły każdy zwycięzca ma o wiele wyższy odsetek większości w „głosach elektorskich” niż w głosowaniu powszechnym. W roku 1940 Roosevelt zdobył w całym kraju 27.243.000 głosów (54,7 procent), ale miał 449 głosów elektorskich (na ogólną liczbę 531). Przeciwnik Roosevelta — Willkie — miał 22.304.000 głosów wyborczych (44,8 procent), ale tylko 82 w kolegium elektorskim. Jeszcze bardziej uderzają wyniki głosowania w roku 1912, gdy walczyli ze sobą trzej kandydaci: Wilson — 6.286.000 (41,82 procent) w głosowaniu powszechnym i 435 głosów elektorskich; Teodor Roosevelt — 4.126.000 (27,45 procent) w głosowaniu powszechnym i 88 głosów elektorskich; Taft — 3.483.000 (23,17 procent) w głosowaniu powszechnym i 8 głosów elektorskich. W roku 1912 Wilson został Prezydentem, jakkolwiek w głosowaniu powszechnym nie zdobył absolutnej większości<sup>18</sup>.

Obserwatorzy życia amerykańskiego są zgodni w poglądzie, że przeciętny obywatel Unii ma niewątpliwe zainteresowanie dla spraw politycznych. Przede wszystkim — dla spraw polityki lokalnej. Potrafi się jednak pasjonować i zagadnieniami polityki ogólnonarodowej, w latach ostatnich — nawet międzynarodowej. Nie można też temu obywatelowi odmówić faktu posiadania żywych zainteresowań ideologicznych. Wręcz przeciwnie — chętnie tworzy różnorodne stowarzyszenia i komitety, których celem jest propagowanie pewnych haseł ideologicznych. Lubi zajmować stanowisko wobec wielkich zagadnień takich, jak liberalizm, konserwatyzm, ustawodawstwo społeczne, faktyczne równouprawnienie Murzynów, udział Ameryki w Narodach Zjednoczonych, sprawa Izraela, obrona narodów uciskanych itd.

Zainteresowanie dla tych spraw i tematów nie oznacza jednak, aby przeciętny Amerykanin chciał brać i brał czynny udział w życiu politycznym swego narodu. Obywatel Stanów Zjednoczonych lubi mówić o polityce, ale woli

---

18. Wilson nie miał jej również i w roku 1916, gdy padło za nim 49,28 procent głosów wyborców. Podobnie w roku 1892 Cleveland zwyciężył, mając tylko 46,04 procent głosowania powszechnego.

trzymać się z dala od aktywnego udziału w życiu politycznym.

Jest to bezpośrednim następstwem wciąż panującego w Ameryce niskiego szacowania funkcji i osób zawodowych polityków. Obywatele Unii tradycyjnie w politykowieństwie widzą profesję gorszą, mniej szanowną od wszelkich innych profesji. Ale jednocześnie uważają ją za profesję konieczną i ludzi, którzy ją uprawiają, niekiedy obdarzają znaczną dawką zaufania przechodzącego nawet w szacunek i uwielbienie.

Mamy tu do czynienia z trudną do zrozumienia dla Nie-Amerykanina dwoistością ocen i postaw. *Amerykanin interesuje się polityką, ale nie ceni wysoko zawodu polityka. A równocześnie Amerykanin przypisuje temu zawodowi duże znaczenie użytkowe i, choć sam woli trzymać się od niego z dala, ma często (choć nie zawsze) zaufanie do ludzi, którzy ten zawód uprawiają.*

W przeświadczeniu Amerykanina właściwym rozwiązaniem jest następujący podział funkcji: *dla siebie zachowuje on zainteresowanie, ale praktyczne działanie woli przekazać ludziom, zawodowo uprawiającym politykę.* Sam woli nie być jednym z tych ludzi, chętnie jednak przyjmuje ich przywództwo i, gdy je przyjmie, darzy ich zaufaniem. Słowem — woli być biernym politycznie, aktywność polityczną oddając określonym jednostkom<sup>19</sup>.

Zaufanie jego do tych jednostek wzrasta w miarę jak osiągają one sukces. Zaufanie też jego jest tym większe, im bardziej odpowiadają one tym wzorom, jakie Amerykanin uważa za obowiązujące i jedynie właściwe. Sukces osobisty przywódców oraz zgodność ich zachowania się z panującymi wzorami — oto co składa się na ów „appeal”, tak ważny w amerykańskim życiu politycznym.

„W rzeczywistości — powiada Myrdal — Amerykanin dramatyzuje i personifikuje całą historię swego kraju i reszty świata<sup>20</sup>. Przeszłość, wypadki historyczne widzi jako działania bohaterów, kierujących losami ludzkości. W niewielu krajach świata tworzą się tak łatwo kultury bohaterów, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Tym się między innymi tłumaczy, dlaczego Amerykanie —

19. Myrdal, op. cit. Str. 713-714.

20. Myrdal, op. cit. Str. 710.

przy całej swej nieufności do wojskowych — tak chętnie po wielkich wojnach powierzają godność Prezydenta swym zwycięskim generałom. Washington, Jackson, Grant, Eisenhower mogą tu posłużyć za typowe przykłady. Nazwisko generała Eisenhowera było wysuwane już w roku 1948. Nikt wtedy nie znał jego poglądów, nikt wtedy nawet nie wiedział, z którą z dwóch partii generał sympatyzuje. I nikt zresztą o to nie dbał. Wystarczało, że Eisenhower miał niezwykle urok osobisty, „appeal”, i że był zwycięskim wodzem. Zarówno Republikanie jak i Demokraci chcieli go „zwerbować” na swego kandydata. Dla jednych i dla drugich potrzebny był człowiek, przy którym mogły się skupić masy narodu amerykańskiego, któremu masy te mogły powierzyć troskę o sprawy państwowe. Amerykanin wierzył, że heros w rodzaju Eisenhowera uwolni go od kłopotu niepokojenia się o politykę i umożliwi zajęcie się bardziej właściwymi dla przeciętnego obywatela sprawami. Gdy w roku 1952 — i ponownie w cztery lata później — Eisenhower z ramienia Republikanów stanął do zawodów wyborczych, otrzymał większość taką, jaka rzadko kiedy przypadała kandydatom na Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ceniąc sukces indywidualny, Amerykanin jest dumny z sukcesu, osiągniętego przez innych, z którymi jest mocno i blisko związany. Kult, jakim wśród Murzynów amerykańskich cieszył się słynny bokser Joe Louis, wyrasta z takiego podłoża. Murzyn amerykański czuł, że uczestniczy w sukcesie czarnego pięściarza, i był z niego dumny. W życiu politycznym poparcie dla „ulubionych synów” wypływa z tych samych przesłanek. Myśl, że „miejscowy chłopiec” może stać się mieszkańcem Białego Domu, porywa jego krajanów i jest potężnym bodźcem dla akcji propagandowej.

Czy w takim kulcie herosów nie kryją się niebezpieczeństwa na przyszłość? Czy nie może stać się on podłożem dla dyktatury i „wodzowstwa”? Obawy takie zdają się być uzasadnione i przez to, że kult herosów idzie w parze z ideą patronatu herosa nad obywatelami, którzy, chcąc być wolni od kłopotu aktywnego udziału w polityce, chętnie oddają swym bohaterom cały ciężar kierownictwa. Wydaje się jednak rzeczą bardzo mało prawdopodobną, by z tego kultu herosów mogły się w Stanach Zjednoczo-

nych rozwinąć jakieś formy rządzenia, przypominające rządy Hitlera czy Stalina. Przede wszystkim kult herosa nigdy nie ma tu charakteru deifikacji, tak typowej dla Niemiec Hitlera czy Rosji Stalina. Amerykański heros jest uwielbiany, lecz nie jest ubóstwiany. Jest podziwiany, czczony, otaczany sympatią i rewerencją, ale ani na chwilę nie przestaje być człowiekiem, człowiekiem omylnym, takim samym jak ja i mój sąsiad. Eisenhower to zawsze ten sam „Ike”, do którego obywatel odnosi się z poufałością, jaka jest możliwa tylko w demokracji plebejskiej. Heros amerykański — nawet najbardziej uwielbiany — jest pod ciągłym obstrzałem opinii publicznej, która nie cofa się przed ingerowaniem w najbardziej intymne sprawy życia osobistego czołowych postaci sceny amerykańskiej. Jak opinia ta potrafi być przykra i napastliwa, o tym najlepiej mógł się przekonać Franklin Delano Roosevelt. A ileż to już razy Prezydent Eisenhower był krytykowany surowo, nieubłaganie. A poza tym niebezpieczeństwo dyktatury jest w Stanach Zjednoczonych zażegnywane przez działanie takich instytucji kontroli demokratycznej jak: częste wybory, inicjatywa zbiorowa, referenda, krótkość kadencji, zakazywanie wielokrotnego piastowania kluczowych urzędów.

Zresztą wiele z tych kultów szybko przemija. Któż dziś pamięta o takim lokalnym dyktatorze jak Huey Long w Luizjanie? I jak szybko przeminęła popularność Senatora Joe McCarthy! I w jednym i w drugim wypadku ambitni politykierzy natrafili na mocny odpór znacznej części opinii.

Jeżeli jednak nie należy przypisywać zbyt przesadnego znaczenia amerykańskiemu kultowi herosów, to nie należy lekceważyć sobie niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą pasywny stosunek obywatela do polityki. I na tle tego stosunku szczególnego znaczenia nabiera fakt wyborów. Daje on Amerykaninowi jedyną sposobność aktywnego uczestniczenia w polityce i aktywnego wpływania na losy narodu. Na to trzeba położyć bardzo silny akcent. Częstość wyborów w Ameryce sprawia, że *Amerykanin w określonych odstępach czasu znajduje jakieś ujście dla swych zainteresowań i potrzeb politycznych.*

Takiego ujścia, rzecz jasna, nie daje mu i dać nie może partia polityczna. Co najwyżej może być ona ujściem

dla zainteresowań i potrzeb politykierskich. Jedynie w kampanii wyborczej, w samym akcie udania się do lokalu wyborczego i złożenia głosu, obywatel Stanów Zjednoczonych znajduje dla siebie jakąś formę czynnego wypowiedzenia się politycznego, jakąś płaszczyznę rzeczywistego uczestniczenia w wielkich decyzjach odnośnie losów i polityki wielkiej republiki.

Ale tylko mniejszość obywateli Stanów Zjednoczonych korzysta z tej szansy, jaką im dają wybory. Frekwencja wyborców jest mała, absencja — ogromna, znacznie większa niż w innych demokracjach świata. Zachodzi tu sprzeczność, dla przypadkowego obserwatora trudna do zrozumienia: Amerykanie mają zainteresowanie polityczne i szukają dla nich ujęcia, wybory dają im jedyne ujęcie tego rodzaju — a jednocześnie Amerykanin z niego nie korzysta.

Zwracaliśmy już poprzednio uwagę na przyczyny niskiej frekwencji wyborczej w Stanach Zjednoczonych. Do sprawy tej musimy raz jeszcze powrócić.

Zasadnicza walka polityczno-ideologiczna prowadzona jest w prawyborach każdej z dwóch wielkich partii. Najczęściej toczy się ona pod znakiem liberalizm contra konserwatyzm. Może ona zakończyć się zwycięstwem jednego kierunku w prawyborach jednej partii i drugiego w prawyborach drugiej. Albo może ona w wyniku dać zwycięstwo tych samych kierunków w prawyborach obu rywalizujących partii. Każda alternatywa stwarza odmienne możliwości wyborcze.

W pierwszym wypadku wyborcy danego okręgu mają dokonać wyboru nie tylko między dwiema partiami, ale i między dwiema ideologiami. Nie chodzi tu tylko o to, że jeden z kandydatów jest Republikaninem a drugi Demokratą. Ważniejsze jest to, że jeden jest liberałem a drugi konserwatystą. Do akcji wyborów wprowadzone są mocne akcenty różnic ideologicznych i programowych. Walka wyborcza pogłębia się, staje się bardziej dramatyczna. Obywatele, składając swe głosy, mają świadomość tego, że decydują nie tylko o osobach, ale i o ideach. Łatwiej jest wtedy o sytuację, gdy nawet obojętny obywatel udaje się do biura wyborczego i składa swój głos.

Ale może zająć i druga alternatywa: prawyborcy w obu partiach wysuwają kandydatów ideologicznie i programo-



wo niczym od siebie nie różniących się. Są to sytuacje częste. Ostatecznie prawyborcy — zwłaszcza gdy nie są opanowane przez maszyny — w jakiejś mierze odtwarzają te ogólne nastroje, jakie panują w danym okręgu, regionie czy w całym kraju. Udział obywateli w prawyborach może być niewielki, ale zazwyczaj nie jest tak mały, aby wyniki prawyborów nie pozostawały w żadnym stosunku do nastrojów, panujących w danym czasie i miejscu.

Niewątpliwie w okresie Roosevelta nawet konserwatyści w Partii Demokratycznej podporządkowywali się kierownictwu wielkiego przywódcy. Partia Demokratyczna jako całość była wtedy wyrazem New Deal'u. Liberalny wyborca gotów był podówczas głosować nawet na konserwatywnego Demokrate, bowiem głosował na przedstawiciela partii Prezydenta. Ale po śmierci Roosevelta powstała nowa sytuacja. Partia Demokratyczna jako całość przestała być symbolem dążeń liberalnych. Wyborca przestał głosować za czy przeciw partii Roosevelta, ale zaczął rozważać osoby określonych kandydatów i to, co każdy z nich reprezentował.

Dla sumiennego wyborcy, posiadającego zdecydowane przekonania czy sympatie ideologiczne, konieczność dokonania wyboru spośród dwóch bliźniaczo do siebie podobnych kandydatów obu partii jest czymś kłopotliwym i nieprzyjemnym. O ile więc nie uzna za bardziej właściwe powstrzymanie się od głosowania, to w wyborze między kandydatami będzie się kierować względami natury nieideologicznej. Wybierze kandydata, należącego do partii, na którą zawsze głosował, albo takiego, który osobiście wyda mu się bardziej sympatycznym, który będzie miał większy „appeal”, albo takiego, na którego sąsiedzi jego głosują. Niekiedy da się porwać ogólnemu entuzjazmowi, jaki w Ameryce często towarzyszy końcowemu etapowi kampanii wyborczej, ale jeszcze częściej udaje się do biura wyborczego bez większego zapалу, czując, że jego akt głosowania nie daje mu ujęcia dla jego zainteresowań i aspiracji.

Innymi słowy — w znacznej ilości wypadków wybory amerykańskie nie spełniają swego ważnego zadania: *nie są dobrym ujęciem dla politycznych zainteresowań, potrzeb i aspiracji obywateli, nie dają im pełnego zadowolenia*

*z powodu wyzyskania szansy aktywnego uczestniczenia w życiu politycznym zbiorowości narodowej.*

Ale to jeszcze nie wszystko. W życiu państwowym zasadniczą funkcją wyborów jest utrzymanie ciągłości sprawnie działającej i odtwarzającej zbiorowość demokratycznej reprezentacji narodowej. W Stanach Zjednoczonych wobec faktu, że obywatele niechętnie angażują się w czynną politykę, funkcja ta jest szczególnie doniosła. Jak ze względu na nią Amerykanin ocenia swój system wyborczy?

I tu natrafiamy na tę dwoistość ocen i postaw, która na każdym kroku uderza obserwatora stosunków amerykańskich. Amerykanin ma pełną świadomość ogromnego znaczenia instytucji obieralnych. Wie, że tworzą one mechanizm aparatu politycznej demokracji Stanów Zjednoczonych. Ma do tych instytucji przywiązanie, wyrosłe z tradycji, z wychowania, z kultu jaki żywi dla Konstytucji. Uważa te instytucje za możliwie najlepsze, ufa im, i, wybierając ich skład osobowy, z całą gotowością przekazuje swym elektom troskę o sprawy publiczne.

Ale równocześnie Amerykanin powątpiewa, czy okoliczności, wśród których odbywa się wybór składu osobowego jego instytucji demokratycznych, dają pełną gwarancję powstawania należytej reprezentacji narodowej. Jakże często jest niezadowolony ze swych elektów, nawet z tych na których głosował z całym entuzjazmem. I przy całej swej niechęci do czynnego angażowania się w bieżącą politykę potrafi swemu niezadowoleniu dać jakiś wyraz. Choćby w postaci tych listów, jakimi wyborcy amerykańscy zasypują swych reprezentantów. W życiu codziennym jest widzem wobec sceny politycznej, ale widzem, którego zła gra na scenie wyprowadza z równowagi. Tylko że te reakcje nie zawsze są groźne dla aktorów: Amerykanin ich krytykuje, jest z nich niezadowolony, ale — z wyjątkiem prawdziwych „rewolt” wyborczych — nadal pozwala im pozostać na scenie.

Nie zawsze też ma pewność, że nowi aktorzy będą lepsi od starych. Jakże często ma dowody tego, że z wyborów wychodzi przypadkowa i słaba reprezentacja narodu. Wśród polityków nie ma nadmiaru jednostek wysokiej klasy moralnej i intelektualnej. Jednostki takie w Stanach

Zjednoczonych nie pchają się do działalności partyjnopolitycznej. Większość polityków to zawodowcy, technicy partyjni, ludzie związani z maszynami lub członkowie maszyn. Inni to ludzie związani z jakimiś grupami interesów, z *lobbies*, to radcy prawni wielkich „korporacji” albo doradcy czy redaktorzy wielkich związków zawodowych, ludzie, dla których polityka jest rozszerzoną działalnością gospodarczą. Nie często zdarzają się tu postaci na skalę ogólnonarodową. Jest ich szczególnie mało w Kongresie — mniej niż wśród Prezydentów i Gubernatorów. A o iluż Prezydentach i Gubernatorach dało się powiedzieć, że byli prawdziwymi mężami stanu?

Sito, przez które przechodzą kandydaci na urzędy obieralne, nie koniecznie daje gwarancję specjalnie udanej selekcji. Ludzie, protegowani przez maszyny, zazwyczaj nie są aniołami. Frekwencja w prawyborach jest mała. Zwycięski aspirant swój sukces zawdzięcza przypadkowej większości, przy czym obecność lub nieobecność garści głosujących może całkowicie zmienić rezultat głosowania. Tacy przypadkowi kandydaci stają do wyborów, w których również absencja jest znaczna. W Stanach Zjednoczonych jest rzeczą powszechnie wiadomą, że o wynikach wyborów decydują nie ci, którzy głosują, ale ci, którzy zostają się w domu. Podobnie jak w prawyborach, tak i w wyborach obecność lub nieobecność garści wyborców może zupełnie zmienić wyniki. Przy systemie wybierania Prezydentów możliwe jest zwycięstwo kandydata, który w głosowaniu powszechnym otrzymał mniejszość głosów. W zależności od przesłanek strategicznych każda partia stara się bądź zmniejszyć bądź zwiększyć frekwencję wyborców.

Dwa wielkie akty, jakie składają się na całość amerykańskiego dramatu wyborczego, wykazują nam więc liczne dylematy i liczne sprzeczności wewnętrzne, jakie tkwią w demokracji amerykańskiej. A jednak demokracja ta działa i działa wcale nie najgorzej. Jak wszystko, co jest dziełem człowieka, nie jest ona doskonała. Ale może właśnie przez to, że jest bardzo ludzka, jest ona bliska tej demokracji plebejskiej, która ją stworzyła i która jakoś się nią posługuje. I na pewno nie gorzej niż inne systemy, które z pychą mówią o sobie, że są doskonałe. A bodaj że i lepiej od nich.

Ta niedoskonała demokracja amerykańska przechodzi przez stały kryzys. I pod tym względem jest bardzo ludzka. Dla kryzysów tych jednak umie znajdować jakieś praktyczne rozwiązania. Nie są one zawsze łatwe, ale też — z wyjątkiem Wojny Domowej — nie są one bolesne czy krwawe. O tych kryzysach i o ich przewyciężaniu wypadnie nam teraz pomówić.

## Rozdział IX

### DEMOKRACJA PRZEZWYCIEŻA SWE KRYZYSY

#### 1. Koalicje nie są trwałe .

Cudzoziemski obserwator Stanów Zjednoczonych nie-raz wyraża sceptycyzm co do trwałości amerykańskiego systemu partyjnego. System ten wydaje mu się anachronizmem nie przystosowanym do wymagań współczesnej cywilizacji wielkoprzemysłowej. Czy jest możliwe — pyta się taki obserwator — by w Stanach Zjednoczonych, w kraju o milionowych masach zawodowo zorganizowanych robotników przemysłowych, nie powstała wielka partia robotnicza — odpowiednik angielskiej Labour Party? Nie jeden obserwator przypuszcza, że właśnie w tym kierunku idzie rozwój wypadków w Stanach Zjednoczonych i że prowadzi do tego ewolucja Partii Demokratycznej. Zgodnie z takimi przewidywaniami system dwupartyjny utrzyma się w Stanach Zjednoczonych tak, jak utrzymał się w Anglii, z tym jednak, że Partia Republikańska stanie się odpowiednikiem konserwatystów, a Partia Demokratyczna — labourystów.

Przewidywania tego rodzaju nie są obce i samym Amerykanom. Mówią oni, że partie amerykańskie będą musiały ulec jakiejś krystalizacji ideologicznej i że doprowadzi to do znacznych przesunięć w dzisiejszym układzie sił. Konserwatywni Demokraci właściwe miejsce dla siebie znajdują w Partii Republikańskiej, od której znów odejdą resztki liberałów, by znaleźć się w szeregach Demokra-

tów. Wskazuje się na to, że podobne wędrówki stale zachodzą: Republikanie tracą swych liberałów na rzecz Demokratów, wielu konserwatywnych Demokratów staje się Republikanami. Wskazuje się przy tym na wybory lat 1952 i 1956, kiedy to południowi konserwatywni Demokraci masowo byli za Eisenhowerem, a Stevenson znajdował — nie liczonych co prawda — zwolenników wśród liberalnych Republikanów. Fakt, że na Południu w związku z zachodzącymi tam zmianami gospodarczo-społecznymi zaczynają się zarysowywać możliwości powstania systemu dwupartyjnego, jest też przy tej sposobności wymieniany. Tylko że zapomina się przy tym wskazać, że na Południu nie tylko siły skrajnie konserwatywne, ale właśnie i bardziej liberalne zdają się ciążyć ku Republikanom.

Przewidywania takie mnożą się przy każdym kolejnym kryzysie, przez który przechodzą amerykańskie stronnictwa polityczne. A kryzysów tych nie jest mało. Ba — można by rzec, że każde z dwóch wielkich stronnictw jest w stanie permanentnego kryzysu. Czasami kryzys ten występuje ostro, gdy dochodzi do rozłamów, częściej przebiega w formie łagodnej i mniej dramatycznej. Ale jakieś elementy kryzysowe dają się odnaleźć w każdym okresie dziejów obu wielkich stronnictw. I nic nie przemawia za tym, że kryzysy takie nie będą się powtarzały w przyszłości. Czy więc kiedyś nie dojdzie do takiego, który gruntownie zmieni oblicze amerykańskiego systemu partyjnego?

Piszący te słowa przyznaje się, że prorokiem nie jest. Wie, jak łatwo jest robić przewidywania i jak rzadko są one słuszne. Od proroctw bardziej go interesuje analizowanie tych zjawisk i tendencji, które zachodziły i zachodzą. Tylko na takiej podstawie można robić przypuszczenia odnośnie przyszłości — i to niezbyt odległej — wiedząc zarazem, że przypuszczenia takie mogą mieć tylko orientacyjny i hypotetyczny charakter. Zajmijmy się lepiej sprawą owych kryzysów w amerykańskim systemie partyjnym.

Wielokrotnie podkreślaliśmy, że amerykańskie stronnictwo polityczne jest szeroką koalicją, jednoczącą różne grupy interesów, grupy regionalne oraz zespoły ideologiczne (liberałów i konserwatystów). Racją istnienia takiej koalicji są określone cele taktyczne, wynikłe z warunków amerykańskiej techniki wyborczej. Sens tej koalicji przejawia

się najpełniej tam, gdzie wymagane jest współdziałanie na płaszczyźnie głosowania ogólnonarodowego. Takim jest głosowanie na Prezydenta (i Wice-Prezydenta), w którym zwycięstwo jest uwarunkowane współdziałaniem wielu grup, regionów i zespołów. Wybory Prezydenta i osoba elekta (ewentualnie — kandydata) to punkty centralne, dookoła których ogniskuje się działalność całej koalicji.

Koalicyjne współdziałanie traci na znaczeniu, gdy z płaszczyzny wyborów w skali ogólnonarodowej schodzi na płaszczyznę wyborów w skali lokalnej. W prawyborach regionalnych czynnik koalicyjnego współdziałania redukowany jest do minimum, a miejsce jego zajmują rywalizacje pomiędzy miejscowymi grupami interesów czy zespołami ideologicznymi. Jednakże koalicja istnieje tu nadal, znajdując dla siebie techniczny wyraz w miejscowej maszynie oraz w solidarnym głosowaniu zwolenników danej partii w wyborach właściwych.

To, że koalicja odnosi się przede wszystkim do wspólnej akcji wyborczej, znajduje swe potwierdzenie w słabości dyscypliny partyjnej na terenie Kongresu Stanów Zjednoczonych. Do zjawisk wyjątkowych należy tu, aby wyniki głosowania odpowiadały podziałowi na dwie główne partie. O wynikach tych najczęściej decydują żywotne interesy grup, reprezentowanych przez członków Kongresu niezależnie od ich przynależności partyjnej. Jeżeli zdarza się, że linia podziału partyjnego znajdzie dla siebie wyraz w rezultatach głosowania, to najczęściej chodzi tu o sytuacje, gdy zaangażowana jest polityka Prezydenta — faktycznego lub nominalnego przywódcy całej partii. Im też bardziej Prezydent — jak to czynił Roosevelt — potrafi utożsamić swą politykę z interesem całej koalicji, tym więcej jest danych, że głosowania w izbach będą się odbywać pod znakiem dyscypliny organizacyjnej. Ale nawet za Roosevelta jakaś część demokratycznych członków Senatu i Izby Reprezentantów stale lub bardzo często głosowała przeciwko uchwałom, popieranym przez administrację. Z drugiej strony uchwały te prawie zawsze mogły liczyć na jakieś głosy republikańskie. Prezydent Eisenhower niejednokrotnie miał przeciwko sobie znaczną większość Republikańców — członków partii, której był przywódcą. W pewnych wypadkach polityka Eisenhowera spotykała się z silniejszym poparciem Demokratów niż Republikańców.

Ale koalicje rzadko kiedy są trwałe. Zwłaszcza gdy skupiają bardzo różnorodne elementy i gdy najważniejszą ich więzią są cele taktyczno-techniczne. Koalicje są narażone na szwank, gdy przestają czynić zadość swym bezpośrednim zadaniom lub gdy rozbieżność między członkami koalicji staje się silniejszą od potrzeby jedności. W takich sytuacjach koalicja staje wobec kryzysu.

Kryzysy takie są powszechnym zjawiskiem w dziejach amerykańskich partii politycznych. To, że mimo te kryzysy — a niektóre z nich były bardzo groźne — system ten utrzymuje się, świadczy o istnieniu jakichś przemożnych racji jego utrzymania.

Niewątpliwie w każdej amerykańskiej partii politycznej działają siły, które są żywo i bezpośrednio zainteresowane w jedności koalicji i starają się ją utrzymać. Zainteresowani są w tym profesjonalni politycy tworzący maszyny. Amerykańskie maszyny partyjne w techniczno-koalicyjnym charakterze stronnictw politycznych miały dogodnie podłoże dla swego powstania i rozwoju. Sytuacja jest jednak często tak poważna, że znalezienie z niej wyjścia przekracza możliwości najbardziej wytrawnych mechaników, którzy w warunkach normalnych potrafią panować nad skomplikowanym mechanizmem amerykańskiego systemu partyjnego. Zresztą najczęściej wielkie kryzysy idą w parze z rewoltami wyborców przeciw maszynom i ze słabnięciem wpływów tych ostatnich.

Albowiem maszyna musi być aideologiczna, oportunistyczna i bezprogramowa. I podobnie cała amerykańska koalicja partyjna, aby móc działać, musi być aideologiczna, oportunistyczna i bezprogramowa. Innymi słowy — nie może i nie powinna jako całość czynić zadość polityczno-ideologicznym potrzebom obywateli. Nie oznacza to, by im się miała sprzeciwiać. Przeciwnie — prawyborcy są najlepszym dowodem, że amerykańskie stronnictwo polityczne stwarza ramy dla zróżnicowań polityczno-ideologicznych. *Ramy te jednak mogą być niewystarczające.* Ma to miejsce wtedy, gdy w obrębie partii pewna grupa czy kierunek bierze górę i gdy swe interesy czy punkt widzenia narzuca całości. *Takie utożsamienie koalicji z interesami i poglądami jednego z jej członków narusza tę równowagę wewnętrzną, bez której żadna koalicja istnieć nie może.*



W dziejach amerykańskich stronnictw politycznych sytuacje takie zachodziły często. Od końca wieku XIX grupa konserwatywno-wielkokapitalistyczna opanowała Partię Republikańską. Świetna Stara Partia w tej epoce utożsamiała się z interesami wielkich kapitałów, z Wall Street, z oligarchią bankowo-przemysłową. Ale w Partii Republikańskiej istniało skrzydło farmerskie, wrogie Wall Street i wielkim „korporacjom”. Równowaga wewnątrz koalicji była więc naruszona i wyrazem tego były wielkie kryzysy roku 1912 i 1924. W Partii Demokratycznej za Roosevelta górę wzięły żywioły liberalne. Ale w partii tej było potężne skrzydło skrajnie konserwatywne, reprezentowane przez Południe. Istniała też grupa skrajnie liberalna, reprezentująca radykalizm społeczny i polityczny. Następstwem tego był kryzys, jaki spotkał Partię Demokratyczną za czasów Harry Trumana.

Przejawami zewnętrznymi tych kryzysów są rozłamy i powstawanie tak zwanych trzecich partii. Koalicja rozpada się, na amerykańskiej scenie partyjnej następują przegrupowania. Nie są one trwałe. Tylko w jednym wypadku grupa, którą można było nazwać „trzecią” partią, stała się wielkim stronnictwem ogólnonarodowym. Tak było z Partią Republikańską. We wszystkich jednak innych wypadkach rozłamy były tylko epizodami i dawne koalicje były odbudowywane. Niemniej jednak wpływ tych rozłamów i grup rozłamowych na dzieje systemu partyjnego w Stanach Zjednoczonych nie był mały, sam zaś sposób przewycięzania tych kryzysów mówi dużo o mechanizmie działania demokracji amerykańskiej.

## 2. „Trzecie” partie

W Stanach Zjednoczonych obok dwóch wielkich partii zawsze istniała pewna ilość partii „mniejszych”, zarówno ogólnonarodowych jak i lokalnych. Nie mają one charakteru koalicji. Są one — jak powiada Pendleton Herring — partiami określonych przekonań i interesów klasowych. Niekiedy są to wykładnie przekonań jakichś grup intelektualistów, niekiedy są wyrazami dążeń grup robotniczych lub grup farmerskich. W pewnych wypadkach były one próbami tworzenia syntez ideologicznych, obejmujących

różne prądy radykalizmu lewicowego czy prawicowego. Ale próby takie nie miały nic wspólnego z szerokimi koalicjami technicznymi, jakie znamionują partie wielkie. Jeżeli bowiem łączyły w sobie różne elementy społeczne, to czynnikiem łączącym była tu wspólność dążeń i ideałów, a przynajmniej daleko posunięte ich podobieństwo<sup>1</sup>.

Z reguły są to grupy nieliczne, dysydenckie, non-konformistyczne, zbuntowane. Skupiają one ludzi o wyrażonych poglądach, którzy dla tych poglądów nie mogą znaleźć miejsca w oportunistycznych wielkich partiach.

Jakkolwiek nieliczne, partie te w życiu amerykańskim spełniają poważne funkcje wychowawcze. „... służą one sprawie wykazywania siły stanowisk, zbyt radykalnych dla tradycyjnych partii, niemniej jednak domagających się jakiegoś wyrazu dla siebie”<sup>2</sup>. Swym powstawaniem stwierdzają one fakt istnienia jakichś zagadnień w życiu narodowym, żywotność jakichś idei. Chodzi tu o zagadnienia i idee, które jako zbyt kontrowersyjne są pomijane przez wielkie partie tradycyjne. Partie „mniejsze” i pokrewne im grupy ideologiczne zagadnienia te stawiają na porządku dziennym, zmuszając ogół do zajęcia wobec nich jakiegoś stanowiska.

Tą drogą sprawy te są narzucane i partiom tradycyjnym. W Stanach Zjednoczonych jest faktem powszechnie znanym, że hasła, głoszone przez partie „mniejsze”, w końcu w jakiejś formie znajdują drogę do programów wielkich partii. „W amerykańskiej historii politycznej za truizm jest uważane twierdzenie, że w ostatecznym wyniku platformy wszystkich partii są pisane przez partie mniejsze” — mówi jeden z badaczy sceny politycznej w Stanach Zjednoczonych<sup>3</sup>. Te dysydenckie grupy zmuszają stare partie do zajęcia stanowisk wobec pewnych zagadnień i narzucają im własne rozwiązania. Zniesienie niewolnictwa, prawa wyborcze dla kobiet, ośmiogodzinny dzień roboczy, postępowy podatek dochodowy, wybory Senatorów w głosowaniu powszechnym — oto kilka przykładów reform, poczętych w programach partii „mniejszych”. Zasługi socjalistów amerykańskich są pod tym względem godne podkreślenia.

1. Herring, op. cit. Str. 180.

2. Herring, op. cit. Str. 181.

3. Frederick E. Haynes, THIRD PARTY MOVEMENTS. Iowa City, 1916. Str. 3.

Zawsze nieliczni, umieli oni jednak narzucać uwadze ogółu pewne zagadnienia, które w następstwie były wprowadzane w życie za pośrednictwem wielkich partii tradycyjnych.

O tych partiach „mniejszych” mówi się w Ameryce często jako o partiach „trzecich”. Jednakże — zwłaszcza w czasach ostatnich — coraz wyraźniej czynione jest rozróżnienie między partią „mniejszą” a właściwą partią „trzecią”. Nikt dziś nie nazwie partią „trzecią” ani socjalistów, ani komunistów, ani różnych lokalnych ugrupowań politycznych. Natomiast jako partię „trzecią” określano w roku 1948 grupę Henry Wallace’a. Podobnie jako o partii „trzeciej” mówiło się o grupach, kierowanych przez Teodora Roosevelta i Roberta La Follette’a, choć w owych czasach obok obu wielkich partii istniał szereg partii „mniejszych”. Partia „trzecia”, choć ma wiele cech właściwych partiom „mniejszym”, jest jednak czymś specyficznym i w życiu politycznym Ameryki zajmuje odrębne miejsce.

Podobnie jak partie „mniejsze” tak i partie „trzecie” są przejawami niezadowolenia z działalności partii „większych”. Niezadowolenie to koncentruje się głównie — choć niekoniecznie wyłącznie — w określonych środowiskach społecznych i regionalnych. W większości wypadków partie „trzecie” były pochodnymi rewolt farmerskich, zwłaszcza na Środkowym Zachodzie. Teodor Roosevelt i Robert La Follette mogą i tu posłużyć jako przykłady. Centrum ruchu La Follette’a był jego rodzinny stan — Wisconsin. Wyjątkiem był Wallace, który najwięcej miał zwolenników wśród inteligencji miast przemysłowych.

Jednakże partie „trzecie” są w stopniu znacznie wyraźniejszym niż partie mniejsze produktami poważnych kryzysów w obrębie partii „większych”. Są one albo następstwami rozłamów w jednej z tych partii — partie Teodora Roosevelta i La Follette’a były następstwami rozłamów w Partii Republikańskiej, partia Wallace’a — w Partii Demokratycznej — albo są konsekwencjami kryzysu we wszystkich partiach tradycyjnych. Jako przykład może tu posłużyć Partia Republikańska, która powstała w następstwie rozkładu Partii Whigów i upadku Demokratów. Oczywiście — jeżeli Partię Republikańską w momencie jej powstawania uznamy za „trzecią” partię, na co nie wszyscy w Ameryce się godzą.

Partia „trzecia” ma znacznie większe ambicje niż partie „mniejsze”. Chce usunąć jedną z istniejących partii „większych” albo — jeżeli jej się to nie uda — stać się trzecią partią „większą”. Takie ambicje wyraźnie mieli i Teodor Roosevelt i Henry Wallace. Wykazując zaś takie ambicje, partie „trzecie” szybko zaczynają przyswajając sobie właściwości, jakie cechują wielkie partie narodowe. Próbują skupiać w swych szeregach wszelkie możliwe kategorie wyborców, unikając zdefiniowanych programów, i stają się koalicjami. Walter Lippmann, analizując kampanię roku 1912, zauważył, że Teodor Roosevelt w jej początkowym okresie wysuwał program bardzo bojowy, wyraźny, atakujący Republikanów i Demokratów. Słowem — „przemawiał do partii, która jest mniejszością”. Ale Teodor Roosevelt chciał stać na czele większości. I dlatego „mowy jego zaczęły operować banałami, mętnym idealizmem i bezspornymi zasadami moralnymi Dziesięciorga Przykazań i Kazania na Górze”<sup>4</sup>.

W tym zawiera się zasadnicza różnica między partią „trzecią” a partiami „mniejszymi”. Te ostatnie trzymają się sprecyzowanych programów, są nacechowane tym, co w Ameryce określa się jako „sekciarstwo”. W olbrzymiej większości wypadków wyrzekają się ambicji zdobycia dla siebie większości wyborców, a jeżeli takie ambicje wyrażają, to czynią to bardziej dla zasady niż z przekonania. Starają się głównie oddziaływać na opinię, są przede wszystkim ośrodkami propagandowymi czy apostołskimi.

Partia „trzecia”, starając się o to, aby znów stać się koalicją, musi uciekać się do metod takiego samego oportunistu, jaki zarzucała partiom tradycyjnym. Na ogół też, przy największych swoich ambicjach, nie zamyka przed sobą drogi powrotu do partii, którą porzuciła. Wie o tym, że w Stanach Zjednoczonych hasła, głoszone przez partie „mniejsze”, w jakiś sposób w końcu trafiają do programów wielkich partii. Jeżeli partia tradycyjna przyjmie coś z programu dysydentów, gotowi są do niej powrócić. Teodor Roosevelt przez cały czas swej akcji rozłamowej zostawił sobie jakąś furtkę powrotu do Republikanów. Wallace

---

4. Lippmann, Preface... Str. 258-259. Również Mowry, op. cit. Str. 280. O programie Roosevelta krytycznie pisze White, który brał czynny udział w kampanii pro-rooseveltowskiej. Autobiografia, str. 465-466.

długi czas nie chciał zrywać z Demokratami, a nawet po formalnym rozłamie nie wszystkie nici, łączące go z dawną partią, były potargane. Partia „trzecia” wie, jak małe są szanse jej zwycięstwa wyborczego. Ale wie również, że jeśli zdobędzie pokazną liczbę głosów w wyborach, to, choć poniesie porażkę, będzie miała w ręku aktywa, ułatwiające jej nie tylko powrót do starej partii, lecz również i narzucenie jej warunków. Zwłaszcza gdy ta ostatnia — jak to było z Republikanami w roku 1912 — poniesie jeszcze większą klęskę wyborczą. Porażka, jaką Wallace poniósł w roku 1948, była tak wielka, że Demokraci nie mieli żadnej racji liczenia się z tymi dysydentami. Tym ostatnim nie pozostawało nic innego jak pokornie wrócić do dawnej partii.

Te wszystkie okoliczności sprawiają, że — z wyjątkiem Partii Republikańskiej, o ile ją uznamy za partię „trzecią” — żadna z tych grup nie okazała się długotrwała. Powstawały one jako następstwa i przejawy kryzysów w partiach tradycyjnych. Były wyrazami protestu jakichś grup niezadowolonych. Ale gdy partia tradycyjna odbudowywała swą równowagę wewnętrzną, partia „trzecia” traciła rację swego istnienia i wracała do macierzy. Innymi słowy — partia „trzecia” jest w Stanach Zjednoczonych nie tylko następstwem kryzysu wewnętrznopartyjnego, ale i narzędziem jego przewyciężenia. Odejście Teodora Roosevelta pociągnęło za sobą klęskę Tafta w roku 1912. Ale po ośmiu latach Partia Republikańska była na tyle odbudowana, że zdołała przewyciężyć rewoltę La Follette’a i bez przerwy utrzymywała się u władzy aż do roku 1932. A i Partia Demokratyczna dość łatwo uporała się z rewoltą Wallace’a. Rewolta ta w ostatecznym wyniku wpłynęła na skonsolidowanie się w szeregach demokratycznych grup liberalnych, społecznie radykalnych ale zdecydowanie antykomunistycznych.

### 3. Partie szukają równowagi wewnętrznej

Od czasu prezydentury Granta układ sił koalicyjnych w Partii Republikańskiej da się, z gruba rzecz biorąc, przedstawić w sposób następujący: jest to sojusz zamożniejszych farmerów, głównie Środkowego Zachodu,

i świata wielkich interesów przemysłowo-bankowych. Masową jednak podstawę GOP tworzą zamożniejsze, konserwatywne elementy tego olbrzymiego zbiorowiska ludzkiego, które w Ameryce nazywa się „klasą średnią”. W miasteczkach Nowej Anglii czy Środkowego Zachodu, aby mieć markę osoby „lepszej”, „godnej szacunku” (*respectable*), trzeba być znanym ze swych przekonań republikańskich. To, co w angielskiej mowie potocznej określane jest jako „*respectability*”, ma w sympatiach dla Świetnej Starej Partii swój składnik o bardzo dużym znaczeniu. Opierając się na małomiasteczkowej „średniej klasie”, republikańska koalicja *businessu* i farmerów stała się synonimem solidnego konserwatyizmu (choć nie koniecznie — obskurantyzmu!), umiarkowanego izolacjonizmu, wewnątrz-krajowego ekspansjonizmu i optymizmu. Gdy po pierwszej wojnie światowej z partii tej padło hasło „powrotu do stosunków normalnych” (*back to normalcy*), znalazło ono żywy oddźwięk zarówno na Wall Street, jak na farmach Środkowego Zachodu czy w solidnych miasteczkach przemysłowych Nowej Anglii. Inna rzecz, że te „stosunki normalne” okazały się fikcją i że zamiast nich przyszła katastrofa roku 1929.

A jednak Świetna Stara Partia była daleka od stanu tej równowagi wewnętrznej, bez której żadna koalicja istnieć nie może, zwłaszcza — amerykańska koalicja partyjna. W Partii Republikańskiej spotkali się ze sobą farmerzy i wielcy bankierzy czy przemysłowcy. Farmer amerykański, najbardziej konserwatywny, nie ma zaufania do wielkomiejskich bankierów, których ciężka ręka spoczywa na jego hipotece i którym musi płacić odsetki. Nie ma zaufania do przemysłowców i spekulantów wielkomiejskich, którzy śrubują ceny artykułów przemysłowych i prowadzą politykę obniżania cen artykułów rolniczych. Farmer amerykański jest zwolennikiem staromodnego kapitalizmu, w którym mały samodzielny producent może żyć spokojnie bez niebezpieczeństwa ze strony monopolistycznych gigantów. Tak zresztą czuje mniejszy rolnik i poza Stanami Zjednoczonymi.

Z tych źródeł historycznie wypływał ten nurt liberalny, jaki stale istnieje w Partii Republikańskiej. Stany zachodnie, Północna Dakota, Vermont — to ważne ośrodki tego farmerskiego liberalnego republikanizmu. Udziela się

on jednak i Środkowemu Zachodowi, zwłaszcza gdy na tamtejszego farmera przychodzą ciężkie czasy.

Bezpośrednio po Wojnie Domowej w Partii Republikańskiej istniał stan równowagi między skrzydłem radykalno-farmerskim a konserwatywno-wielkokapitalistycznym. Szybko jednak szale zaczęły się wyraźnie przechylać na stronę big businessu. Nastąpiło to ostatecznie za prezydentury McKinley'a, gdy dyktatorem w Świetnej Starej Partii stał się Senator z Ohio Marcus Alonzo Hanna. Polityk ten, który w swej osobie łączył wszelkie właściwości typowego bossa partyjnego i wielkiego potentata przemysłowego, stał się patronem małżeństwa między GOP i big businesssem. Za jego czasów Partia Republikańska stała się polityczną wykładnią amerykańskiego świata wielkich interesów<sup>5</sup>.

Ale to naruszało ten stan równowagi, jakiego wymagała koalicja z farmerami. Od początku wieku XX Partia Republikańska wchodzi w stan kryzysu. Szczególnie ostro zaznaczył się on w roku 1912, gdy Teodor Roosevelt stanął na czele dysydentów i ubiegał się o prezydenturę z ramienia nowoutworzonej Partii Postępowej. Partia Republikańska poniosła wtedy kolosalną klęskę, zwycięstwo zaś przypadło Wilsonowi i Demokratom. W dwanaście lat później w GOP doszło do nowej rewolty farmerskiej. W roku 1924 Robert La Follette, Senator i radykalny przywódca farmerski ze stanu Wisconsin, zerwał z Republikanami i wystąpił jako samodzielny kandydat przeciw Hooverowi. Jednakże, jakkolwiek La Follette zebrał prawie pięć milionów głosów, impreza jego zakończyła się jeszcze gorzej niż próba Teodora Roosevelta. Hoover, wykorzystując niepopularność na Południu swego demokratycznego kontrkandydata Alfreda Smith'a, odniósł świetne zwycięstwo, a ruch La Follette'a bardzo szybko zaczął opadać. Malkontenci zaczęli powracać do Partii Republikańskiej i tylko w stanach Wisconsin i Indiana resztki partii La Follette'a przetrwały prawie aż do naszych czasów, by w końcu powrócić do macierzy. Partia Republikańska zdołała uporać się z rozłamami i zachować stan jakiejś takiej równowagi wewnętrznej.

---

5. Morison i Commager, op. cit. Tom II, str. 257 i nast. Również Thomas Beer, op. cit., oraz Herbert Croly, MARCUS ALONZO HANNA. New York, 1913.

Sprzyjały temu i zmiany, jakie dawały się zauważyć w wielkokapitalistycznej części GOP. Tu do głosu dochodziło młodsze pokolenie, w swych poglądach na business odchodzące od filozofii starszej generacji. Utwierdzało się w nim przekonanie, że z doświadczeń New Deal'u trzeba wyciągnąć określone wnioski, że kapitalizm amerykański, aby wytrzymać próbę czasu, musi ulec głębszej modernizacji. Głoszono tu ideę współpracy ze związkami zawodowymi, godzono się na zasadnicze ich postulaty. Grupy młodsze nie sprzeciwiały się umiarkowanym reformom w zakresie ustawodawstwa pracy, przeciwnie — nieraz same je popierały.

To liberalne skrzydło GOP miało przeciw sobie skrzydło skrajnie konserwatywne, reprezentujące ideały minionej epoki. Republikański liberalizm okazał się jednak na tyle silny, że w roku 1940 potrafił, wbrew konserwatywnym maszynom, narzucić partii kandydaturę Willkie'go. W roku 1952 i ponownie w roku 1956 kandydatem tego skrzydła był generał Eisenhower. Jeżeli w roku 1952 kandydatura Eisenhowera natrafiała jeszcze na sprzeciwy konserwatywnych Republikańców, to w roku 1956 sprzeciwy te były już tak słabe, że nie uwidoczniły się wyraźnie na konwencji w Chicago.

Nie oznacza to, aby konserwatywne skrzydło Partii Republikańskiej skapitulowało. Istnieje ono nadal i zwłaszcza w Kongresie jest bardzo silne. Wytworzył się jednak stan równowagi, umożliwiający istnienie i działanie Świetnej Starej Partii. Że tak jest, o tym najlepiej powiedziała sprawa Senatora McCarthy. Ten ambitny, w środkach nie przebierający polityk z Wisconsin usiłował pod płaszczem walki z komunistami przeprowadzić kampanię o opanowanie Partii Republikańskiej. Była ona przede wszystkim wymierzona przeciw grupom liberalnym. McCarthy jednak był pozbawiony talentów organizatorskich, a poza tym program jego był czysto negatywny. Rezultatem jego akcji było skonsolidowanie się elementów liberalnych i przyzwolonych konserwatywnych, oburzonych na metody Senatora z Wisconsin. McCarthy szybko stracił popularność, poniósł szereg bolesnych dla siebie porażek i stał się epizodem — jednym z bardzo wielu — w amerykańskiej historii politycznej.



Wielokrotne kryzysy były również udziałem Demokratów. Od końca wieku XIX partia ta była koalicją plantatorskiego Południa i maszyn wielkich miast przemysłowych. Dominowały tu wpływy południowe, którym chętnie ulegały oportunistyczne i skorumpowane maszyny miejskie. Ale równocześnie w Partii Demokratycznej stał istniał nurt liberalny, mocno podkreślający swój związek z tradycjami jeffersonowsko-jacksonowskimi. W miastach przemysłowych miał on swą bazę w robotnikach, którzy, choć ulegając maszynom, nieraz wyrażali swe niezadowolenie z istniejących stosunków ekonomicznych. Radykalizm farmerski, który w osobie Bryana znalazł sobie wybitnego przywódcę, był dalszym składnikiem tego nurtu.

Dla demokratycznego liberalizmu ważnym momentem było zwycięstwo Wilsona. Liberalizm tego Prezydenta nie był zdeklarowany ani wolny od sprzeczności. Niemniej jednak Wilson w swej polityce trzymał się raczej linii liberalnej i dawał ujście dla postępowych grup w Partii Demokratycznej. Prezydentura Wilsona bardzo też wzmożyła prądy liberalne wśród Demokratów. W roku 1928 prądy te były tak mocne, że wbrew opozycji Południa wysunęły jako demokratycznego kandydata na Prezydenta ówczesnego Gubernatora nowojorskiego Alfreda E. Smith'a. A był to godny przedstawiciel najlepszej tradycji jeffersonowskiego liberalizmu. Był on też znany ze swej życzliwości dla postulatów robotniczych i w kandydaturze jego można było widzieć dowód podnoszenia się znaczenia świata pracy w Partii Demokratycznej.

Jednakże Smith przegrał. Ciężyły na nim trzy grzechy: był katolikiem, liberałem i wrogiem prohibicji. Demokratyczne Południe zwróciło się przeciw Smith'owi.

Ale w cztery lata po tej klęsce demokratyczny liberalizm odniósł wspaniałe zwycięstwo — Franklin Delano Roosevelt został Prezydentem Stanów Zjednoczonych. Była to jednak dość specyficzne zwycięstwo. Liberalowie — powiada Harold Laski — „odnieśli w roku 1932 wielkie zwycięstwo, ale przyzwoitość nakazuje stwierdzić, że w roku tym każdy sensowny kandydat demokratyczny musiał odnieść zwycięstwo”<sup>6</sup>. Decydował tu bowiem kryzys gospo-

6. Harold J. Laski w cyklu artykułów pt. „The American Political Scene”. The Nation, 1946.

darczy, który rozpaczą i zwątpieniem napelnił serca milionów Amerykanów. W Stanach Zjednoczonych fala pesymizmu i niezadowolenia stwarza pomyslnie szanse dla liberałów. A do tego w roku 1932 republikańskim kontrkandydatem Roosevelta był Herbert Hoover — Prezydent, za którego rządów kryzys wybuchnął. Prezydent, który nie umiał sobie poradzić z rozpaczliwą sytuacją. Wyborcy, głosując za Rooseveltem, głosowali przeciw Hooverowi, w którym widzieli człowieka odpowiedzialnego za katastrofę. W Stanach Zjednoczonych — jak zresztą i poza nimi — niejedyn wyborca, głosując za kimś, mówi przez to, że głosuje przeciw komuś...

Wieloletnie rządy Roosevelta wniosły zasadnicze zmiany do koalicji demokratycznej. New Deal był wielkim triumfem liberalizmu i to nie tylko demokratycznego. Przy Roosevelcie stanął teraz cały szereg dotąd republikańskich liberałów. Zubożyło to liberalizm w GOP, ale było znakomitym zastrzykiem nowych sił dla liberalizmu w Partii Demokratycznej. Jak za czasów Jeffersona i Jacksona, demokracizm stał się synonimem postępu, dążeń „przeciętnego człowieka”, polityki reform.

Rzecz znamienna, że w czasie swych dwóch pierwszych kadencji Roosevelt nie natrafił na zbyt poważne przeszkody ze strony konserwatywnego Południa. Oczywiście ogromna większość południowych przywódców nie miała serca dla New Deal'u. Ale czasy były takie, że nawet skrajnie konserwatywni południowi Demokraci woleli nie płynąć przeciw prądowi. Z drugiej strony, epoka Roosevelta przyniosła duże wzmoczenie się prądów liberalnych właśnie na Południu. Pojawili się tam ludzie nowi, młodszy, coraz śmielej przeciwstawiający się konserwatyzmowi starej generacji.

Niemniej ważne były zmiany, jakie w epoce rooseveltowskiej nastąpiły w strukturze koalicji demokratycznej. Rzeczą w tym najdonioślejszą było to, że do dawnej koalicji Południe-maszyny dołączył się nowy, trzeci samodzielny czynnik. Były nim związki zawodowe.

Roosevelt był doskonale świadom, że dotychczasowa koalicja nie wystarcza dla skutecznego przeprowadzenia reform New Deal'u. Koalicję trzeba było rozszerzyć, wprowadzić do niej nowe siły, specjalnie zainteresowane w reformach. Zorganizowany świat pracy logicznie narzucał

się jako taki partner, który da Demokratom i New Deal'owi właściwą podstawę masową.

W roku 1933, gdy Roosevelt rozpoczął swą pierwszą kadencję, amerykańskie związki zawodowe łącznie liczyły niecałe trzy miliony członków. W tym samym roku na 14 milionów oceniano ilość bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych. Słabość robotniczego ruchu zawodowego i ogrom bezrobocia wiele mówiły o sytuacji, w jakiej w roku 1933 znalazł się jeden z najbardziej uprzemysłowionych krajów świata.

W dużym stopniu odpowiedzialność za nikły udział mas robotniczych w ruchu zawodowym ponosiły te metody organizacyjne oraz towarzysząca im filozofia, jakie wyznaczały działalność Amerykańskiej Federacji Pracy (*American Federation of Labor — AFofL*), jedynej w owym czasie wielkiej centrali amerykańskiego ruchu robotniczo-zawodowego. Centrala ta, wierna wskazaniom swego wielkiego założyciela Samuela Gompersa, uwagę swoją całkowicie skierowała na robotników wysoce wykwalifikowanych, zostawiając na stronie masy niewykwalifikowane i niewyspecjalizowane. W AFofL skupiły się prawie wyłącznie słabe liczebnie związki branżowe, ideowe i organizacyjnie bliższe dawnym cechom niż nowoczesnym przemysłowym organizacjom zawodowym.

A tymczasem rozwój form produkcji wymagał powołania do życia innych typów robotniczych organizacji zawodowych. System branżowy nie odpowiadał potrzebom takich przemysłów, jak stalowy, automobilowy czy elektrotechniczny. W przemyśлах tych zatrudnione były miliony pracowników, dla których w Amerykańskiej Federacji Pracy nie było miejsca.

New Deal miał na celu społeczną modernizację kapitalizmu amerykańskiego. Roosevelt nie był radykałem czy rewolucjonistą. Jego osobista filozofia doskonale mieściła się w ramach tradycyjnych amerykańskich wzorów społecznych i ekonomicznych. Nie byli też radykałami czy rewolucjonistami ci liberałowie amerykańscy, którzy poszli za Rooseveltem i w New Deal'u znaleźli swój program działania. New Deal nie walczył z kapitalizmem. Ale New Deal miał za przesłankę przekonanie, że dotychczasowe formy i treści kapitalizmu amerykańskiego nie dadzą się utrzymać, że dla ratowania samego kapitalizmu konieczne

są jakieś zmiany. Katastrofa roku 1929 i lat następnych obnażyła słabe strony ekonomicznej organizacji społeczeństwa Stanów Zjednoczonych, wykazała, że niejedno w niej jest anachronizmem. Amerykańska Federacja Pracy i słaby udział robotników w ruchu zawodowym były tego dowodami. W przekonaniu Roosevelta powstanie w Stanach Zjednoczonych silnego zawodowego ruchu robotniczego było jednym z warunków społecznej modernizacji kapitalizmu amerykańskiego.

Było to potrzebne i dla względów czysto politycznych. Dwa momenty wchodziły tu w grę. Roosevelt w silnych organizacjach robotniczych chciał mieć czynnik równowagi w stosunku zarówno do big businessu jak i reakcyjnego Południa, a następnie — skupienie głosów robotniczych przy Partii Demokratycznej dawało tej ostatniej wyraźną przewagę nad jej republikańską rywalką.

Reformizm socjalny oddawna dominował w liberalizmie amerykańskim. Liberalizm ten odrzucał konserwatywną definicję, że praca jest towarem, którego cena jest określana przez sytuację rynkową. W przekonaniu ludzi, którzy tworzyli New Deal, cały amerykański system gospodarczy był podważony przez panowanie monopolii, przez brutalną eksploatację przez nie zarówno bogactw naturalnych jak i człowieka. System równowagi w amerykańskim układzie gospodarczym był naruszony. Dla przywrócenia go potrzebna była jakaś przeciwwaga dla monopolistycznego big businessu. Dać ją mógł tylko silny, dobrze zorganizowany świat pracy. New Deal nie był koncepcją marksistowską. Jego filozofia opierała się na przesłance solidaryzmu społecznego, przyjmowała celowość i możliwość stanu harmonii między klasami. Ale dla tej harmonii potrzebni byli równorzędni partnerzy. I dlatego konieczny był potężny partner robotniczy.

Taki partner był również konieczny i dla Partii Demokratycznej — partii New Deal'u. Roosevelt był przede wszystkim politykiem, przywódcą swej partii. A w partii tej nie było stanu równowagi. Jej liberalne skrzydło miało przeciw sobie potężne Południe i niemiernie potężne północne maszyny. Południe przyjęło New Deal, bowiem w warunkach katastrofy gospodarczej nie przyjąć go nie mogło. Ale była to koncesja chwilowa, nie zaś zasadnicza rewizja stanowiska. Maszyny zaś były zawsze niepowinym

sojusznikiem. Były oportunistyczne i cyniczne. Demokracjoni liberałowie musieli mieć dla siebie jakieś zaplecze, jakąś bazę masową.

Z tym łączyła się sprawa głosów. Republikanie mogli liczyć na głosy Środkowego Zachodu, części Zachodu, części Północy i pewnych stanów Nowej Anglii. Demokraci byli pewni tylko Południa i wielkich miast przemysłowych. W głosowaniu powszechnym margines między stanem posiadania Republikanów i Demokratów nie był wielki. Nie był on wielki nawet w latach dotkliwych klęsk wyborczych. W roku 1928 przy 36 milionach głosujących przewaga Hoovera nad Smithem wyraziła się w 7 milionach głosów. W roku 1932 przy 59 milionach głosujących Roosevelt swe zwycięstwo zawdzięczał również nadwyżce 7 milionów głosów. W innych latach różnice były znacznie mniejsze. W roku 1944 różnica między Rooseveltem a Dewey'em sprowadziła się tylko do 3 milionów głosów.

Analiza statystyk wyborczych wykazywała, że o wynikach decydują głosy wielkich miast przemysłowych. Mówiło to o głębokich przemianach, jakie w wieku XX nastąpiły w amerykańskiej geografii i socjologii wyborczej. Kolosalny rozwój przemysłu, powstanie wielkich ośrodków industrialnych, zaczęły przechylać szalę na stronę metropolii przemysłowych. Agrarna Ameryka, Ameryka Konstytucji roku 1787, należała do przeszłości. Przewaga, jaką Konstytucja starała się zapewnić okręgom agrarnym, nie mogła być utrzymana wobec faktu industrializacji Unii.

Partia, która by na stałe umiała zdobyć dla siebie głosy miejskie w całym kraju, mogła być pewna swych zwycięstw wyborczych. Obie też partie od dawna zabiegały o głosy robotników przemysłowych, Samuel Gompers — wielki wódz Amerykańskiej Federacji Pracy — częściej popierał Republikanów niż Demokratów. Ale wśród robotników — zwłaszcza wśród mas wychodźczych — dominowały sympatie demokratyczne. New Deal był tu dodatkową siłą atrakcyjną. Głosy te jednak były zależne od maszyn, były nieorganizowane, nieraz w swych nastrojach kapryśne. Przy całym swym ilościowym znaczeniu robotnicy byli marginesem w polityce amerykańskiej i w Partii Demokratycznej.

Ludzie New Deal'u byli wytrawnymi politykami. Rozumieli, że w interesie liberalizmu demokratycznego a i sa-

mej Partii Demokratycznej leżało, by robotnicy przestali być marginesem, by weszli do koalicji jako siła zorganizowana. To mogło dać Demokratom stanowczą przewagę nad Republikanami.

Na tym tle od roku 1932 następują olbrzymie zmiany w amerykańskim ruchu robotniczym. Bodźcem stał się tu szereg reform, jakie New Deal zainicjował i wprowadził w życie. Wiosną roku 1933 Kongres uchwalił *National Industrial Recovery Act (NIRA)*, którego słynna siódma sekcja gwarantowała pracownikom prawo zrzeszania się w związki zawodowe z własnego wyboru oraz prawo zawierania umów zbiorowych z przedsiębiorcami. Jakkolwiek w roku 1935 Sąd Najwyższy uznał ten akt za niezgodny z Konstytucją i nieważny, to wkrótce po tym uchwalona przez Kongres nowa ustawa — tak zwany Akt Wagnera — zawarła w sobie wszystkie istotne postanowienia siódmej sekcji NIRA, rozszerzając równocześnie zakres działalności związków zawodowych jako prawnie uznanej reprezentacji robotników amerykańskich. Akt Wagnera stał się Wielką Kartą Wolności amerykańskiego świata pracy i potężnym bodźcem dla organizowania się robotników. Po Akcie Wagnera przyszły dalsze ustawy, które dały robotnikom poważne zdobycze i wzmocniły pozycję związków zawodowych. A więc — *Social Security Act*, po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych wprowadzający pomoc federalną dla bezrobotnych. Akt Byrnes'a, uniemożliwiający przedsiębiorcom stosowanie środków terroru wobec strajkujących robotników. *Wage-Hour Law*, ograniczający pracę małoletnich i przynoszący w wielu kategoriach przedsiębiorstw czterdziestogodzinny tydzień roboczy itd.

Do związków zawodowych zaczęli teraz masowo napływać nowi członkowie, zaczęły się organizować działy produkcji dotąd niezorganizowane.

Istniała tu jednak poważna trudność. Była nią Amerykańska Federacja Pracy z jej archaicznymi metodami organizacyjnymi, z jej niechętnym stosunkiem do pracowników niewyspecjalizowanych. Ponadto choroby „bosizmu” i korupcji — tak pospolite w Ameryce — trawiły organizm AFofL.

Szczególnie ostro zaznaczył się konflikt między kierownictwem Federacji a grupą związków, przeważnie nowych,

które przyjęły zasadę organizowania wszystkich robotników danej gałęzi produkcji bez względu na specjalizację. Związki te — przyjęła się dla nich nazwa związków „przemysłowych” — powstawały w tych działach produkcji, które rozwinęły się stosunkowo niedawno w wyniku nowych osiągnięć technologicznych i organizacyjnych gospodarki Stanów Zjednoczonych. Były to związki górników, przemysłu automobilowego, stalowego, naftowego, elektrotechnicznego itd. Związki te stale rosły w liczbę członków, a kierowane były przez młodych i energicznych przywódców.

Walka pomiędzy związkami branżowymi a „przemysłowymi” przybierała coraz bardziej dramatyczne formy. W listopadzie roku 1935 prezydenci ośmiu związków „przemysłowych” utworzyli osobny komitet, do którego wkrótce przyłączyły się dalsze związki. Był to już początek rozłamu. Próby zażegnania go nie dawały wyników i w roku 1938 powstała nowa centrala zawodowa, nosząca nazwę Kongresu Organizacji Przemysłowych (*Congress of Industrial Organizations — CIO*). Nowa centrala w osobach Filipa Murray'a i Sidneya Hillmana znalazła kierowników wyjątkowo utalentowanych, o wyraźnych uzdolnieniach organizacyjnych i politycznych. Później na czoło CIO wysunął się Walter Reuther, wybitny przywódca robotników przemysłu automobilowego. Rozłam trwał długo i dopiero w roku 1955 nastąpiło połączenie się obu central (AFL-CIO).

W roku 1940 amerykańskie związki zawodowe liczyły łącznie 8,5 miliona członków. W roku 1946 liczba ta urosła do 15 milionów. Przypominamy, że w roku 1933 wszystkie amerykańskie związki zawodowe (w Stanach Zjednoczonych są również związki „niezależne”, niezwiązane z wielkimi centralami) skupiały mniej niż trzy miliony robotników. Postęp był więc kolosalny.

Dziełem Murray'a i Hillmana z jednej strony a Roosevelta z drugiej był sojusz między Partią Demokratyczną, a amerykańskim światem pracy. Sojusz ten trzeba rozumieć na sposób czysto amerykański. Obu centralom zawodowym obce były te filozofie społeczno-polityczne, jakie wyznaczały historię ruchów robotniczych w Starym Świecie. Albowiem filozofie te były obce robotnikom amerykańskim. W tej demokracji plebejskiej, jaka powstała w Stanach

Zjednoczonych, nie było i być nie mogło miejsca na to, co w starej Europie określane było jako klasowa świadomość proletariatu. Robotnik amerykański nie czuł się proletariuszem. Społeczeństwo amerykańskie nie przejęło po feudalizmie tych mierników społecznych, jakie cechowały życie Europy. Zasadniczym miernikiem był w Ameryce sukces, wyrażony w dochodzie i stopie życiowej. Robotnik amerykański — razem z całym społeczeństwem — przyjmował ten miernik i jako swój naczelny cel stawiał osiągnięcie jak najwyższej stopy życiowej w ramach panującego systemu gospodarczego. Nie uważał się za kogoś zasadniczo odmiennego od innych grup społecznych. Najczęściej mówił o sobie jako o członku „klasy średniej”. Dążył do tego samego, do czego dążyły miliony jego współobywateli. Związek zawodowy przyjmował jako niezmiernie cenne narzędzie osiągnięcia swego zasadniczego celu — jak najwyższego poziomu życiowego. I pod takim to kątem widzenia patrzył na sojusz z Demokratami. I dla niego — jak dla każdego przeciętnego Amerykanina — polityka była środkiem urzeczywistniania celów gospodarczych.

Ale polityka była czymś bardzo ważnym. CIO — a za nim i AFofL — wytrwale dążyło do upolitycznienia swych członków. Nie było w tym jednak nawet myśli o tworzeniu jakiejś samodzielnej partii robotniczej, wzorującej się choćby na Brytyjskiej Partii Pracy wczesnego okresu jej dziejów. O wiele bardziej celowe było osiąganie celów robotniczych w ramach koalicji demokratycznej. Tu jednak potrzebny był jakiś organ polityczny, któryby — koordynując wystąpienia związków — stał się polityczną reprezentacją na zewnątrz. Próby takie, parokrotnie podejmowane, doprowadziły w lipcu roku 1943 do powstania Komitetu Akcji Politycznej (*Political Action Committee — PAC*), kierowanego przez Hillmana. PAC stał się ważnym czynnikiem kampanii wyborczej roku 1944 i w roku 1948 przyczynił się do zwycięstwa Trumana.

Hillman stał się wybitną postacią w Partii Demokratycznej. Darzony osobistą przyjaźnią Roosevelta, ten przywódca robotników krawieckich miał potężny wpływ na politykę amerykańską, zwłaszcza w czasie trzeciej kadencji Roosevelta. Hillman przyczynił się do tego, że i Amerykańska Federacja Pracy przeszła do obozu Roosevelta. W koalicji demokratycznej obie rywalizujące centrale za-



wodowe — CIO i AFofL — zgodnie reprezentowały udział robotniczego partnera.

W taki sposób za Roosevelta Partia Demokratyczna stała się koalicją trzech sił: Południa, maszyn partyjnych i zorganizowanego świata pracy. W oczach cudzoziemca było to zaiste dziwaczne połączenie. Ale nie w oczach Amerykanina. Koalicja była utrzymana i stan równowagi w jej obrębie zachowany. A że koalicja ta działała sprawnie, o tym świadczyły sukcesy polityki Roosevelta i jego zwycięstwa wyborcze.

Nie była to jednak równowaga doskonała, a i w samej koalicji działały siły odśrodkowe. Możliwości kryzysu istniały tu stale.

#### 4. Równowaga — zachwiana i przywrócona

„Żaden poważny obserwator nie jest uprawniony do wyciągania z konserwatywnego charakteru Partii Republikańskiej wniosku, że Partia Demokratyczna stanowi jakąś liberalną alternatywę. Rdzeniem Partii Demokratycznej jest nadal Południe (*solid South*). Wszystko zaś świadczy o tym, że Południe — pomijając nieliczne wyjątki — jest co najmniej tak konserwatywne jak ogromna większość Partii Republikańskiej... Prezydent Roosevelt umiał utrzymać przy sobie wielkie miasta — New York, Chicago, Boston. Nie sądzę jednak, by przesadą było powiedzieć, że poparcie, jakiego mu w tych miastach udzielały demokratyczne masy, było natury personalnej i że, uzyskując to poparcie, musiał on wzamian za możliwość wykonywania swego patronatu i wydawania swych decyzji zamykać oczy na obyczaje ludzi w rodzaju mayora miasta Jersey City Hague'a, człowieka, którego postępowanie bardziej odpowiadało hitlerowskiemu Gauleiterowi, niż temu, czego wypadałoby oczekiwać od zwolennika *New Deal*”<sup>7</sup>. Ten dłuższy ustęp, pochodzący od Harolda Laski, trafnie ujmuje wewnętrzne słabości demokratycznej koalicji w okresie prezydentury Franklina Roosevelta.

Laski równocześnie podkreśla, że jeżeli liberałowie i związki zawodowe w tym okresie szli razem z Partią De-

7. Laski, *ibid.* Str. 582.

mokratyczną, to nie czynili tego ze względu na obiektywne właściwości tej partii. Decydowała tu osoba i polityka jej przywódcy — Roosevelta. Był to stosunek czysto *personalny*, wynikający z zaufania, jakim masy darzyły Prezydenta, wynikający z programu, jaki on posiadał, z uroku, jaki wywierał. Tylko dzięki osobistym właściwościom Roosevelta mogła się utrzymać ta zdumiewająca koalicja, która w jednym zespole zebrała liberałów wszelkich odcieni, robotników CIO i AFofL, reakcyjnych Południowców i skorpumpowane maszyny wielkomiejskie. Że taka koalicja mogła powstać, to było zasługą katastrofy roku 1929. Ale że mogła się utrzymać, że przez tyle lat mogła sprawnie funkcjonować, to już było indywidualną zasługą jej niezwykłego wodza.

W dziejach Stanów Zjednoczonych niewiele znajduje się ludzi, którzy by w stopniu takim jak Franklin Roosevelt czynili zadość amerykańskiemu ideałowi przywódcy politycznego. Roosevelt znał swój naród, znał jego słabe i mocne strony. Rozumiał też doskonale polityczną historię tego narodu. Nikt od niego lepiej nie opanował sztuki stwarzania stanu równowagi (*check and balance*), nikt nie był doskonalszym od niego mistrzem manewru politycznego, umiejętności operowania ludźmi, ich słabościami i ambicjami. Wystarczy czytać wspomnienia osób z jego otoczenia, by ocenić wyjątkowe uzdolnienia psychologiczne i taktyczne tego niezwykłego człowieka.

Działalność Roosevelta jest doskonałym przykładem tej kolosalnej roli, jaką w życiu amerykańskiej demokracji mogą odgrywać jednostki przywódcze. Cały system polityczny Stanów Zjednoczonych stwarza wyjątkowe możliwości dla takich jednostek. Ale równocześnie cała praktyka polityki amerykańskiej idzie w kierunku przeznaczania dla funkcji przywódczych jednostek miernych, nie wyróżniających się, nie będących indywidualnościami. *Jest to jedna z podstawowych antynomii życia amerykańskiego.* Z jednej strony Konstytucja, system partyjny, federalizm, indywidualizm gospodarczy i polityczny, narzucają narodowi amerykańskiemu konieczność posiadania jednostek przywódczych, obdarzonych wielkim autorytetem i szerokimi uprawnieniami. W tym samym kierunku idzie amerykański kult herosów, amerykańska wiara w sukces osobisty, amerykańskie szukanie możliwych patronów. Ale rów-

nocześnie występuje tu dążenie do zrównoważenia funkcji przywódczych przez promowanie na stanowiska kierownicze ludzi małego kalibru, sympatycznych, ale nie wybitnych, nie dominujących nad ogółem obywateli Unii. Takie zresztą tendencje występowały i w innych demokracjach, żeby tylko wymienić demokracje starożytnej Grecji.

Wśród prezydentów Unii wybitne postacie zjawiały się tylko w momentach przełomowych dla narodu amerykańskiego. W sytuacjach wyjątkowych umiał on znaleźć Jeffersona, Jacksona, Lincolna i Franklina Roosevelta. Ale gdy niebezpieczeństwo mijało, Ameryka chętnie zwracała się do ludzi mniejszego kalibru. Najgorsze zaś było to, że ci następcy po swych poprzednikach w spadku otrzymywali zadania kolosalne, przekraczające ich siły i możliwości. Tak było i ze spadkiem po Rooseveltcie.

Harry Truman nie był postacią małą. Dziś, gdy na rządu jego patrzy się z perspektywy czasu, można obiektywniej ocenić walory tego Prezydenta. Był to człowiek uczciwy, rozumny, energiczny, oddany swym obowiązkom. Bojowy liberał, chciał walczyć o swe ideały i rzeczywiście o nie walczył. Miał też znaczny urok osobisty, który specjalnie przemawiał do „małych” ludzi, czyli do tych, którzy stanowią rdzeń Ameryki. Był ogromnie popularny wśród robotników, którzy w Prezydencie widzieli obrońcę swych interesów. Truman był też doskonale obznajmiony z regułami i praktyką amerykańskiej gry partyjno-politycznej.

Nieszczęściem było to, że zadania, jakie spadły na Trumana, były rzeczywiście wyjątkowych rozmiarów. Roosevelt swemu następcy zostawił spadek nie byle jaki. Był to spadek New Deal'u i spadek udziału Ameryki w drugiej wojnie światowej. I był to obowiązek kierowania tak skomplikowaną koalicją, jaką była teraz Partia Demokratyczna. Spadek tym trudniejszy, że Roosevelt prowadził politykę wybitnie osobistą, samodzielnie podejmując najważniejsze decyzje. Pomocnicy Roosevelta zawsze odgrywali rolę drugorzędne. Byli nie tyle doradcami Prezydenta czy jego współpracownikami, ile wykonawcami jego zarządzeń. Najwybitniejsze osobistości z otoczenia Roosevelta nie były wtajemniczone w szereg podstawowych decyzji, odnoszących się do dziedzin, które im formalnie podlegały.

Truman miał przeciw sobie potężną opozycję republi-

kańską. Świetna Stara Partia, przez tyle lat pozostająca w cieniu, teraz, gdy Roosevelta już nie było, czekała na swój odwet. Z pomocą jej szła fala konserwatyzmu, jaka po wojnie przeszła po Ameryce. Ameryka fałę taką poznała i po roku 1918. Truman — bojowy liberał — nie pasował do tych nastrojów, jakimi po zwycięskiej wojnie żyła Ameryka. Wybory roku 1946 dały Republikanom większość w Kongresie, a w samej Partii Demokratycznej — porażkę skrzydłu liberalnemu. Prezydent w swej własnej partii miał siły, które szły przeciwko niemu. W takich warunkach przywódca partynny musiałby się wykazać i wyjątkowym autorytetem osobistym i wyjątkowym kunsztem ekwilibrystyki organizacyjnej. Tego Truman nie posiadał. Nie umiał zatrzymać ani przewyciężyć kryzysu, przez który za jego czasów przeszła Partia Demokratyczna.

W koalicji demokratycznej dwie siły były przeciwko Trumanowi — skrajna prawica i skrajna lewica. Z dwóch tych sił poważniejszym przeciwnikiem była pierwsza. Truman musiał stoczyć ciężką walkę z konserwatywnymi Południowcami.

W zakresie polityki społecznej i gospodarczej południowi Demokraci mieli znacznie więcej wspólnego z konserwatywnymi Republikanami niż ze swymi liberalnymi kolegami z Północy. W roku 1946 w Kongresie powstaje zwarty blok republikańsko-południowy, stawiający sobie za cel likwidowanie osiągnięć ery New Deal'u. Hasłem był tu powrót do stosunków „normalnych”, do zasad „zdrowej” gospodarki, do najszybszego zlikwidowania okresu wojennego bez względu na to, co się dzieje na świecie. Jako hasło ogólne odpowiadało to nastrojom społeczeństwa, zmęczonego wojną i marzącego — jak po roku 1918 — o powrocie do „normalnego” życia. Gorzej jednak było, gdy od ogólnika przeszło się do konkretnej realizacji owej „zdrowej” gospodarki. W praktyce bowiem oznaczało to niespełnienie przez Kongres tego, czego obywatele pragnęli i czego się od swego przedstawicielstwa spodziewali.

Powrót do stosunków „normalnych” nie był przecież niczym innym, jak wzmożeniem inflacji, zlekceważeniem zadań obrony narodowej (demobilizację przeprowadzono tak całkowicie i gwałtownie, że Stany Zjednoczone były faktycznie bezbronne), nieudzielaniem pomocy ze skarbu federalnego dla różnych akcji społecznych (pomoc dla by-

łych żołnierzy, budownictwo domów mieszkalnych itp.), ograniczaniem praw związków zawodowych itd. Ale New Deal dokonał w życiu amerykańskim i w umysłowości amerykańskiej zmian bardzo zasadniczych. Obywatel, nawet sarkający na New Deal, nawet konserwatywnie nastrojony, przywykł do reform i nauczył się je cenić. Tymczasem teraz Kongres pragnął powrotu do stosunków sprzed New Deal'u, lekceważąc jednocześnie te troski, jakie dla obywateli zrodziły się z warunków życia powojennego.

Truman konsekwentnie i wytrwale walczył z taką polityką Kongresu. Ponościł jednak porażkę po porażce. Duża część Demokratów była przeciw niemu. Wewnętrzny kryzys w Partii Demokratycznej pogłębiał się i zaostrzał. Niewątpliwie skrzydło liberalne stało po stronie Prezydenta. Ale skrzydło to było słabe. Co zaś gorzej, nie było ono jednolite. I tu bowiem partii zagrażał rozłam.

W każdym razie w okresie 1946-1952 stosunki między prawym i lewym skrzydłem Partii Demokratycznej były napięte i nieraz na granicy faktycznego rozłamu. Że do właściwego rozłamu nie doszło, to było następstwem nie tyle przywiązania do tradycji, ile przeświadczenia, że rozłam taki w każdym wypadku będzie katastrofalny dla partii, że mimo wszystko koalicja ma coś do spełnienia i że wciąż zostawia miejsce dla walk i rozgrywek wewnętrznych. To sprawiło, że znaczna część Południa nie poszła razem z najbardziej nieprzejednaną grupą, która nie zaważała się przed rozłamem.

Chodziło tu o zagadnienie praw obywatelskich dla Murzynów. Truman był zdecydowanym obrońcą zasady faktycznego równouprawnienia Czarnej Ameryki. Do tego samego zmierzało liberalne skrzydło Partii Demokratycznej. Środkiem po temu miało być ustawodawstwo *federalne*, zwalczające dyskryminacje, jakie wobec czarnych Amerykanów były stosowane w stanach południowych. Południe natomiast twierdziło, że takie ustawodawstwo federalne byłoby naruszeniem praw stanowych, które jedynie są prawomocne stanowić o stosunkach między białymi i czarnymi obywatelami. Jak to już bywało w przeszłości Stanów Zjednoczonych, spór — formalnie rzecz biorąc — sprowadził się do starej kontrowersji „prawa stanów czy prawa Unii”.

W roku 1948 sytuacja uległa takiemu zaostrzeniu, że skrajne skrzydło południowe zerwało z Demokratami i jako Partia Praw Stanowych wystawiło własnego kandydata na Prezydenta. Była to raczej kandydatura demonstracyjna, której celem przede wszystkim było zaszkodzenie kandydaturze Trumana. Cel ten nie został osiągnięty, ale jedność Demokratów została zachwiana i sporo czasu musiało upłynąć zanim południowi malkontenci doszli do przekonania, że walkę o prawo stanów do „regulowania” stosunków rasowych lepiej jest prowadzić w obrębie tej dziwnej koalicji, jaka się zowie Partią Demokratyczną.

Bardziej głośny — choć w konsekwencji mniej groźny — był konflikt ze skrajnie lewym skrzydłem partii. I tu doszło do rozłamu, który nie tylko nie miał charakteru lokalnego, ale miał ambicję stworzenia „trzeciej” partii. Chodzi tu o rozłam, którego wodzem i bohaterem był Henry Wallace.

Rozłam ten był wyrazem fermentu na skrajnie liberalnym skrzydle Partii Demokratycznej. Demokratyczni liberałowie byli głęboko niezadowoleni z rozwoju wypadków zarówno w partii jak i w całym kraju. Wybory roku 1946 były przegraną nie tylko Demokratów, ale — i przede wszystkim — liberałów. W Kongresie rządziła koalicja republikańsko-południowa. W walce z nią Prezydent Truman ponosił ciągle porażki. Konflikt między południowymi konserwatystami a liberałami zaostrzał się z każdym dniem.

Do tego dołączały się rozbieżności w poglądach na amerykańską politykę zagraniczną. Rozpoczął się okres „zimnej wojny”. To znów spotykało się ze sprzeciwami wielu liberalnych Demokratów. Panowało tu przekonanie, że sojusz amerykańsko-sowiecki, powstały w czasie wojny, powinien i może być utrzymany w okresie powojennym. Polityka Trumana, jego słynna „doktryna”, stały się przedmiotem ostrej krytyki wielu liberałów, skądinąd bardzo dalekich od komunizmu.

Nie ulega też wątpliwości, że nastroje te były świadomie wyzyskiwane przez amerykańskich komunistów. Ten moment wymaga osobnego wyjaśnienia.

Amerykańska Partia Komunistyczna nigdy nie była ruchem masowym. Nie była nawet ruchem robotniczym we właściwym tego słowa znaczeniu. Klasowa filozofia komunistyczna nie przemawiała do robotnika amerykańskiego.

W rzeczywistości wyrażała ona to, co było mu najzupełniej obce. Sam uważał siebie za członka „klasy średniej”, przyjmował istniejący ustroj gospodarczy, walcząc jedynie o najlepsze wyzyskanie warunków tego ustroju dla własnych celów. Jeżeli w pewnych amerykańskich związkach zawodowych dawały się zauważyć wpływy komunistyczne, to były one wśród kierowników, nie zaś wśród mas zwykłych członków.

Komunizm amerykański był zjawiskiem inteligentkim. Dla intelektualistów, którzy poddawali się urokowi komunizmu, był on jedną z form protestu przeciw panującemu w życiu amerykańskim konformizmowi z jego specyficzną moralnością, zubożeniem wartości duchowych. Taki nurt protestu działał przez cały bieg dziejów narodu amerykańskiego. Znajdował on dla siebie różne ujścia. Jednym z nich w wieku XX stał się komunizm.

Filozofia komunistyczna pociągała wielu intelektualistów amerykańskich tym, że była nieortodoksyjna, że wyrażała protest. W okresie wielkiego kryzysu po roku 1929 wielu intelektualistów sądziło, że w komunizmie można będzie znaleźć rozwiązanie tragicznych trudności życia amerykańskiego. Później — w czasie wojny — do wyobraźni przemówiła walka Związku Sowieckiego z Niemcami, braterstwo broni amerykańsko-sowieckie, idea, że obu największym potęgom świata sądzono jest wspólne pokierowanie losami ludzkości. Jakaż bowiem mogła być alternatywa? — Nowa wojna światowa i nieuniknione zniszczenie ludzkości i jej dorobku.

Te motywy kierowały wielu intelektualistów amerykańskich do komunizmu. Ale to też było przyczyną słabości Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Ludzie, którzy szli do niej, uciekali przed konformizmem amerykańskiego życia zbiorowego. W komunizmie zaś znajdowali inny konformizm, jeszcze bezwzględniejszy, gdyż spotęgowany przez reguły sekciarskiej dyscypliny partyjnej i sekciarskiej filozofii. Nic też dziwnego, że tak szybko przychodziło rozczarowanie. Ilość byłych komunistów jest wśród intelektualistów amerykańskich bardzo znaczna, bez porównania większa niż ilość rzeczywistych i czynnych członków partii.

Ci byli komuniści odchodzili od partii zawiedzeni, rozczarowani, oburzeni. Bardzo wielu z nich dalszą swą działalność poświęcało walce z komunizmem. W wielu wypad-

kach epizod komunistyczny był źródłem głębokich i tragicznych wstrząsów moralnych. W wielu wypadkach miał on bolesne następstwa praktyczne dla ludzi, którzy przez niego przeszli.

W każdym razie inteligencja amerykańska była jedynym środowiskiem w Stanach Zjednoczonych, gdzie komuniści mieli jakiś dostęp, choćby nietrwały i czysto personalny. W roku 1948 dostęp ten był ułatwiony przez nastroje, jakie panowały wśród liberalnych intelektualistów amerykańskich. Moment ten miał poważne znaczenie w ruchu, któremu przewodniczył Henry Wallace.

Byłoby absurdem posądzać Wallace'a o komunizm. Ten typowy spadkobierca tradycji radykalnego liberalizmu amerykańskiego, natura religijna, niepozabawiona znacznej dozy mistycyzmu, był w swej filozofii i całej konstrukcji psychicznej bardzo daleki od komunizmu. Gorący pacyfista, przekonany, że „zimna wojna” doprowadzi do wojny prawdziwej i do powszechnej katastrofy, Wallace podjął teraz krucjatę w obronie pokoju i tego, co nazywał postępem. Jego — jak mówił — „armia Gideona” miała w swych szeregach skupić wszystkich tych, którzy chcą pokoju i gotowi są ponieść największe ofiary dla sprawy pokoju.

Ta krucjata miała mieć formę „trzeciej” partii. Inaczej — miała być szeroką koalicją, skupiającą różne elementy w imię walki o pokój. W pewnym stopniu zostało to osiągnięte. Wallace na przykład znalazł zwolenników wśród pacyfistycznych grup protestanckich. Tu i ówdzie szli za nim Murzyni, nie ufający Republikanom i rozgoryczeni na Demokratów. W niektórych stanach koła izolacjonistyczne dały Wallace'owi nieco sympatyków. W mieście New York ku Wallace'owi zwróciły się pewne koła żydowskie, rozgoryczone z powodu niejasnego stanowiska Ameryki w sprawie Palestyny. Przede wszystkim jednak do „armii Gideona” płynęła uniwersytecka młodzież, intelektualiści wszelkiego rodzaju — inteligencja.

Ta różnorodność elementów, jakie napływały do Wallace'a, i różnorodność motywów, jakimi elementy te się kierowały, szybko odbiły się na ideologicznym obliczu krucjaty. Obok haseł pokojowych wystąpiły tu hasła społeczne, zaczerpnięte z tradycji New Deal'u i liberalizmu amerykańskiego. Nie był to program ani jasno sprecyzowany,



ani wolny od sprzeczności wewnętrznych. Był to typowy program amerykańskiej grupy politycznej, która pragnie stać się nową wielką koalicją partyjną.

Koalicja ta jednak była pozbawiona tego, bez czego żadna wielka partia w Stanach Zjednoczonych obyć się nie może. Robotnicy i farmerzy trzymali się z dala od krucjaty. Jedni i drudzy byli przekonani, że w ramach istniejących wielkich partii znajdują lepsze możliwości walki o swe postulaty. Odstraszało też poparcie, jakiego Wallace'owi udzielili komuniści. Robotnicy szczególnie byli usposobieni antykomunistycznie. Słowem — Partia Postępowa Wallace'a okazała się w praktyce pierwszą w historii Stanów Zjednoczonych próbą masowego zorganizowania inteligentów.

Wyniki były żałosne. Żadna w dziejach Ameryki „trzecia” partia nie spotkała się z taką klęską jak ta, którą poniosła Partia Postępowa w roku 1948. Kandydatura Wallace'a zdołała zebrać zaledwie milion głosów. Nie zaszkodziła ona Trumanowi, który zdobył ilość głosów wystarczającą, by być wybranym. Jest to tym bardziej godne uwagi, że na Południu działała przeciw niemu Partia Praw Stanowych.

Druga kadencja Trumana stała pod znakiem stopniowego przewyciężania kryzysu w Partii Demokratycznej. Obie secesje — prawicowa i lewicowa — zakończyły się klęską dysydentów. Ci ostatni zaczęli powracać do macierzystej partii. Po takim rozczarowaniu z „trzecią” partią mogło tylko utrwalić się przekonanie o konieczności trzymania się starych metod. Szeroka koalicja demokratyczna bądź co bądź dawała pole do walki o urzeczywistnienie jakichś programów czy ideałów.

Wysunięcie w roku 1952 kandydatury Stevensona miało pomyślne następstwa dla sprawy przywrócenia równowagi wewnętrznej w obozie demokratycznym. Prawda że Adlai Stevenson nie miał danych na odegranie roli tak popularnego wodza, jakim był Roosevelt, nie potrafił przemówić do wyobraźni najszerszych mas. Niemniej jednak umiał skonsolidować przy swej osobie różne grupy koalicji demokratycznej. Zdołał przyczynić się do zaleczenia ran, jakie Demokratom zadały secesje roku 1948. I choć Stevenson przegrał w roku 1952 i w roku 1956, to jednak

Partia Demokratyczna dwukrotnie — w latach 1954 i 1956 — potrafiła zdobyć większość w Kongresie.

Podobnie jak koalicja republikańska, tak i koalicja demokratyczna — choć również skłócona i pełna tarć wewnętrznych — działa i wykazuje stan jakiejś równowagi. System — przy wszystkich swoich brakach — wykazał jednak swą użyteczność w praktyce politycznej Stanów Zjednoczonych.

### 5. Perspektywy

Powróćmy znów do tych wątpliwości, które tak często nasuwają się cudzoziemskim obserwatorom amerykańskiego systemu partyjnego. Czy system ten — tak pełen anachronistycznych cech — potrafi się utrzymać, czy nie będzie musiał być zastąpiony przez jakiś inny, bardziej zgodny z warunkami naszych czasów? Przecież przechodzi on przez ciągłe kryzysy, stale kuleje, stale potyka się — czy więc nie będzie musiał przeobrazić się całkowicie?

Nie możemy bawić się w prorocтва. W wypadkach, które mają nastąpić, najczęściej decydują okoliczności, których znaczenia ocenić nie potrafimy albo które w ogóle nie są nam znane. Stąd jest zawsze rzeczą arcyryzykowną apodyktycznie twierdzić, że przyszły rozwój wypadków musi wypaść tak a nie inaczej.

Możemy jednak — zachowując wszelką ostrożność — mówić o pewnych tendencjach rozwojowych, opierając się na tym materiale faktycznym, jaki jest nam znany. Otrzymamy przy tym pewne hipotezy robocze, które, nie roszcząc sobie pretensji do nieomyślności, mogą mieć jednak jakąś wartość praktyczną. I to mając na względzie, postaramy się rozpatrzyć perspektywy amerykańskiego systemu partyjnego.

Opierając się na badaniach opinii publicznej, możemy stwierdzić, że obywatele Stanów Zjednoczonych bardzo często nie są zadowoleni z działalności obu tradycyjnych partii politycznych. Czy jednak wynika stąd, że są oni niezadowoleni z tego systemu partyjnego, jaki istnieje w ich kraju?

Niewątpliwie Amerykanie nieraz sarkają na wady tego systemu. Sarkania takie są szczególnie silne i rozpowszech-

nione w okresach wielkich kryzysów partyjnych, gdy równowaga wewnętrzna w stronnictwach jest zachwiana i gdy wyborca nie znajduje w kandydatach obu partii możliwości jakiejś ideologicznej alternatywy. Jednakże sarkania takich nie było słyhać za czasów Roosevelta, kiedy wyborca miał przed sobą alternatywę w postaci Demokratów, utożsamionych z rooseveltofskim liberalizmem, i Republikanów, w swej przeważającej większości konserwatywnych i zwalczających New Deal. Nie sarka też Amerykanin i wtedy, gdy w prawyborach tej samej partii ma przed sobą wyraźne alternatywy, pozwalające mu wypowiedzieć się bądź w kierunku liberalnym, bądź w konserwatywnym.

Zauważmy dalej, że żadna z wielkich rewolt partyjnych w rodzaju rozłamu Teodora Roosevelta czy Henry Wallace'a nie była wymierzona przeciw amerykańskiemu systemowi partyjnemu jako takiemu. Wszystkie te „trzęsienie” partii nie były rewolucjami w odniesieniu do tych metod, zasad i filozofii, jakie znajdowały dla siebie wyraz w praktyce życia politycznego Stanów Zjednoczonych. Każda z tych nowych partii była jeszcze jedną próbą zbudowania szerokiej koalicji dokoła pewnych osób i pewnych haseł, przemawiających do wszelkich elementów amerykańskiej zbiorowości narodowej.

Stąd jeden wniosek nasuwa się nieuprzedzonemu obserwatorowi: jeżeli Amerykanie bywają niezadowoleni z wyników działalności swych partii, jeżeli nieraz sarkają na wady swego systemu partyjnego, to nie wynika z tego wcale, by nie przyjmowali tego systemu, by go uważali za przeżyty czy niewystarczający. Nikt, kto zna bliżej stosunki amerykańskie, nie znajdzie w nich dostatecznych dowodów na rzecz takiej tezy. Przeciwnie — znajdzie aż nadto danych, wskazujących na to, że Amerykanie aprobują swój system, że — choć nieraz podkreślają jego braki — uważają go za właściwe narzędzie organizowania swego życia politycznego.

Jest to okoliczność o decydującym znaczeniu. Jest rzeczą bezsporną, że przepisy prawne, obowiązujące w Stanach Zjednoczonych, utrudniają przeprowadzanie większych zmian w amerykańskim systemie partyjnym. W rzeczywistości, aby zmienić ten system, należałoby zmienić konstytucję federalną i konstytucje stanowe. Ale od przeszkód prawnych ważniejsze są postawy samego społeczeń-

stwa. Wszystko zaś przemawia za tym, że społeczeństwo to przyjmuje swój system partyjny jako najlepiej odpowiadający jego potrzebom i aspiracjom, że nie żywi żadnych rewolucyjnych zamiarów pod jego adresem.

Bez wątpienia amerykański system partyjny ma swe głębokie uzasadnienie historyczne. Jest on częścią składową — częścią bardzo ważną! — tej swoistej cywilizacji, jaka rozwinęła się na wielkim kontynencie północno-amerykańskim. System taki byłby nie do pomyslenia w żadnych innych warunkach. Nie jest on też na eksport i jest bardzo wątpliwe, by mógł służyć za wzór dla innych narodów i innych cywilizacji. Ale w Stanach Zjednoczonych był on logiczną konsekwencją całej linii rozwojowej, po której szła cywilizacja amerykańska.

Czy jednak jest on czymś statycznym, sztywnym, nie poddającym się przemianom? Tak z pewnością nie jest. W obrębie jego zachodzą jakieś ewolucje, jakieś organiczne przeobrażenia. Najlepszym tego dowodem jest powstanie instytucji prawyborów i coraz poważniejsza rola, jaką one odgrywają. Możliwe są też pewne przesunięcia i zmiany w obrębie dwóch wielkich koalicji, które składają się na całość amerykańskiego systemu partyjnego.

Mówiąc o tych przesunięciach i zmianach, staje się przed pytaniem, które często stawiają cudzoziemscy obserwatorzy Ameryki: czy jedna z dwóch partii — ma się tu na myśli Partię Demokratyczną w pierwszym rządzie — nie przeobrazi się w stronnictwo robotnicze, będące odpowiednikiem Labour Party? Przecież związki zawodowe już dziś odgrywają w Partii Demokratycznej tak wielką rolę, a i trudno sobie wyobrazić, by w kraju tak uprzemysłowionym i liczącym tylu robotników nie powstało potężne stronnictwo, reprezentujące interesy świata pracy.

Piszący te słowa z najwyższym sceptycyzmem ocenia prawdopodobieństwo powstania takiego stronnictwa czy też przetworzenia się Partii Demokratycznej w takie stronnictwo. Nic bowiem nie przemawia za tym, by w takim kierunku szły zainteresowania i aspiracje milionowych rzesz robotników amerykańskich.

Faktem jest, że robotnikowi amerykańskiemu obca jest postawa, w Starym Świecie określana jako „klasowa świadomość proletariatu”. Czy brak tej postawy świadczy o jakimś zacofaniu robotnika amerykańskiego, o tym, że robot-

nik ten jest opóźniony w swym rozwoju społecznym? Taki pogląd jest nieraz wypowiedziany przez cudzoziemskich obserwatorów Ameryki. W naszym przekonaniu jest on najzupełniej fałszywy. Robotnik amerykański nie jest ani zacofany ani opóźniony w swym rozwoju społecznym. Jest on różny od robotnika europejskiego, jak różny był cały rozwój historyczny narodu Stanów Zjednoczonych i jego cywilizacji.

To, co w Europie określane było jako „klasowa świadomość proletariatu”, nie było tylko produktem gospodarczego upośledzenia robotnika przemysłowego. O wiele większe znaczenie miał cały charakter cywilizacji Starego Świata, cała organizacja społeczna, jaką zastała wielka rewolucja przemysłowa. Ta organizacja wytworzyła się w epoce feudalizmu. Cechowały ją sztywne nawarstwienia społeczne, surowy podział społeczeństwa na warstwy „wyższe” i „niższe”. Nie chodziło tu jedynie o stan posiadania gospodarczego. Różnice majątkowe miały w tym znaczenie wtórne, często w ogóle roli nie odgrywały. Istotny był cały system prawno-obyczajowy, który jednych umieszczał na górze hierarchii społecznej, drugich trzymał na jej dole. Stosunki między górą i dołem były dokładnie określone przez cały kodeks postępowania, zachowywania się jednych wobec drugich, przez rytuał dnia codziennego, przez obowiązki wykonywania ról społecznych, jakie były wyznaczone każdej grupie i każdej jednostce.

Ten system istniał, gdy rozpoczynała się rewolucja przemysłowa. Wyznaczył on określone miejsce społeczne nowej klasie społecznej, która wtedy wchodziła na widownię — klasie robotniczej. Robotnik Starego Świata był częścią cywilizacji, która umiejscowiła go w obrębie „ludu”, wyznaczyła określony sposób zachowywania się, wyznaczyła jasno zdefiniowaną rolę społeczną. Niewątpliwie robotnik ten był upośledzony gospodarczo, był wyzyskiwany — jakże często bezlitośnie. Ale ten wyzysk gospodarczy był tylko jednym z aspektów ogólnego upośledzenia, jakie w udziale przypadło warstwom „niższym” — ludowi.

Jedną z najważniejszych konsekwencji rewolucji przemysłowej było rozbudzenie się w Europie dążeń emancypacyjnych wśród warstw zwanych ludowymi. Socjalizm stał się wyrazem dążeń emancypacyjnych klasy robotniczej. Uświadamiał on robotnikowi krzywdę, jaka go spotykała,

otwierał przed nim nowe perspektywy. Nie chodziło tu wyłącznie o zniesienie wyzysku gospodarczego. Chodziło również o przekształcenie tradycyjnej organizacji społecznej, o likwidację całego systemu prawnego-obyczajowego, który z jednych robił „wyższych” a z drugich — „niższych”. Ta walka o emancypację społeczną nie mogła dać rezultatów dopóty, dopóki w masach robotniczych nie wytworzyło się poczucie wspólnoty swych losów, swych zadań i dążeń, dopóki masy te nie doszły do nowego ujmowania swej roli społecznej i nie miały woli jej realizacji. To właśnie była owa „klasowa świadomość proletariatu”. Nie ulega wątpliwości, że socjalizm europejski spełnił w tym wielkie zadanie historyczne.

Ale rozwój Ameryki szedł po zupełnie innej drodze. Rewolucja przemysłowa przyszła tu do społeczeństwa, któremu obce były instytucje feudalne i ich pozostałości prawnego-obyczajowe. Było to społeczeństwo plebejskie, ludowe, w treści swej głęboko demokratyczne. Obcy mu był ten system nawarstwień społecznych, jaki wyznaczał oblicze Starego Świata. Robotnik amerykański mógł być wyzyskiwany gospodarczo, ale — jeżeli tylko nie był Murzynem — nie spotykał się z tymi dyskryminacjami społecznymi, jakie w stosunku do warstw „ludowych” panowały w Starym Świecie. Był częścią ludu, ale cały naród amerykański był ludem. Był jednak ludem, któremu nie znane były te ograniczenia, jakie przypadły w udziale ludowi Starego Świata. Innymi słowy — robotnik amerykański był wolny od zadania walki o swoją emancypację społeczną. Emancypację taką dawała mu sama Ameryka i jej plebejska cywilizacja.

Niewątpliwie musiał walczyć z wyzyskiem gospodarczym. Inaczej — musiał walczyć o zdobycie dla siebie najlepszych warunków istnienia materialnego. O to zresztą walczył każdy Amerykanin i taka walka była jednym z zasadniczych wskazań, jakie społeczeństwu stawiała cywilizacja plebejskiej Ameryki. Walkę tę robotnik Stanów Zjednoczonych prowadził wytrwale, stosując w niej takie narzędzia jak: akcja strajkowa, związek zawodowy, *lobbying* itd. Walka ta dała mu poziom życiowy taki, jaki rzadko gdzieś indziej został dorównany.

Takie warunki historyczne sprawiły, że w Stanach Zjednoczonych po prostu nie było miejsca na wytworzenie

się „klasowej świadomości proletariatu”. Robotnik amerykański nie uważa się za proletariusza. W tym, że jest robotnikiem, widzi fakt wykonywania zawodu, ale nie przynależność do jakiejś specyficznej kategorii klasowo-socjalnej. Oczywiście z faktu wykonywania zawodu wynika wspólność interesów z innymi ludźmi, którzy ten zawód wykonywują. Stąd też płynie konieczność podejmowania pewnych akcji zbiorowych. Robotnik amerykański organizuje związki zawodowe i nauczył się je cenić. Ale uważa się za członka „klasy średniej”, do której zresztą zalicza się blisko 90 procent społeczeństwa amerykańskiego. Dodajmy, że w rozumieniu amerykańskim „klasa” oznacza wyłącznie kategorię zarobkową, że o udziale w tej czy innej klasie decyduje skala dochodu.

W plebejskiej cywilizacji amerykańskiej miernikiem społecznej pozycji jednostki jest jej sukces osobisty, mierzony dochodem. Dziś niejedyn robotnik amerykański zarabia znacznie więcej niż profesor uniwersytetu, by nie mówić o nauczycielach szkół średnich czy o masie urzędników państwowych. Robotnik, który osiągnął taki poziom życiowy, jest osobą szanowaną, zajmującą poważne miejsce w swej zbiorowości. Któż go nazwie proletariuszem! Któż powie o nim, że jest osobą pokrzywdzoną, uginającą się pod ciężarem dyskryminacji społecznej!

Decydującą przeszkodą na drodze powstania w Stanach Zjednoczonych klasowej partii robotniczej jest to, że idea takiej partii jest obca amerykańskiemu robotnikowi. Oczywiście i on interesuje się polityką. Ale interesuje się nią w ramach tego ogólnego systemu partyjnego, jaki istnieje w Stanach Zjednoczonych.

Praktyka nauczyła go, że najwięcej może osiągnąć jako składnik wielkiej koalicji demokratycznej. Demokratom zawdzięcza zdobycze New Deal'u. W Partii Demokratycznej związki zawodowe mają bardzo dużo do powiedzenia. Jest rzeczą arcywątliwą, by jakaś konwencja demokratyczna ośmieliła się nominować kandydata na Prezydenta, który by nie miał za sobą poparcia związków zawodowych.

Zresztą nie wszyscy robotnicy amerykańscy są Demokratami. Wybory lat 1952 i 1956 wykazały, że wcale znaczna część głosów robotniczych padła na Eisenhowera. Oczywiście w ogromnym stopniu decydowała tu niezwykła oso-

bista popularność kandydata Republikanów. Ale jakaś część robotników jest bardziej pro-republikańska niż pro-demokratyczna. Chodzi o to, że do środowisk robotniczych zaczyna przenikać ta swoista filozofia „respectability”, która uznaje za bardziej właściwe na pewnym poziomie być Republikaninem niż Demokratą. Ogromna ilość robotników amerykańskich mieszka we własnych domkach. Niekiedy są to domy, duże i elegancko umeblowane. Robotnik, posiadający akcje przedsiębiorstwa, w którym pracuje, nie należy w Stanach Zjednoczonych do wyjątków. Filozofia posiadania jest bardzo pospolita w amerykańskim świecie pracy i zaczyna się już ona odbijać w działaniach politycznych.

Tylko w sposób jak najbardziej szkicowy możemy tu ująć to wielkie zagadnienie. Pomijamy tu ważny aspekt ruchliwości społecznej Ameryki, płynność jej stosunków społecznych, niwelujące działanie dystrybucji towarów i szereg momentów, które jednak łącznie mają kolosalny wpływ na psychikę robotnika amerykańskiego i w ogóle każdego Amerykanina. W każdym zaś razie przyjmujemy ten wniosek, że dziś nic nie przemawia za tym, aby w Stanach Zjednoczonych mogła się rozwinąć partia robotnicza, podobna do analogicznych stronnictw Starego Świata.

Czy są jednak możliwe inne przesunięcia i zmiany w obrębie amerykańskiego systemu partyjnego? O jednej takiej zmianie mówi się w Ameryce dość często: Partia Republikańska stanie się koncentracją sił konserwatywnych, Partia Demokratyczna — liberalnych. Inaczej — demokratyczni konserwatyści przejdą do Republikanów, republikańscy liberałowie — do Demokratów.

Przypuszczenie takie powołuje się na pewne zjawiska, które niewątpliwie dają się zaobserwować. W latach 1952 i 1956 bardzo duża ilość południowych Demokratów oddała swe głosy na Eisenhowera. Ale i poza Południem wielu bardziej konserwatywnych Demokratów głosowało w tych latach na republikańskiego kandydata. Z drugiej strony od dawna daje się zauważyć odpływ liberałów z Partii Republikańskiej i przechodzenie ich do Demokratów. W latach ostatnich wybitny Republikanin — Senator Morse z Oregonu — zerwał ze swoją partią i stał się Demokratą. Można by więc mówić o polaryzacyjnych ten-



dencjach w amerykańskim życiu politycznym, o skupianiu się konserwatystów po jednej stronie i liberałów — po drugiej.

Takie procesy rzeczywiście zachodzą i to nie od dziś. Nie ulega wątpliwości, że liberalizm amerykański od dawna bardziej ciąży w stronę Demokratów niż Republikanów. Tak szczególnie było w epoce Franklina Roosevelta i tak nie przestało być i po niej. I analogicznie Partia Republikańska nie od dziś przyciąga do siebie elementy bardziej konserwatywne, zwłaszcza — zamożniejsze i pretendujące do tego, co w Ameryce jest określane jako „respectability”. A jednak byłoby ryzykowne twierdzić, że w ostatecznym wyniku obóz demokratyczny stanie się koncentracją tylko liberałów, a obóz republikański — tylko konserwatystów.

Tego rodzaju utożsamianie się każdego ze stronnictw z określonym kierunkiem ideologicznym oznaczałoby gruntowną zmianę w charakterze amerykańskiego systemu partyjnego, zasadniczo zmieniłoby jego oblicze. Amerykańskie stronnictwo polityczne przestałoby być szeroką koalicją techniczną, której zadania są czysto organizacyjne, nie zaś ideologiczne. Wymagałoby to zerwania z tradycjami lokalnymi, ba — nawet z tradycjami rodzinnymi. Byłaby to prawdziwa rewolucja, zasadnicze odejście od tych dróg i metod, jakie panowały i panują w amerykańskim życiu politycznym.

Teoretycznie rzecz biorąc, rewolucja taka jest możliwa. Czy jednak jest dla niej praktyczne uzasadnienie w rzeczywistych warunkach obecnego życia Stanów Zjednoczonych? Nie narzuca się nam ono. Nie widzimy racji praktycznych, które by zmuszały amerykański system partyjny do przebycia takiej drogi.

Jeden moment zasługuje tu na uwagę: przeobrażenia, jakie w okresie Eisenhowera miały miejsce w Partii Republikańskiej. Nie ulega wątpliwości, że do roku 1948 w partii tej dominującą siłą był skrajny konserwatyzm, nie chcący się liczyć z tym, co w Stanach Zjednoczonych zaszło od roku 1929. Ten konserwatyzm uczynił z koalicji republikańskiej anachronizm, oderwany od życia, skostniały i pozbawiony poczucia rzeczywistości. W tych warunkach Partia Republikańska musiała przegrywać. Klęskę przyniósł jej nawet rok 1948, gdy miała przed sobą rozbity, osłabiony przez secesję, obóz demokratyczny. Wszystkie badania

opinii publicznej wskazywały na to, że Republikanie są partią mniejszości, że wpływy ich się kurczą, że przyszłość Światnej Starej Partii jest pod znakiem zapytania.

Odrodzenie republikanizmu było możliwe tylko przez jego modernizację, przez pogodzenie się z tymi zmianami, jakie w Ameryce zachodziły. Z tego zdawały sobie sprawę czynniki młodsze i one rozpoczęły walkę o reformę republikanizmu. Ich dziełem było wysunięcie kandydatury Eisenhowera. Niesłychana osobista popularność zwycięskiego generała dała Republikanom pierwsze po bardzo długiej przerwie zwycięstwo wyborcze. A równocześnie bardziej postępowe siły Partii Republikańskiej znalazły dla siebie jakiś symbol i jakiś ośrodek koncentracyjny. Zagadnieniem było, czy zwycięstwo Eisenhowera da Partii Republikańskiej sposobność przeprowadzenia niezbędnej modernizacji.

Było rzeczą jasną, że Eisenhower był nieskończenie bardziej popularny od partii, która za nim stała. W roku 1954, gdy Eisenhower nie był w szrankach wyborczych, partia ta nie potrafiła zdobyć większości w Kongresie. Jeszcze gorzej było w roku 1956, gdy kolosalne zwycięstwo Prezydenta szło w parze z porażką wyborczą jego partii. Co będzie w roku 1960, gdy Eisenhower nie będzie już mógł być kandydatem? Czy znajdzie się wtedy drugi kandydat o takiej popularności? Pytanie to stale się musiało nasuwać przywódcom republikańskim.

Sprawa modernizacji Światnej Starej Partii nie była rzeczą prostą. Trzeba było przewyciężyć szereg zasadniczych przeszkód, trzeba było przejść przez kryzys sprawy McCarthy'ego. Niemniej jednak niejedno zostało osiągnięte.

Ludzie, którzy tę modernizację republikanizmu starają się przeprowadzić, są umiarkowanymi liberałami. Można by o nich powiedzieć, że reprezentują oni filozofię oświeconego kapitalizmu. Bronią istniejącego systemu gospodarczego, uznają jednak konieczność reform, a w żadnym razie nie marzą o powrocie do stosunków z epoki przed New Deal'em. Przyjęli zmiany, jakie w Stanach Zjednoczonych od tego czasu zaszły, i zdają sobie sprawę, że jeszcze i inne zmiany nadejść będą musiały. Chodzi raczej o nie-dopuszczanie do zbytnej gwałtowności zmian, niż o walkę z nimi.

Trudno jest w tej chwili ocenić, jak daleko poszła ta modernizacja republikanizmu. W każdym razie dzięki niej wysunął się w GOP kierunek, który stanowi jakąś alternatywę dla skrajnego konserwatyzmu. Kierunek ten sprawia, że stan równowagi wewnętrznej został przywrócony w koalicji republikańskiej.

Oczywiście pytaniem jest, co będzie w roku 1960, gdy Eisenhower nie będzie już mógł być kandydatem? W jakim stopniu proces modernizacji GOP będzie posunięty, gdy nadejdzie ta ważna data? Na pytania te odpowiedzi dziś dać nie możemy.

W każdym razie istotne jest to, że w chwili obecnej w Partii Republikańskiej istnieje jakieś — choć może niezbyt wygodne — miejsce dla grup bardziej liberalnych. A dopóki konserwatywne Południe stanowi jednolity blok, dopóty takie miejsce istnieje i dla grup konserwatywnych w obrębie Partii Demokratycznej. Nie sądzimy przeto, by w granicach dającej się przewidzieć przyszłości istniało prawdopodobieństwo jakichś zasadniczych, rewolucyjnych zmian w amerykańskim systemie partyjnym.

Oczywiście jakieś zmiany i fluktuacje będą zachodziły, jak stale zachodziły one i w przeszłości. Ale od nich do wielkiego przewrotu jest droga jeszcze bardzo daleka. Przewrót taki mógłby jedynie nastąpić, gdyby obiektywne warunki życia amerykańskiego uległy gwałtownej zmianie. Jakaś wielka katastrofa polityczna czy gospodarcza mogłaby stworzyć nową sytuację, pociągającą za sobą gwałtowne przetasowanie partyjno-polityczne. I jakkolwiek w dziejach wszystko jest możliwe, to jednak prawdopodobieństwo takiej katastrofy wydaje się nam — znów w granicach dającej się przewidzieć przyszłości — bardzo niewielkim.

Ten amerykański system partyjny nie jest doskonały. Ba — jest bardzo daleki od doskonałości. Ale zrodzony z konkretnych potrzeb historycznych wielkiego narodu, jakoś potrzeby te umie zaspokoić. I to go usprawiedliwia. Jest żywy i jest przystosowany do potrzeb kraju, który go stworzył. I — jak to już przedtem powiedzieliśmy — działa nie gorzej niż wiele innych systemów, które pretendują do doskonałości. Nie gorzej, a raczej może — lepiej. Przy jego pomocy naród amerykański potrafił przejść drogę dziejową, która pozwoliła mu stworzyć wielką cywilizację techno-

logiczną, zapewniającą obywatelom dobrobyt i wolność osobistą. I w jednym i w drugim Ameryka nie osiągnęła stopnia doskonałości, ale osiągnęła więcej niż zdołało przypaść w udziale kolosalnej większości innych narodów świata.

Jest to poza tym system bardzo elastyczny, który — jak to już nieraz wykazywały dzieje Stanów Zjednoczonych — umiał przystosowywać się do nagłych sytuacji i do szybko zmieniających się warunków. I nie widać wcale, by miało mu grozić jakieś skostnienie.

I dlatego wydaje się nam mało prawdopodobne, by miały zajść istotne zmiany w tym systemie partyjnym, jaki zrodził się za Waszyngtona i, przeszedłszy przez wiele burz, żyje aż po dzień dzisiejszy. Co zaś temu systemowi będzie sądzone w dalszej przyszłości, tego dziś przewidzieć nie potrafimy.

K o n i e c

## TREŚĆ

WSTĘP .....	9
<b>Rozdział I. NIECO HISTORII</b> .....	13
1. Partyjnictwo zwyciężyło. 2. Pierwsze stronnictwa: Federaliści i Jeffersonowscy Demokraci. 3. Druga rewolucja amerykańska. 4. General — wielki Prezydent. 5. Od Jacksona do Lincolna. 6. Powstaje Świetna Stara Partia. 7. Era triumfu Republikańców. 8. Trzecie partie powstają i znikają. 9. Socjalistyczne intermezzo. 10. Kilka uwag o czasach ostatnich.	
<b>Rozdział II. AMERYKAŃSKIE FILOZOFIE POLITYCZNE</b> .....	61
1. Wprowadzające wyjaśnienie. 2. Amerykańskie wyznanie wiary. 3. Konflikt: liberalizm contra konserwatyzm. 4. Od Jeffersona do F. D. Roosevelta. 5. Franklin D. Roosevelt i „New Deal”. 6. Testament Washingtona. 7. Insularność i izolacjonizm. 8. Ameryka zaczyna dojrzewać.	
<b>Rozdział III. STANY ZJEDNOCZONE JAKO SCENA DZIAŁALNOŚCI PARTYJNEJ</b> .....	100
1. Nie było feudalizmu. 2. Demokracja plebejska. 3. Eksploatacja wielkiego kontynentu. 4. Demokracja przedstawicielska. 5. Konstytucja pewnych rzeczy nie uwzględniła. 6. Federacja, regionalizm, Prezydent.	
<b>Rozdział IV. SYSTEM DWUPARTYJNY</b> .....	125
1. Partie „większe” i partie „mniejsze”. 2. Wielkie koalicje. 3. Więzy organizacyjne. 4. Kierownictwo ogólnonarodowe.	

<b>Rozdział V. PARTIE W LICZBACH I FAKTACH</b>	<b>152</b>
1. Dlaczego Demokraci? — Dlaczego Republikanie? 2. Polityczna geografia Stanów Zjednoczonych. 3. Polityczna socjologia Stanów Zjednoczonych. 4. Polityczna etnografia Stanów Zjednoczonych. 5. Polityczna antropologia Stanów Zjednoczonych.	
<b>Rozdział VI. INTERESY I POLITYKA</b> .....	<b>180</b>
1. System łupów. 2. Interesy gospodarcze kontrolują. 3. Lobbies i lobbying. 4. Lobbies w działaniu. 5. Ustawodawcy tworzą bloki. 6. Jeszcze o lobbies i o blokach.	
<b>Rozdział VII. APARAT WIELKIEJ ROZGRYWKI</b>	<b>211</b>
1. Kulisy bywają ważniejsze od sceny. 2. Dygresja historyczna. 3. Współczesne maszyny i współcześni bossowie. 4. Propaganda przedwyborcza.	
<b>Rozdział VIII. WIELKA ROZGRYWKA</b> .....	<b>237</b>
1. Dwa akty. 2. Demokratyczne przesłanki. 3. Konwencje partyjne. 4. O kandydatach i o ich siłę przyciągającej. 5. Wielkość i małość prezydentury. 6. Prawyborcy. 7. Akt drugi: wybory.	
<b>Rozdział IX. DEMOKRACJA PRZEZWYCIEŻA SWE KRYZYSY</b> .....	<b>279</b>
1. Koalicje nie są trwałe. 2. „Trzecie” partie. 3. Partie szukają równowagi wewnętrznej. 4. Równowaga — zachwiana i przywrócona. 5. Perspektywy.	

**ACHEVE D'IMPRIMER  
LE 30 DECEMBRE 1957  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD,  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (18°).**

**Dépôt légal : 4° trim. 1957**

Dar  
Biblioteka Polska  
Paryż



